



Migotania

Gazeta Literacka

Nr 4 (89) 2025 kwartalnik

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury

*Epoką nas zdradziła
wyszła za inne życie
ma niezrozumiałe dzieci*

(Stanisław Esden Tempowski, Epoka)

POLECAMY

- poezja: Władysław Zawistowski, Blaise Cendrars, Stanisław Esden Tempowski, Ryszard Hetnarowski
- Bożena Ptak, Węzeł kolejowy
- Maria J. Fraszewska, O życiu i twórczości Anne Sexton
- Katarzyna Korczak, Zygmunt Jan Rumel, Dokumentacja

- Eugeniusz Kurzawa, Plac Słowiański, Wspomnienia
- Maria Jentys-Borełowska, O „Epistołach 2”, Henryka Berez
- Agnieszka Moroz, Książki na haczyku, Recenzje
- Robert Bolaño, Ambers, proza

VI/14 migotania



Stanisław Esden Tempowski

(1952-2025)

Gdybyś przestał kłamać

Być może również
Przestałbyś bać się psów
Czy widzisz we snach strzelby
Tak
Ale one są głuche
Zatkane papierem i watą
Zaszpunktowane strachem
Twoje poranne salwy
Nikogo nie rozbudzą
Twoja żona
Patrzy na ciebie
Z pogardą
Nie pachniesz prochem
O nie!
To nie jest zapach prochu

Nie bój się psów
Albo przestań kłamać
Aby przestać kłamać
Musisz wreszcie
Obłaskawić te psy
Słyszysz je ?!
Tak – to one...
Znow wokół ciebie się rozszczękał
Widnokrąg twoich psów

W numerze prezentujemy prace Jana Miśka

Plakat poetycki: Jan Misiak

Plakat poetycki: Władysław Zawistowski

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2025

Wit Romanowski

WIĘCEJ NIŻ UKRAINA

Dlaczego Ukraina jest aż tak ważna dla Rosji? Dlaczego Rosja tak zaciekle o ten kraj walczy? Dlaczego różne inicjatywy zakończenia najazdu Rosji na Ukrainę przez Kreml są uparcie odrzucane i dyskredytowane? Dlaczego?

Odpowiedź na te pytania jest dość prosta. Bo **Ukraina stała się w tej chwili krajem osiowym** (ang. *linchpin state*). Pojęcie to było bardzo popularne pod koniec lat 80.-tych XX wieku. Do politologicznego obiegu wprowadził je nie kto inny jak **prof. Zbigniew Brzeziński**.

Dziś poszło ono w zapomnienie. Niestusznie. Bo po okresie „końca historii” tak bardzo na przełomie wieków spopularyzowanego przez Francisca Fukuyamę, do analizy politycznej sytuacji na świecie znów stało się ono bardzo przydatne.

Kraj osiowy to taki, który nie tylko sam w sobie jest ważny, ale również jest w jakimś sensie podatny do zagarnięcia i przejęcia. Jego znaczenie bierze się z jego geopolitycznej pozycji, promieniującej politycznie bądź ekonomicznie na cały region, bądź też z jego położenia strategicznego, co czyni go ważnym także w sensie wojskowym. Inne kraje mogą być równie istotne lub nawet ważniejsze, ale ich mocne zakotwiczenie w jednym lub drugim strategicznym bloku nie czyni z nich potencjalnego katalizatora możliwej przemiany.

Takim **krajem osiowym – przed ustrojową przemianą – była Polska**. To, do jakiego bloku należała, miało wpływ na całą Europę Centralną. Było jasne, że jeśli w Polsce dojdzie do politycznej przemiany, pociągnie to za sobą zmiany daleko wykraczające poza jej granice – w całym regionie (co po roku 1989 rzeczywiście się stało).

Dziś krajem osiowym stała się Ukraina. To, jaka strategiczna sytuacja na trwałe w niej się zakorzeni, będzie miało nieuchronny wpływ na to, co będzie się działo w całej Federacji Rosyjskiej i co – w dalszej perspektywie – może doprowadzić do jej rozpadu na mniejsze i niezależne organizmy państwowe.

Stąd zaciekleść i nieustępliwość Putina. Stąd jego niechęć do podchwycenia jakiegokolwiek pokojowej inicjatywy w sprawie Ukrainy. Wszak w tej grze chodzi nie tylko o Ukrainę, lecz o dużo, dużo więcej. **Przejęcie Ukrainy przez Rosję krajem osiowym znów uczyniłoby Polskę – ze wszystkimi tego negatywnymi geopolitycznymi następstwami; z niezwykle silną rosyjską motywacją do przeciągnięcia naszego kraju na swoją stronę** (co – za jakiś czas – nowym krajem osiowym czyniłoby Niemcy).

Poza tym jest jeszcze jedna istotna kwestia, która po stronie rosyjskiej blokuje pokojowe inicjatywy dotyczące Ukrainy. W liście otwartym, wystosowanym do Donalda Trumpa, pisze o niej **Eduard Topol** (Edmont Topelberg) – znany rosyjski emigrant i artysta, autor bardzo wielu książek i tuzina filmów.

Stwierdza, że wojny w Ukrainie Kreml nie może skończyć także dlatego, że w **historii Rosji powrót wojsk z zagranicy, z wojny, zawsze wiązał się z następującym niebawem potem politycznym przewrotem** i... eliminacją poprzedniej władzy.

Powrót armii rosyjskiej z Paryża, po zadaniu klęski Napoleonowi, doprowadził do antycarskiego powstania dekabrystów w 1825 roku.

Porażka Rosji w wojnie rosyjsko-japońskiej podpałiła lont, który spowodował wybuch rewolucji 1905 roku.

Ucieczka miliona rosyjskich żołnierzy z frontu rosyjsko-niemieckiego podczas I wojny światowej zaowocowała abdykacją cara Mikołaja II i tzw. rewolucją październikową w 1917 roku. Natomiast pokój podpisany przez Lenina z Niemcami zachęcił bolszewików do uśmiercenia całej carskiej rodziny.

Z kolei powrót wojsk sowieckich z Afganistanu w lutym 1989 roku rozpoczął proces upadku ZSRR.

Stalin, będący dla Putina niewątpliwym wzorem, dobrze znał tę prawidłowość. Między innymi dlatego swoje wojska, które trafiły na zachód od Wisty w czasie II wojny światowej pozostawił jako armię okupacyjną w Europie Środkowej.

Topol pisze: „Putin pamięta, jak setki tysięcy żołnierzy, którzy w 1989 roku wrócili z Afganistanu zmieniło się w bandyckich Afgańców, którzy przez lata terroryzowali całą ludność ZSRR. I wie, co się stanie jeśli milion żołnierzy, którzy wiedzą jak profesjonalnie zabijać, rabować i gwałcić, wróci do domu z ukraińskiego frontu. Wojna z Ukrainą pozwoliła Putinowi pozbyć się dwóch milionów najbardziej aktywnych przeciwników jego reżimu, których albo zmusił do ucieczki z Rosji, albo skierował na front. Dziś każda wojna – z Ukrainą, z krajami bałtyckimi, z NATO, z kimkolwiek – jest dla niego najlepszym sposobem by Matuszkę Rosję zmusić do bezwarunkowego podporządkowania się jego juncie i reżimowi.”

Na zakończenie listu Topol stwierdza, że jeśli wymienione kwestie Trumpa zainteresowały, może w każdej chwili do niego zadzwonić, by poruszone wątki pogłębić.

Żadnego telefonu nie było.

WIT ROMANOWSKI



Spis treści

Wit Romanowski, Więcej niż Ukraina, FELIETON.....	str.2
Bożena Ptak, Węzeł kolejowy, fragmenty wspomnień.....	str.3
Blaise Cendrars, wiersze, tłum. Kazimierz Brakoniecki.....	str.6
Maria Jolanta Fraszewska, Kalejdoskop przeżyć łączących życie i śmierć w jedną syzyfową kulę, Anne Sexton.....	str.9
Stanisław Esden-Tempski, wiersze.....	str.13
Małgorzata Sikorska, Rozkosz i Koszmar. Iwaszkiewicz Anna z Lilpopów, ESEJ.....	str.16
Alejandra Pizarnik, prozy, tłum. Aleksandra Połec, PROZA.....	str.20
Jakub Żbikiewicz, wiersze.....	str.21
Grzegorz Bazyłak, nowe wiersze.....	str.22
Dariusz Pawlicki, Medytując nad ogrodem, ESEJ.....	str.24
Ewa Nowostawska, Damą być, PROZA.....	str.26
Roman Warszawski, Pod słońce, REPORTAŻ.....	str.28
John Gay, Bajki, tłum. M. Froński.....	str.30
Eugeniusz Kurzawa, Plac Słowiański 12, WSPOMNIENIE.....	str.32
Stawomir Krzyśka, wiersze.....	str.35
Grzegorz J. Brzustowicz, Królewskie spotkanie, ESEJ HISTORYCZNY.....	str.36
Jan Smalewski, fragment powieści „Panie Boże przebacz”, PROZA.....	str.40
Jarosław Kapłon, wiersze.....	str.43
Agnieszka Rykowska, Nie jesteś nawiedzona, PROZA.....	str.44
Poeci irlandzcy, wiersze, tłum. A. Szuba.....	str.45
Andrzej Brzoza, Lwówianin, który został pisarzem, O J. Brzozie, WSPOMNIENIE.....	str.46
Roman Warszawski, A gdyby tak do Krakowa? OPOWIADANIE.....	str.49
Ryszard Hetnarowicz, wiersze.....	str.52

OMÓWIENIA:

Maria Jentys-Borełowska, CZUŁOŚĆ I HEROIZM. O „Epistołach 2” H. Berezy.....	str.54
Marian Lech Bednarek, O zbiorze esejów „ODYSEJE” Stefana Rusina.....	str.56
Maria J. Fraszewska, „Przemijam w sposób sobie niepowtarzalny”. Urszula Kozioł.....	str.60
Tadej Karabowicz, Coraz wyraźniejsze słowa. Joachim.....	str.61

KSIĄŻKI NA HACZYKU: Agnieszka Moroz.....	str.63
RECENZJE:.....	str.65

Ryszard Biberstajn, Lamenta dialogi z Hölderlinem	
Stanisław Chyczynski, Repetytorium: wtórczy duchowe	
Kinga Młynarska, Poczucie bycia gdzieś obok	
Zdzisław Drzewiecki, Miłość niedokończona – o tomie Adama Ochwanowskiego	
Tadej Karabowicz, Poezja i proza jako przykład jedni literackiej	
Katarzyna Michalewska, Człowiek, dotknięty „lodowym językiem”	
Tomasz Pyzik, Zachwyt i działanie, Barbara Gruszka-Zych	
Wit Romanowski, Pochwała poezji, o książce Czesława Karkowskiego, ESEJ	
Robert Rudick, Duchowa głębia istnienia, E. Musiał	
Mateusz Wabik, Wybór z buntu, Świetlicki	
Stanisław Topaz, Tajemnice ludzkiej egzystencji	
Stanisław Topaz, Szwałk jako symbol wieloznaczności	
Mateusz Wabik, Czysta po deformacji	
Andrzej Walter, Zaśmieszanie wierszem, Wawrzekiewicz	
Tadeusz Wojewódzki, Tomik do plecaka lepszej codzienności, Szubstarska	
Maria J. Fraszewska, Nie przespać siebie w każdy czas odrzucenia	
Katarzyna Michalewska, Światłoczuła struktura – miejsce rodzenia się egzystencjalnych napięć	
Małgorzata Kulisiewicz, W labiryncie wiersza. O poezji Anny Luberty-Kowal	
Vojislav Karanović, Bezludna wyspa	
Jerzy Lengauer, Krzyżacy, TEATR.....	str.85
Powiadomienie o nagrodzie Wiatr od Morza.....	str.85
Adam Ochwanowski, wiersze.....	str.86
Robert Bolaño, Ambers, (cz.2), przełożył Grzegorz Bazyłak.....	str.88
Jan Stanisława Smalewski, wiersze.....	str.92
Jan Misiak, biogram artysty numeru.....	str.94
strona redakcyjna.....	str.95
Katarzyna Korczak, „wystarczy mi świerszcz w koniczyńce koncertujący pod liśćmi (...), Zygmunt Jan Rumel – gdańskie reminiscencje , DOKUMENTACJE.....	str.96

Bożena Ptak

WĘZEŁ KOLEJOWY



Wstęp

Stary kajet towarzyszy moim kulinarnym przedsięwzięciom od wielu lat. Każdy gość, odwiedzający po raz pierwszy mój dom, zapisywał w nim swój przepis na ulubioną potrawę. Potem takowe dyktowano mi przez telefon, co skrzętnie zapisywałam. Do dzisiaj wykorzystuję te receptury, a każda kojarzy mi się z osobami i wydarzeniami. Wklejałam też do niego przepisy ze starych gazet, takich jak na przykład „Przyjaciółka”. Pełno w nim kartek, karteluszek i różnych charakterów pisma. Załuszczone to i oblepione ciastem. Zainspirował mnie ten zeszyt do projektu realizowanego w I Zespole Szkół STO w Gdańsku – Oliwie przy ulicy Polanki, gdzie przez wiele lat pracowałam jako polonistka. Z moimi uczniami na Boże Narodzenie redagowaliśmy książkę kucharską z rodzinnymi przepisami kulinarnymi, a po nawiązaniu współpracy z polską szkołą z Wołkowyska na Białorusi dotaczyli do nas uczniowie tamtejszej placówki, a potem uczniowie z polskiej szkoły w Wilnie. Kuchnia okazała się kapitalnym poletkiem do integracji, przyjaźni i historycznych konfrontacji. Jakiś tam przepis zrymowałam i umieściłam na internetowym forum, dodając na jego temat informacje o starym kajecie. Stała odbiorczyni Bronka Dejna poprosiła mnie o inny przepis, a ja żartem zapytałam: – Ma być rymowany? – I tak kulinarne receptury ułożyły się w łatwe do zapamiętania wierszyki i trudniejsze wspomnienia. Zaczęłam je publikować w Internecie i kiedyś napisałam do mnie Selim Chazbijewicz, że fajnie się to czyta. Ot i powstawał pomysł książki. Kiedy 120 stron było gotowych, mąż oddał laptopa do naprawy, jakiegoś czyszczenia, ale obiecano mu, że żaden plik nie zginie. Niestety zginęła moja ciężka praca i nie sposób było ją odzyskać. Pewno gdzieś tam błąka się w chmurach, kiedy ja szukam zapisanych fragmentów i fragmen-

ików. Piszę od nowa. Będę krążyła między moimi rodzicielami, którzy kształtowali moją osobowość i własnymi doświadczeniami. Między Wejherowem, Wilnem, Gdańskiem i miastami, które odwiedziłam. Między trafioną w wielkim bałaganie pozostawioną przez przodków dokumentacją. Porządek i chronologia to moja słaba strona, więc wybacz Czytelniku chaos otaczający mnie, papierzyska i wspomnienie.

Węzeł nie tylko kolejowy

Siedzę nad cudzą przeszłością, cudzą nadzieją i tęsknotą, nad notesem dziadka Władysława, który wszystko skrupulatnie notował:

– Wykaz poborów miesiąc po miesiącu z poszczególnych lat i wydatków na dziecięce buciki, czapki, mundurki, przybory szkolne, czynsz, opał.

– Rozkład podróży do różnych miast w Polsce od 1920 do 1932 roku – Białystok, Aleksandrów, Poznań, Bydgoszcz, Warszawa, Częstochowa, Kraków, Katowice, Lwów, Słonim, Stanisławów.

– O poborach i wydatkach notatki od 1925 do 1941 roku. O podróżach aż do 1954, ale te późniejsze, powojenne dotyczą odwiedzin rodziny, sporadycznego zwiedzania różnych miast PRL-u. Oczywiście już nie pojawia się ani Grodno, ani Lwów, Stanisławów czy Słonim, który jest rodzinnym miastem mojego nieżyjącego teścia. Jego też już o nic nie zapytałam. Na kolejnych stronach „mieszkają” zmarli od 1923 do 1945 współpracownicy. Czy ktoś dzisiaj prowadzi takie zapiski? Policzyłam nazwiska tych zmarłych. 56 osób. Dwa razy pojawia się panięskie nazwisko mojej teściowej, która też pochodziła z kolejarskiej rodziny z Nowej Wilejki i po wojnie zamieszkała w Giżycku. Jeden z tych Wyszomirskich zmarł w 1937, drugi we wrześniu 1946. Coś mi się w tych dziadkowych zapiskach nie zgadza i postanawiam sobie, że muszę o tym pogadać z rodziną męża, bo ten rok 1946 niepełnie pasuje do tego, co wiem. Ale zapis jest wyraźny. Przypominam sobie pierwsze spotkanie w Giżycku z babcią męża, Franciszką Wyszomirską. Kiedy się jej przedstawiłam, usłyszałam:

– Ptak? Znałam takich tam za Bugiem. Mieszkali obok w Nowej Wilejce. Ona była chyba chora... Taka trochę szalona.

Ta informacja dotyczyła mojej babki Jadwigi, otoczonej rodzinną tajemnicą. Dzisiaj o jej chorobie, pobycie w szpitalach psychiatrycznych, wiem dużo więcej. Wtedy mówiono nam, potomnym, że babcia zachorowała po wkroczeniu Sowietów do Wilna. Żle reagowała na kolor czerwony i do dzisiaj na jej grobie nie sadi się ani nie kładzie czerwonych kwiatów i zniczy. Kiedy wróciłam do domu, zapytałam ojca o Wyszomirskich.

– Mieszkali z nami w budynku kolejowym w Nowej Wilejce, – usłyszałam – ale pewnego dnia ten Wyszomirski wypił nieco za dużo z Saszką i nie przestawił semafora. Pociąg się wykoleił, a Wyszomirskiego zwolniono z pracy i musiał się wyprowadzić. Pamiętam, jak taki grubas próbował wydostać się

przez okno pociągu. Nikomu na szczęście nic się nie stało.

- Babciu, dziadek doprowadził do wykolejenia się jakiegoś pociągu? – zapytał Jurek swoją babkę Franciszkę podczas naszej kolejnej wizyty w Giżycku.

- A było, było – odrzekła babcia z tym charakterystycznym wileńskim zaśpiewem, z tym „ślezykowaniem” jak ja to nazywałam, a którego mój ojciec polonista albo nigdy nie miał, albo się z czasem pozbył. Dzisiaj słysząc to u każdego Polaka, który przyjeżdża do nas z Wilna. Drążyłam wtedy również temat choroby mojej babci i tato odkrył rąbek rodzinnej tajemnicy. Dowiedziałam się z jakim strachem wyjeżdżali z Wilna, bojąc się kontroli w ich wagonie służbistów z czerwonymi gwiazdami. Bali się reakcji babci Jadwigi na czerwony kolor.

Lecę przez kilka pustych stron i znajduję trasę swego następnego wypadu do Wilna. *Miejsca zamieszkania z rodziną od 1910*. Trochę trzeba będzie się nagłowić, bo ulice dawno przemieniały nazwy, ale ciekawostką są nazwiska właścicieli wynajmowanych mieszkań, a czasami ich funkcje społeczne, ranga wojskowa, np. *Wilno, Legionowa, dom Mordesa /generał gubernator/* - tylko data nieczytelna. Na Tokarskiej, u Falkowskiego, na Pottawskiej u kogoś tam, ale przy Oszmianskiej znówu pojawia się rodowe nazwisko teściowej. Dalej nazwy wiosek, miast, których chyba już nie ma, ale niektóre jak: Rewel, Ryga, Toruń, Bydgoszcz... Od 1921 do 1945 Nowa Wilejka. A potem z dopiskiem na emigracji: *Łuczany /dzisiaj Giżycko/ i Wejherowo*. O tym, że w latach sześćdziesiątych ze swoją drugą żoną zamieszkał dziadek w Giżycku nie ma już nic, a ja pamiętałam adres, pod który pisywałam do dziadka i babci – macosi listy: Plac Dworcowy 7. Pewno wyjeżdżając z Wejherowa, zostawił najstarszemu synowi swoje wileńskie skarby, a wśród nich notes, który w tej chwili przeglądam. Jest w nim jeszcze tylko szczegółowy opis zmagania z chorobą psychiczną babci Jadwigi, tej od mojego drugiego imienia.

Ręcznie pisany Odpis świadectwa dojrzałości nie wiem do czego był tacie potrzebny, ale wyszukuję w Internecie nazwisk osób podpisanych pod nim. Władysława Wendorffa znajduje: matematyk, autor podręczników matematyki. Czy to ten sam? Stefan Stomiński? A. Kalinkiewiczówna? J. Wokulska Piotrowiczowa? Na bazie Koedukacyjnego Gimnazjum Św. Kazimierza w Nowej Wilejce powstała nowa szkoła polska im. Kraszewskiego. Muszę do nich napisać, pojechać, oddać pozostawione przez ojca dokumenty do szkolnego archiwum. No bo co mam z tym wszystkim począć?

23.03.1945 jak głosi kolejny dokument, ojciec przebywał w Białymstoku, a 25.04. tegoż roku otrzymał skierowanie do pracy w Samorządowym Gimnazjum w Legionowie. Chyba nigdy tam nie dotarł.

A teraz wracam do dna drewnianej szkatuły wyłożonej *Głosem Kolejowca nr 14*. Z którego roku fragment gazety, która posłużyła wygnaniom jako wyściółka? Mowa w tym numerze o wyborach związkowych, ordynacji wyborczej do sejmiku i senatu opartej na ustawie konstytucyjnej z dnia 23 marca 1935. Wnikliwiej przeczytałam później, a tymczasem sięgam po starusieńkie zdjęcie, na którym panowie – niby wojskowi? Leśnicy? Partyzanci? Opis ze strony odwrotnej głosi: *Zdjęto we wsi Serbinie /Jerbinie?/ Petersburskiej Guberni Głowskiego powiatu dnia 4 kwietnia 1916 roku*. Może ktośś z postaci to mój dziadek, pradiadek? Nie rozpoznaję. Pierwsza wojna światowa, a mój tato Czesław ma trzy lata i cztery miesiące. Tyle wiem. Dalej szczytki jakiegoś dokumentu

z urzędowymi pieczętkami, ale ja go nie odwzorzę. Nie tylko dlatego, że pisany po litewsku, ale zachowane fragmenty, to zbyt mało. Wydane przez Starostwo Wileńskie – Trockie w 1932 r. poświadczenie polskiego obywatelstwa Czesława Płaka, to kolejny dokument. Za pół roku tato skończy 20 lat. Odkrywane skarby próbuję umieścić w czasie, szczególnie w życiu ojca, bo w szkatułce nie są one poukładane chronologicznie. Tak więc kolejny pożółkły papier pochodzi z 11 listopada 1928 i świadczy o przyznaniu dziadkowi Władysławowi Medalu Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości. Za co? Pewno za robotę w związkach zawodowych. Tak się domyślam, przeglądając kartoniki *Delegat na Walny Zjazd... w Stanisławowie, Warszawie itd..* Ale po cholere na tę przymusową podróż w nieznane włókł ze sobą nieskończoną ilość biletów upoważniających do darmowych kolejowych przejazdów? Ciekawostką jest tylko zapis imienia i nazwiska: *Władysław Płak* czy *Władysław Płakas* – może jestem Płakaj? Bilety pozwalały podróżować tylko trzecią klasą. Zainteresowanie budzi ogromny sturublowy banknot z 1910 roku ze znakami wodnymi i portretem. Facet czy caryca? Nie wiem. Przydałby się jakiś numizmatyk. Najwięcej miejsca zajmuje podręcznik dla szkół średnich z 1930 *Literatura Polska Wieku XIX* Manfreda Kridla. Wiem, że autor był wykładowcą mojego taty w uniwersytecie, a ten podręcznik? Ojciec w momencie wydania książki ma 18 lat... Nie mam pojęcia w jakim wieku wtedy szli ludzie na studia. Być może sprawa się wyjaśni, kiedy sięgnę po dalsze skarby. Legitymacja? Dokument o nazwie *Nario Liudijimas*, w którym nie ma miejsca na zdjęcie? W każdym razie ten kartonik z 1940 informuje, że ojciec to: *Ceslavas Płakas*. Kolejne cacko: *Informator Kieszonkowy m. Wilna Na R. 1937/8* z planem miasta. I tak dowiaduję się, że trumna mogłabym sobie sprawić u pana Witolda Turło na Zawalnej, trwałą ondulację zrobić przy Wileńskiej 42, a po przystępnej cenie mogę kupić siodło przy Wileńskiej 23. Dowiaduję się, u kogo wyleźć oczy, uszy, serce itd., gdzie znajdują się wszelakie urzędy, szkoły niższe i wyższe i gdzie można wypożyczyć książki. Z rozkładu jazdy pociągów wynika, że niestety z Wilna do Gdańska bezpośrednio nie dojadę. Może przez Grodno, Suwałki, Białystok, Warszawę? No i ta mapa Wilna z ówczesnymi nazwami... Poselstwo Rzeczypospolitej w Kownie wydało ojcu zaświadczenie 15. stycznia 1940 roku, upoważniające do wyjazdu za granicę, stwierdzające również, że jest obywatelem polskim. Po co mu ono było w 1940 roku? Wiem, że do końca sierpnia 1939 odbywał praktykę nauczycielską w Swisłoczy – /dzisiejsza Białoruś/. Mam zdjęcia z tego okresu. Potem brał udział w kampanii wrześniowej, na którą po wielu nieporozumieniach i przygodach wyruszył z Grodna. Kiedy trafił w Estonii do niewoli niemieckiej i jak uciekł? Bo wiem, że trafił i wiem, że nawet. Uczył w kompletach w Wilnie i pracował w jakimś szpitalu w administracji, skąd wykradał sprzęt i medykamenty, zaopatrując przyjaciół z Armii Krajowej. W akcji Ostra Brama został ranny i wtedy młody chirurg, a później profesor medycyny w Gdańsku Zdzisław Kieturakis uratował jego nogę przed amputacją. Wojenne losy taty zostały częściowo przez niego spisane, a ja udostępniłam te zapiski gdańskiemu oddziałowi IPN. W Internecie wyczytałam, że ktoś tam powołuje się na relacje ojca w swej pracy doktorskiej.

W całej mojej wiedzy są wielkie luki, a dzisiaj już ojca o nic nie zapytam. Musiałby być ponad sto lat... - Wsiadaj na ten swój czołg i zapalaj odbijać siewom to swoje Wilno – brzmi mi w uszach jak wyrzut sumienia.

Ze skrupulatnie wyciętego fragmentu

„Gońca Codziennego” z 27 maja 1943 /czwartek/ poznaję Listę wileńian zamordowanych w Katyniu przez bolszewików – 21 nazwisk. Żadne znajome.

Teraz z czułością pieszczę brulion z rytmowanymi taty z 1930 i 31 roku. Poczucie humoru z jednej strony i kochliwość z drugiej. Ciekawe, kim były te pierwsze miłości czy pierwsza miłość dziewiętnastolatka... Trafiam na indeks z USB i poznaję nazwiska wykładowców: Kridl, Górski, Cywiński, Zdziechowski, Chomiński, Koschmider, Sałafewicz, Dunajówna, Turska, Elzenberg... Świadectwa z koedukacyjnego Gimnazjum Św. Kazimierza w Nowej Wilejce mówią, że tato do prymusów nie należał, zresztą nic nie wiem o ówczesnej skali ocen. Świadectwo dojrzałości jak i wcześniejsze są w doskonałym stanie. Będąc w Wilnie, muszę koniecznie poszukać w Kościele Wszystkich Świętych dokumentacji, bo z metryki chrztu ojca wynika, że tam otrzymał ten pierwszy sakrament 26.12.1912 r.

W 1937 roku Czesław Płak został wybrany prezesem Koła Polonistów w swym uniwersytecie, o czym informuje odrębne sprawozdanie z Walnego Zebrania Sprawozdawczo - Wyborczego kierowane do Jego Manificencji Pana Rektora... Tymczasowe świadectwo tożsamości wydane 9.11.1939 w Nowej Wilejce, ale z adnotacją, że pod podanym adresem przy Alei Lipowej Czesław Płak nie jest zameldowany. Z tego samego roku pochodzi inny dowód tożsamości wydany na nazwisko Pakulnis. Szukam w Internecie i dowiaduję się, że właściciel zginął w 1940 roku w Katyniu. Zastanawiam się, czy mógł mieć coś wspólnego z Marią Pakulnis – aktorką. Szukam na facebook'u i piszę list, że jestem w posiadaniu dowodu osobistego Henryka..., urodzonego w 1913.... Po jakimś czasie mam telefon, że owszem, że to stryjek. Wysłałam dokument rodzinie. Sierżant Józef Formela wydał tacie 23.10.1945 r. zaświadczenie potwierdzające, że został ojciec okradziony i pozbawiony starego wileńskiego dowodu osobistego, legitymacji nauczycielskiej z 1938 roku i nowszej wystawionej przez gdańskie kuratorium w 1945 roku, zaświadczenia repatriacyjnego i dwóch kartek żywnościowych – swojej i brata Edmunda. Życiorys Czesława Płaka zamieszkałego przy Hallera 12 w Wejherowie ledwo trzyma się pożółkłej kartki. W tym samym domu zamieszkałam w grudniu 1952, ale było to już przy ulicy Generała Świerczewskiego. Kiedy zmieniono nazwę? I tak cała wejherowska rodzina powiadała:

- Idziemy do cioci Szolci na Hallera.

Dzisiaj ulica wróciła do swej starej nazwy.

Życiorys nosi datę 1.10.1946. Przytoczę go, chociaż nie zawiera elementów,

o których wcześniej niebezpiecznie było wspominać. W jego dowodzie osobistym zapisano, że urodził się w 1912 roku w ZSRR. Czyli przyszedł na świat w kraju, który jeszcze nie istniał.

Urodziłem się dn. 17 XII 1912 r. w Wilnie. W roku 1932 ukończyłem gimnazjum w Nowej Wilejce i bezpośrednio po otrzymaniu świadectwa dojrzałości odbyłem służbę wojskową w Szkole Podchorążych Piechoty w Różanie nad Narwią. W 1933 wstąpiłem na wydział humanistyczny Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Po skończeniu studiów objąłem stanowisko nauczyciela języka polskiego i historii w Gimnazjum i Liceum Państwowym w Swisłoczy. Po wybuchu wojny powołany zostałem do szeregu Armii Polskiej. Odbyłem kampanię wrześniową, a po klęsce udało mi się wrócić do Wilna. Do roku 1940 pracowałem dorywczo jako robotnik. Do września 1940, to jest po zajęciu Wilna przez Armię Czerwoną, zostałem powołany

na stanowisko nauczyciela języka polskiego w XI Gimnazjum Polskim w Wilnie. Tam mnie zastał wybuch wojny sowiecko-niemieckiej. W czasie okupacji niemieckiej musiałem opuścić Wilno i udać się do Krasnego nad Uszą, gdzie pracowałem jako buchalter w terpenyjniarni. W 1943 wróciłem do Wilna, skąd zostałem wywieziony na roboty do Estonii. Po dwóch miesiącach uciekłem z powrotem do Wilna, gdzie ukrywałem się aż do chwili wkroczenia armii sowieckiej. Na początku 1945/46 pracowałem w gimnazjum w Wejherowie. Niezwykle ciężkie warunki materialne zmuszają mnie do zmiany pracy.

Ani słowa o AK, akcji Ostra Brama, w której ojciec został ranny. Przyczyny przemilczeń jasne, ale zanim tata przyjechał do Wejherowa, krótko uczył w szkole w Białej Podlaskiej. Trafiło na moje ręce jakieś szkolne jubileuszowe wydawnictwo, gdzie wymieniony został w 1945 jako polonista. Dlaczego przemilczał to w życiorysie z 1946? Akademicki dokument z uniwersytetu z Torunia z 1947 roku, to pismo z czasów, kiedy ojciec robił magisterkę u Konrada Górskiego. Jego praca dyplomowa dotyczyła wczesnych pozytywistycznych utworów Wacława Berenta, ale jej tematu nie znam. Pewno też znajdzie się w innej sterce pozostawionych przez tatę papierzyśk.

Tymczasem trafiaam na przepustkę wydaną w sierpniu 1957 - rok po wydarzeniach czerwcowych 1956. Dokument upoważnia redaktora „Słowa Powszechnego” Czesława Ptaka do wstępu na teren portu w Gdyni. Te zainteresowania taty marynistyką, udział w jakiś dalekich rejsach również powinnam poznać. Kiedy był kustoszem w Muzeum Marynarki Wojennej? Podobno odegrał swoją rolę w powstawaniu tego muzeum. Oto, co udało mi się znaleźć na ten temat w Internecie.

Pierwszą siedzibą Muzeum MW była przedwojenna willa znajdująca się przy gdyńskiej plaży, w której ulokowano wspomnianą ekspozycję, a na przyległym do niej terenie o powierzchni 2000 m ustawiono ciężkie elementy uzbrojenia i wyposażenia okrętowego. Żmudną, pionierską pracę nad utrzymaniem i rozbudową prezentowanej ekspozycji podjęli w tamtych latach pierwszy kierownik Muzeum por. Jerzy OSTASZEWSKI oraz kustosz muzeum mgr Czesław PTAK.

Ostatnio wicedyrektorka Nadbałtyckiego Centrum Kultury, zbierając materiały na jakiś kolejny jubileusz, trafiła na nazwisko Czesława Ptaka, który w latach pięćdziesiątych wygłaszał tam referaty dotyczące marynistyki. Wcześniej profesor Andrzej Zbiński gratulował mi tak wspamiętania ojca. A co ja o swoim ojcu wiedziałam? Zanudzał nas wspomnieniami z Wilna, które często koloryzował.

Zawsze był aktywny społecznie, miał swoje pasje, a i poglądom był wierny jak rzadko kto w tamtych czasach, nie bacząc nawet na dobro rodziny. Dobro? W tym sęk, jak to dobro określić. Muszę przyznać, że nie pamiętam niedostatku, głodu. Nie pamiętam też zbytku. Ratowały nas paczki ze Szwecji, gdzie osiadł brat mamy, który w 1946 uciekł z Polski, jak głosi przekaz rodzinny. Matka miała do niego żal z powodu zmiany nazwiska z Gelaszewski na Gelbrink / miało brzmieć bardziej po skandynawsku, bo to polskie brzmienie przeszkadzało ponoć w robieniu kariery/. Żadnej kariery ten więzień Stutthofu, uczestnik Marszu Śmierci na obczyźnie nie zrobił, a po jego zgonie straciliśmy kontakt z ciotką pochodzącą ze Złotowa i córką, której rodzice nie nauczyli polskiej mowy. Znajduję stare listy wujka do mojego taty i próbuję odpowiedzieć sobie na pytania dotyczące trudnych rodzinnych stosunków. Kiedyś nagle wujek Kazik poprosił nas, abyśmy przysyłali listy nie na adres domowy, a na

adres firmy, w której pracował. Rzadsze były też paczki i łakocie. Wiele lat później poznałam przyczynę zmiany sytuacji. „Nabroił” mój smarkaty brat, który w czasie wizyty u wuja odkrył dokument jego żony informujący, że jest ona niemieckiej narodowości. Ponieważ nie udało mu się nawiązać z ciotką Elżbietą sympatycznych stosunków, opisał ją niezbyt pochlebnie w liście do swojej dziewczyny, w tym czasie spędzającej wakacje w Bułgarii. List nie dotarł na czas i wrócił na adres nadawcy. Ja cudzych listów nie otwieram, więc wolna jestem od takich problemów. W każdym razie od tego momentu wuj utrzymywał z nami stosunki konspiracyjne i ukrywał je przed żoną, ale na stare lata wracał i wracał do swoich rodzinnych stron i wspomnień. Na korcie tenisowym w Wejherowie zaistniał nawet w turnieju starszków, o czym wiele lat temu usłyszałam w radiu gdańskim, jadąc samochodem. Znowu na chwilę nazywał się Gelaszewski. Nie czułam do niego sympatii mimo tych lakierów z dzieciństwa i pięknych lalek przychodzących w paczkach ze Szwecji. Obiecał, że kiedyś opowie mi swoją historię, która musiała być barwną i burzliwą. Nie zdążył. Już wiem, że działał w „Gryfie Pomorskim”. Brat udział w kampanii wrześniowej i trafił do niewoli, ale potraktowano go jako „eingedeutscht”. Opowiedział się za nim niemiecka część rodziny. Wiem, że z niewoli wydobył go kuzyn Karol, obiecując, że Kazimierz zgłosi się po niemieckie papiery. Nie uczynił tego i po powrocie do Wejherowa najpierw pracował na kolei, a potem jako pomocnik malarski u Willega Zernikowa. W miejskim ratuszu Scholastykę – moją mamę - ciągle wypytywano o brata Kazimierza i o to, kiedy odbierze on swe dokumenty. W listopadzie 1944 nad ranem /3.30/ wkroczył do Gelaszewskich folksdojcz Glock /malarz z ulicy Puckiej/ i aresztował Kazimierza, nie pozwalając mu nawet stosownie się ubrać. Wuj trafił do obozu przejściowego w Kokoszkach. Ale jak potem trafił do obozu w Stutthofie? „Marsz śmierci”, kościół w Łuzinie, gdzie dotarła moja mama zimą na rowerze, aby dostarczyć bratu odzież, żywność. To są znane mi fakty. Na jakim etapie rozpuszczono jeńców i jak to wyglądało? Kto mi dzisiaj opowie? Na zdjęciach w Internecie mogę obejrzeć skromny domek w Malmo, w którym mieszkał z ciotką Elżbietą i z moją kuzynką Astrid. Co w czasie wojny robiła ta dziwna ciotka ze Złotowa, uważająca się za Niemkę, która chętnie utrzymywała kontakty z niemieckimi krewnymi mamy, a z nami nie? Nazwisko „Gelaszewski” nie przetrwało również dlatego, że najmłodszy z matczynych braci Franciszek, przymusowo wcielony do Wehrmachtu, z którego uciekł do Wojska Polskiego, na stałe osiadł po wojnie w Anglii i był bezdzietny. Z zażenowaniem swego czasu wystuchaliśmy informacji Jarosława Kurskiego o Tuszkowym dziadku z tej niemieckiej formacji. Z jednej strony wstyd, że Kurski historyk nie zna wojennych losów mieszkańców Pomorza, z drugiej wstyd, że historyka Donalda Tuska zaskoczyła wieść o losach własnych przodków. W każdym razie ja jestem świadoma, co niemieccy krewni mamy robili w czasie drugiej wojny światowej i nie mam zamiaru ani ich bronić, ani wstydić się za nich. Za młodu reagowałam dosyć agresywnie na paczki przychodzące z RFN-u.

- Jak ci nie wstyd przyjmować pomoc od nich? – pytałam mamę.

Długo mogłabym opowiadać o tej glebie niemiecko – gdańsko – wileńskiej, na której budowałam swój obecny światopogląd.

Trafiam na kolejną wersję ojcowskiego życiorysu i rozpoznaję pismo ojca, który za zwyczaj posługiwał się tzw. wiecznym piórem. W szufladzie starego wielkiego biurka, na którym stoi dzisiaj mój laptop, zawsze był

pojemnik z zielonym atramentem. Pismo, które wyciągnęłam ze szpargałów pisane jest jednak czernią i nie zostało opatrzone żadną datą.

Życiorys. Czesław Ptak, syn Władysława, pracownika kolejowego i Jadwigi z Wiercińskich Ptakowej urodził się 17 XII 1912 r. w Wilnie...

Ten życiorys od poprzedniego jednak trochę się różni, bo mowa w nim o działalności konspiracyjnej, Armii Krajowej, częstych aresztowaniach i ranie z 1944, o zwolnieniu z pracy w szkolnictwie morskim w 1952 /właśnie przychodziłam na świat/ i trudnościach z zatrudnieniem, działalności w Towarzystwie Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku i pracy w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, o działalności publicystycznej i naukowej. Kolejne świadectwo dotyczące ukończenia klasy siódmej z Koedukacyjnego Gimnazjum św. Kazimierza ocenami nie imponuje, ale trzeba przyznać, że nigdy nie prawilił swym dzieciom peanów na честь własnych szkolnych sukcesów. W piśmie odręcznym z nieczytelnymi podpisami nadawców z 18.06.1949 kierowanym do Oddziału Osobowego /?/ zażądano kategorycznie ze względu na dobro służby przeniesienia Czesława Ptaka do pracy w innym szkolnictwie poza szkolnictwem dla dorosłych.

Czułość wzbudził we mnie oryginał mego autorstwa wiersza pisanego w pierwszych dniach stanu wojennego. Bardzo długo poszukiwałam tego maszynopisu podpisanego pseudonimem Jadwiga Orłowska, który rozwieszałam chyłkiem na gdańskiej Morenie w grudniu 1981 roku. A tu masz, tata pieczętowiec przechowywał oryginał w teczce, którą zatytułował Delikatesy, w towarzystwie swoich cennych dokumentów. Jadwiga to moje drugie imię, ale Jadwiga Orłowska to babka mojego pierwszego męża, którą szczególnie szanowałam i ceniłam. Chcąc jakoś uwiecznić tę szlachetną szlachciankę, użyłam jej danych jako pseudonimu. Historia tej nadzwyczajnej kobiety zasługuje na pamięć potomnych. Mam nadzieję, że wnuk Krzysztof Kasprzyk, autor strajkowej Piosenki dla córki, kiedyś się zmobilizuje i opíše dzieje rodziny swej matki Ireny, o której niepełne informacje posiada Muzeum Powstania Warszawskiego w stolicy. Ja już wiem, jakie pseudonimy nosiła /Wera. Rossa/, że miała stopień strzelca i była w niewoli w Quakenbrück, gdzie poślubiła po wyzwoleniu jeńców mojego teścia Franciszka Kasprzyka, który był w RAF-ie i we wrześniu 1946 urodziła syna Krzysztofa. Niestety nie miałam okazji jej poznać, bo zmarła wcześniej i nie znam okoliczności, w jakich teściowie wrócili do kraju w 1949 roku.

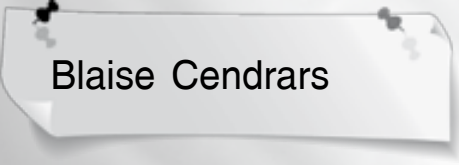
BOŻENA PTAK

Ciasto Joli

Jola Kmiecik w moim życiu pojawiła się na chwilę, żyła sobie po sąsiedztku, jednak ważną dla mnie była.

Połączyły nas poglądy, jej zesłanie do Gołdapi...

Dzisiaj, piekąc Joli ciasto, myślę o niej jak najlepiej. Przepis trochę po swojemu, ale źródło jest od Joli, więc ubijam aż trzy żółtka


 Blaise Cendrars

 Przekład i opracowanie
Kazimierz Brakoniecki

Z wierszy elastycznych

1, Gazeta

Chrystusie
 Oto ponad rok jak nie myślałem o Tobie
 Odkąd napisałem przedostatni mój poemat „Wielkanoc”
 Moje życie bardzo się zmieniło od tamtego czasu
 Chociaż zawsze jestem taki sam
 Chciałem nawet zostać malarzem
 Oto namalowane przeze mnie obrazy tego wieczoru wiszą na ścianie
 Otwierając we mnie dziwne widoki na mnie samego które każą mi
 myśleć o Tobie.

Chrystusie
 Życie
 Oto co przekopałem
 Moje obrazy mnie bołą
 Jestem zbyt uczuciowy
 Wszystko jest pomarańczowe.

Przez cały smutny dzień myślałem o przyjaciółach
 I czytałem gazetę
 Chrystusie
 Życie ukrzyżowane w gazecie szeroko otwartej którą trzymam w rozłożonych
 rękach
 Rozpostarte skrzydła
 Race
 Wybuchy
 Krzyki
 Jakby samolot się walił
 Oto cały ja.

Pasja
 Ogień
 Powieść w odcinkach
 Gazeta
 Nadaremno nie chcesz mówić o sobie
 Czasami trzeba krzyczeć.

Jestem kimś innym
 Zbyt wrażliwym.

SIERPIEŃ 1913

2. Wieża

1910

Castellamare

Jadłem pomarańczę w cieniu drzewa pomarańczowego

Kiedy nagle...

To nie był wybuch Wezuwiusza

To nie była chmara szarańczy jedna z dziesięciu plag
egipskich

Ani Pompeje

To nie były ryki zmartwychwstałych potężnych mastodontów

Ani Trąba Ostateczna

Ani ropucha Pierre'a Brisseta

Kiedy nagle

Ognie

Wstrząsy

Skoki

Iskry symultanicznych horyzontów

Mój penis.

O wieżo Eiffla!

To nie ja ubrałem cię w złoto

To nie ja kazałem ci tańczyć na kryształowej posadzce

To nie ja ofiarowałem cię Pytonowi jak kartagińską dziewicę

To nie ja włożyłem na ciebie grecką szatę peplum

To nie ja kazałem ci błdzić pomiędzy menhirami

To nie ja nazwałem cię Gałązką Dawida ani Drzewem Krzyża

Lignum Crucis

O wieżo Eiffla

Wielki sztuczny ogień wystawy światowej!

Nad Gangesem

W Benares

Pomiędzy wiedźmami onanistami ze świątyń hinduskich

Ponad barwnymi okrzykami plebsu Wschodu

Pochylasz się urodziwa Palmo!

To ty w legendarnych czasach Hebrajczyków

Pomieszałaś ludzkie języki

O wieżo Babel!

I tysiąc lat potem to ty opadłaś ognistymi płomykami

na głowy Apostołów zgromadzonych w twoim kościele

Na otwartym morzu jesteś masztem

A na biegunie północnym

Łńisz swoim telegrafem bez drutu w majestacie

północnej zorzy

W eukaliptusy wplatają się liany

Kiedy ty stara kłodo płyniesz Missisipi

I

Rozwierasz pysk

To kajman chwytą udo Murzyna

W Europie jesteś jak szubienica

(Chciałbym być wieżą wisieć na wieży Eiffla!)

I kiedy słońce zachodzi za tobą

Głowa Bonnota stacza się spod gilotyny

To ty w sercu Afryki gonisz

Żyrafę

Strusia

Boa

Równik

Monsuny

W Australii zawsze byłaś tabu

Jesteś bosakiem którego kapitan Cook używał aby sterować
statkiem awanturników

O niebiańska sondo!

Dla symultanisty Delaunay'a któremu dedykuję ten wiersz

Jesteś pędzlem zanurzonym w świetle

Gong tam-tam zanzibar zwierzę w dżungli promienie X ekspres

lancet symfonia

Jesteś wszystkim

Wieżą

Antycznym Bogiem

Nowym zwierzęciem

Słonecznym widmem

Tematem mojego wiersza

Wieżą

Wieżą świata

Wieżą w ruchu.

SIERPIEŃ 1913



3. Kontrasty

Okna mojej poezji są szeroko otwarte na
 Bulwary a w jej witrynach
 Błyszczą
 Klejnoty światła
 Posłuchaj skrzypiec limuzyn i ksylofonów
 linotypów
 Dekorator wyciera się ręcznikiem nieba
 Wszystko jest kolorową plamą
 A kapelusze przechodzących kobiet to komety
 w pożarze wieczoru.

Jedność
 Nie ma już jedności
 Wszystkie zegary pokazują teraz 24 godzinę
 chociaż spóźniały się o dziesięć minut
 Nie ma już więcej czasu
 Nie ma już więcej pieniędzy
 W Pokoju
 Marnują się cudowne pierwiastki pierwszej materii.

W bistro
 Robotnicy w niebieskich bluzach piją czerwone wino
 Co sobota dziwka
 Gry
 Zakłady
 Od czasu do czasu przejedzie autem bandyta
 Albo dziecko pobawi się Łukiem Triumfalnym...
 Radzę panu Cochon umieścić swoich protegowanych na wieży Eiffla.

Dzisiaj
 Zmiana właściciela
 Drobnymi sklepikarzami sprzedają detalicznie Ducha świętego
 Z zachwytem czytam tapety
 I tulipany
 Pozostały jeszcze chropowate kamienie Sorbony które nigdy
 nie zakwitły
 Szyld Samaritaine orze Sekwanę
 A od strony Saint – Séverin
 Słyszę
 Wściekłe dzwonki tramwajów.

Pada deszcz elektrycznych globulek
 Montrouge Gare de l'Est Metro Nord - Sud bateaux-mouches
 świat
 Wszystko jest aureolą
 Głębią
 Ulica de Buci krzyki gazeciarzy „L’Intransigeant” i „Paris-Sports”
 Rozpalony aerodrom nieba jest teraz obrazem
 Cimabuego
 Kiedy z przodu
 Ludzie są
 Dłudzy
 Czarni
 Smutni
 A kominy fabryki dymią.

PAŹDZIERNIK 1913

Maria Jolanta Fraszewska

KALEJDOSKOP PRZEŻYĆ ŁĄCZĄCYCH ŻYCIE I ŚMIERĆ W JEDNĄ SYZYFOWĄ KULĘ KALEJDOSKOP PRZEŻYĆ AŻ DO KOŃCA ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ ANNE SEXTON (CZĘŚĆ PIERWSZA)

Z jakiegoś powodu kocham wiarę, ale jej nie mam. Dziewczyna z mojej sztuki (która w końcu jest mną) mówi, po tym jak została wyleczona ze swoich wizji: „Wiara w to jest jak sięganie w niebo i dotykanie przewodu pod napięciem.

Gromadzę książki. To ludzie, którzy nie odchodzą. Anne Sexton¹

Poeta ignorancji

Być może ziemia płynie,
nie wiem.

Być może gwiazdy to małe papierowe strzępki
wycięte przez jakieś gigantyczne nożyczki,
nie wiem.

Być może księżyc jest zamrożoną łzą,
nie wiem.

Być może Bóg jest tylko głębokim głosem
słyszonym przez głuchych,
nie wiem.

Być może jestem nikim.

To prawda, mam ciało
i nie potrafię od niego uciec.

Chciałabym ulecieć z mojej głowy,
lecz to wykluczone.

Na tabliczce przeznaczenia napisano,
że będę wklejona tutaj, w ten ludzki kształt.
Traktując to jako szczególnie przypadek,
chciałabym zwrócić uwagę na mój problem.

Wewnątrz mnie jest zwierzę
co mocno wczepia się w moje serce,
ogromny krab.

Bostońscy lekarze
rozłożyli ręce.

Próbowali skalpeli,
igieł, trujących gazów i tak dalej.

Krab trwa dalej
To wielki ciężar.

Staram się o nim zapomnieć,
zająć swoimi sprawami,
gotować brokuły, otwierać i zamykać książki,
myć zęby i sznurować buty.

Próbowалам modlitwy,
lecz gdy się modlę, krab trzyma mocniej
i ból rośnie.

Miałam kiedyś sen,

być może to był sen,

że ten krab to moja nieznajomość Boga.

Lecz kimże jestem, by wierzyć w sny?²

Długo się zastanawiałam, od którego wiersza Anne Sexton rozpocząć esej. Przeczytałam ponownie tomik: „Kochając zabójcę”, jedyny jaki wyszedł w Polsce, i nadal nie wiem, choć wyboru dokonałam.

Być może gwiazdy to małe papierowe strzępki. Być może, ja tego też nie wiem. A powodem nie jest to, że jestem kobietą. I czuję się nią. Być może zaczynam zmieniać perspektywę patrzenia na los ludzki od strony wnętrza ludzkiej całości. Choć i to w mej głowie brzmi enigmatycznie. Być może z człowiekiem jest tak jak z rzeźbą, którą się poszukuje w kamieniu, drzewie, piasku, powietrzu. Albo się widzi całość i odrzuca to co zewnętrzne, aby dotrzeć do sedna, do rzeźby, do istoty wnętrza. Albo się dokleja, dokomponowuje do tego co już jest, traktując to co jest, jako wersję środka i podstawy. Ludzie ludziom wciąż szykują jakiś los. *Próbowалам modlitwy, lecz gdy się modlę, krab trzyma mocniej i ból rośnie.* A przecież ludzie od początku swego istnienia szukają poczucia bezpieczeństwa, jedzenia i snu. Poszerzając swoje mózgi rozbudzają taknienie. Rodzą się z emocjonalnością. Bo człowiek to taki właśnie stwór. *Bostońscy lekarze rozłożyli ręce. Próbowali skalpeli, igieł, trujących gazów i tak dalej. Krab trwa dalej. To wielki ciężar.*

Nasze życie się wydłuża, chcemy żyć jak najdłużej w najlepszym zdrowiu. Ale po co? Czy to już sprawa indywidualna? Zrób ze swoim życiem... co zechcesz? W dzisiejszych czasach popularne jest hasło: „Bądź sobą!”, jednak bez wyjaśnienia jak zostać sobą, ze sobą, być sobą. Bo najpierw należałoby ustalić: co to jest owo: JA? Oglądając współcześnie i historycznie owo JA, dostrzegamy zmiany, ale też dostrzegamy stałe elementy powtarzalności. *Na tabliczce przeznaczenia napisano, że będę wklejona tutaj, w ten ludzki kształt. Traktując to jako szczególnie przypadek, chciałabym zwrócić uwagę na mój problem.*

To nasz ludzki problem, w pełni spoteczny. „To” równa się „krab”. Miłość i śmierć. Życie i jego wartość. Z filozoficznych dokonań Arystotelesa również wybieramy te, które pasują nam dziś. Owo „rzeźbienie” jako wzór. Ale przecież nie uważamy, że jedni ludzie rodzą się niewolnikami, a drudzy panami? Że: „kobieta to gorsza wersja mężczyzny”, tak twierdził przecież Arystoteles,

jak wynika ze źródeł.

W naszym środowisku – nie, ale w innym? Dawniej nie istniał przyrząd do obrazowania mózgu fMRI, wtedy rządziło wyobrażenie własne i/lub uznany filozoficzny autorytet. Teraz autorytety się rozmnożyły pomniejszając do rozmiarów masowości. Kropla przecież nie powiększy oceanu. A jeśli prawdziwy autorytet się pojawi, to traktowany jest jak „kukułcze jajo”. Podrutek. Czym więc jest emocja w naszym świecie? Dlaczego na półkach bibliotecznych można wyodrębnić dział z napisem: „literatura kobieca”, ale nie znajdziemy „literatury męskiej”? Czyżby człowiek urodził się już podzielony?

Ręce

Z morza wyszła ręka
nieświadoma niczym mały grosik,
zmalretowana solą narodzenia,
niema ciszą ryb,
szybka falą przypływu
i Bóg otworzył swoje usta
i nazwał ją mężczyzną.
Wyszła następna ręka
i Bóg nazwał ją kobietą.
Ręce zaklaskały.
I nie było to grzechem.
I było to tak, jak powinno być.³

Nie wiem wciąż, ponieważ każdy z wierszy opowiada i zawiera choćby fragment, tego co znajduje się w kolejnych. Tworzą jakąś emocjonalną całość. Składają się na opowieść, której bohaterem są przeżycia emocjonalne pobudzone refleksjami i pojawiającymi się, czasem i nuchalnymi, myślami, wobec jej ówczesnego bieżącego życia. Jakby stanowiły emocjonalny dziennik, taki który zawiera opis życia biograficznego emocji. Bowiem to emocja jest główną bohaterką opowieści noszącej tytuł: „Anne Sexton”. Człowiek widziany od wewnątrz. Kobieta z ciałem kobiety, z emocjonalnością kobiety, z duszą kobiety. Z aspiracjami i twórczością kobiety. To prawda, mam ciało i nie potrafię od niego uciec. Chciałabym ulecieć z mojej głowy, lecz to wykluczone.

Gdybyśmy mogli uczucia wyodrębnić z człowieka, czego się oczywiście nie da zrobić, jednak w wyobraźni przedstawić już można, to powstała impresja stworzyłaby być może nowe ciało balansujące na kuli życia. Obraz emocjonalny żyje równocześnie w drugim człowieku, tym, który go odbie-

³ Fragment wiersza *Ręce*, tłum. J. Joachimiak, w: Zbigniew Joachimiak, *Pułapka*, Wydawnictwo morskie, Gdańsk 1989r

¹ Lucyna Aleksandrowicz - Pędich „Między Freudem a Bogiem” Życie i twórczość Anne Sexton, Wydawnictwo Naukowe Katedra 2020

² Anne Sexton, „Poeta ignorancji”, z tomiku: „Kochając zabójcę”, Zysk i S-ka P-ń, 1994)

→ **ESEJ** ra, odczytuje i gromadzi w sobie bez słów. Ponieważ uczucia są pierwotne wobec myśli. Myśli są stwarzane podczas syntezy słów w umyśle. Każdy człowiek na swój sposób nazywa emocje i słowa te stają się jego drogą do budowania zdań, myśli i przeżyć. Rozumowania i wnioskowania. Projektowania, marzenia, wyobrażania sobie, odczytywania siebie, kreatywności i twórczości.

Miałam kiedyś sen, być może to był sen, że ten krab to moja nieznajomość Boga. Lecz kimże jestem, by wierzyć w sny?

Być może niewiele wiem w całym rozmiarze ogromności kosmosu. Czy da się „rzeźbić” w powietrzu? Co wyrzeźbiły obłoki i chmury? Kolor błękitny od zawsze zdawał się obłożony tajemniczym sukniem. Co rzeźbił baletnicy? Być może ziemia płynie.

A u Anne, wszystko to co emocjonalne, ona obejmuje słowami obręczy artyzmu poetyckiego. Słowa emocji tworzą wizerunki szkielek w kalejdoskopie, które obracając się i łącząc budują na chwilę olśniewający świat, a jego kształt w oka mgnieniu rozsypuje się. Rozbite piękno pozostawia ból w wyobraźni i pragnienie, żeby jeszcze i jeszcze trwać w tej magicznej strukturze.

Jako dziecko uwielbiałam magię tych wizerunków, których nie dało się zatrzymać. Każdy ruch powodował przelewanie się odcieni barw i kolorów w malownicze i tajemnicze, fascynujące i niedostępne światy. Aż któregoś dnia kalejdoskop wypadł mi z rąk i rozbił się. I wówczas tajemnica okazała się nie tylko krucha, ale też całkowicie zwyczajna. Na podłodze ujrzałam zaledwie kilka drobnych szkielek.

W powyższym rozpoczynającym wierszu jest wszystko, jest całość, z tego też powodu wybrałam go na wstęp, początek i zakończenie opowieści życia. A co mnie zaskakuje i oszałamia osobiście, podczas zbliżenia emocjonalnego do twórczości Anne Sexton, to odkrycie, poważna myśl, że Anne żyła podążając drogą do odzyskania świadomości sensu jej życia, bo jednocześnie w momencie narodzin jej wewnętrznego świata będącego nią, była to świadomość nieuniknionej przedwczesnej śmierci. Zmagania z ostatecznością. Do niej żyjąc przybliżała się Anne. Do podjęcia decyzji, aby zdążyć przed opatrnością losu. Zrobiła to osławiając wewnętrznego kraba, który okazał się silniejszy w jej życiowym mocowaniu się samej ze sobą.

Anne Sexton popełniła samobójstwo 4 października 1974 w wieku 46 lat, zamykając się w samochodzie i uruchamiając go, otruta się ulatującymi gazami. Przedtem pisała w wierszach po wielokroć o śmierci, o sposobach targnięcia się na swoje życie. Jakby oswajała śmierć w sobie, pozbawiała siły ogarniającego strachu na samą myśl o zakończeniu życia. Jakby konała po wielokroć i zatrzymywała się przed samym krańcem, wracała. Gdy dojrzała do ściany bez drzwi próbowała jeszcze poszukać bramy do niebios. Dlaczego ludzie nie wierzą poetom, słowom zawartych w ich wierszach? 27 września 1974r Anne napisała ostatni wiersz.

List miłosny pisany w płonącym budynku (fragm)

Pomimo azbestowych rękawiczek kaszel wypełnia mnie czernią, a z żył sypie się rdzawy proch, nasza mała skrzynia zapada się tak jawnie i bezwiednie, widzisz, oznacza jednoosobowy spektakl, całopalenie miłości.

„Chciałabym zwrócić uwagę na mój problem”

„Anne miała również niezwykłą fascynację śmiercią, i wydawało się, że wykorzystywała niektóre epizody transowe, by „odgrywać” umieranie — co być może pomagało jej powstrzymać się od samobójstwa. Jednak gdy jej relacje z bliskimi osobami słabły, a śmierć wydawała się atrakcyjna, zawsze istniało ryzyko, że zamiast odgrywać rolę, zdecyduje się na rzeczywisty akt.”⁴

Poezja Anne Sexton wczepia się we mnie jak „krab”, od samego początku do samego nieskończenia. Nie potrafię też odpowiedzieć na pytanie, które zadaje sobie od pierwszego momentu spotkania z poezją Anne Sexton, a było to na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku: dlaczego aż tak bardzo przeniknęła do mojego wnętrza?

Nie wiem. Albo wiedzę tę odsuwam jak najdalej, po to, aby nie wiedzieć i pozostać w świecie poezji.

Być może nigdy nie przestanę szukać odpowiedzi, a być może zgadzam się, że: Być może książeczka jest zamarniętą łzą.

Być może zauważyłam ogrom bezradności Anne wobec decyzji, którą już podjęła i z nią żyła. Krążąc w sobie objęta obłędem krębowiska syczących myśli. To były jej żyty, więc żyła. Wtulała się w nie bezwiednie.

*Wewnątrz mnie jest zwierzę
co mocno wczepia się w moje serce,
ogromny krab.*

Nowotwór serca

Być może to ona pomaga mi zrozumieć, że ucieczka od siebie jest abstrakcją powiększania się i rozwoju? Być może jest odwrotnie. Z pewnością jest, gdy potrafimy wieść siebie w przyszłość. Być może nauka musiała dużo przejść, aby zrozumieć, że nie tędy droga? Że ludzie są „bogami” dla samych siebie? Zarządcami. Akceptacja związana jest przede wszystkim ze zrozumieniem. To nie musi być całkowite zrozumienie, ale ze znalezieniem możliwych odpowiedzi, które usatysfakcjonują choćby początkowo na kalejdoskopową chwilę. Bo jeśli pojawi się tuż nadziei, to z kropli urośnie łza, którą rankiem znacznie ogrzewać słońce.

Jak doczekać do brzasku?

Kąpiel nago

Na południowo-zachodnim brzegu Capri znaleźliśmy małą nie zbadaną grotę, gdzie nie dotarli ludzie, i weszliśmy w nią całkowicie, pozwalając, by nasze ciała straciły całą swą samotność.⁵

Albo może:

Odwaga

Widoczna jest w małych rzeczach.

W straszliwym trzęsieniu ziemi

pierwszego kroku dziecka.

W zataczaniu się chodnika

przejażdżki rowerem.

W łaniu jakie otrzymaliśmy

po pierwszej samotnej podróży serca;

Kiedy przezywali cię mazgajem

⁴ Eugene Garfield Data: 16 marca 1992 **Źródło:** Institute for Scientific Information, Filadelfia, fragmentu eseju dr. Martina T. Orne’a z biografii Anne Sexton autorstwa Diane Middlebrook, dotyczącego jej problemów z pamięcią i terapii

⁵ Anne Sexton, fragm wiersza „Kąpiel nago”, Kochając zabójcę, Zysk i S-ka, 1994

albo biedakiem albo grubasem albo wariatem

i wpędzali cię w obcość

- piłeś ten kwas

i ukrywałeś to.⁶

A może... tu znajdziesz odpowiedź?:

Tamten dzień

To jest biurko, przy którym siedzę,

i to jest biurko, przy którym

za bardzo cię kocham,

i to jest maszyna do pisania,

która siedzi przy mnie,

tu, gdzie wczoraj siedziało

przy mnie twoje ciało,

(...)

z twoim językiem — oboje zwiłaliśmy

się w jego śliskim życiu.

To było wczoraj, tamtego dnia.

(...)

To był dzień twojej twarzy,

twojej twarzy zmęczonej miłością,

blisko poduszki, jak kołysanka.

Na wpół śpiący, tuż przy mnie, pozwoliłeś,

by stanął staromodny zegar,

nasz oddech splatał się we

wspólne oddychanie dzieci,

podczas gdy moje palce rysowały

małeńki uśmiech na twoich wargach,

podczas gdy rysowałam KOCHAM

CIĘ na twoich piersiach, na skórze,

szepecząc „Zbudź się!” (...)

Więc poznałam cię w twoim śnie

i modliłam się za nasz czas,

abyś mógł mnie przeniknąć i zapuścić

w moim wnętrzu korzenie,

i abym mogła cię urodzić, mogła unieść

tego ciebie albo ducha z ciebie

w moim małym gospodarstwie.

Wczoraj nie chciałam żyć na kredyt,

ale oto jest maszyna do pisania,

która siedzi przy mnie,

a miłość jest tam, gdzie jest wczoraj.⁷

*

Chcąc zrozumieć, jak doczekać do porannego przebudzenia, sięgnęłam po tematykę ogólnoludzką, która od zawsze zaprzętała moją głowę. Próby rozwikłania chaszczy, które słowami jak maczetą przecinają gęstwinę. To jedna z dróg, którą można uforować sobie i angażując siebie, w pokonywanie trudu życia i przechodzenia przez nie w sensowny sposób. Poszukując ze świadomością ciągłej drogi. Przecinanie jest formą istotną wraz z przewrotnym znaczeniem słowa: przecinanie.

Sztuka

Jestem tylko aktorem.

Nielatwo jednej kobiecie

zagrać całą sztukę.

Tą sztuką jest moje życie,

mój solowy występ.

⁶ Fragm wiersza Anne Sexton „Odwaga”, tłumaczenie Zbigniew Joachimiak

⁷ Anne Sexton, fragm wiersza: *Tamten dzień*, Kochając zabójcę, Zysk i S-ka, 1994



To bieg za moimi rękoma,
których nigdy nie mogę dogonić
(ręce są poza polem widzenia,
to znaczy poza sceną).

Bieg – to wszystko co czynię na scenie,
bieg do upadłego,
nigdy mi on nie wychodzi.⁸

Wciąż zadawałam sobie pytanie: do kogo, do czego przynależę? Rostam niezmennie zmieniając się. Kształtując. Rozrastając. Malejąc. Zawracając. Wznosząc. Upadając. Wędrując. Budując. Spoglądając. Zaglądając. Zadając pytania i będąc

odtrącana. Jak pył. Jak skałę. Jak inność. Szczegółność. Samotność. Stojąc obok. Obok czego? Końca do tej pory nie znalazłam. Nie spotkałam. Bo chyba nie o to w życiu chodzi. Znamienne słowo. Chodzić, przemierzać, poruszać się. Podjęte studia socjologiczne i psychologiczne wprowadzały mnie w tajniki wiedzy, owszem, dostępnej, jednak skażone systematycznością przechodzenia i stwarzania nowych teorii. Prowadzenie przez zawiłości świata społecznego, dały mi podstawy do podejmowania prób wyjaśnień zachowań dotąd mało jasnych. Podstawowe pytanie: dlaczego? Stosowałam bez przerwy. Pomaga ono dotrzeć i oglądać kadry z przebiegającego filmu. I nie chodzi tu tylko o wspomnienie, a o docieranie do własnej pamięci.

Tak oto pisał w swoim eseju jej, Anne Sexton, pierwszy psychoterapeuta i psychiatra, dr Martin T. Orne:

Razem pracowaliśmy nad opracowaniem procedury, która pomogłaby rozwiązać problem wynikający z jej niezdolności do przypominania sobie, co wydarzyło się wcześniej. Próbowaliśmy zachęcić Anne do robienia szczegółowych notatek jako wsparcia dla pamięci, ale wykonywanie tego zadania zakłócało przebieg terapii. Zaproponowałam więc, byśmy nagrywali nasze sesje, a jej obowiązkiem byłoby odsłuchiwanie nagrań i przypominanie sobie, co się wydarzyło. Okazało się jednak, że samo słuchanie nagrania nie wystarczało, by przełamać jej skłonność do amnezji dotyczącej poprzednich sesji. Co więcej, nie uświadamiało jej różnicy między tym, co pamiętała, a tym, co faktycznie się wydarzyło.⁹

⁸ Anne Sexton, fragment wiersza: „Sztuka”, tłum. Zbigniew Joachimiak, z tomiku: „Pulapka”, Wydawnictwo Morskie Gdańsk, 1989r

⁹ Dr Martin T. Orne Instytut Szpitala Pensylwańskiego i Uniwersytet Pensylwanii Filadelfia, PA 19104

Sztuka (kolejny fragment wiersza)

Raptownie zatrzymuje się
(to posuwa akcję trochę do przodu).
Wygłaszam przemówienia, setki,
modłę się, wszystko to monologi.
Opowiadam rzeczy absurdalne takie jak:
Jaja nie muszą być w sprzeczności
z kamieniami,
albo trzymaj swoją złamaną rękę w rękawie,
albo ja stoję wyprostowana
ale mój cień jest garbaty.
I tym podobne.
Gwizdy. Same gwizdy.

Anne. Ona jest jak skrócona podróż przez drogi i ścieżki życia. Pełna niepełnościami. Wyciska krew z żył jak gąbka, której zabrakło już też. I nie wiesz, w której stratosferze już jesteś. Po prostu podróżujesz jak ciekawski obcy element. Uchylasz drzwiczki od odpadających framug szafek. I zastanawiasz się czy jesteś w termosie kosmicznym i kto cię za moment pochłonie, wypije, wyciągnie, wyszpera, wyśkubie... Rozbije jak kalejdoskop. Przyglądam się pięknym kształtom, wymijająco możesz tak powiedzieć, więc mówię sobie.

Anne też próbowała przekonać ludzi, że jej poezja konfesyjna nie jest tylko jej biografią, a nawet momentami w ogóle nią nie jest. Jednak jej potomni, córka, znajomi i bliscy sądzą inaczej. Zależnie od tego, pod którym kątem widzenia spojrzymy na szkieleto, wyłoni się nowy obraz. Tak właśnie jest z emocjami.

Sztuka (fragment końcowy wiersza)

Pomimo to
bmę dalej do końca:
Być bez Boga to znaczy być węzłem,
który chce połknąć słońca.
Kurtyna opada.
Publiczność zrywa się do wyjścia.
Tak, to było złe przedstawienie.
Ale dlatego, że jestem tylko aktorem
a tam było zaledwie kilku ludzi których życie
będzie interesującą sztuką.
Zgadzasz się z tym?¹⁰

W ciągu dnia doznajemy ich nadmiar, nie wszyscy jesteśmy w stanie ich, je, dostrzec czy doznać. Przelatują zbyt licznie i zbyt często, nienazwane, pozostawiając ślad w postaci jakiegoś wrażenia. Naukowcy obliczyli, że doznań emocjonalnych jest tyle ile gwiazd na niebie. Niezliczona ilość lub jak ktoś woli obliczenia matematyczne, coś około 10 tysięcy dziennie. A może 34 tysiące. W każdym bądź razie, gdy podczas terapii psycholog zadaje podstawowe pytanie: co teraz czujesz? Odpowiedź najczęściej wiąże się z formą myśli lub opisem zdarzenia. Co czujesz? Myślę, że to niedobrze, że... Właśnie, dobrze-niedobrze. Przecież określenie to jest oceną, a nie opisem, a nie nazwaniem emocji. Niektórzy z nas mają problem nawet z wymienieniem tych siedmiu podstawowych. Jeśli nie możemy „wyjść z głowy” ciało zaczyna zablokować czucie, dopływ emocji do serca. Ciało staje się metaforycznie sztywne, umiera, zamiera po kawałku. Sztywnieje kręgosłup, kark, nogi odmawiają posłuszeństwa. Odzywa się w ciebie krzyk. Organizm rozpacza. Psychosomatyka

¹⁰ Anne Sexton, fragment wiersza: „Sztuka” tłum. Zbigniew Joachimiak, wiersz pochodzący z tomiku: „Pułapka”, Zbigniew Joachimiak, Wydawnictwo Morskie Gdańsk, 1989r

informuje nas, że zbliża się ostateczność. Jak zareagujemy na alarm?

Odwaga (fragment)

Później,
kiedy stanąłeś twarzą w twarz wobec śmierci
wcale nie ze sztandarem
a tylko z kapeluszem
zasłaniającym twoje serce,
nie rozpieszczęś słabości,
pomimo że była w tobie.
Wciąż przetykałeś węgielek
swojej odwagi.¹¹

Dla Anne Sexton odwagą jest życie, pokonywanie myśli prowadzącej do zabicia siebie z własnej woli. Jakie demony ją dręczyły szalejąc pomiędzy miłością a uśmierceniem siebie? Jak boleśnie można żyć jednocześnie „kochając zabójcę” tę cząstkę siebie w sobie, z którą odważnie walczy się dzień w dzień? Czy możliwe jest dotarcie do indywidualnych przeżyć poprzez odtworzenie jej biografii?

Co wiedział ptak o ludzkiej głowie

Posłałem do ptaka
o ludzkiej głowie
i spytałam:
Proszę Pana,
gdzie jest Bóg?

Bóg jest zbyt zajęty,
by przebywać tu, na ziemi,
Jego aniołowie są jak
zgromadzenie tysięcy
wiecznie trzepoczących gęsi.
Lecz mogę ci powiedzieć,
gdzie jest źródło Boga.

Czy ono jest na ziemi?
Spytałam.
Tak, odpowiedział.
Jedna z tych gęsi
wywlókła je z raju.

Szłam przez wiele dni,
obok wiem, co zjadają babcine
szydełkujące welniane buciki,
tak jakby inkasowały dług.
Potem, w środku pustyni
znalazłam źródło,
kipiało raz wyżej, raz niżej
jak gromadka kociąt
i była tam woda,
i ja piłam,
i była tam woda,
i piłam.
Potem źródło przemówiło do mnie.
Rzekło: Obfitość czerpie z obfitości,
lecz obfitość pozostaje.

Wtedy zrozumiałam.¹²

Zrozumiałam?

¹¹ Anne Sexton, fragment wiersza: „Odwaga” w tłumaczeniu Zbigniewa Joachimiaka, z tomiku: „Pułapka”, Wydawnictwo Morskie Gdańsk, 1989r

¹² Anne Sexton, *Kochając zabójcę*, Zysk i S-ka, 1994

Znalazłam jedno z wyjaśnień, które jest odpowiedzią na wiele niedopowiedzeń. Zofia Rosińska, profesor nauk humanistycznych, w książce: „Psychoanalityczne myślenie o sztuce”, pisze: „Można by spytać, dlaczego artyści, a i uczeni „wola” określać stan inspiracji jako interwencje istoty nadnaturalnej miast zaakceptować, iż jest to ich własna aktywność, procesy zachodzące w ich własnych umysłach? (...) Nie musi się obawiać, że to jego myśli. Poczucie winy jest rezultatem karzącego superego z powodu obcowania z treściami zakazanymi. (...) Można by powiedzieć, że tworzenie to ujawnianie kontrolowane.”¹³

Kim była Anne Sexton

Anne Sexton urodziła się w 1928r w Newton, a zmarła śmiercią samobójczą w 1974r. Jej poezja stanowi część kanonu amerykańskiej literatury. Jest jedną z najlepszych poetek nurtu wyznaniowego, konfesyjnego, wraz z Sylvią Plath, Robertem Lowellem, Johnem Berrymanem, zaczęła pisać za namową swojego psychiatry, bowiem przez większość życia cierpiała na depresję. Pisanie miało przynieść jej ulgę. Podejmowała w poezji tematy, które wówczas i sądzę, że i dziś, uważane są za tabu: tematykę ciała kobiecego, menstruacji, masturbacji, macierzyństwa, aborcji. W 1967 roku za tomik: „Live or Die” otrzymała nagrodę Pulitzera.

„Linda, jej córka, trafnie oceniła, że Anne była ofiarą: swojej choroby psychicznej, męża stosującego przemoc, społeczeństwa oczekującego, że ma być wyjątkowo matką i gospodynią domową”¹⁴

Zbigniew Joachimiak w artykule na łamach „Autografu”: „Zjawisko – Sexton” pisze: Poezja jej, jak żadna inna, zbudowana jest na przeżyciu autobiograficznym. I dlatego właśnie wiersze jej są jednym z najbardziej autentycznych zapisów świadomości tragicznej współczesnego człowieka.”

To dobre podsumowanie dla części pierwszej. Swoim zwyczajem dodam, sądzę, że to nie wszystko, ponieważ z zasady: być nie może.

MARIA JOLANTA FRASZEWSKA



¹³ Zofia Rosińska, *Psychoanalityczne myślenie o sztuce*, PWN 1985, str. 112

¹⁴ Lucyna Aleksandrowicz - Pędich, *„Między Freudem a Bogiem”* Życie i twórczość Anne Sexton, Wydawnictwo Naukowe Katedra 2020 str 324, za: L.Gray Seton, *Searching for Mercy Street...* dz.cyt, s.291

Stanisław Esden
Tempski 1952-2025

Litania do karty kredytowej

mój pyszny dom
z widokiem na morze
stoi na brzegu
katastrofy
straszenie tam i cicho
gdy na starym rowerze
nadeżdża
spełnione marzenie
z kopertą węgla
płacę z nie
kolejną obietnicą
i coraz mniej
sobie wierzę
w sytym dostatku
czekam komornika
żona ma okres i bóle zatok
a za oknem to już czysty Gotyk
wyją gdzieś blisko
duchy
znajomych bankrutów
Lecz przecież
gdybym nie miał długów
byłbym nikiem
muszę me życie
co dnia pożyczać
na nowo

Drzę przed Bogiem
i historią kredytową
już nie pamiętam kiedy
miałem jaką rzecz
bez wierzyciela
kupuję długi w sklepach
długi noszę na plecach
za długi wypoczywam,
długi me spożywam

z nieba
w trójkacie
wielki brat
spoziera
sztuki życia uczyć się
w kredytu otchłani
swoich dobrodziejów
zmieniam co chwila
jak dziwka portowa
nie wierzcie mi już na słowo
od słowa lepszy jest niższy
procent bankowy
nie oddam nikomu
mych kart kredytowych

kocham
swój numer bankowy

z długu powstałem
i w kredyt
się obróć.

Pandora pomidorowa

widziałem wiele puszek
w różnych marketach
świecących kolorowych
pełnych smaków życia
były widomym znakiem
powodzenia

trwożyłem się przecież
przed jednym przecierem
przed tą puszką jedyną
której logo
tak znane jest znakomicie
i tak płochliwie zbywane
w rozmowach przy piwie
jakby ze wstydu
jakby z oburzenia
na naiwność po szkodzie
Epimeteusza

ów produkt po wsze czasy słynny
to puszka -
owej Pandory
dostępny dzisiaj
w najprzedniejszym smaku
pomidorowym

przydatna do każdej potrawy właściwie
do klęski do płaczu
do spaghetti
jej kolor stroi rany

jest celem sama w sobie
nie tuczy
wiedzie do bogactwa i sławy
przepyszna i kolorowa
Pandora – pomidorowa

To właśnie dla niej
wałęsam się nad Chicago river
dla jej smaku próbowałem getta

obdarłem się z liści
poczułem własną korę
każdy mój rzemień
napiął się na cienkiej szyi
ten upojny smak w ustach...
te noce marzeń o fiescie...!
o! Pandora
o! pomidorowa

z winy Prometeusza
co chciał światła
chciał ciepła jedynie
Zeus ulepił kobietę
a w posagu dał jej puszkę
w puszcze zaś
pomidory

Gdy ich smak
na języku ci zniknie
znajdziesz
przywarłą do metalowego denka
Nadzieję.

Pastwiska otoczone drutem

Moje skarpetki
i twój biustonosz
wiszą na krześle przed toaletką
gdzie co rano czeszesz włosy

Potem zatraskujesz drzwi
samochodu
i nie dopijesz kawy

zawsze to głęboko przeżywasz
gdy niesprawny jest twój pc
modlisz się wtedy
przed naciśnięciem klawisza
wołasz – “my god”
a twój Bóg
nie słyszy

Nasze szlafroki
wiszą na drzwiach sypialni
obojętne i pełne potu
jak kochankowie

którzy nie mają siły
zrobić to
jeszcze raz

Wieczorem będziesz dzwonić z końca świata
on jest zmienny
zależny od tego - gdzie jest nam daleko
ta zatrważająca różnica czasu
każe ci zakłęcia liczyć na minuty

nigdy nie mogę zdążyć na twe śniadanie
śpię wtedy albo jestem w drodze

w końcu porzucasz
swoje nieistnienie jak brudną bieliznę
wsuwasz się w łóżko
w moją hierarchię godzin

królewski powiat Berkshire
skąd niedaleko do Stonehenge
jest ospały i niemy

pastwiska otoczone drutem
są pełne błota i zimowego wiatru
nawet konie
wolą stać w stajni

powiedz mi
dlaczego jesteśmy tacy łakomi ?

Pacynka

jakaś zgoda ze mną
od paluszka do świntuszka
od nogi do trwogi
od brwi do krwi
zawarła się
jak pięść
pewną nocą drętwą
ktoś wraz ze mną
samym
stał się niepodzielny
nierozpuszczalny
nieodwracalny

i wypadłem z ręki
ukrytego we mnie
aktora
jak pacynka
z gumową czuprynką
pod twoje nogi
w bolesnych szpilkach
obudziłem się w koszu
nie bierz mnie już
do żadnego
teatru lalkowego
muszę być cały
żeby się nie zawalić
mogę stać w rogu
daleko od
wszelkich progów
sam jak aksamit

Bajka o Kopciuszku.

jakże ja ją poznam
gdy na schodach trampek
w smole został ?

trampek nikogo nie wyróżnia
niczego nie ukrywa
jest sprawiedliwy

po co więc łyzy lejesz
pytasz kto piękniejszy
w peceta lusterku

już żadna powsinoga
z tobą nie wygra
nikt już nie znieważy
reszty fraucymeru
wyróżniając tę głupią gęs
Kopciuszka

bez ptaków bez soczewicy
bez kryształowych pantofelków
nawet bez księcia
przecież zwyciężyłaś...

Każdy kto cię bije jest twoim
dobrym bogiem
bat wyłuska cię z twego ciała
zasadzi w pokoju ziarno krzyku
nie bój się słów rozcinających boki
one są dobre
Jutrzenka krwi mgliście świeci w perłach
truchło syci ogrody
kwiatowe kielichy pachną tam
najpiękniej

Każdy kto cię bije jest
troskliwym siewcą
obudzi do życia ból
ujawni chorobę
gdyby nie oczy twoich udręk
byłbyś niemy

Epoka

już żadne podwórko
nie woła
znów mogę być egoistą
jak w dzieciństwie

odkrywam świat ze zdumieniem
należnym każdemu bytowi
nic już nie jest takie
jakie było

Epoka nas zdradziła
wyszła za inne życie
ma niezrozumiałe dzieci

nawet przyszłość
mówi innym językiem
obejmuję każdy dzień serdecznie

od rana do drzwi
od drzwi do wieczora
od kawy
do zmierzchu
tak – to jest zrozumiałe

ale tydzień
tydzień to już zbyt wiele
w sobotę
mogę zaprzeczyć się
niedzieli



fot. ze zbiorów Migotań

Małgorzata Sokorska

ROZKOSZ I KOSZMAR.

IWASZKIEWICZ ANNA Z LILPOPÓW.

Maria córka Anny w przedmowie do Dzienników jej matki miała odwagę napisać: w żadnej mierze nie zdawałam sobie sprawy z głębi Jej umysłu, z Jej przeżyć, z walki jaką toczyła o formowanie swojej osobowości, z tego - pomimo widocznego wielkiego uczucia - czym była dla Ojca przez całe ich wspólne długie życie - 57 lat! Czym ja bym był bez Hani - jest gdzieś zapisane po jej śmierci przez Jarostawa.

W tym fragmencie jest wszystko co najważniejsze o Annie. Mogę jeszcze dodać obok jej piękną duchowego, o którym napisała Maria jej piękno zewnętrzne. Anna była piękna. Pięknem delikatnym, nie narzucającym się. Spojrzenie miała przenikliwe. I jak tu nie wierzyć, że twarz jest odbiciem duszy. Oczy jej zwierciadłem. Odbijała się ona na twarzy Anny i na całej jej drobnej sylwetce. Mieszkała w jej pełnych godności gestach i szybkim sposobie chodzenia.

Nie mogę przestać myśleć o notatce Jarostawa napisanej w Dzienniku po śmierci Anny. Po kilku słowach ich córki Teresy i po reakcji przyjaciół na śmierć Anny Jarostaw zdał sobie sprawę, że ludzie potraktowali jej odejście jak naturalną sprawę. Przeżyła według nich pełne i udane życie. W jej śmierci nie było nic tragicznego. Jarostaw nadal widział ją taką jaka była wiele lat wcześniej - inteligentną, młodą i piękną. Taką jak była w dniu kiedy się poznali. Bez niej jego świat był pusty. Dom na Stawiku był pusty. W ostatnich wpisach prowadzonego przez wiele lat Dziennika wspomina jak rozmawiała a jej słowa były fajerkami. Wiedział, że nie będzie długo bez Anny żył. Po odwiezieniu trumny z Anną do kościoła nie chciał wejść do domu na Stawisku. Zatrzymał się na progu. Długo płakał. Kamieniarzom przekazał informację, że grób ma być gotowy po jego śmierci. Anna zmarła 23 grudnia 1979 roku. Jarostaw zmarł 2 marca 1980 roku.

Jeżeli ktoś nie wierzy w przeznaczenie powinien poznać historię Anny i Jarostawa. Jak mogła dziewczyna z mieszczańskiego zamożnego domu urodzona w Brwinowie spotkać się z chłopakiem z kresów urodzonym w Kalniku w rodzinie zubożałej inteligencji? Jak mogli znaleźć się w jednym miejscu, w jednym czasie i mieć wspólnego przyjaciela? Jakby napisał taką historię William Szekspir.

Nie wierzę tutaj w przypadek. Wierzę, że to dla nich i dla nas zadziało coś co nazywamy przeznaczeniem. Chociaż moim zdaniem było to coś więcej niż przeznaczenie. Coś czego nie umiem nazwać.

Czułam, wiedziałam już podświadomie, że wszystko jest rozstrzygnięte tak jak nigdy jeszcze w życiu nie czułam, ten wielki spokój, który daje pewność, że idziemy drogą swojego przeznaczenia wspomina Anna. Odwołuje się do podświadomości, do przeczucia i do przeznaczenia. Jest w tym fragmencie część świata Anny. Metafizycznego pełnego tajemnicznej siły działającej poza nią.

Co się stało, że w 1935 roku latach porwał Annę wielki niepokój. A nawet więcej niż niepokój. Annę porwał obłąd.

Roman Jasieński na życzenie Anny poznał ją z Jarostawem. Był to mały moment o którym pisze Jarostaw:

Zawsze mnie zastanawia ta myśl bardzo banalna, ale mogąca prześladować w długie bezsenne noce, że pewne momenty krzyżowe w życiu mogą mieć znaczenie tak decydujące. Że od małej chwili - od tego, czy się na przechadzce w ogrodzie skrocimy na lewo czy na prawo, czy się siądzie na tym czy na innym fotelu, czy się zatelefonuje pod ten czy pod inny adres - zależy wszystko. Życie układa się zależnie od tego małego momentu, od jednego gestu, od jednego słowa. I w ogóle nie wiemy jakby było gdyby tego słowa lub gestu nie było.

Według Jarostawa był jeszcze jeden mężczyzna, dzięki któremu ich małżeństwo zostało zawarte. W sprawę wmixowała się opatrność boska. Reprezentował ją Święty Antoni. Anna była zaręczona z księciem Krzysztofem Radziwiłłem. Matka Krzysztofa uważała, że małżeństwo będzie dla ich rodziny megalansem. W końcu Anna była tylko panną z miasta. Księżna modliła się do Świętego Antoniego.

- wtedy Święty Antoni przysłał mnie opowiadać Jarostaw.

Anna postawiła na swoim. Zamiast Anną Radziwił, została Anna Iwaszkiewicz. Żoną nieznanego, ubogiego poety. Jak sam Jarostaw pisał o sobie żoną nędznej myszy.

Na zdjęciu z 1922 roku, patrzą nie na siebie, nie przed siebie. Odwrócenie do nas bokiem patrzą w dal. Jest w ich wzroku pewność, że będą razem szli przez życie. I jest też w ich spojrzeniach świadomość wspólnego trudnego losu. Jak by już wszystko wiedzieli i byli na to zdecydowani. Patrząc na to zdjęcie przypominam sobie wiersz Jarostawa:

W nieograniczone patrzyłem przestrzenie

Nieograniczone brały mnie uczucia

Razem patrzyli na nieograniczone życie.

Od 1 lutego 1922 roku od kiedy poznali się będzie trudno pisać tylko o Annie. Oddzielić Annę od Jarostawa. Nie patrzeć na nią jego oczami. Był najważniejszym świadkiem jej życia.

Ze związku Anny i Jarostawa pozostała nam ich twórczość. Historie ich życia mamy zapisaną w Listach i Dziennikach. Możemy czytać Listy i Dzienniki wiele razy. Za każdym razem odkrywając Annę i Jarostawa i małżeństwo Anny i Jarostawa. Będziemy czytać o dwóch samotnych osobach, będziemy poznawać dwie związane ze sobą bardzo mocno osoby. Najpierw narzeczoną i narzeczonego. Potem żonę i męża, matkę i ojca, babcię i dziadka. A nawet poznamy Annę i Jarostawa pradiadków. Będziemy zaskakiwani bogactwem i pełnią ich osobnego i wspólnego życia. Z biegiem lat każde z nich coraz bardziej potężne ze sobą zachowało swoje życie. Czytając ich listy z czasów narzeczeństwa, wiemy już jak potoczy się ich życie. Przejdziemy z nimi

drogę od spotkania na Agrykoli w roku 1922 w czasie którego wyznali sobie miłość do zgorzkniałej starości, coraz mniejszego kontaktu między nimi. Zapadaniu się Anny w nostalgia a Jarostawa w miłość do pieszków. Pozornemu oddaleniu, którego powodem będą zmiany w psychice i choroby jakie następują w starszym wieku.

Bez Anny nie poznalibyśmy Jarostawa. Była dla niego najważniejszą osobą, do której zwracał się w sprawach swojej twórczości. Wybierała poezję i prozę z duszą. Świadczy o tym listy Anny, która wysoko oceniała powieść Księżyc Wschodzi i tomik poezji Łaś 1932. Wyznaczyła Jarostawowi kierunek w którym powinna iść jego twórczość. Anna w tym czasie kiedy Jarostaw pisał wiersze do Łaś 1932 często patrzył na niebo w nocy. Rozwija swoje zainteresowania fizyką i astronomią.

XXVII

O żono – nie mów – i tak wiemy,

Że nie poradzi żadne słowo

I naszych dusz firmament niemy

Jak czarna otchłań ponad głową dokąd

XXVIII

I gdy noc zatę mnie i ciebie

Najlepiej myśli jest - daj dłoń –

Że w czarnej ziemi w sinym niebie,

Uśmiechu twego płynie woń.

XXXVI

Noc taka czarna będzie już nicością

I gwiazdy inne przybiorą znaczenie

Mądrzejsze prawa staną nad nicością

I inne będzie zbawienie

XXXVII

Ja tylko tak udaję,

że się nocy nie boję,

Kiedy w moim pokoju przed

czarnym oknem stoję.

XXXVIII

Ziemia kłosa mi się pochyla,

Niebo gwiazdami się rozżarza

Przednoca, przezroczysta chwila

Czeka na swego gospodarza

Niebo Anny odbija się w niebie Jarostawa.

W liście z dnia 13.08. 1933 Anna opisuje siebie jako bardzo trzeźwego krytyka, chodź mieści się on w osobie kochającej żony. Czy możemy sobie wyobrazić, że Jarostaw napisałby Panny z Wilka mając za żonę kobietę nie umiejącą rozmawiać o muzyce, malarstwie i literaturze. Nie odpisującą na jego listy w sposób piękny i mądry. Każdy kto pisze wie jak bardzo ważne jest mieć



obok siebie człowieka, który reaguje na jego twórczość. Oboje uważali, że jednym z zadań ich małżeństwa jest dbanie o Stawisko. Dom miał utrzymywać tradycję polskiego inteligenckiego dworku. Być centrum intelektualnym i duchowym. Dawać schronienie siostrze Jarosława, a także przyjaciółce poety. Taki dom był potrzebny Jarosławowi do pisania. Anna doskonale to rozumiała.

W roku 1978 Anna coraz bardziej odsuwała się od życia i poezji. Jarosław nie może liczyć na Annę. Na początku roku wysłał z Rzymu list do Jerzego Lisowskiego:

Największym cierniem było ostatnio nazwanie przez Hanię Mapy pogody złą książką, dlatego, że bóg pisany tam z malej litery. Ale tylko raz!

A przecież cała Mapa pogody jest dla niej i o niej - i niepotrzebnie Zaworska - dałaby ją czytelnikom.

W opowiadaniu *Dzień lipcowy* napisanym na miesiąc przed śmiercią Jarosław pisze: małżeństwo zawsze polega na przyjaźni. I nie były to tylko słowa. Jarosław opiekował się Anną w czasie jej choroby psychicznej. Anna wspierała Jarosława po śmierci Jerzego Błeszyńskiego. To tylko dwa przykłady, ale było wiele momentów w ich życiu, kiedy wytrwali trudne czasy dzięki swojej przyjaźni.

Jarosław wyznaje, że pisze opowiadanie za Annę. I maluje piękny jej portret:

Doszedłem do muzyki w Moskwie i tak zastanawiam się, co to wszystko znaczy. Muzyka w jej życiu, wielka muzykalność, daleko lepsze rozumnie ode mnie muzyki współczesnej potem odejście od tego, jakiś zewnętrzny stosunek, niemożność oddanie się tej muzyce, jakaś walka z nią. (...) To zagaśnięcie w niej całego życia wewnętrznego - to takie okropne. A była tak nieprawdopodobną kobietą.

Zaczynam zastanawiać się czy dopiero po śmierci Anny, na krótko przed swoją śmiercią Jarosław miał odwagę przyznać, że wiedział o wielkim talencie Anny.

- Pani jest daleko mądrzejsza ode mnie.

W ten sposób zwraca się Edward do Ewy. To słowa Jarosława do Anny. Słowa, których już nie mogła przeczytać.

Czy mogę jedno opowiadanie Jarosława przełożyć na całą jego twórczość. Myślę, że tak. Dzienniki, listy, eseje, tłumaczenia Anny to dowody na to, że pisała wspaniale. Dodam do tego jej wyjątkową wrażliwość na muzykę, poezję oraz metafizyczne przeżywanie sztuki. Dlaczego nie pisała więcej. Na pewno cierpiała na niemoc twórczą. Pisała o tym w listach do Jarosława. Nazywając swoją sytuację:

(...) bezbrzeżną męką ciągle zamierzających niewypowiedzianych porывów.

(...) mam wrażenie, że pomiędzy mó-

zgiem a ręką brak jakiejś tajemniczej sprężyny, jakiegoś połączenia

Anna to wielki niewykorzystany talent. To, co nam pozostawiła to mała próbka jej twórczości. Mam wrażenie, że wszystko co dotyczy Anny jest ponad moim zrozumieniem. Musiałabym zacząć żyć jak ona, żeby ją trochę zrozumieć. Mogę starać się poznać jej życie. Nigdy nie dotrę do głębi jej świata.

Bez Jarosława nie poznalibyśmy Anny. Może zgubiłaby się w dusznej atmosferze domu bez poety. A nawet domu bez poetów, którzy często byli gośćmi na Górnej w Aidzie i na Stawisku. Wyobrażam sobie Annę wbiegającą do domu po koncercie w Filharmonii. Przy biurku spotyka Księcia, Pana Doktora albo Pan Mecenasa. Odpowiedź na jej słowa o muzyce Karola Szymanowskiego byłoby milczenie. A rozmowa na temat prowadzonych spraw czy przebiegu leczenia byłaby dla Anny nie do wytrzymania. W Jarosławie miała Anna godnego jej partnera intelektualnego.

Bez listów nie widzielibyśmy tak wiele o Annie. Ale czy listy mogłyby powstać gdyby Jarosław nie był natogowcem podróżniczym jak siebie określał. Podróże i powroty do domu, do Anny dawały mu siłę do dalszego tworzenia. Będąc jeszcze w drodze zaczynał pisać do niej listy. Musiał być z nią cały czas w kontakcie. Kiedy zbyt

→ długo czekał na list wpadał w zły nastrój. Czuł się zagubiony.

Żadna inna kobieta nie pisała takich listów jak Anna. Listy wywołują dla nas z niechęci przede wszystkim nie Jarostawa, który wypowiadał się w poezji i w prozie ale Annę - niezwykłą kobietę. Wystarczy przeczytać kilka listów, żeby móc spróbować wyobrazić sobie co ich łączy. Słowa miłość, przyjaźń są tutaj za mało pojemne.

Z listami nie rozstaje się. Zapętniają one we mnie pustą przestrzeń wrażliwości, obserwacji świata ludzi i zwierząt z szacunkiem i z zachwytem. I to nie oto chodzi, że teraz nie ma takich uczuć i emocji. Zdarzają się ale są zupełnie inne.

W nieustającej rozmowie pisane są też słowa, które muszą boleć Annę albo Jarostawa.

Pada listopadowy, wczesny śnieg. W tym roku spadł śnieg zanim spadły liście. I na jesiennych liściach leży śnieg. Na drzewach i na ziemi. Zaraz stopnieje i nie będzie po nim śladu.

Pan Robert Papieski pokazuje mi listy Anny do Jarostawa i Jarostawa do Anny. Białe kartki, które trzymam w rękach za rok będą miały sto lat. Jarostaw ma pismo bardzo wąskie, ściśnięte. Ostre litery. Jedno słowo zajmuje bardzo mało miejsca. Anna odwrotnie litery są okrągłe, rozciągnięte na stronie. Pismo łagodne.

Pan Robert jest strażnikiem listów. Razem z żoną Agnieszką odczytał pismo Jarostawa. Wykonał wielką pracę dla polskiej kultury. Listy zostały wydane z perfekcyjnymi przypisami Państwa Papieskich. Pan Robert ma malutki gabinecik na strychu Stawiska. Kiedyś mieszkał tutaj Wiesio Kępiński. Tylko wtedy gabinecik był połączony z pokojem, który jest obok. Wiesio miał więcej miejsca niż Pan Robert.

Patrzmy przez okno na cmentarz zwierząt. Pierwsza została pochowana Kokosia. Papuga, którą zagryzł na początku wojny przybłątkany pies. Kokosie przywiózł córce Stanisław Lilpop. Trokiliwy ojciec jedynaczki zostawionej przez matkę. Leżą tu ukochane pieski Jarostawa Tropek i Medorek. Po ich śmierci Jarostaw napisał w Dzienniku: Czuje się stary, niepotrzebny, bardzo znudzony życiem Hania nie bardzo rozumie mój stan. Firma Majorkiewicz i Troczyński zrobiła straszną plajfę. Anna napisała książkę " Nasze Zwierzęta". Jest w niej opisana historia konia, który opiekował się na Stawisku małymi prosiakami i bronił je przed wywiezieniem do rzeźni. Anna pisała o zwierzętach jak o ludziach. Jarostawa też tak pisał. Myślały jak my, czuły jak my. Psy nie opuszczały Anny w ostatnich miesiącach życia, kiedy samotnie chodziła na długie spacery.

Po raz kolejny czytam list z dnia 10 października 1924:

Czy ty myślisz, że w każdym z nas nie ma światów całych gdzie nawzajem przenikamy się? Pamiętasz, że ci mówiłam kiedyś, że w swojej najgłębszej, najtajniejszej istocie człowiek jest zawsze samotny, bezwzględnie samotny, i że to nie jest dowodem ani braku miłości, ani braku zaufania. Tak być musi, bo dusza nasza jest czymś niewypowiedzianym, czymś absolutnie niepodzielnym, należącym tylko do nas samych i do Boga.

W wieku lat 27 Anna jest nadzwyczaj dojrzała. Zdaje sobie sprawę jak będzie doświadczająca życie. Swoje uczucia opisuje tak:

- bezbrzeżna tęsknota za czymś cudownym a nieuchwytnym.
- poczucie swojej nicości, bezsensowności.

Powodem tego jest: rozpaczliwa tęsknota do twórczości.

Do tego dojdzie paniczny lęk o zdrowie córek, lęk przed brakiem osób do pomocy w prowadzeniu Stawiska, słabe zdrowie psychiczne i fizyczne.

Za dziesięć lat w *Rozmyślaniach* listopadowych Anna formułuje myśl:

Szczęście to jednak nie jest z tego świata.

W styczniu 1951 roku Anna znowu próbuje znaleźć szczęście. Zapisuje w Dzienniku:

Dorobkiem największym w życiu jest wygrać swoją samotność. Nawet w cierpieniu, w okresach najdotkliwszych cierpień samotność musi stać się nie tym, przed czym się ucieka, a przeciwnie, musi być zawsze przystanią.

Już ze dwa lata temu pisałam o jakimś odpowiedzi na list Jarostawa, że człowiek jest szczęśliwy wtedy, kiedy czuje się szczęśliwy zostając sam w pokoju, że najważniejszą rzeczą w życiu obowiązkiem każdego jest dokopać się w sobie do tej najgłębszej warstwy, gdzie mieszka już szczęście.

Anna przeżywa piękno, które jest nie tylko w sztuce. Opisuje radość jaką daje jej kontemplacja nieba pełnego gwiazd, fal morza, wschodu słońca. Radość jaką daje jej religia i fizyka.

STAWISKO, 18 VII 1934

Miałam wrażenie, że o tej porze cała przyroda jest jakby złapana na „gorącym uczynku”, że wtargnęłam w nią wprost niedyskretnie wtedy kiedy jest pewna swojej samotności.

Jest to krótki cytat z opisu wschodu słońca, chyba najpiękniejszego opisu jaki czytałam.

Na przeżycia Anny Jarostaw odpisuje w ten sposób:

KOBENHAVN 20 VII 1934

Otrzymałam dziś Twój ogromny list, nieśteły w swej łwiej części poświęcony opisowi wschodu słońca (czy rzeczywiście zamierzasz pisać nasze listy dla potomstwa?) natomiast nic nie piszesz o rzeczach konkretnych. O dziewczynkach nie pisałaś mi ani słowa przynajmniej od dwóch tygodni.

KOBENHAVN 27 VII 1934

Co się tyczy „potomności”, to naprawdę nie wiadomo które z nas potomność będzie interesowało (i czy) – i czy jak ci mówiłem już, w encyklopediach za 200 lat nie będzie stało: Iwaszkiewicz Anna z Lilpopów pisarka i filozofka polska, żona miernego poety z epoki Piłsudskiego.

Jarostaw stara się wptynać na powrót Anny do spraw dnia codziennego. Zapominając o tym co napisał w opowiadaniu *Księżyc Wschodzi*:

Żyć to znaczy obcować przez piękno z nieskończonością.

Anna nie poddaje się i odpowiada:

Tę godzinę spędzoną w oknie będę na pewno pamiętała dłużej od niejednego zdarzenia w życiu: będę pamiętała to było w tym czasie, kiedy wstałam w nocy i obserwowałam wschód słońca.

Czytając po raz drugi książkę *Nowy świat* fizyki Anna pisze:

Jestem zupełnie zatopiona w tej książce i mówię Ci, że w takich razach doznaję chwili absolutnego szczęścia, szczęścia tego rodzaju, które daje tylko religia.

Niezwykłe jest połączenie szkiełka i oka ze światem, w którym się czuje i wierzy. Anna widzi precyzyjny świat stworzony przez fizyków i świat Boga jako całość. Nic tu się nie wyklucza.

Ale nie tylko o piękno i o szczęście w życiu chodzi. Anna bardzo mocno od-

czuwa cierpienie świata, lęk, nieuchronność śmierci, poczucie bycia nikim, bezcelowość codzienności, niemoc i grzech. Na rok przed śmiercią na jej twarzy pooraną zmarszczkami odbijała się rozpacz. Pozostało przenikliwe spojrzenie z młodości. Powtarzała: Boże, Boże, dlaczego tyle cierpienia.

Za swoją niemoc twórczą nigdy nie winiła innych osób. Szukała winy w sobie. Mimo wszystko Anna pisała. Dzienniki Anny to doskonała forma obrazowania przeżyć. Zapis metafizycznego odczuwania świata. Fragmenty Dzienników wydanych po raz pierwszy w 1993 przywracają Annę do nowego życia.

Była psychicznie mniej silna od Jarostawa. Wrażliwa Anna miała osobowość poetki. Nie miała osobowości twórcy. Brakowało Annie, żeby tworzyć egoizmu. Podporządkowania pisaniu swojego życia i życia innych. Anna była dobra. Różniła się o od Lilpopów, którzy mieli jak wspomina prawnuczka Ludwika Włodek konkretne zawody. Kobiety z Lilpopów musiały też być bardzo konkretne, czego przykładem była ciotka Anny Aniela Pilawitowa siostra jej ojca. Anna była w porównaniu do Jarostawa niepraktyczna, niezaradna życiowo. Z wielkim trudem zajmowała się sprawami dnia codziennego. Nigdy w Dziennikach albo Listach nie skarżyła się na to. Można jednak tak myśleć znając wrażliwość Anny i jej ogromną potrzebę doświadczania życia poprzez sztukę a nie poprzez opiekowanie się córkami i prowadzenie domu. Silne poczucie obowiązku i miłość do córek a potem do wnuków nie pozwalało jej na zaniedbywanie ich kosztem twórczości. Była troskliwą matką. Po raz pierwszy w jej Dziennikach znalazłam porównanie macierzyństwa do twórczości.

Jarostaw chociaż narzekał na zbyt dużo obowiązków dobrze czuł się w roli gospodarza Stawiska. Sprawdził się też w roli dyplomaty w Kopenhadze a potem w Brukseli. Anna uciekała ze świata dyplomatycznych rautów na Stawisko. Zabrała ze sobą córki. Tak jak napisała jej córka Maria nie lubiła publiczności. Paweł Hertz wspomina, że życie prowadzone w kawiarniach i restauracjach międzywojennej Warszawy nie opowiadało Annie. Oddzielała swoje życie od życia prowadzonego przy stoliku w kawiarni. Za to bardzo ją cenili.

Dostrzegając jej wyjątkowość wybitni ludzie jej czasów. Jerzy Libert dedykuje Annie *Litanie do Najświętszej Marii Panny*. Muzykę do litanii skomponował Karol Szymanowski.

To może najgłębsza najbardziej skupiona rzecz moja - napisał Karol Szymanowski do Zofii Kochańskiej. *Litania bardzo mi się udała - na wysokości Stała Mater*. Píše w kolejnym liście. Słowa i muzyka pasują do Anny. Tworzą niezmiernie nastrój na salach koncertowych.

Jerzy Lisowski w szkicu *En passant* tak wspomina panią Hanię:

To francuskie powiedzenie (dosłownie: przechodząc, przechadzając się) oznacza tyle co "niechcący, mimochodem", przy okazji. Tak myślę można by scharakteryzować najkrócej prace translatorskie Anny Iwaszkiewiczowej. Była ona w swoim życiu doskonałą dyletantką.

(...) Anna Iwaszkiewiczowa, która zwyczajem tamtych lat skończyła jedynie „pensję”, gdzie nauczono ją języków, gry na fortepianie i dobrych manier, była najwzschodniejszą chyba wykształcaną osobą jaką w życiu spotkałem. To w codziennym dialogu z tym niepospolitym umysłem - o czym zaświadczy kiedyś ich niebywała korespondencja - powstawała cała twórczość Jarostawa, której

była zawsze pierwszym i jakże wymagającym czytelnikiem.

Wiadomo było, z przekładów jakie „en passant” publikowała, z esejów krytycznych (jak ten nie zapomniany o Conradzie), że sama świetnie władała piórem, ale dopiero po śmierci, gdy wydrukowano jej teksty w oryginalne (*Moje „Fontainebleau” a przede wszystkim Dziennik*) okazało się, że „en passant” jest też wybitną pisarką. (...)

Zastanawiałem się kiedyś, co by było, gdyby w latach dwudziestych pani Hania zdecydowała się zasiąść do tłumaczenia całego W poszukiwaniu straconego czasu? (...) trudno spekulować. Faktem jest, że mielibyśmy Prousta jak trzeba.(...)

Jak pięknie zmartwychwstaje pod jej piórem proustowska fraza z jej charakterystyczną kadencją, z właściwościami stylu – tu: wtedy... wtedy... odczuwam” które pierwsi recenzenci (m. in. purysta Gide) uważali za błędy gramatyczne, a tłumacze skrzętnie poprawiali. Nie ulega wątpliwości, że mieliśmy Prousta po polsku.

W lipcu 1943 roku Czesław Miłosz pisze dla Anny wiersz: *Sicilia sive Insula Mirandae*. Stawisko jest wyspą ze sztuki Szekspira Burza. Anna to Miranda.

O znaczeniu Stawiska w czasie drugiej wojny światowej i okolicznościach powstania wiersza czytamy w eseju Roberta Papieskiego *Anna Iwaszkiewicz i Czesław Miłosz*:

Zdumiewa zdolność dwojga ludzi do nadania takiego znaczenia i takiej rangi jednemu miejscu. Z perspektywy dnia dzisiejszego widać wyraźnie, jak zapobiegliwymi i gościnnymi gospodarzami byli Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie. W obliczu największego zagrożenia potoczyli swój los z losem krzywdzonych i poniżanych. Wojenna biografia Anny Iwaszkiewicz pełna jest heroicznego, a przy tym cichego poświęcenia. Mimo kruchego zdrowia dzielnie pomagała mężowi. Wielokrotnie Miłosz patrzył na ów trud. Toteż w ofiarowanym przezeń pani Annie rękopisie swojego wiersza, noszącego datę 27 lipca 1943 wolno nam widzieć gest najwyższej wdzięczności.

Sicilia Sive Insula Mirandae

Na morzu granatowym
biała wyspa świta.
Ptaki lecące widzą jej oliwne gaje
I osiołka, na którym służąca, Artemis,
Jedzie do domu drogą
między winnicami.
Jej panią jest Miranda.
Dom stoi na wzgórzu.
Kiedy jeżdżący na mułach
wjeżdżają pod bramę,
Wołają długo, dłonie
składając przy ustach
I echo wtórzy echu: Mirando, Mirando.
Wyżej krater wulkanu
nad zielenią lasów
I słońca wóz błyszczący
toczy się po niebie.
Miranda schodzi w blasku.
Pierścienie jej włosów
Ciemne na długiej sukni barwionej
przez ciało.
Już wstępują na schody

goście i w pokoje
Prowadzi ich, i woła
klasząc: hej, Artemis,
Przynies wina, weź tego,
co stoi na prawo.
A wtedy zasiadają na
krzesłach rzeźbionych
Pod jej wzrokiem, podobnym
do przymkniętej nocy.

Anna była pisarką, tłumaczką, eseistką, ważną dla Jarosława czytelniczką jego twórczości, znawczynią literatury, malarstwa, muzyki, i fizyki, niezwykle inteligentną partnerką do rozmowy, elegancką kobietą chodzącą na koncerty, przedstawienia, gorliwie wierzącą katoliczką troskliwą żoną, matką, babcią i prababcią, dobrą przyjaciółką, odważną kobietą ratującą przyjaciół żydowskiego pochodzenia w czasie wojny, prowadzącą otwarty dom pani domu. Bliscy wspominają jej nie-życiowość. W okresach nieobecności Jarosława była jednak zarządzczynią ich majątku. Czując opiekunką zwierząt na Stawisku. To bardzo dużo jak na jedno życie.

Nie opiszę niezwyklej osoby miarą mojej zwykłości. Mój portret Anny będzie niedokończony. Ale prawdziwszy od dokończanego. Anna jest kobietą, która wymyka się dokładnemu opisowi. Mogę powtórzyć do Anny słowa Jarosława:

- Pani jest daleko mądrzejsza ode mnie.

W ostatnich słowach wspomianej przedmowy Pani Marii czytamy: *Te uwagi są całkowicie powierzchowne, ale przecież nic poważnego nie potrafię i nie śmiem powiedzieć. Mamo, wybacz...*

Anno, wybacz ...

MALGORZATA SOKORSKA

Przypisy

Dzienniki i wspomnienia. Anna Iwaszkiewiczowa. Do druku podała Maria Iwaszkiewicz. Czytelnik. Warszawa 2000 str. 7

Hania i Jarosław Iwaszkiewiczowie. *Esej o małżeństwie*.

Piotr Mitzner Wydawnictwo Literackie. Kraków 200 str. 15

Opowiadania. Jarosław Iwaszkiewicz. Tom VI. Serenite.

Czytelnik 1980 str. 294

Inne życie. Radosław Romaniuk. Iskry 2012 str. 285

Wiersze zebrane. Jarosław Iwaszkiewicz. Czytelnik. Warszawa 1968 str. 260

Wiersze zebrane. Jarosław Iwaszkiewicz. Czytelnik. Warszawa 1968 str. 343, 344, 352, 353, 354

Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie *Listy 1932-1939*. Czytelnik. Warszawa 2014 str. 308

Jarosław Iwaszkiewicz. *Dzienniki*. 1964 – 1980. Czytelnik. Warszawa. 2011. Str. 619

Utwory ostatnie. Jarosław Iwaszkiewicz. Czytelnik.

Opowiadanie Dzień lipcowy. Warszawa. 1981 str. 95

Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie *Listy 1922- 1926*.

Czytelnik. Warszawa 1998 str. 182

Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie *Jerzy Lisowski Listy*.

Tom I Wydawnictwo Akademickie Sedno, Warszawa

2021. Str. 118

Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie *Listy 1922-1926*.

Czytelnik. Warszawa 1998 str. 182

Anna Iwaszkiewiczowa. *Szkice i wspomnienia*. Państwowy

Instytut Wydawniczy. 1987 rok str. 45

Dzienniki i wspomnienia. Anna Iwaszkiewiczowa. Do druku podała Maria Iwaszkiewicz. Czytelnik. Warszawa 2000 str. 480

Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie *Listy 1932-1939*.

Czytelnik. Warszawa 2014 str. 488, 492, 516

Jarosław Iwaszkiewicz. *Księżyc wschodzi*. Czytelnik 1975 str. 10

Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie *Listy 1932-1939*.

Czytelnik. Warszawa 2014 str. 504

Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie *Listy 1932-1939*.

Czytelnik. Warszawa 2014 str. 291

Hania i Jarosław Iwaszkiewiczowie. *Esej o małżeństwie*.

Piotr Mitzner Wydawnictwo Literackie. Kraków 200 str.

123

Pra Iwaszkiewiczowie. *Opowieść o rodzinie*. Ludwika

Włodek. Marginesy. Warszawa 2022 str. 97

Dzienniki i wspomnienia. Anna Iwaszkiewiczowa. Do druku podała Maria Iwaszkiewicz. Czytelnik. Warszawa 2000. Str. 9

Anna Iwaszkiewiczowa – w setną rocznicę urodzin.

Muzeum Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawiku

Podkowa Leśna 1997. Wydawnictwo Aula. W stronę Hani. Paweł Hertz. W stronę Hani str. 185

Program koncertu Garrica Ohlsona. Filharmonia

Narodowa. 4. 11. 2023. Małgorzata Gąsiorowska.

Szymanowski. Tekst pochodzi z programu koncertu 20 grudnia 2019.

Anna Iwaszkiewiczowa – w setną rocznicę urodzin.

Muzeum Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawiku

Podkowa Leśna 1997. Wydawnictwo Aula. En passant. Jerzy Lisowski str. 143, 144

Anna Iwaszkiewiczowa – w setną rocznicę urodzin.

Muzeum Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawiku

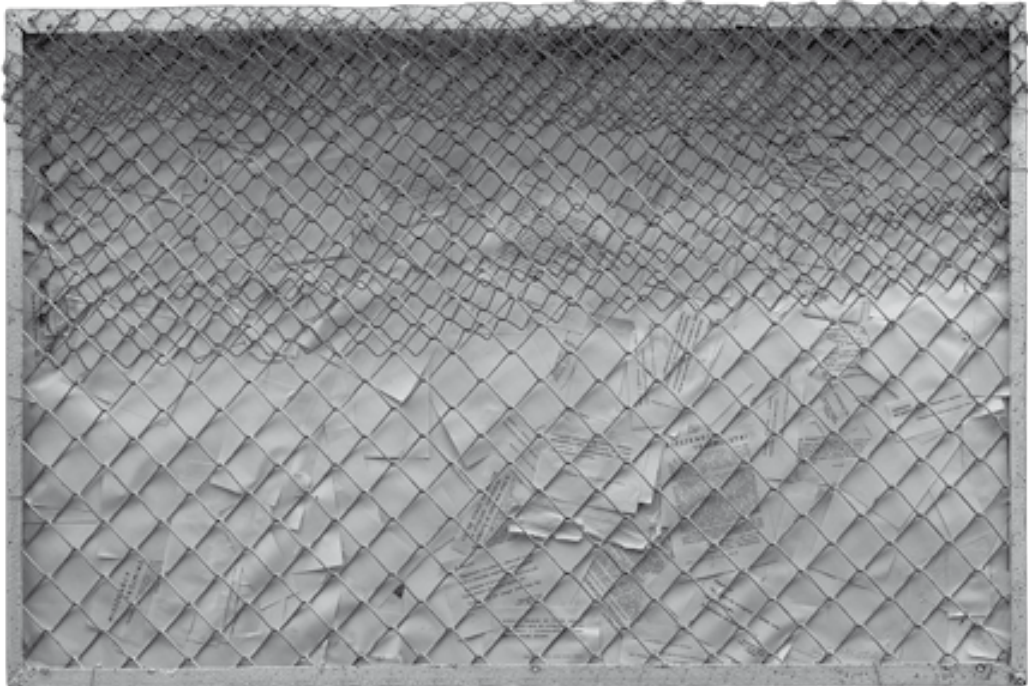
Podkowa Leśna 1997. Wydawnictwo Aula. Anna

Iwaszkiewicz i Czesław Miłosz. Robert Papieski str. 152, 153

Dzienniki i wspomnienia. Anna Iwaszkiewiczowa. Do

druku podała Maria Iwaszkiewicz. Czytelnik. Warszawa

2000. Str. 9



Alejandra Pizarnik

1971

tłum. Aleksandra Połec

NIEUFNOŚĆ

Mama opowiadała nam o rosyjskim białym lesie: „...robiliśmy ludziki ze śniegu i zakładaliśmy im kapelusze, które kradliśmy pradiadkowi...”.

Patrzyłam na nią z nieufnością. Co to takiego śnieg? Po co robili te ludziki? No i przede wszystkim, co to znaczy pradiadko?

1965

PRAWDA O LESIE

Przestrzeń hermetyczna i przezroczysta niczym zatoka słońc: kryształowy okrąg, a w środku słońce; o złotym ciele (nieobecny, ukochany ty), o głowie, w której błyszczą najbłękitniejsze oczy naprzeciw słońca w kryształowym okręgu.

Akcja dzieje się na pustyni. Jakim samotnym dzieckiem byłam, gdy przemierzałam las niczym Kapturek przed przerażającym spotkaniem. Jaka samotna, gdy niosłam koszyk, jaka niewinna, jaka poważna i zadowolona. Ale zjedli nas wszystkich, dlatego, że, jak powiedziała babcia, na co słowa, jeśli nie mogą zapobiec temu, że ktoś nas pochłonie?

Ale w mojej historii nie było wilka. Las jest zielony jedynie w umyśle. Babcia poвила moją matkę, która z kolei sprowadziła na świat mnie. A wszystko to dzięki mojej wyobraźni. Ale tam, w moim teatryku, wilk je pożarł. Jeśli chodzi o wilka, wycięłam go i przykleiłam w moim szkolnym zeszytach. Krótko mówiąc, w życiu są mi winni ucztę.

I to nazywasz życiem? - spytała babcia.

1966

TRAGEDIA

Z szumem lalczynych oczu poruszanych wiatrem tak silnym, że delikatnie otwierał je i zamykał. Siedziałam w małym trójkątnym ogrodzie i piłam herbatę z moimi lalkami i śmiercią. A kimże jest ta ubrana na niebiesko dama o niebieskiej twarzy, niebieskim nosie, niebieskich ustach, niebieskich zębach, niebieskich paznokciach, niebieskich piersiach i złotych sutkach? To moja nauczycielka śpiewu. A kimże jest ta dama w czerwonym aksamicie z wyciągniętą twarzą, która wydaje cząstkę dźwięków i opiera palce o spadające białe trójkąty z masy perłowej i słychać dźwięki, te same dźwięki? To moja nauczycielka pianina. Jestem pewna, że nie ma nic pod czerwonym aksamitem, że jest naga z tą swoją wyciągniętą twarzą, tak, że musi spędzać nieszczęśliwie jeżdżąc wielkim czerwonym tryckiem z aksamitnym siedzeniem, ściskając nogami siodło, coraz bardziej zaciskając niczym kombinerkami, aż aksamit w nią wejdzie i nigdy nie będzie już go można zobaczyć.

1966

ZMARLI I DESZCZ

“Był sobie człowiek, który mieszkał tuż obok cmentarza”

Szekspir

Był sobie człowiek, który mieszkał tuż obok cmentarza i nikt nie zastanawiał się czemu. I dlaczego niby ktokolwiek miałby się zastanawiać? Ja nie mieszkam blisko cmentarza i nikt nie pyta mnie czemu. Coś leży, zepsute albo chore, pomiędzy tak i nie. Jeśli człowiek mieszka blisko cmentarza, nie pytają go czemu, ale jeśli mieszka daleko od cmentarza, też nie pytają czemu. Ale ten człowiek mieszkał blisko cmentarza nieprzypadkowo. Powiesz mi, że wszystko jest przypadkowe, zaczynając od miejsca, w którym się mieszka. Nie obchodzi mnie twoje słowa, ponieważ nikt nigdy nie mówi mi niczego, kiedy myśli, że mówi. Słyszę tylko moje desperackie szepty, pieśni liturgiczne dochodzące zza świętego grobu mojego szalbierczego dzieciństwa. To jest kłamstwo. W tym momencie słyszę Lotte Lenyę, śpiewającą *Die dreigroshenope*. Oczywiście, mowa po prostu o ptycie, ale nie przestaje mnie zadziwiać, że w czasie tych trzech lat, które upłynęły od ostatniego razu, gdy jej słuchałam, nic nie zmieniło się u Lotte Leny, a tak wiele (być może wszystko, gdyby wszystko było prawdą) zmieniło się u mnie. Poznałam śmierć i poznałam deszcz. Z tego powodu, może wyjątkowo z tego powodu, i żadnego innego, tylko z powodu deszczu na nagrobkach, tylko z powodu deszczu i zmarłych, tuż przy cmentarzu mieszkał pewien człowiek. Zmarli nie wysyłają żadnych szczęśliwych sygnałów. Pech i cierpliwość, ponieważ życie to czas muzycznej nauki ciszy. Ale coś się rusza i ujawnia, gdy na cmentarzu pada deszcz. Na własne oczy widziałam ludziki w czerni śpiewające lamenty o wędrowcach, o straconych poetach. I ci w kaftanach zmoczonych deszczem, i niepotrzebne łzy, i mój za młody ojciec o dłoniach i stopach greckiego młodzieńca, ojciec lękałby się tej pierwszej nocy w tym brutalnym miejscu. Ludzie i ludziki w czerni opuścili pospiesznie cmentarz. Obdarty z szat mężczyzna zatrzymał się obok mnie, jakby chciał mi pomóc, gdybym tego potrzebowała. Być może był to mężczyzna, o którym opowiada historia zaczynająca się od słów: „Był sobie człowiek, który mieszkał tuż obok cmentarza”. Och, płyta się zmieniła, i Lotte Leny nagle się postarzała. Wszyscy zmarli są pijani deszczem, suchym i obcym dziwnemu, żydowskiemu cmentarzowi. Tylko w odgłosie deszczu padającego na groby mogę dowiedzieć się czegoś, co mnie przeraża. Oczywiście błękitne, oczy wryte w świeżą glebę pustych grobów na żydowskim cmentarzu. Gdyby tuż obok cmentarza znajdował się jakiś pusty domek, gdyby mógł być mój. I przejąc go niczym statek i oglądając przez lornetkę grób ojca w deszczu, ponieważ jedyne połączenie ze zmarłymi odbywa się

w deszczu, kiedy zmarli powstają, a niektórzy żywi śpiewają pieśni o duchach, zjawach i marach. Zimą zdarza mi się zbliżyć do moich nieobecnych, tak jakby deszcz to umożliwiał. To prawda, że to lub ten, którego nazywają Bogiem, nie przejmuję się niczym, ale prawdą jest też to, co wyczytałam w Talmudzie: „Bóg ma trzy klucze: klucz deszczu, klucz narodzin i klucz przywrócenia zmarłych”.

1971

BAROKOWE TRUDNOŚCI

Są słowa, których w niektóre dni nie umiem wymówić. Na przykład dziś: rozmawiałam przez telefon z pisarzem D. - jękała - i chciałam mu powiedzieć, że czytam książeczkę bardzo ładnie zatytułowaną *L'impossibilité d'écrire*. Powiedziałam „L'impossibilité...” i nie mogłam skończyć. Ogarnęła mnie mgła, istnienie podeszło mi do gardła, czułam zawroty głowy, i że moje gardło to centrum wszechświata i wiedziałam też, że nigdy już nie uda mi się powiedzieć „écrire”. D. - gorzej czy lepiej - dokończył tytuł, co wypełniło mnie nieskończonym żalem, ponieważ w tym celu musiał pokonać nie wiem ile przeszkód w postaci samogłosek. Ach, te dni, w które mówię barokowym językiem i używam niekończących się wyrażań, żeby zasugerować słowa, które nie chcą być przeze mnie wypowiedziane! Gdyby to chociaż było jękanie, ale nie - nikt tego nie zauważa. Co ciekawe, kiedy to się dzieje przy kimś, kogo kocham, tak bardzo się martwię, że podwajam moje sympatie i czułość. Tak jakbym powinna jakoś im zrekompensować słowo, którego nie mówię. Na przykład ostatnio marzyłam o tym, żeby powiedzieć D.: „Jeśli prawdą jest to, co pan tak często mówi, jeśli prawdą jest, że szaleje pan z chęci pójścia ze mną do łóżka, niech pan teraz podejdzie, no już”. Być może mową ciała dałabym mu coś ekwiwalentnego do słowa „écrire”. Zdarzyło mi się to raz. Przespałam się raz z pewnym włoskim malarzem, ponieważ nie umiałam powiedzieć: „kocham tamtą osobę”. Zamiast tego odpowiedziałam na jego prośby niejasną serią przesadzonych i niejednoznacznych obrazów i w ten oto sposób skończyliśmy w łóżku. Tylko dlatego, że nie umiałam powiedzieć zdania, które myślałam. Skończyło się tak, że płakałam w jego ramionach, pieszcząc go, tak jakbym śmiertelnie go obraziła, i myśląc, kiedy go pieściłam, że w rzeczywistości to nie była dla niego zbytnio rekompensata, że tak naprawdę pozostawałam mu coś winna.

ALEJANDRA PIZARNIK

głód

to nieprawda, że najlepszą sztukę warto robić
o pustym brzuchu. pełny nie wierzy w głód, ale pusty
nie dopuszcza wiary w sytość. albo inaczej: zakochany
nie wierzy w samotność. różnica polega na tym, że głód

można zaspokoić żdźbłem trawy. które żdźbło
zaspokaja samotność? samotność tak wielką,
że musisz odmawiać jedzenia, bo w brzuchu lęgną się
motyle, które nie zdążą rozwinąć skrzydeł na czas.

hard of hearing

właściwie to nie wiem, kiedy przestałem słyszeć
gwizdanie w *no soy de aquí... ni soy de allá* Jorge Cafrune.
z kolei Facundo Cabral, oryginalny autor piosenki powiedział,
że życie nie odbiera ci rzeczy: uwalnia cię od nich.
nie jestem stąd, ani stamtąd, jak brzmi tytuł, *nie mam wieku,*

ani przyszłości. przestałem słyszeć gwizdanie, ptaki,
piszczący czajnik gotowanej wody. nie jestem stąd,
ze świata słyszających i nie jestem stamtąd,
ze świata głuchych. gdzieś pomiędzy, aby zanadto
nie czuć się jak u siebie i mieć się od czego uwolnić.

29.03.2025 (przestawianie zegarów)

do tyłu, o jedną godzinę. bóg wie o której wstanę,
wyrwany z najgłębszej fazy snu. w płyczinę, do której
ostrożnie zejść na dół. podobno świat czeka wielkie nieszczęście,
mówi moja matka: zobacz, jestem przygotowana.
weź tyle, ile zdołasz. powtarza to w kółko: weź tyle, ile potrafisz.

dobrze, ile tylko mogę. jeśli o mnie chodzi, już od dawna
nie wiem, która godzina jest czarna, cofnięta,
przyspieszona. nie odróżniam. mój zegar stoi i ja stoję w miejscu.
ale przestawiam, do tyłu, o sześćdziesiąt minut.
wielka katastrofa rozpędzi się, kiedy patrzę w sufit.

to łóżko i ten pokój,
kiedyś, wynajmie ktoś inny.
współczuję pięciu metrom, nawet się nie powieszysz.
ja nie mogłem. ale wyśpisz się, może
nawet tak dobrze jak ja. i może w tym pokoju
przez jakiś czas nie będziesz sam. będziesz ściśnięty,
błękitny, zwrotnym wychwytem serotoniny.
to lustro zobaczy kolejną martwą twarz.

łapanka

wycofajmy się w porę. w czas liczenia do trzech,
zanim zaczną gonić. trzeba uciekać. gdzie.
strzał z rewolweru na znak, że możemy ruszać.
w popłochu, bez planu, bo nie wiem, czy lepiej biegam,
czy wspinam się po drzewie. liczyć do trzech
i liczyć na szczęście. na cud, na kryjówkę, której nikt
nie wyda. która ochroni, a kiedy wyjdziemy,
będzie już po wszystkim.

Grzegorz Bazylak

PUNKT STYKU

To nie lustrzane neurony, w których toniesz,
naśladując to, co ci każą, aby przetrwać, ale
nie po to, aby przeżyć, to punkt styku klucza
i nakrętki, klucza i zamka, klucza o którym się

zapomina, gdy się go wsuwa, tego posłańca,
który wkracza do zamkowej komnaty zanim
otworzy drzwi lub usta, tego, który uwalnia
siłę przekreślenia w punkcie styku dobra i zła,

tkwiącego wewnątrz twego sumienia, które
pod naciskiem ręki rozpada się, jak kostka
cukru i rozpuszcza się, jak kara za przestępstwo
słodkich snów i pożądania - *dolci pensier*;

disio – za które Francesca da Rimini trafiła
do dantejskiego piekła hysterii i została stamtąd
wyzwolona dopiero kluczem logicznym Markiza
de Sade, kolejno uwalniana w zamku Silling

od prostych namiętności aż do złożonych
perwersji, od zbrodniczych skłonności aż
do śmiertelnych nawyków, na styku dyscypliny
nieubłaganych liczb i na stokach pogmatwanych

manii, dopóki splot ciał i przyjmowanych przez
nie pozycji, nie zmienił się w sztywny klucz
i wielokątną nakrętkę tworzących razem
jedną postać, która patrzy w *sphukane*

*deszczem, poruszone gromem, łagodne oko
błękitu* (Norwida), smoka (Świętlickiego)
i zupy (Dąbrowskiego).

Bydgoszcz, 21.12.2024

BABIA WIEŚ

W środku tego miasta, tuż za mostem i pomnikiem powstańców,
naprzeciw szpitala i całkiem blisko kościoła garnizonowego,
nad rozmokłym brzegiem Brdy, rzeki zbawienia, rzeki zapomnienia,
jak na granicy między lekiem a narkotykiem, wciąż stoi parkan
z przegniłych październikowych płyt, który osuwając się w nicość
przywraca nas ludzkości, jak intencja, co przestała być rozpoznawalna,
gdy ktoś nabazgrał na nim czarnym sprejem rozwartą paszczę wilka
obok spadającego z deskorolki tłustego szczura oraz napisał słowa,
wysłuchane w sobie i przekaz spoza świata algorytmów i aplikacji,
jak strzęp alertu, odezwy lub wiersza: Głodny? Zjedz bogatych.

Bydgoszcz, 26.03.2025

BALONY ZE SMOŁĄ, POTEM DRONY

Tak, masz wybór, wybierz się do siebie,
przyjedź i rozkręcaj, rzucaj na kolana,
nie chodząc po śladach przenoś komórki,
rób ciągle to samo na własną rękę, najpierw

promocje, potem przepychanki, chodź
w parze tam, gdzie jest niewiele przestrzeni,
sprzedawaj coś, jak pizzę, zatrzymuj się,
aby pogadać lub zjeść burgera, pędząc,

ustępuj z drogi, obniżaj cenę, nie narzekaj,
że musisz odpuścić na jakiś czas, wytwarzaj
ser, świadomość tego, co jest wciąż możliwe,
siłę napędową, ze środkami do dyspozycji

ruszaj na północ, śpij na podłodze, szkoda
forsy na koc i materac, aby krewni i znajomi
ustawiali się w kolejkach, ciągnąc ze sobą
sąsiadów, dopóty dopóki najbliżsi nie zaczną

uważać, że im także coś się słusznie należy,
bo wymagania mogą iść tylko w górę, sam
przecież wiesz, że stać cię na jeszcze więcej,
dopiero wtedy endorfiny skutecznie obnażają

torsy królom życia, wszyscy się przyglądają,
na fiestach, na ekranach, skupieni na jednym
celu, gdyż dobro nie jest antytezą zła, ale jego
najbardziej skuteczną maską, jak mrówki

w starannie pielęgnowanym ogródku, gdzie
sadzone od lat róże zaczęły wreszcie
układać się w ornament

Bydgoszcz, 21.12.2024

CAŁY ŚWIAT NA TO CZEKAŁ

*Cywilizacja jest najbardziej sensacyjnym odchyleniem
i najbardziej romantycznym buntem...*

Gilbert Keith CHESTERTON (1874-1936)

Okazuje się, że na krańcach tego miasta
jest ogród botaniczny, gdzie na niewielkim
obszarze postulowanej przez Paula Ricoeura
dialektyki tego samego i siebie zimuje stadko

czyżyków ukrytych w bezlistnych gałązkach
głogu. Niejeden z nich przyleciał tu tylko po to,
aby popatrzeć ci na ręce, a wielu innych, aby
pilnie obserwować twoją twarz udręczoną

w oczekiwaniu na zbliżający się wigilijny wieczór.
Kilka kroków dalej, tuż za bukowym lasem,
na wodnej płaszczyźnie, *co myśli nieba błękitem*,
w ten mglisty i bezwietrzny dzień, para kaczek

krzyżówek bez obawy podpływa do twoich stóp
i poszukując tak cenionej przez Arystotelesa
zasady porządku w układzie zdarzeń, odbywa
właśnie zimowe gody, ubarwiony kaczor i szara

kaczka, raczej jak *puta* niż dziwaczka, na przemian
wyciągają swoje szyje, rytmicznie podnoszą
i opuszczają przed sobą głowy, powoli zbliżając się
do siebie, w spektaklu tylko sobie dedykowanym,

w serii ukłonów, sygnałów pożądania, podziwu,
adoracji i akceptacji, po to, aby nagle, całkiem
bezwstydnie, przejść na twoich oczach do
kulminacji tej miłosnej intrygi, w ten krótkotrwały

stan uporządkowanego przekształcenia od sytuacji
początkowej do końcowej, w ten odtwarzany
z uporem przez tysiące lat moment, gdy kaczka
zanurzy głęboko swój łeb pod wodą, a kaczor

gwałtownie i z wdziękiem, wyskoczy znad wody
rozpinając skrzydła i spadnie wprost na ten
perfekcyjnie wypięty w górę kuper, dokonując
błyskawicznej integracji snu i znaczenia.

Bydgoszcz, 22.12.2024

ODRZUĆ TO WSZYSTKO

Nie odnoś się, nie podnoś, nie unoś
leżącej pod parkometrem niklowanej monety,
której rewers pozwoliłby ci
na wymianę naiwnej niewiary
w boską opatrność na ślepą wiarę
w podstęp i dostęp, ten rzadko
wspomagany fikcyjną inteligencją
prezydentów i bankierów
przepis na postępek

Nie odnoś się, wybierz siebie, znieś
jej błysk, chwytając za gardło obecność,
której awers pozwoliłby ci
zmienić priorytety, gdy dołączysz
kiedyś do wilczej watahy
objętej zatwierdzonym w Brukseli programem
ochrony naturalnie spotykanych powodów
do frustracji bez ingerencji osób trzecich

Nie odnoś się, ale weź się, jak
kiedyś Alfred N. Whitehead i Bertrand Russell,
za objęcie w wieczyste posiadanie zalet swoich wad,
zabierz się stąd, odejdz zanim zostaniesz
ponownie użyty, bez możliwości wyboru,
do przeszukiwania swoich ograniczonych
zasobów i zakamuflowanych w lesie
pod Łysomicami zapasów, które tym razem
wyglądają na wynik zmniejszenia
ryzyka uszkodzenia biletu drukowanego
dla ciebie przez parkometr
stojący w najbardziej
nasłonecznionym miejscu
miasta nad Brdą

Bydgoszcz, 22.12.2024

Dariusz Pawlicki

MEDYTUJĄC NAD OGRODEM

„Gdzie nie ma człowieka, natura jest jałowa”;

William Blake, Wiersze i pisma.

I.

O wyprawie arktycznej, która pod dowództwem Johna Franklina wyruszyła z Anglii w maju 1845 r., słyszał na pocztku XXI w. prawie każdy. A jeśli nie, przede wszystkim ze względu na młody wiek, to usłyszy prędzej czy później; najpewniej prędzej. Choć są i tacy, którzy wiedzę w tym zakresie posiadali, lecz, z powodu takich czy innych dolegliwości zdrowotnych, utracili ją.

Okrety „Erebus” i „Terror”, wchodzące w skład tej wyprawy, po raz ostatni były widziane przez Europejczyków – konkretnie przez wielorybników – w lipcu wspomnianego roku w zachodniej części Zatoki Baffina. Po tej dacie statki te, jak i członków ich załóg, widzieli już tylko nieliczni Eskimosi (od pewnego czasu nazywani, nie wiedzieć dlaczego, Inuitami), jak też fok i oraz polarne niedźwiedzie, zające i lisy. To byli wyjątki i okazjonalni świadkowie tragicznego losu 129 ludzi.

Admiralicja, wobec zupełnego braku informacji o losie ekspedycji Franklina, po upływie 3 lat (zakładano, że żywności, jaką zabrały obie jednostki wystarczy na taki okres) zarządziła wszczęcie poszukiwań. I w 1848 r. została wysłana pierwsza ekspedycja ratunkowa. Następnie, wobec niezmiennego braku jakichkolwiek wieści, wyruszyły kolejne. W akcję poszukiwawczą zaangażowały się również osoby prywatne, Kompania Zatoki Hudsona, jak też marynarka amerykańska. Pośród tych pierwszych szczególnie wyróżniła się energiczna Jane z domu Griffin Franklin, wtedy już wdowa po Johnie Franklinie. Choć nikt, w tym lady Jane, o tym jeszcze nie wiedział (jej mąż zmarł w 1847 r. o czym ona i inni dowiedzieli się dopiero w 1859 r.).

Losem „Terrora” i „Erebusa”, a przede wszystkim ich załóg, interesowało się, i to bardzo, nie tylko społeczeństwo Zjednoczonego Królestwa, jak też kolonie brytyjskie, ale również mieszkańcy reszty Europy i Stanów Zjednoczonych.

*

Na pierwsze ślady związane z wyprawą Franklina natrafiono w sierpniu 1850 r. na Devonie (wyspa). A na kolejne, i to wkrótce, na pobliskiej, niewielkiej Wyspie Beecheya. Na niej właśnie natrafiono m. in. na groby trzech uczestników wyprawy. Ale w swej relacji Amerykanin Elish Kent Kane, lekarz na statku „Advance”, jednej z jednostek szukających owych śladów, wspomina jeszcze o czymś. Z jego relacją na ten temat zaznajomiłem się w książce Na zawsze w lodzie kanadyjskich autorów*, w następującej postaci:

„Kane poczuł «niesamowite wzruszenie», gdy natrafiono na wygrzebany w żwirze niewielki ogródek, w którym wciąż rosły zawiłce. Kane pisał: «Ogród oznacza chęć pozostania albo powrotu, ten, kto go zakłada spogląda w przyszłość»”.

Nie wiemy, jak nazywał się uczestnik wyprawy Franklina, który założył ten miniatury ogród na wysepce w Archipelagu Arktycznym, miejscu wyjątkowo nieprzyjaznym człowiekowi: w krótkim okresie wegetacyjnym (40 do 55 dni) temperatura rzadko przekracza tam +10°C, natomiast zimą, która zdaje się nie mieć końca – spada nawet do -50°C.

Anonimowy ogrodnik nie miał przed sobą przyszłości, o której wspomnieli Elish Kent Kane: nie pozostał na owej wysepce, ale i nigdy na nią nie powrócił. Przynajmniej nic na to nie wskazuje. Faktem jest jednak, że na temat wyprawy Johna Franklina, zakończonych, rozciągnięty w czasie, kompletną porażką, wiemy niewiele – wciąż dominują spekulacje.

Naszkicowany pobieżnie obraz wspomnianego ogródka – co jednak w zupełności wystarczyło – istniejącego od zimy roku 1845/1846 (w ostoniętej zatoczce Wyspy Beecheya ekspedycja Franklina spędziła ten czas), wzruszył bardzo wielu czytelników współczesnych tamtym wydarzeniom (poruszył i mnie, mimo że przeczytałem o tym prawie 200 lat później). A Charles Dickens, na przykład, napisał na ten temat krótki wiersz:

Spójrz, oto ślady heroicznych ludzi
i widok, który podziw budzi.

Na kamiennej pustyni posadzona roślina
w miejscu zwycięstwa Parry’ego**,
a klęski Franklina.

*

Pisząc o powyższych sprawach, i co pewien czas zastygając z piórem wiecznym nad kartką papieru, spoglądałem przed siebie. I widzę nie tylko świerki i przyobleczone w wiosenną zieleni lipy, klony, czeremchy. Przeglądam się bowiem mojemu balkonowemu ogródkowi: wrzosem, bratkom, prymulkom, słonecznikom, smagliczkom, szafirkom, suchodrzewom. Nie, nie, nie ma pośród nich zawiłców. Ale i tak to moje zbiorowisko roślin ozdobnych jest bliższe mini ogródkowi z Wyspy Beecheya niż przydomowemu ogrodowi, którym przyglądam się często, ale w innych sytuacjach. Jest bliższy przede wszystkim dlatego, że ja wiem o istnieniu obu. Nie ma znaczenia różnica w czasie ich istnienia: mój istnieje w teraźniejszości przechodzącej, płynnie i ustawicznie, w przeszłość stającą się z kolei czasem zaprzestłym, w którym istniał był tamten.

II.

Póki nie poznałem historii związanej z ogródkiem założonym w niegościnnej Arktyce – a w XIX w. niegościnnej jeszcze bardziej niż obecnie – słysząc słowo „ogrody” reagowałem przywołując z pamięci (liczba pojedyncza tego nie powodowała) – bez żadnych problemów – „Ogrody” Jarosława Iwaszkiewicza. Owa pozycja prozatorska

ukazała się po raz pierwszy w 1977 r. I egzemplarz z tego właśnie nakładu, bardzo zresztą piękny pod względem edytorskim, nabyłem kilkanaście lat temu w antykwariacie. W tym zbiorze złożonym z 3 krótkich nowel/skiców zawsze interesowały mnie szczególnie, potem już wyłącznie, tytułowe „Ogrody”: z jednej strony, za sprawą melancholijnego wspomnieniowego nastroju, z drugiej zaś, oczywiście tematyki: relacji autora, głównie w postaci wspomnień, z życia w posiadłości o nazwie Stawisko, położonej w podwarszawskiej Podkowie Leśnej będącej połączeniem miasteczka z ogrodem i lasem.

W opowieści zatytułowanej „Ogrody” okazały dom w stylu neoklasycznym, będący centralnym punktem Stawiska, stanowił tło, na którym zostały opowiedziane losy jego rozlicznych mieszkańców, także sąsiadów. Mowa jest w niej również o licznych gościach odwiedzających Annę i Jarosława Iwaszkiewiczów w tym domostwie, jak i o zmieniającym się w ciągu dziesięcioleci jego otoczeniu; zwłaszcza przestrzeni najbliższej, z rosnącymi w niej – ale nie wiecznie – drzewami, w tym tymi tworzącymi aleje. I to zawsze mnie urzało. I urzeka. Przez wiele lat był to wyłącznie efekt kolejnych lektur. Lecz ta swojskość wzbogaciła się jeszcze, a może wręcz dopełniła, dwiema wizytami złożonymi tam. Z tym, że ta druga była jeszcze połączona z noclegiem w jednym z pokoi gościnnych mieszczących się na poddaszu. Miało to miejsce prawie czterdzieści lat po śmierci Anny (1979) i Jarosława Iwaszkiewiczów (1980). Kiedy to w zabytkowej rezydencji funkcjonowało, i to od wielu już lat, Muzeum im. Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów na Stawisku. Tak brzmi pełna nazwa instytucji chroniącej nie tylko samo miejsce, dorobek twórcy obojga gospodarzy, ale i pamięć o nich; nieliczni mają takie szczęście (nie mam na myśli wyłącznie twórców).

Sam budynek otoczony jest terenem o powierzchni 17 ha mającym charakter parkowo-ogrodowy (to pierwsze dominuje). Kiedyś na tę posiadłość, zajmującą znacznie większy teren, składały się także pola uprawne, sady i stawy.

Pozostałe dwa utwory współtworzące Iwaszkiewiczowskie „Ogrody”, to jest „Sny” i „Sérénité”, pociągały mnie o wiele mniej, a w końcu – jak napomknąłem – przestały mnie w ogóle interesować. Choć i w nich mowa jest o ogrodach. Rzecz jednak w tym, że są to ogrody znajdujące się za granicą. I, choćby z tego powodu, nie są dla mnie swojskie (choć były takimi dla Iwaszkiewiczów). W przeciwieństwie do Stawiska.

Te moje wizyty w powyższym miejscu, jak wspomnieliśmy, były dwie. Nie mogę więc w żadnym razie mówić o przesycie. W grę wchodzi raczej niedosyt. A ten jest zdecydowanie bliższy cenionemu przeze mnie umiarowi, niż przesyt.

III.

Ogród w dziejach człowieka, „jeżeli zawierzyć archaicznej metryce” odgrywa – o czym niektórzy wciąż pamiętają – istotną/fundamentalną rolę. Z chwilą złamania Boskiego zakazu (dobrej rady?), kreatura ulepiona z gliny stała się człowiekiem. Właśnie to, nic innego – o czym należy pamiętać – uczyniło z niej człowieka. A miało to miejsce, nie gdzie indziej, tylko właśnie w ogrodzie. I to w Rajskim Ogrodzie, który, wkrótce po swych narodzinach, ów już-człowiek, mocą Boskiego rozkazu, musiał opuścić (a nie miał wtedy na sobie choćby skarpetek). Wszystko, co później przydarzyło się jemu, tam właśnie miało swój początek. Odnośnie owego szczególnego/wyjatkowego miejsca na Ziemi Ernst Jünger w *Promieniowaniach* napomyka:

„Prototypem wszystkich ogrodów jest zaczarowany ogród, prototypem wszystkich zaczarowanych ogrodów jest raj”.

I dodaje (tamże), że „ogrodnictwo, jak każdy z prostych zawodów, ma kultowe podłoże”.

Mając na uwadze to z czym kojarzy mi się ogród, i powody mego nim zainteresowania – zwłaszcza ze względu na ten właśnie tekst – nie mogę tracić z oczu faktu, że natura sama ogrodu nie stworzy. Przede wszystkim dlatego, że nie jest on jej do niczego potrzebny. W jego powstanie musi więc zaangażować się człowiek. Jemu zaś, w takim wypadku, owa (obojętna) natura jest niezbędna: bez niej ani rusz...

Z bardzo licznych powodów symbolika ogrodu, co najzupełniej nie powinno dziwić, jest bogata, a nawet przebogata (nie ma w tym przesady). A w tej symbolice, ze

względem na stwarzanie ogrodu, istotne jest i to, iż „ogród to miejsce, gdzie Natura jest ogrodzona, ujarzmiona, wyselekcjonowana [...] to „porządek, przeciwieństwo chaosu, bezładu; [...]”; „porządek kosmiczny [...]”; Kultura, przeciwieństwo dzikiej przyrody [...]”****.

Ogród to, nie tylko dla mnie, uosobienie piękna. I to w takim samym stopniu, gdy dotyczy to ogrodu zadbanego, jak i... zapuszczonego. W tym drugim przypadku – wielu mogłoby powątpiewać w jego piękno – choć jest zdiczaty, to ogrodem, rzecz jasna, być nie przestaje. Także u jego początków jest przecież człowiek-stworzyciel. A odnośnie niezbędności konkretnego czynnika „ogrodniczego” w tego typu działalności, ktoś trafnie zauważył:

„Nie wystarczy, aby ogrodnik kochał kwiaty, on musi także nienawidzić chwasty”.

Na uzupełnienie tej kwestii natknąłem się u przywołanego już przeze mnie Ernsta Jüngera (także w *Promieniowaniach*):

„[...] tam, gdzie nie byłoby chwastów, tylko same owoce, skończyłoby się ogrodnictwo”.

Owo ogrodnicze „stworzycielstwo”, mające również wspomniany eliminacyjny charakter, bardzo mnie interesuje. Jest to bowiem stwarzanie – tak na to patrzę – mini-świata. Stworzyciel to „namiastka”/cień – jeśli w tym wypadku jakieś porównania można w ogóle stosować – Stwórca. Zresztą musiał On, i tak, wspomóc stwórcę powołany-mi przez siebie do istnienia roślinami (choć kolejne pokolenia ogrodników dostarczyły niezliczoną ilość ich odmian). Założone przez niego ogrody zasiedlił także skrzydlatymi,

wielonożnymi, jak i beznożnymi istotami. Choć pojawienie się niektórych spośród nich, wyzwala mordercze instynkty u tych, którzy sprawują pieczę nad ogrodami.

Stworzycielem był także ów nieznan z imienia i nazwiska Brytyjczyk, który w kamiennym gruncie na Wyspie Beechey, w połowie lat 40. XIX w., podczas arktycznej zimy, posadził zawilce. Nie wiemy, jakiego konkretnego gatunku one były, a tych jest bardzo wiele. Skłaniam się jednak ku temu, że chodzi o zawilce gajowe: szeroko rozpowszechnione m. in. na Wyspach Brytyjskich.

Wyobrażam sobie, jak ów arktyczny ogrodnik, bardzo ostrożnie, aby nie uszkodzić rękawic, nazbyt cennymi były, uczynił zagłębienie pośród drobnych kamieni. Zanim włożył do niego rośliny przywiezione z ojczyzny, na dno wysypał nieco ziemi. Po czym wgłębienie uzupełnił resztą ziemi z doniczek, w których rosły na jednym z okrętów. Na koniec przysypał je cienką warstwą śniegu. A uczynił to w miejscu o współrzędnych: 74°43'N 091°51'W. Ten zapis złożony z cyfr, liter i dodatkowych znaków, prezentuje się na pierwszy rzut oka bardzo zagadkowo. Ale sprawa związana z tym, co wydarzyło się dawno temu w tym odległym zakątku świata, pozostaje zagadkową na nieskończoną ilość... rzutów oka.

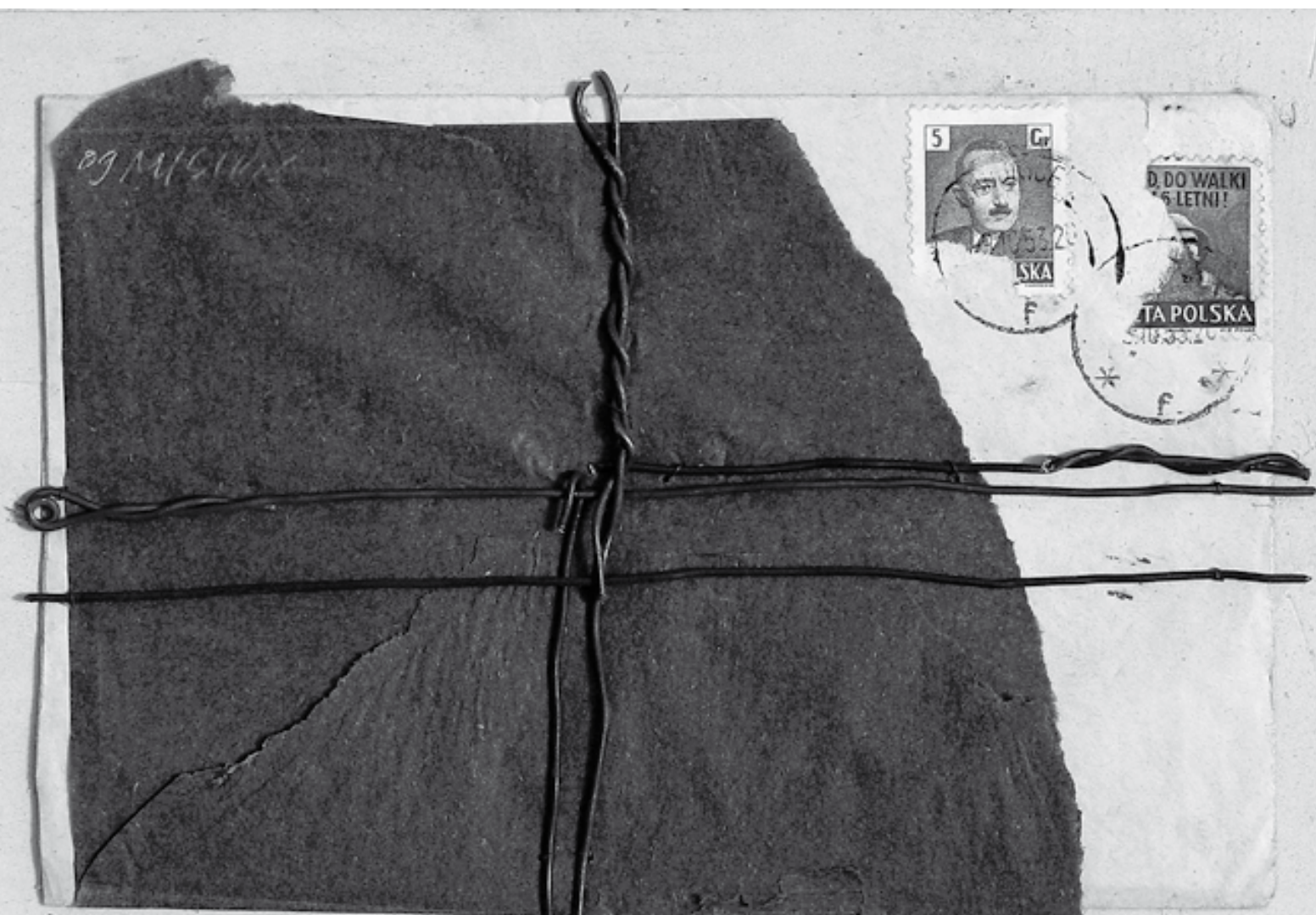
To ta zagadkowość dotycząca bardzo konkretnych ludzkich losów, całej tej sprawie nadaje niezwykłej głębi...

DARIUSZ PAWLICKI

* Owen Beattie, John Geiger, *Na zawsze w lodzie. Śladami tragicznej wyprawy Johna Franklina*, Kraków 2021.

** William Edward Parry, angielski żeglarz i odkrywca; dowodził 4 wyprawami do Arktyki (1819-1820, 1821-1823, 1824-1825, 1827), które powróciły do Anglii.

*** Władysław Kopaliński *Słownik symboli*, Warszawa 2006.



Co z tą damą?

Zbliża się pora roku, w której, po wakacyjnej przerwie w TV wracają programy, które mają wypracowaną pozycję. Razem z nimi uaktywniają się wszechobecne celebrytki/-ci. Ten fakt spowodował, że postanowiłam sięgnąć do materiałów źródłowych, by się dowiedzieć, co w tym temacie wiadomo. Znalazłam informacje, że są to osoby, które są obiektem zainteresowania mediów, zwłaszcza tabloidów. Bez osiągnięć zawodowych, które są znane z tego, że są znane. Ich życie prywatne jest obiektem zainteresowania mediów plotkarskich. Udostępniają dziennikarzom informacje o sobie, chcąc z tego czerpać korzyści. Jednak to, nie wzbudziło we mnie na tyle zainteresowania by zgłębić temat. Postanowiłam się skupić na znaczeniu określenia *dama*, ponieważ wydawało mi się bardziej interesujące. Jak się okazuje jest to kobieta, która zachowuje się grzecznie. Dawniej określenie to używane było do opisanie tylko kobiety, o wysokiej klasie społecznej lub statusie. Żeński odpowiednik mężczyzny. Obecnie może odnosić się do każdej dorosłej kobiety. Dawniej bycie damą było łatwe do zdefiniowania. Kobieta zasługująca na to miano musiała wywodzić się z wyższych sfer i mieć odpowiednie obycie salonowe. Była wszechstronnie, chociaż często powierzchownie, wykształcona i obojętnie postępowo się biegała przynajmniej jednym językiem obcym. Najczęściej francuskim. Jej nieodłącznym atrybutem były wytworne suknie ze szlachetnych materiałów (jedwabiu, szyfonu, koronki), futra oraz cały sztab służących i garderobianych. U boku tkwić dżentelmen gotowy poświęcić swoje życie w obronie jej czci i honoru. Źródła mówią, że współczesną damę powinna charakteryzować kobiecość, wdzięk i inteligencja jak również rozsądek, dyskrecja, takt i kultura osobista. Także wykształcenie i czytanie. Ponadto powinna mieć poczucie dumy i własnej wartości. Przy czym *duma* nie oznacza wyniosłego i pogardliwego spoglądania na innych. Postanowiłam się rozejrzeć i poszukać wśród znajomych i znalazłam kandydatkę do tego miana, gdyby nie ostatnia fraza definicji damy mówiąca o rozumieniu przez nią znaczenia słowa *duma*. Ta, ma ją wymalowaną na twarzy, a jej stosunek do innych jest wyniosły. Ona, twierdzi inaczej, ale fakty mówią coś innego. Na własnej skórze też to odczuwam. Moi znajomi często pytają jak to jest, że utrzymuję z nią kontakt. Prawdę mówiąc, sama nie wiem. Prawdopodobnie przesądza fakt, że jest to znajomość bez zobowiązań. Ile trzeba włożyć wysiłku, by chociaż zbliżyć się do damy, miałam okazję obserwować już jako smarkula. Zgodnie z tradycją, moi rodzice, co roku chodzili na zabawę Sylwestrową. Były to czasy powojenne, kiedy przemysł nie produkował materiałów nadających się na suknie balowe. Ale, jak się udało, na rynku spod lady kupić materiał, był on, wykorzystywany, do granic możliwości, na różne sposoby. Pamiętam, jak było z materiałem o nazwie brokat. Moja mama posiadająca zdolności krawieckie, potrafiła tak wymodlić kreację, że wszyscy myśleli, że to ciuch z zagranicznej paczki. W roku następnym, na wieszaku, wisiała, przygotowana na bal nowa kreacja. A prawdę mówiąc, była to zesztoroczna, w nowym wydaniu. Pierwotna wersja miała

dekolt z przodu. W roku następnym z tyłu. Była odcinana w talii, a jej góra mieniła się innymi barwami niż dół sukni. Co było efektem, że ta część kreacji uszyta była na lewą stronę. Ów materiał, to jedwab przetykany złotą lub srebrną nicią (aktualnie rzadko stosowany). Łata świetności to VII - XVII w. w wersji z grubej tkaniny. Podstawą lekkiej wersji, tej XVIII wiecznej, tego materiału był jedwab przetykany taką samą nicią. Nazwa pochodziła od nazwiska konstruktora maszyny do tkania J. Jacquarda. Obecnie, odpowiednikiem dawnego brokatu jest żakard, dwustronna tkanina z lekko błyszczącym wzorem. Kolejną kreacją jaką zapamiętałam była z taffy, materiału, który swój rozkwit datuje na okres XVIII - XIX w. Jest on potyskujący z obu stron. Co pewien czas powraca do łask. Do dzisiaj szyje się z niego kreacje wieczorowe oraz suknie karnawałowe. Z fasonem nowej sukni podobnie jak z poprzednim, były kombinacje. Jako smarkula nie bardzo rozumiałam modowe określenia ale uważnie obserwowałam proces szycia oraz późniejszy efekt przeróbek. Zapamiętałam przemianę dołu kiecki z nitki w bordową kratkę na kolor fuksjowy (odmiana purpury). Zupełnie nie wiem skąd się to u mnie wzięło, że jako mała, na swój sposób, dbałam o wygląd. Dużą rolę przywiązywałam do tego w co jestem ubrana i czy idąc na spacer mam przy sobie dziecinną torebkę. Jako podłotek zmieniałam zdanie i chciałam być chłopakiem. Chętnie nosiłam flanelowe koszule oversize starszego brata. Ale na balu maturalnym chciałam być jednak dziewczyną. W sklepach nadal nie było wyboru tkanin na taką okazję. Ale znalazło się rozwiązanie. Z kiecki kupionej w komisie, spod sprawnych dłoni mojej mamy, wyszło cacko krawieckie dopasowane do mojej figury i stosowne do wieku. Do rozwiązania pozostał problem z fryzurą, w której, po pobycie w salonie, wyglądałam, nie jak maturzystka, a prezydentowa. Z tym poradziłam sobie sama, niwecząc się, że jestem jego sąsiadką i żeby dać nam spokój. Udało się. Po studiach pracowałam w dużej firmie projektowej. Były to czasy, by wyglądać jako tako na czasie z modą, posilkowano się ciuchami kupowanymi za dolary lub bony w sklepach Pewex. Miałam takich kilka sztuk. Była to skórzana kurtka oraz spodnie džinsy (dzwony). Do tego buty na platformie z komisu. Całość dawała taki efekt, że przez wzrost, kilka razy brano mnie za chłopaka, i zwracano się do mnie per *stary*, chociaż często słyzałam, że jestem kobieca. Czyli, po części klops z tą kobietą w moim wydaniu. Gdy było już wiadomo, że szykuje się do zmiany stanu cywilnego, przyszła teściowa, w prezencie ślubnym, przyniosła mi, zza Oceanu, amerykańską suknię na czas po ceremonii zaślubin. Od razu byłam na nie. Nie wyobrażałam sobie

siebie w kiecce jak z amerykańskich seriali. Nie chciałam już na początku podpaść. Na szczęście, świadek z kluczem od lokum z kiecką, zupełnie zapomniał, że w planie imprezy przewidziano zmianę stroju. Teściowa musiała jakoś to przeboleć. Ja nie miałam z tym problemu. Ale impreza udała się. Z modą jest tak, że trzeba do niej podchodzić z rozwagą. Mam kuzynkę, która zarzuciła mi, że zawsze chodzę na sportowo ubrana. Żeby naocześnie ją przekonać dla czego tak jest, po kilku kieliszkach dobrego wina, postanowiłam się jej zaprezentować w kreacji. Miała dosyć pokażny zbiór zestawów modowych przywiezionych z Berlina. Gdy wskoczyłam w jeden z kompletów, obie ryknęłyśmy śmiechem a jej mąż stwierdził że dużo korzystniej wyglądam w trykotowej koszulce nocnej, którą mi dali do spania w czasie niezapowiedzianej wizyty. Przyglądając się sobie w lustrze przypominałam ciotkę ze starych fotografii. Szału nie było. Po tym pokazie odpiłyśmy jeszcze po kieliszku wina z postanowieniem, że każda pozostanie przy dotychczasowym stylu ubierania. Był okres kiedy dłuższy czas byłam zmuszona przebywać na urlopie (opieka). Dla odstressowania, od czasu do czasu starałam się wychodzić na kawę lub na spacer. Towarzyszyła mi *młoda* będąca na bieżąco z modą. Potrafiła szyć oraz robić na drutach wymyślne wzory. Biorąc ją za przykład, postanowiłam spróbować być damą. Sprawiałam sobie nowe buty typu oficerki, w sklepie T... kupiłam czarną modną kurtkę, na drutach wydziergałam długi szal. Do kompletu był czarny piśniewy kapelusz od znanej modystki oraz torba na ramię. Tak wystrojona, bez zapowiedzi, udałam się do *młodej*. Ta, przywitała mnie słowami, *pani chyba pomyliła adres*. Będąc u niej na kawie namówiła mnie, że pójdziemy na dyskotekę. Nie bardzo miałam ochotę, ale uległam. I się zaczęło. Chodziło o strój. Miałam nie dyskutować tylko zmieniać ciuchy zgodnie z jej zaleceniami. Po chwili, nie wyglądałam jak jej ciotka, a równolatka. W sumie wyglądałyśmy na dyskotekę, której obsługa była jej dobrze znana. Czując się nieswojo. Na pytanie skąd wytrasowała taką łaskę, odpowiadała, że jestem jej ciotką. Nie bardzo chcieli wierzyć. Po jednym pobycie w tym lokalu, miałam dosyć. Na koniec naszego wypadu, niedaleko domu, *młoda* zatrzymała przejeżdżający radiowóz milicyjny (milicyjni-takie czasy) i poprosiła o ogień bo chciała *zarajać*. Panowie w mundurach byli bardzo uprzejmi i zaproponowali, że mogą nas podzucić, gdzie tylko chcemy. W tym momencie dobrze się nie czułam, a już jak dama, szczególnie. Na szczęście było to koto mojego domu, bo tego dnia miałam dosyć zaskakujących sytuacji. Gdy po dłuższym urlopie wróciłam do pracy umówiłam się z koleżanką na kawę. Czekając na nią przechadzałam się pod arkadami. Kilka razy mijają mnie nie reagując. Dopiero jak się odezwałam, stanęła jak wryta. Mam koleżankę, która jakiś czas temu często bywała w wielkim świecie z racji wykonywanego zawodu-była stewardessą. W zasięgu jej hobby-stycznych zainteresowań jest gra w karty (brydż, poker oraz black jack). Zdarza jej się samotnie bywać w kasynie na małej partyjce-jak twierdzi. Będąc u mnie z wizytą, postanowiła mnie wyciągnąć do takiej-

go przybytku. Broniłam się z całych sił ale nie dałam rady. I stało się. Ona czuła się jak ryba w wodzie. Czego nie mogłam powiedzieć o sobie. Szefowa sali skakała koło nas proponując drinki. Krupierzy pytali skąd jesteśmy. Jak się zorientowali, że koleżanka jest obyta w temacie, chętnie prowadzili rozmowę. Mnie pouczyli, że nie na wszystkie moje pytania mogą mi udzielić odpowiedzi. Więc zamilkłam. Obserwowałam jedynie jak na palcu koleżanki pierścionek z osadzonym szafirem, otoczony brylancikami wysyła refleksy. Podziwiałam jak zadbane oraz operatywne dłonie krupierów nadają tempo rozgrywanym partiom. Zgodnie z przesądem, laicy przynoszą szczęście grającym. Sprawdziło się. Efekt by taki, że do kasyna jechałyśmy busem, a z powrotem, taxi. Gdy kasyno przestało mi kartę stałego bywalca, domownicy zapytali mnie czy interesuje mnie hazard, odpowiedziałam, że od czasu do czasu. Prawda jest taka że, nigdy nie zajmowałam się tym tematem. Wracam do damy. W murach zacnej uczelni odbyła się uroczystość wręczenia pamiątkowych medali oraz dyplomów. W uroczystości brał udział dawni oraz aktualni rektorzy i dziekani. W reprezentacyjnej auli zebrali się absolwenci kilku wydziałów jednego rocznika. Ja, pomimo niepełnosprawności (poruszać się o kuli), postanowiłam wziąć w tym udział. Miałam obawy, czy bez przeszkód, pokonam granitowe schody oraz lśniący parkiet. Ale zupełnie niepotrzebnie. Gdy po wręczeniu uczelnianych pamiątek obdarowani zaczęli się rozchodzić opuszczając podium, rektor widząc moje zakłopotanie, podszedł do mnie i służył ramieniem. Dzięki czemu, bez problemu, wróciłam na swoje miejsce. Zaskoczona byłam ubiorem koleżanek, który trzącił myszka. Ja postawiłam na modne trendy. Śnieżnobiała oversize bluza, granatowe o luźnym kroju spodnie i mała, przez ramię, torebeczka. Do tego, świeżo, modnie przycięta grzywa. Czułam, że nie tylko moja kula budzi zainteresowanie. W pewnym wieku nasze zdrowie czasem robi nam psikusy. Tak było i ze mną. Nie wiadomo od czego, gwałtownie skoczyło mi ciśnienie. Przed oczami pojawiły mi się mroczki, co wzbudziło mój niepokój. Wezwani ratownicy pogotowia ratunkowego zdecydowali, że nie obejdzie się bez wizyty w szpitalu. Kilkakrotnie pomiary ciśnienia potwierdzały jego ponadnormatywną wartość. W tej sytuacji lekarz dyżurny SOR (Szpitalny Oddział Ratunkowy) zaordynował wykonanie kompletu badań w tym prześwietlenia klatki piersiowej. W środku nocy, inwalidzkim wózkiem, zostałam dowieziona na RTG. Po drodze zagadałam do sanitariusza transportującego mnie, że na korytarzu można odechnąć świeżym powietrzem. Ten, umęczony długim dniem pracy, odezwał się, że nareszcie ktoś nie narzeka. W pracowni, jak to zwykle bywa, musiałam się rozebrać do poświaty. Ku mojemu zaskoczeniu sanitariusz zaafekował, że na czas badania, potrzyma moją koronkową część garderoby. W drodze powrotnej na SOR, rozmawiał ze mną jak dobry znajomy. W godzinach rannych, po kilku kroplówkach, moje ciśnienie się unormowało i zostałam wypisana do domu. Wyczytałam również, że oprócz damy funkcjonuje jeszcze określenie *damulka* zwana *paniusią*. Jest ona modnie ubrana, ma fryzurę zgodną z aktualnymi trendami, umalowana, opalona (w solarium). Często uczęszcza na różnego rodzaju kursy gdzie w przyspieszonym tempie nadrabia braki. Uczy się konwersacji, odpowiedniego zachowania przy stole, ubierania oraz wielu innych umiejętności. Często budzi uśmieшек oraz politowanie wśród otoczenia. Dużo

osób nie zdaje sobie sprawy z tego, że różnica między *damą* a *damulką* jest ogromna. Nie wiedzą też, że na ulicy to *damulka* odwraca się za *damą*. Nie znają też maksymy, że *damą* się jest, a nie bywa. *Celebrytka*, *damą*, *damulka* do żadnego określenia w 100 % nie pasuje. Może najbliżej mi jednak do damy, chociaż jest niejedno ale. Od *celebrytki* oraz *damulki*, dzieli mnie przepaść. Jest to obcy dla mnie świat we wszystkich aspektach. Określenie znaczenia współczesnej damy, na pierwszy rzut oka, stawia jej dosyć duże wymagania. Jednak, gdy się chwilę zastanowić, nie jest tak źle. Dużo współczesnych kobiet jest wykształconych, odczytanych, inteligentnych. Kobięcość i wdzięk podobno mają wrodzoną. Pozostaje jedynie umiejętność ich eksponowanie, co nie jest łatwe. O pozostałe cechy (rozsądek, dyskrecję, kulturę osobistą, dumę oraz poczucie własnej wartości) powinno się wynieść z domu oraz ze szkoły. Ale czy to wystarczy? Obawiam się, że nie do końca. Pocieszeniem są sytuacje kiedy jesteśmy wyjątkowo potraktowane. Wewnętrznie czujemy, że coś się zadziało i zostaliśmy, jako kobiety zauważone. Po czasie, z rozrównaniem wracamy do tego. Gdy doszłam do wniosku, że nie dorównam koleżance, którą brałam za przykład damy, chciałam mieć chociaż guzik od jej modnego stroju. Była to modna marynarka. Niestety nie udało się. Chciałam być posiadaczką guzika za sprawą radia, z którego się dowiedziałam, że w Polsce jest muzeum guzików. Są tam egzemplarze z całego świata, wraz z notką do kogo należały. Ich właścicielami były znane osoby: prezydenci, aktorzy, podróżnicy, mistrzowie sportu itd. Jako spersonalizowane egzemplarze znalazły swoje miejsce w muzealnych gablotach. Ona nie rozumiała, o co mi chodzi z tym guzikiem. Co ma wspólnego jakieś muzeum z guzikiem od jej marynarki. Dałam spokój. Gdy znalazłam zbieranie guzików, w szufladzie starej komody, do głowy mi nie przyszło, by je tak po prostu wyrzucić. Jak się okazało do niczego się nie przydadzą. Łudziłam się, że nadadzą się do recyklingu. A tu niespodzianka. Guziki zakwalifikowano do odpadów zmieszanych. Podobno, nawet plastikowe, ponieważ są zbyt małe by móc je przetwarzać. A swoją drogą to wszystko jest dziwne. Z jednej strony muzeum guzika, a z drugiej, guziki, guzik warte. Chyba najwyższy czas zakończyć ten temat, zapinając go, niekoniecznie na muzealny GUZIK.

A ja postanowiłam dalej drążyć temat damy. Tym razem z Oceanem gdzie odwiedziłam ludzi, którzy nie byli naszą rodziną ale traktowali nas jakby byli. Jak się okazało, nieszczęście rodu pochodziła z Polski. Jako małą dziewczynkę, sierotę, przegarnęła i wychowywała moja babcia. Jak się nadarzyła okazja, na lepsze życie, razem z sąsiadami, (za chlebem), wyemigrowała za Ocean. Tam szybko wyszła za mąż. Jej życie upływało na wychowaniu dzieci oraz wnuków oraz czynnym udziale w życiu parafii polskiego kościoła. Odwiedzając ich w USA miałam okazję poznać ich wszystkich. Wśród nich jednego z jej wnuków. Była to, dziwna osoba. Zamknięta w sobie. Mająca kompleksy, że nie zna języka polskiego oraz, że wszyscy tacy wykształceni, a on ma tylko zawodową praktykę. Nad nami górował swoim hobby. Był myśliwym. Na początku polował na jelenie, później na niedźwiedzie (!). Rodzina przywykła do wyjazdów pociągowej na polowania. I miała po części dosyć o tym opowiadać. Z kolei dla mnie wszystko było czymś nowym. Ciekawiło mnie jak to jest stojąc, oko w oko ze zwierzęcą, strzelać. Nie chciałam się zagłębiać

w filozofię samego polowania, wystarczył mi dorodne poroża jeleni oraz wypchany niedźwiedź (albinos) upolowany przez kuzyna. Gdy go poznałam miał trudny czas. Zmarła mu żona (nieudany zabieg). Gdy po drinku zaczął, rozmawiać ze mną po polsku, jego najbliżsi byli zadowoleni, że chociaż na trochę zapomina o smutnych sprawach które go dręczyły. Jak się okazało, że się dogadujemy postanowił pokazać mi, gdzie w wolnym czasie rodzina często wyjeżdża. Razem z jego bratem oraz znajomymi, w dwa trucki, pojechaliśmy do ich chaty w lesie. Nazwali ją *cabin* od horroru produkcji amerykańskiej z 2012r. *The Cabin in the Woods* („Dom w głębi lasu”). Jego siostra uważała, że to nie dla mnie wycieczka, ponieważ tam nie ma nic ciekawego. Dom był otwarty. Nigdy nie zamykany. Z niezbędnymi sprzętami do zamieszkania w okresie letnim. Jazda truckiem po bezdrożach z myślami była dla mnie wątpliwą atrakcją. Nagle truck zjechał na pobocze i się zatrzymał. Nie wiedziałam co się święci. Myśliwy nic nie mówiąc wysiadł i zaczął zrywać polne kwiaty, które mi wręczył pytając czy to jest romantyczne. Nie wiedziałam o co chodzi. Wyjaśnił mi, że chciał wiedzieć jakie jest moje zdanie, ponieważ jego ś.p. żona miała do niego pretensję, że on nie jest romantyczny. Za bardzo nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Na szczęście dojeżdżaliśmy do celu i temat się jakoś rozmył. Weekend był udany. Miałam okazję degustować potrawy z grilla, ichni *barbecue* oraz piwo, po którym wszystkim zaszumiło w głowach i nikt nie miał kłopotów z porozumiewaniem. Myśliwy brylował językiem polskim tylko jak brakowało mu słów szukał u mnie pomocy. Ja, dla zachęty, chwaliłam go co rusz. Jak nam tak dobrze poszło w lesie, za namową siostry, zaprosił mnie na obiad do restauracji. Przyszedł taki elegancki, że w pierwszych chwilach go nie poznałam. Wybraliśmy się jego jeepem, do którego miałam problemy z wsiadaniem. A to za sprawą butów na wysokim obcasie oraz większej spódnicy. Ale przy pomocy silnego ramienia partnera dałam radę. Brat przestrzegał mnie, bym niczemu się nie dziwiła, bo to jest AMERYKA. I tak, ów jeep był przystosowany na polowania a nie wożenia kogoś w stroju wyjściowym. W lusterku wstecznym widoczne były specjalne podwieszki dla umieszczenia na nich broni myśliwskiej. Jak się okazało, przy jej przewożeniu musi być ona umieszczona na widocznym miejscu. Po tym już nie zadawałam pytań. Czułam się dziwnie w tym terenowym wehikule w ciuchach z modnego butik. Towarzysząca mi osoba, myśliwy pełną gębą, z nieco dzikim spojrzeniem, o urodzie przypominającej meksykańina w jasnym garniturze. W restauracji, nie pamiętam, żeby było coś, co zapadło mi w pamięć. Może jedynie wysokoprocentowy meksykański napój o nazwie *tequila* (z popularnej agawy). Niestety odchorowałam go. Myślę, że myśliwemu podobał się czas spędzony w moim towarzystwie. Jakiś czas po moim wyjeździe otrzymałam zaproszenie do wzięcia udziału w polowaniu na jelenie (!), gdy te będą schodziły z gór. Na co mój brat zareagował słowami *siostra to nie dla ciebie wyprawa. Sami faceci na koniach, z bronią, z dala od cywilizacji przez co najmniej 2 tygodnie*. Co ty. Ja wcale nie miałam zamiaru nigdzie się wybierać. Z terenów łowieckich otrzymałam widokówkę z pozdrowieniami a na święta, pocztą kwiatową, romantyczny bukiet w koszyku. Ale co z tą damą, dalej nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że dawno należało COŚ zmienić. Na początek może... okulary.

EWA NOWOSŁAWSKA

Roman Warszawski

POD SŁOŃCE

Przyjechał wieczorem poprzedniego dnia. Właściwie nie tyle przyjechał, co go przywieźli. Samochód opuścić miasto szosą wiodącą na wschód, ale co było potem, nie miał pojęcia, bo po kwadransie założyli mu na oczy czarną wełnianą opaskę, żeby nic nie widział i nie wiedział dokąd zmierzają. Czuł tylko, że asfalt pod kołami wozu staje się coraz bardziej nadgryziony czasem i niepogodą. Przybywało wertepów, kocich łbów i dziur, w których hilux zdawał się grzęznąć i zagrzebywać, ale tylko na utamek sekundy, bo nie na darmo miał napęd na cztery koła.

Droga trwała koło czterech godzin. Na kilku postojach, w czasie których jego obstawa wśród przekleństw i sprośnych żartów pozbywała się moczu, opaski z oczu też mu nie zdejmowali, a sam nie mógł się jej pozbyć, bo ręce przezornie mu skrupowali – na szczęście dość luźno i mało boleśnie, ale jednak. Co za ostrożność, co za przesada, myślał. I w duchu klął tak samo jak tamci, gdy odlewali się pod drzewami.

Bo drzew wokół było coraz więcej. Wyczuwał to wdychając coraz więcej trudnych do pomylenia wilgotnych oparów selwy. Było też słychać coraz więcej krzykliwych ptaków, które ani trochę nie obawiały się odgłosów silnika. Widocznie rzadko ktoś tędy przejeżdżał, myślał. Inaczej ptaki by się płoszyły i by się przeniosły w miejsca bardziej odległe od drogi.

Na miejsce dojechali na długo przed zachodem słońca. Zatrzymali się na sporej polanie, na której stał barak ze słabo obrobionych bali. Wreszcie mógł pozbyć się wełnianej czerni sprzed oczu i wiewóz z nadgarstków. Co za ulga!

Ci, którzy go przywieźli, zajęli większe pomieszczenie z kilkoma piętrowymi pryzmami, na które tu mówiono camarote, on zaś trafił niewielkiej kłitki pozbawionej okien. Był zadowolony. Chociaż nie będą tu przedostawać się komary i nie będą kąsać, pomyślał. Nie znosił ich. Po latach pracy uważał, że piekącego bólu po ukąszeniach nie są warte nawet najlepsze zdjęcia.

Po jutrzejszym dniu obiecywał sobie niemało. Miał zamiar zrobić foty, które trafią do wszystkich ważniejszych gazet, a także najpewniej powędrują w świat. Gdy pocztą pantoflową zaproponowano mu, by tu przyjechał i był jedynym fotoreporterem, nie wahał się ani chwili. Wiedział, że jeśli choć przez moment będzie się zastanawiał, propozycja powędruje do kogoś innego. Konkurencja tylko czeka na taką okazję i nie zasypia gruszek w popiele.

Zanim zawinął się w śpiwór, jeszcze raz przejrzał sprzęt. Mimo że miał ze sobą także canona, postanowił, że zdjęcia będzie robił nikkonem, który lepiej niż canon nadawał się do zdjęć plenerowych. Sprawdzał stan akumulatorów; były gotowe do użycia. Jego własny akumulator, żółtądek, też był dobrze zaopatrzony. Jeden z obstawy przyniósł mu półmisek z pikantnym gulaszem.

– Z czego to mięso? – zapytał.
– Z małpy, z wijca.
– Nigdy nie jadłem.
– Niedobrze. Za rzadko do nas przyjeżdżasz.

Na chwilę zapadło milczenie.
– A jak forma przed jutrem? – tamten czekał, aż przybysz spałaszuje całą porcję.

– Dobra. Bardzo dobra – chcę zrobić naprawdę dobre zdjęcia.

– Na to liczymy. Musimy skutecznie naszaskić wszystkich wokół.

Wiedział, że różne grupy partyzantów konkurują między sobą, że każda z nich stara się udowodnić, że jest bardziej skuteczna od pozostałych. To natomiast najłatwiej można było osiągnąć zastraszaając pozostałych konkurentów. Po drugiej stronie nasilały się wtedy dezercje i nagle, jak z podziemi u tych, którzy straszili, pojawiali się nowi rekruci. Armatniego mięsa, nigdy na dużo.

– Przypuszczam, że właśnie o to chodzi – powiedział oddając półmisek.

– Świetnie, że się rozumiemy.

– Dziękuję za poczęstunek.

– Rano nie spodziewaj się cudów – tamten uśmiechnął się na odchodnym. – Kucharz się leni. Będzie to samo.

Spał dłużej niż planował. Obudziły go dopiero intensywne odgłosy selwy, wśród których wyróżniały się trele ptaka, którego znał z poprzednich wizyt w wielkim lesie i którego nazywał ptakiem elektrycznym: jego śpiew miał tak nienaturalne brzmienie.

Na polanie praca trwała już w najlepszej. Trzech spośród tych, którzy go przywieźli, kopali wąski długi dół o około metrowej głębokości, który tu nazywano fosą. Przez darń i stare korzenie trudno było się przebić. Mimo dość wczesnej pory, kopacze pocili się niemiłosiernie i siarczyście kleli – jak poprzedniego dnia, gdy po drodze sikali. Nie, nie miał zamiaru im pomagać. Postanowił skoncentrować się wyłącznie na swoim zadaniu.

Po jedenastej fosa była gotowa. Z baraku wyszło siedmiu partyzantów, którzy zaczęli przetadowywać broń. Dwóch miało rewolwery, pozostała piątka broń długą, głównie sztucery. Z lasu wyprowadzono siedmiu więźniów. Mieli skrupowane dłonie, a na głowach czarne nisko opadające kaptury, które zastaniały im twarze (oczywiście chodziło głównie o oczy – żeby możliwie mało widzieli), przez co idąc w stronę fosy, często się potykali.

Byli to młodzi przerażeni chłopcy, najwyżej dwudziestoletni, najwyraźniej pogodzeni z losem. Mogli pochodzić z kilku niewielkich przysiółków, które rozsiadły się na granicy selwy. Nie stawiali oporu. Być może, pomyślał, żeby ułatwić sobie zadanie strażnicy zaserwowali im z rana jakieś substancje odurzające, może jakiś narkotyk, którego tu, w dżungli na pewno nie brakowało? Niejeden raz słyszał o tego rodzaju praktykach i w głębi serca (zakładając, że nadal miał serce) byłby skłonny uznać to za rzecz humanitarną. Bo jeśli ktoś miał umrzeć, po co jeszcze potęgować strach?

– Co oni przeszkrobali? – zapytał tego, który wieczorem i z rana przyniósł mu gulasz.

– Nie mam pojęcia.

– Obył się jakiś sąd?

– Sąd? Tu słowo dowódcy jest ważniejsze od sądu.

Kiedy skazańcy stanęli wzdłuż fosy, ustawił się tak, aby wszystkich uchwycić w jednym kadrze. Próbował raz i drugi, ale słabo to wyglądało. Słońce przebiegało się przez korony drzew i oślepiło obiektyw. Zamiast sylwetek z kapturami naciągniętymi na twarze, widział tylko czarne plamy.

– Tak nie może być – zaoponował. – To niewłaściwe miejsce. Trzeba je zmienić. Jeszcze nic nie róbcie.

– Dlaczego?

– Bo jest pod słońce. Na zdjęciach nic nie będzie widać. Trzeba ich ustawić po drugiej stronie polany.

– Ale dół jest tam, gdzie teraz stoją.

– Chyba chcecie mieć dobre zdjęcia, a nie czarne plamy?

Zapanowała konsternacja.

– On ma rację – włączył się ten od gulaszu z wijca. – Wie, co mówi. Zobaczcie sami, naprawdę jest pod słońce, a pod słońce zdjęć się nie robi. Więźniów trzeba przesunąć na drugą stronę.

– Ale tam nie ma fosy. Będzie trzeba ich potem przenosić.

– Nie ma wyjścia, trudno. Zrobi się.

Tym razem we więźniach jakby coś się przebudziło. Nie chcieli przejść na przeciwną stronę polany. Może zaczęło im się wydawać, że pojawił się jakiś cień nadziei, że jednak ujdą z życiem? Trzeba było ich popychać, szarpać, niektórych nawet wlec po ziemi. Jeden z najbardziej opornych zdławionym głosem rzucił w jego stronę:

– Pomóż nam, compadre. Nie chcemy umierać.

Popychając kolbami, strażnicy ustawili całą siódmą wzdłuż linii lasu po prawej stronie polany.

Ale teraz byli w cieniu. I to jeszcze w jakim! Znów był niezadowolony.

– Tu jest za ciemno. Tu w ogóle nie ma światła! – zaprotestował, gdy sprawdził jaki obraz pojawia się na matówce nikkona. – Trzeba znaleźć inne miejsce, bo ze zdjęć nic nie będzie.

– Ile razy będziemy ich przestawiać? – tym razem w głosie tego od gulaszu było słychać irytację.

– Tyle, ile będzie trzeba – odpowiedział.

– Jasne, zdjęcia są najważniejsze – dało się słyszeć z drugiego szeregu osiłków.

Jazda! Naprzód!

Tym razem, żeby więźniów zmusić do przesunięcia się z miejsca, w ruch musieli iść kopniaki. Niektórym trzeba było wykręcić ręce. Przemieszczeni ich na południowy kraniec polany zajęło kilka minut. Do fosy było stąd jeszcze dalej niż przy pierwszej zmianie miejsca egzekucji. Zanosito się na dłużej.

przenoszenie ciał, gdy będzie już po wszystkim.

Był usatysfakcjonowany. Teraz wszystko powinno być w porządku. Zakapturzone sylwetki wyraźnie rysowały się na matówce. Włączył automatyczny zapis obrazów. Aparat, po naciśnięciu migawki, miał wykonać kilkadziesiąt zdjęć jedno za drugim, z których po wszystkim wybierze się najlepsze. To była normalna procedura przy wykonywaniu zdjęć wojennych.

Wtedy na słońce nasunęły się chmury. Sylwetki skazańców znów znalazły się w cieniu. Był zrozpaczony.

– Stop! Stop! – zawołał chcąc uprzedzić salwę z dwóch rewolwerów i pięciu sztucerów. – Teraz są chmury i aparat znów nic nie widzi!

– Bez żartów!

– Tak, jeszcze raz trzeba ich przestać!

– Dość tego! To egzekucja, a nie rewia mody!

– Ale zdjęcia mają być dobre, czyż nie!

– Nawet bardzo dobre!

Jedynym wyjściem było ustawienie więźniów na środku polany. Tym razem, jakby powietrze całkiem już z nich zeszło, nie stawiali większego oporu. Tylko jeden, gdy był przepychany obok (jak widać, kaptur nie wszystko zastąpił), rzucił w jego stronę:

– Nie pomożesz nam jakoś, zamiast tak stać?

– Nie, moja rola jest całkiem inna.

– Jaka rola?

– Mam zrobić zdjęcia.

Tym razem oświetlenie było właściwe. Wszystko było widać jak na dłoni. Należało wykorzystać tę pomyślną chwilę, zanim chmury coś zepsują. Jeszcze raz sprawdził, co mieści się w wizjerze aparatu i jak matówka widzi to, co ma przed sobą. Skinął ręką na strażników.

Ci ustawili się w szeregu naprzeciw zakapturzonych skazańców. Jak daleko? W odległości około ośmiu metrów. Strzał musiał być pewny, żeby uniknąć dobijania – nie można było chybić.

Najpierw do jego uszu dobiegł suchy trzask przetadowywanej broni, wtedy uruchomił migawkę. Zaraz potem padła komenda: pal. Nad selwą przetoczył się huk siedmiu wystrzałów, które złąły się w jeden potężny grom.

Migawka trzaskala jedno zdjęcie za drugim. Siedem zakapturzonych postaci osunęło się pod siebie. Niektórzy zdążyli jeszcze zakląć, a pod innymi po prostu ugięły się kolana. Z łuf unosiły się nikłe obłoczki dymu, takie same jak te, które na ułamek sekundy pojawiły się nad ciałami w miejscu, gdzie dosięgły je kule.

Potem zapadła głucha cisza. Było

tylko słychać roje zancudos i przedziwne odgłosy elektrycznego ptaka. Wystarczyło jedno spojrzenie na podgląd w nikkonie, żeby stwierdzić, że zdjęcia są OK., że światło było właściwe.

– Zrobione – rzucił w kierunku obstawy.

– Zdjęcia są w porządku. Teraz jak najszybciej muszę dotrzeć tam, dokąd sięga sieć komórkowa. Ruszajmy w drogę.

Za chwilę siedział w hiluxie w obstawie dwóch osiłków. Zanim znów założyli mu czarną opaskę na oczy (w drodze powrotnej miały obowiązywać takie same zasady bezpieczeństwa jak w czasie jazdy na polanę), chwilę jechali pod słońce. Nic nie widział – jasność całkiem go oślepiła. Był bardzo zadowolony. Wiedział, że wykonał kawał dobrej roboty. Nie poprzestał na pierwszym lepszym ujęciu, lecz – tak jak go uczono – był uparty i dążył do perfekcji. Wiedział, że w aparacie ma bardzo dobre zdjęcia, których wszyscy będą mu zazdrościć.

Roman Warszawski

Historię tę usłyszałem w Kolumbii z ust dwóch osób: dziennikarza Pedro Lopeza Salasa oraz policjanta z Bogoty o nazwisku Alvarado. Jeden i drugi rozmawiał na ten temat z osobami z organizacji partyzantkiej M-19, które ja tu nazywam osiłkami lub strażnikami. Dialogi odtworzono na podstawie ich relacji.

ROMAN WARSZEWSKI



John Gay

przełożył Maciej Froński

Paw, indyk i gęś

(The Peacock, Turkey, and Goose)

Kto piękny, tego drobna wada
 Jak ślad na śniegu w oczy wpada:
 Głodem wiedziony, na podwórze
 Przybył raz paw jeść ziarno kurze,
 Tak na to barwne widowisko
 Zaraz, co żyje, wabiąc wszystko.
 Dla tegoż niskich wszak pobudek
 W pogardzie miał ów gapiów ludek.
 Gdzie paw, tam godność i postura,
 Ku słońcu zatem zwrócił pióra,
 Które oczu cudnych zdobił tysiąc,
 Gwiazdy na niebie – mógłbym przysiąc!
 Ich promień krążył, blask się zmieniał,
 Oszalały się spojrzenia,
 Niechęcią każdy język pałał,
 Żółć gorzki owoc wydawała.
 - Patrzcie, jak pysznie stwór ten kroczy,
 Wyniośle pchając się przed oczy! –
 Zakrzyknął indyk – ktoś mi powie,
 Był ptak tak dumny choć w połowie?
 Lecz patrzmy na to, co się liczy:
 Bielszy jest kolor nasz, indycy!
 Co język, to krytyka nowa,
 Aż się ozwała gęś w te słowa:
 - Wstrętne pazury! A chód jaki!
 Że już przemilczę mniejsze braki,
 Chociaż ta gardziel... Każdy słuchacz
 Jej śpiewu padłby, nawet puchacz!
 - Wady – paw odparł – rzecz to ważka,
 Mój krzyk i nogi to porażka,
 Lecz co szyderstwa ślepców mogą?
 Czy jest gdzieś w nich mój piękny ogon?
 Czy także (z których drwicie sporo)
 Nogi nie są i wam podporą?
 Czy nie skrzeczycie równie szpetnie?
 Niech się wam wreszcie ktoś odetnie!
 Co pięknych istot nie dotyka,
 Urasta w oczach zawistnika.
 Gdy wdzięczna nimfa – tak się zdarza –
 W tłum o mniej ładnych wchodzi twarzach,
 Przestrzeń wypełnia zaraz plotka.
 Ilem to razy z tym się spotkał!

Indyczka i Mrówka

(The Turkey and the Ant)

Odmiany pragnąc, raz Indyczka
 Rzuca zagrodę dla gaiczka;
 Cały jej lęł się za nią garnie
 Zbierając tu i tam po ziarnie.
 – Bliżej, ptaszęta moje, nuże!
 Pyszny wikt daje nam to wzgórze,
 Gdzie Negrów plemię gospodarne
 Sprawia, że całe zda się czarne.
 Jak i ja jedzcie bez obawy,
 Nad Mrówkę nie ma lepszej stawy.
 Ach, życie! Rzecz bym mogła więcej,
 Gdyby nie nóż w drobiarza ręce,
 Bo się indykiem żywi człowiek,
 A w Święta... nic już wam nie powiem!
 Czasem ostryga przy nas leży,
 Czasami w cząbrze karczek świeży,
 Czy to pan wielki czy chłop goły –
 Zdobimy sobą wszystkie stoły,
 Lecz cóż, obżarstwo to grzech brzydkie,
 Najgorszy z grzechów siedmiu wszystkich.

Mrówka, gdy jej Indyczka szuka,
 Tak z pobliskiego rzeczce buka:
 – Zanim bliźniego grzech dostrzeżesz,
 We własne serce wejrzyj szczerze –
 Nad swym żarłocznym dziobem panuj,
 Nie mów o nas jak o śniadaniu.

Śledzimy innych krok po kroku,
 Żdźbło dostrzegając w cudzym oku,
 Wadę, choćby nie była wielka,
 A cóż to w naszym własnym? Belka!

Włósciańska Żona i Kruk (The Farmer's Wife and The Raven)

Między koszami zakleszczona
Na targ Włósciańska poszła Żona,
A idąc, rachowała w głowie,
Ile, za który towar powie.
Gdy szła tak ku swej żyle złota,
Wszędzie słyszano, jak się miota:
– Ten Kruk po lewej, tam, na drzewie,
Szlag by go trafił! To się nie wie,
Że to zła wróżba? – No i proszę,
Ślepy Bob upadł wprost na kosze,
Bo się chłop potknął. Olaboga!
W stłuczonych jajkach cała droga!
Klapnawszy na tej miazdze głucho,
Zakłęła Baba: - Ty ropucho!
A niech cię pomór weźmie, draniu!
Czułam nieszczęście w twym krakaniu!
– Pani – Kruk na to – słowa miarkuj,
Jeszcze nie jesteś na jarmarku.
Czemuś to dla mnie tak niemiła?
Wszak to jejmości вина była!
Mogłaś wieść swoje skarby przecież
Na Gniadej, klaczy pewnej, grzbiecie!
Choćby sto kruków było w stanie
Przekrzyczeć język twój krakaniem,
Nic by to nie obeszło klaczy,
Miałabyś jajka jak się patrzy!

Byk i Mastyf (The Bull and the Mastiff)

Ułożyć sobie chcesz pupila?
Przyjdzie ci skupiać się co chwila,
Lecz zanim będzie na to pora,
Rozsądnie wybierz preceptora –
Jak żyje, sprawdź, kto go ma w cenie,
W tym sprawy leży powodzenie.

Pewnego razu, w czas bez wojny,
Na łące pasł się byk dostojny;
Przechodził mastyf, wściekły cały,
Pioruny z oczu mu leciały,
Z pyska kapąło, węszył juchy.

Monarcha nie pozostał głuchy,
Zaryczał głośno – Hola, hola,
Pókiś jest cały, ustąp z pola,
Lub, nim się bój rozsroży, powiedz,
Co ci się uroiło w głowie?
To głód zaszczytów cię pokonał
Albo zachłanność niestrudzona?
Toż to niesłuszne i w ogóle
Przez taki gniew świat niszczą króle.

Tak Mastyf odrzekł mu schamiały:
W mym sercu płonie żądza chwały,
Walczę o sławę, jak herosi,
Których imiona pieśń unosi –
Rzeźnicka ręka od szczenięcia
Tego uczyła mnie zacięcia,
Mam się pochlubić wielkim czynem,
Zatem zwyciężę albo zginę!

Byk na to: bądźmy sprawiedliwi –
Już mnie twa żądza krwi nie dziwi,
Gdyż ty, czeladnik u rzeźnika,
Co okrucieństwo go przenika,
Bo się morderstwem co dzień para,
Też chcesz skosztować juchy zaraz.
Swoją los więc przyjmij – Raniąc ciało
Rogami go podrzucił śmiało –
Leciał bohater jak kometa,
Spadł, zawył... ale przeżył? Gdzie tam.

Eugeniusz Kurzawa

Plac Słowiański 12

Prezentowane poniżej fragmenty tekstu Eugeniusza Kurzawy pochodzą z przygotowywanych do druku wspomnień z lat studenckich i okresu wchodzenia w życie literackie w połowie lat 70. XX wieku. Ukazują się w roku bieżącym lub na początku przyszłego księżca pt. „Plac Słowiański 12”.

(RED.)

Życie zaczęło się zmieniać, gdy pod koniec wakacji 1974 roku znalazłem w tygodniku studenckim „ITD” - leżącym na ojcowskim stole krawieckim - wiadomość o dodatkowej, wrześnie rekrutacji na studia w Zielonej Górze. W informacji wymieniano Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Złożyłem podanie i zjawiłem się w winnym grodzie w terminie wyznaczonym na egzaminy wstępne. Nie przeczuwałem, co się później wydarzy i kim kiedyś zostanę.

Artystyczny start; Andrzej K. Waśkiewicz

Pewnego razu - łąząc po księgarniach na zielonogórskim deptaku - trafiłem na tomik wierszy Marii Aniśkowicz, poetki z Warszawy, noszący tytuł „Na imię mi Nauzykaa...”. Wzbudził zainteresowanie. Poezję wydrukowało wydawnictwo „Czytelnik”, zbiorek ukazał się w roku 1975, był świeżutki. Postanowiłem zaprosić autorkę na wieczór literacki w akademiku „Tekturowiec”, w którym kierowałem klubem studenckim. Napisałem do „Czytelnika” z prośbą, żeby list przekazano pisarce, debiutantce zresztą. Szybko przyszła odpowiedź. Maria (byliśmy rówieśnikami) odpisała, iż chętnie przyjedzie, ale chciałaby pojawić się z przyjacielem i krytykiem w jednej osobie - Tadeuszem J. Żółcińskim. Ponadto pragnęła spotkać się w redakcji „Nadodrza” z miejscowym krytykiem literackim Andrzejem K. Waśkiewiczem. Czy mógłbym to zorganizować? - pytała. Poszedłem do redakcji, zapytałem, czy jest w niej zatrudniony Waśkiewicz, i sprawę załatwiłem od ręki. I tak, dzięki Aniśkowicz,

pod koniec 1975 roku poznałem Andrzeja; przyjaźń na resztę życia. Kontakt z Marią nie utrzymał się, z Żółcińskim - owszem, widywaliśmy się na imprezach artystycznych w kraju.

Najważniejsza była zadzierzgnięta dzięki warszawskiej poetce znajomość z Waśkiewiczem, a potem z całą jego rodziną. Dla początkującego wierszoklety - czysty zysk. Przypadkiem bowiem uzyskałem cenny kontakt z uznanym w kraju krytykiem i redaktorem miejscowego dwutygodnika. Nie skończyło się na pierwszym spotkaniu. Najpierw przyniosłem Andrzejowi wiersze, pokazane wcześniej poetce Annie Tokarskiej. Potem zacząłem się pojawiać w redakcji, a z czasem nieregularnie, raz, dwa razy w tygodniu, wędrowałem w pl. Słowiańskiego (akademik) na ul. Gwardii Ludowej, gdzie na dziewiątym piętrze Waśkiewiczowie zasiedlili niedawno mieszkanie. Zaprzyjaźniałem się z Bąblami, czyli raczkującymi bliźniakami Adasiem i Marcinem, starszą Olenę woziłem niekiedy do przedszkola, a gdy Hanka i Andrzej brali wspólnie udział np. w Dniach Literatury Radzieckiej, kładłem dzieci do snu i spałem u nich w domu. Maluchy zaczęły mówić do mnie „wujku”, zostałem cywilnym „ojcem chrzestnym” jednego z bliźniaków - Marcina (niedawno zadzwonił z życzeniami z okazji Dnia Ojca). Poznałem brata Ani - Kazika, studiującego w Warszawie. Z upływem czasu staliśmy się nieomal rodziną. Waśkiewiczowie z kolei bywali w miastach, w których później mieszkalem i pracowałem. Pojawili się oczywiście w Suwałkach na moim ślubie - Andrzej jako świadek. „Ciągnąłem” go potem na imprezy literackie, w których maczałem palce (np. Olecki Czerwiec Poetycki, Lubuski Wawrzyn Literacki), namawiałem do publikacji w prasie regionalnej, w której bywałem zatrudniony.

Do tej pory nie wiem, dlaczego Andrzej właśnie przede mną otworzył tak szeroko drzwi i swym zachowaniem zachęcił do rozwijania tej początkowo zwykłej znajomości. Nie prezentowałem - na tle rozwijającego

się środowiska młodoliterackiego Zielonej Góry - walorów tzw. młodego talentu. Czesław Markiewicz ocenił, iż: „Kurzawa balansował na granicy osobliwej grafomanii, uprawiając niemal wszystkie gatunki poetyckie” („Faktor” 1987, listopad). Co się zatem zdarzyło? Nie wiem. I tak już zostanie.

Literackie konteksty

Uczestnictwo w kulturze akademickiej uświadomiło mi, iż aktywność nawet w niewielkim środowisku literackim Zielonej Góry może dać przepustkę do kręgu twórców, a szczególnie zależało mi na krajowym światku poezji. Chciałem tam trafić. Najczęściej korzystałem z imprezowych i edytorskich propozycji Jurka Leszina Koperskiego i Andrzeja K. Waśkiewicza. Dlatego nierzadko wyprawiałem się ekspresem „Lech” do Warszawy, gdzie Leszin - w ramach Zrzeszenia Studentów Polskich, a po 1973 r. SZSP - prowadził niepowtarzalną działalność promującą artystów - ludzi pióra wielu pokoleń. Centralę swą, czyli zawalone papierami biurko, trzymał za moich czasów przy ul. Ordynackiej 9. Z tego miejsca redagował i wydawał bibliofilskie tomy wierszy wybitnych współczesnych poetów polskich, ale i zaskakująco odkrywcze zbiorki nieznanych, zapomnianych, lecz ważnych twórców. Przykładem Miła Elin - przedwojenna młoda poetka żydowska, uczennica Peipera, lub Włodzimierz Szymanowicz, sławny dzięki utworowi śpiewanemu przez Elżbietę Wojnowską - „Zaproście mnie do stołu”. Pracując pod opiekuńczymi skrzydłami organizacji studenckiej, Jurek stawiał oczywiście na młodych poetów. Żartowano, że kreował literackie generacje, czego dowodem miała być seria tomików „Pokolenie, które wstępuje”, czyli Nowych Roczników. Dekadę wcześniej zwołał w klubie „Hybrydy” grupę poetów, ogłoszonych potem pokoleniem „Orientacji”.

Leszin miał zawsze merytoryczne i przyjacielskie wsparcie w Andrzeju K. Waśkiewicz, z





znanym w środowisku pod inicjatywami AKW. Andrzej – mieszkając, gdy się poznaliśmy, w Zielonej Górze – bywał dla mnie przekaznikiem warszawskich informacji. Wiedziałem o seminariach, spotkaniach, zjazdach twórców, mogłem na nie pojechać, podyskutować z rówieśnikami lub znawcami literatury. Poznani koledzy-poeci zapraszali do swych miast, ośrodków akademickich na Toruński Maj Poetycki, „Czerwona Róża” w Gdańsku, seminaria w Chorzowie lub Biesiadę Poetycką w Sobocisku. Zaliczyłem Piastowskie Łato Poezji w Gnieźnie, gdzie spotkałem legendarnego Jana Himilbsbacha, jako juror obśłużym konkurs poezji we wrocławskim „Pałacyku” i inne mitingi. Zachowałem fotkę z jednej z takich imprez, w której uczestniczył Czesław Sobkowiak, jedyny zielonogórzanin w tym gronie. Ileż tam ważnych – później niż wykonano zdjęcie – postaci literatury polskiej! Przyszłych profesorów, krytyków, świetnych poetów. Życie zapowiadało się ciekawie. Zrobimy jednak przeskok w czasie o - z grubsza - pół wieku i zobaczymy, co się stało z tak dobrze zapowiadającym się porankiem.

Pokoleniowe nadzieje i rozczarowania

Polska Ludowa dała mi szansę, żeby nie pasać krów, mawiał o swojej relacji z PRL Mieczysław F. Rakowski. Nie wiadomo, jak potoczyłyby się moje losy, młodzieńca znad Obry i jeziora Błędno, gdyby nie zaistniała specyficzna w swym wyrazie kultura studencka. I gdyby socjalistyczna ojczyzna nie pomagała dzieciom robotniczo-chłopskim w starcie na studia i nie ułatwiała im życia dzięki stypendiom, niskim opłatom za akademik, finansowaniu ich „fanaberii kulturalnych”. Gdy wszedłem głębiej w życie studenckie, gdy powiązałem – uczestnicząc w sefkach wydarzeń – różnorakie nitki, otworzyły się przede mną ciekawe możliwości na pisarskim poletku. Mniej więcej w połowie lat 70. XX wieku krystalizowała się generacja, zwana Nowymi Rocznikami, albo inaczej Nową Prywatnością. Wszedłem w to, mówiąc językiem brydżowym. Nie opuszcza mnie jednak świadomość, że nie wykorzystałem szans należycie i do końca.

Rzecz dzieje się w nowym klubie „Hybrydy” przy ul. Kniewskiego w Warszawie. Młody

poeta Władysław Zawistowski z Gdańska ogłasza (słucham, zajmując miejsce w pobliżu) listę liderów wstępującego pokolenia pisarzy. Po jego wypowiedzi, w ramach dyskusji, odzywają się inni. Koło mnie siedzi młodziwiec, może początkujący krytyk, który zrywa się i zdecydowanie podnosi kwestię wykorzystania w twórczości tworzącej się generacji bachtinowskiej teorii polifoniczności. W mojej głowie panika: jaki Bachtin?! O co idzie z tą polifonicznością?

Wciąż jest mniej więcej połowa lat 70. Na łamach prasy studenckiej i kulturalnej pojawiają się głosy i polemiki (szczególnie z tzw. robotnikami piszącymi i warszawską grupą „Gremium”) na temat wstępującego do literatury „pokolenia prywatności”. Żeby mocniej zaznaczyć swą obecność w publicznej debacie, kilku przedstawicieli tego nurtu spotyka się na stenografowanej rozmowie w salce konferencyjnej SZSP przy ul. Ordynackiej w stolicy. Jako ciut starszy kolega namawiam do udziału Małgosię Kowską (potem Małowską), podobnie jak ja z WSP i jak ja z „Faktora”. Recenzentkę, początkującą krytyczkę. Z uznanych poetów są tam na pewno Zbigniew Jerzyński i Andrzej Waśkiewicz, z młodych Władysław Zawistowski, prawdopodobnie Zbigniew Joachimiak oraz paru innych twórców. Oczywiście Leszcin. Toczy się dysputa. Każdy obszernie wypowiada swoje zdanie. Kurzawa siedzi cicho, wyrzuca ledwo jedno zdanie (dowód w publikacji wydrukowanej na łamach tygodnika „ITD”). Dwa, trzy lata później – nieomal kopia wcześniejszego spotkania: też rozmowy przy ul. Ordynackiej (ale dwa piętra wyżej) i również opublikowane na dwóch kolumnach „ITD”. Udział biorą: Leszcin i Waśkiewicz, poetka Mira Kuś z Krakowa oraz poeta Wojciech Gawłowski z Ostrowa Wlkp., ponownie jest Gosia Kowska, a prowadzi krytyk i naukowiec z Wrocławia Marek Graszewicz. Ponieważ zachowałem wycinek prasowy, czytam, iż wystąpiłem w roli najbardziej pyskatego i przemądrzałego uczestnika.

W 1980 i 1981 r. odbyły się w Chorzowie, w klubie „Kocynder”, dwa ważne seminaria ruchu młodoliterackiego: „Porozmawiajmy o wartościach” i „W stronę wartości”. Pojechałem. Imprezy, zwłaszcza pierwsza, wiosną 1980, miały naprawdę istotne znaczenie dla młodej literatury. W powietrzu czuło się

wręcz opozycyjną aurę - mimo że seminarium było jak najbardziej oficjalne - i w tym kierunku szły wypowiedzi prelegentów i dyskusje. Jednym z organizatorów okazał się spotykany często na ul. Ordynackiej gdański animator kultury - Zygmunt Korus, a wśród wiodących osobowości poznański poeta Roman Chojnacki. Podczas obiadu przypadkiem dosiadłem się do stolika dwójki gdańskich krytyków, znanych „za chwilę” ze wspólnej książki pt. „Bez autorytetu”: sławnego dziś prof. Stefana Chwina i prof. Stanisława Rośka. Wygłosili referaty: „Czym była, czym mogła być Nowa Prywatność?” i „W bezgłosie”. O swoich antypreferencjach literackich mówił Janek Stolarczyk, z którym ostatnio sobie czasem mailujemy, późniejszy redaktor naczelny Wydawnictwa Dolnośląskiego, związany nie tylko edytorsko, ale i prywatnie z Tadeuszem Różewiczem i Tymoteuszem Karpowiczem. Jego antypreferencjami okazali się dwaj poeci z Gdańska: Władysław Zawistowski i Zbigniew Joachimiak, którym krytyk - w ostrym pamflecie - poświęcił (obok Urszuli M. Benki) najwięcej miejsca. Nazwał ich Stolarczyk „prorokami” i „prymusami Nowej Prywatności”, zarzucił wczesne skłasyzczenie. Jednak wszyscy oni okazali się po latach literacką pierwszą ligą. A ja mogę ewentualne odnotować w memuarach, że „zjadłem obiad z Chwinem”, o czym on z pewnością nie ma pojęcia. Krótko potem (rok 1981) odbył się krajowy zjazd kół młodych ZLP w Poznaniu. Wyrwałem się na krótko z wojska. Wokół szalała polityka. Większość zebranych zachwysnięta krótko istniejącą „prawdziwą demokracją”. I lejące się słowa, słowa, słowa. Rzecz skomentowałem w miesięczniku „Poezja”.

W przywołanym tu czasie byłem autorem debiutanckiego tomiku wierszy pt. „Seria codzienny”; został wydany w 1979 roku w serii „Pokolenie, które wstępuje”. Dramatyczną rozmowę decydującą o druku tego zbioru - odbyła w 1978 roku w Poznaniu między Andrzejem K. Waśkiewiczem, Jurkiem Koperskim a mną - przytaczam w swoim „Spisie treści”. Wynika z niej dowodnie, że skromnej książeczki zawierającej ledwie 24 wiersze mogło nie być. Zapoczątkowała jednak cykl szesnastu zbiorów poetyckich wydrukowanych między 1979 a 2025 rokiem. Leszcin, który pojawił się chyba w 1978 roku na spotkaniu autorskim w Zielonej Górze →

→ i powiadomił zebranych o mojej (wtedy przyszłej) publikacji, zapytał przy okazji, ile mam lat. Wyszło, iż w roku debiutu książkowego będę miał 25. – To jesteś za stary jak na poetę – orzekł publicznie.

Prawie pół wieku temu – jeszcze nie wychodzę z tamtych ram – znalazłem się na imprezie pod nazwą Gorzowskie Spotkania Młodych Poetów. Rok 1978. Kilkoro uczestników – wśród nich Czesiek Markiewicz, a ja akurat zapamiętałem poetkę Renatę Kiszczak – szło sobie spacerkiem przez miasto. Opowiadałem im o ciekawej książce, chyba literaturoznawczej, którą akurat potknąłem. Nikt jej nie znał i przez chwilę mogłem czuć się kimś wyróżnionym, bardziej od nich ocytanym. Zgasił mnie Markiewicz, student polonistyki: – I tak zostanę zmuszony do przeczytania tej pracy – stwierdził po prostu. Poczułem zazdrość, że mnie nikt nie zmuszał. Całe życie prze-dzieram się przez literackie wertepy na własną rękę. To robiło różnicę.

Być poetą, być poetą

Dlaczego w moim życiu pojawiła się poezja? Proste. Na początku studiów zostałem „namaszczony”, precyzyjniej zaś mówiąc: sam się namaściłem, a raczej sytuacja życiowa wypchnęła mnie – niedokształconego młodzieńca na piedestał. „Poczułem oddech innego świata”, po którym „zostanie wieczne nienasycenie”. „Tak to przeczuwam i już mnie ta myśl obezwładnia” – zapisał w pamiętniku ów wykluwający się „wieszcz”. Żeby ją (i siebie) lepiej zrozumieć, analizował – wyjęte z „Melancholii” Antoniego Kępińskiego – akapity o Saturnie (greckim Kronosie), który jest: „uosobieniem przemijania czasu, a zarazem trwania mimo wszystko, (...) jest uosobieniem niedoskonałości wszelkiego bytu, bo żaden nie opiera się niszczącemu działaniu czasu. Do jego atrybutów należą: wiosno, oznaczające przepływanie w czasie, i klepsydra. (...) Saturn był też patronem tonacji lidyjskiej, w której układano pienia żałobne”. Czyli Lidia (żona) była mi pisana. A wiosno podarowała w XXI wieku dr Mirostawa Szott, bo czegoś jej w moim ogrodzie brakowało. Wmieszał się jeszcze Arthur Rimbaud z „Listem jasnowidza”, pouczający, „że trzeba być jasnowidzem, uczynić się jasnowidzem. Poeta czyni się jasnowidzem przez długotrwałe, bezmiernie świadome rozprężenie wszystkich zmysłów. Wszystkie formy miłości, cierpienia, szaleństwa; sam szuka i wyczerpuje w sobie wszystkie trucizny, by zachować z nich tylko kwintesencje. (...) Bo dociera do nieznanego! Uprawia przecież swoją duszę”.

Widać Rimbaud (nie znam źródła tego cytatu) był przekonujący, gdyż niemal od pierwszych kart pamiętnika wynętrzałem się w zbliżonym, górnolotnym i metafizycznym tonie. Ale prawdopodobnie też sugerował, wskazywał (mi) niemożność osiągnięcia podobnych stanów. Jako 32-latek notuję bowiem: „spóźniłem się, nie załapałem na swój czas i chyba nie dogonię go”. Wykopuję archeologiczne nieomal noty na temat tego, czego od siebie oczekiwałem, jakie miałem literackie plany, a jednocześnie zaskakująco wcześniej przewidywałem, że ów pomysł nie wypali. Nad wejściem do Klubu Twórców w Suwałkach, gdzie znalazłem się w 1980 roku, demonstracyjnie zawiesiłem myśl René Chára: „Dobrześ zrobił odjeżdżając, Arturze Rimbaud”.

W czasach mojej młodości pisarz wciąż jeszcze był kimś, trwał mił XIX wieku i aktualne wydawały się hasła: poeta - wieszcz, potem poeta – inżynier dusz. Kreator, prawodawca. Ktoś. „Poeta był stwórcą,

poezja – rzeczywistością stworzoną. Dla potęg tych nie było w świecie ludzkim konkurencji” – ocenia romantyzm i symbolizm prof. Edward Balcerzan. Siedziało to we łbie. Tego się trzymałem. Trwał zarazem studencki rozpęd, chęć działania, tworzenia, prawdopodobnie też pokazania się; chociaż zapewne występowała w tym jakaś dwoistość. Wczesne zapiski mówią, iż nie byłem bezkrytyczny wobec siebie jako twórcy. Ale jednocześnie trwało swoiste „parcie na szkło”, oczekiwanie na druk wierszy, utwierdzanie w sobie statusu poety.

Równolegle istniały inne warianty życia. Wciąż wisiła nade mną nauka (prowadziłem badania i publikacje prasoznawcze, wyszła książka o prasie, realizowałem imprezy ogólnopolskie dotyczące dziennikarstwa regionalnego), nieustannie brałem udział w działaniach kulturotwórczych, szykowałem kolejne prace edytorskie. Rosta więc pytanie – kim, do licha, powinienem zostać, żeby się spełnić? Nie doszedłem wtedy do tego. Wyrażna decyzja nie zapadła. Dopiero na starość sprowadziłem siebie na ziemię. I do realiów skrojonych na odpowiednią miarę.

Po dekadach, w kłębach myśli, doszedłem do wniosku, że ostatecznie jestem... poetą. Zrozumiałem jednakże, iż nie każdy może zostać Różewiczem lub Mickiewiczem. Kochanowski rodzi się raz na 500 lat. Lecz tylko w twórczości, w tym stanie ducha (jasnowidzenia - twierdzi Rimbaud) przydatne są równocześnie filozofia, historia, metafizyka, znajomość języka i kultury, nie można też odrzucać psychologii i socjologii. A w tych przedziałach lokuje się to, co mnie zawsze interesowało, na co gromadziłem fiszki i książki mówiące o sprawach życia i śmierci, o człowieku i jego postawach, myślach i ideach. Wszystko to wiąże się ze sobą i syntezuje w wierszu. Trzeba „tylko” umieć znaleźć wątki, których inni nie widzą, i umiejętnie je potączyć. Posiąść filozoficzną mądrość ogólną wyrażaną szczegółem i wyraźną, osobistą frazą, a czytelnik umiejętnie ją sobie rozszczepi i znajdzie właściwą myśl. W tym sensie mądrzy byli zapewne Różewicz, Szymborska, Miłosz, bergsonowski Leśmian, Waśkiewicz, Gąsiorowski i jeszcze kilkoro pisarzy. Przede wszystkim mieli talent. Lecz nie każdemu to jest dane.

Katarzyna Herbert, żona Zbigniewa, latem 2002 roku napisała mojej Lidce dedykację podczas spotkania w Suwałkach: „od żony Poety – żonie Poety”. Mam papier.

EUGENIUSZ KURZAWA

FOT. Z ARCHIWUM AUTORA

Nr 90 Ogólnopolskie seminarium literackie w Białobrzegach. Grupa poetów, redaktorów, wydawców. W przykłęku pierwszy z lewej Czesław Sobkowiak, a jako pierwszy z prawej Zbigniew Joachimiak wraz Martą Fox. W środku przykucnęli m.in. Zbigniew Jerzyński i Jerzy Koperski. Pierwsza z prawej stoi Aldona Borowicz. W środku ostatniego rzędu m.in. Marek Graszewicz, Eugeniusz Kurzawa, schowany Andrzej Waśkiewicz i Jerzy Kryszak.

Nr 91 Inicjatywa wrocławskiego Ośrodka Teatru Otwartego „Kalambur” pn. „Raport z liryczny” zgromadziła we wrześniu 1979 roku czołówkę poetów pokolenia Nowej Prywatności. Przed hotelem „Monopol” we Wrocławiu stoją m.in. Zofia Badura, Witold Tegnerowicz, Eugeniusz Kurzawa, Krzysztof Senajko, Tadeusz Złotorzycki, Zbigniew W. Fronczek, Zygmunt Korus, Aleksander Rozenfeld, Maciej Prus, Andrzej Leppek, Teresa Dras i Waldemar Dras.

Sławomir Krzyśka

* * *

Nie zgadzam się
na to, co mierne, bez treści,
zawracam kijem nurt rzeki,
jestem jej strażnikiem,
próbuję przekonać wodę,
by zmieniła bieg.

Moje dłonie
pełne pytań, niezgody,
wyjmują z ust widzów
zużyte słowa codzienności,
puste frazy,
i myśli wytarte jak monety.

Z ich spojrzeń
zdejmuję obojętność,
przerywam milczenie,
które wrosło w twarz
jak zmarszczki,
ciche ślady zapomnienia.

Po ostatnim akcie

Kiedy ciebie i mnie,
zaprosi do tańca
ponura pani, ta, która
jeszcze wczoraj tańczyła
z Hypnosem.

Ubrana w suknię z cieni,
dotknie ramion jak chłodny wiatr.
Nie pytaj, nie dziw się, nie wzbraniaj,
bo każda nuta zna krok
i podłoga drży od wspomnień.

A gdy już zbliżysz się do miejsca,
gdzie cisza tańczy sama,
usłyszysz głosy sprzed lat,
ciche jak szept kurtyny,
co opada po ostatnim akcie.

Potem już tylko bezruch, cisza,
brak światła, muzyki, tchu,
i choć w powietrzu
wciąż unosi się rytm,
nie tańczy już nikt.

Pożegnanie

W jej oczach widzisz mgłę,
szarość zamazanych chwil,
coś więcej niż wilgoć smutku.

Myśl jak liście niesie wiatr
tam, gdzie czas już nie pamięta,
nie pyta o kierunek.

Deszcz minionych lat pada cicho,
powiew chłodu wygładza ślady słów,
a krople, czy to łzy?

Pożądanie

Zakryte jak niebo chmurami,
tajemnicze, dostępne tylko
dla zdobywców
najwyższych szczytów.

Dla tych, którzy nieznane ścieżki
przemierzają w mroku,
gdzie wstęp, za okazaniem dowodu
niezłomności języka.

I dla tych,
co w ciszy nocy szukają śladów
niewidocznych dla dotyku.

Królewskie spotkanie

Grzegorz Jacek
Brzustowicz

Wśród plastycznych wyobrażeń związanych z dziejami szwedzkiego króla Gustawa Adolfa znajdujemy liczne prace malarskie i graficzne nawiązujące do okoliczności desantu szwedzkiego na Pomorzu w 1630 roku. Najstarsza z nich, będąca źródłem dla późniejszych prac artystycznych, jest autorstwa Johana Hammera. Została wykonana około 1680 roku do pomieszczeń pałacu w Läckö siedziby kanclerza szwedzkiego Magnusa Gabriela de la Gardie (*1622-†1686). Na olejnym obrazie widzimy klęczącego na (po)morskim brzegu króla szwedzkiego Gustawa Adolfa w otoczeniu swych oficerów, na tle statków wojennych¹. Dzieło, które powstało pół wieku po wydarzeniu, ma nawiązywać do relacji z dawnych kronik. Być może w Szwecji wydawało się wówczas, że nikt już nie pamięta bliżej przebiegu tego wydarzenia. Obraz cieszył się i cieszy się nadal bez dodatkowego komentarza popularnością. Kolejni artyści postanowili się wzorować na tej pracy, chcąc podobnie ukazać lądowanie armii szwedzkiej na Pomorzu i początek kampanii niemieckiej tego władcy. Wydarzenie uznawane przez historyków wojny trzydziestoletniej za jedno z przełomowych.

*

Włączenie się Gustawa Adolfa do wojny trzydziestoletniej z cesarzem było w Europie oczekiwanym od 1625 roku wydarzeniem. Miały to nawet zwiastować niezwykle zjawiska astronomiczne.

Takie zjawiska na niebie od zawsze zwracały uwagę ludzi i wykorzystywano je do łączenia z zapowiedziami wielkich wydarzeń historycznych. Do tej grupy zjawisk astronomicznych zaliczamy zaćmienie Słońca, czyli moment gdy Słońce, Księżyc i Ziemia ustawiają się w jednej linii. Wówczas tarcza Księżyca zasłania część tarczy słonecznej. Jedno z takich zaćmień miało mieć związek z dziejami Księstwa Pomorskiego i Europy.

10 czerwca 1630 roku we Francji odnotowano zaćmienie całkowite, a częściowe w Polsce, ponieważ tutaj Księżyc zasłonił maksymalnie około 2/3 tarczy słonecznej. Początek zjawiska miał miejsce o godzinie dwiętnastej, a faza kulminacyjna przypadała około godziny dwudziestej, krótko przed zachodem. Pastor (1617-1651) w Poniecu w Wielkopolsce Paweł Gołocki zanotował w swej kronice:

Dnia 10 czerwca tego roku na wielkim zegarze świata wydarzyło się zaćmienie słońca. Trwało trzy godziny, a obejmowało dwie części tarczy słonecznej, jedynie trzecia część słońca dawała światło. Co to zaćmienie zapowiadało, dowiedzą się ci, którzy będą żyć dłużej.

Zaćmienie to było obserwowane przez dwóch znanych astronomów. Pierwszym z nich był pochodzący z Gdańska Jan Heweliusz (*1611-†1687). Dla niego było to

¹ D.Schleier, Gustav Adolf und Pommern. Die Landung der schwedischen Armee auf Usedom und die Leichenprozession in Wolgast in zeitgenössischen Darstellungen, „Pommern Zeitschrift für Kultur und Geschichte“, 41/2 (2003), s. 17; I.Asmus, Gustav II. Adolf „Kompt in Pommern an“ – bei Peenemünde auf Usedom oder doch zuerst bei Göhren auf Rügen?, „Baltischen Studien“, NF, 91 (2005/2006), s. 80.



jego pierwsze w życiu zaćmienie Słońca. Obserwacji dokonywał z podwórka swego domu w Lejdzie (holend. *Leiden*), gdzie mieszkał podczas niedawno rozpoczętych studiów prawniczo-ekonomicznych na miejscowym uniwersytecie. Z kolei dla drugiego z astronomów - Johanna Keplera (*1571-†1630) nie było to novum, ponieważ opisał podobne zjawisko obserwowane przez niego w mieście Graz 10 lipca 1600 roku. Ale dopiero w związku z zaćmieniem w 1630 roku, o astronomie było głośno w całej naukowej Europie dlatego, że to zjawisko przepowiedział już kilka lat wcześniej. Ba, nawet rozestawił listy z informacją po całej Europie. Rzeczywiście Kepler przepowiedział już w 1605 roku kolejne zaćmienie na dzień 10 czerwca 1630 roku. Nawet obliczył i nie pomylił się, co do momentu kulminacji zjawiska w Wiedniu, Linzu i Żaganiu (godzina 19:40). Przepowiednia i potem jej wypełnienie się przysporzyły wielkiej sławy Keplerowi. Niestety na krótko. Kiedy uradowany z wypełnienia się przepowiedni wyruszył konno w podróż do Ratyzbony, trudy podróży sprawiły, że nabawił się poważnej choroby i zmarł niecałe pół roku później (15 listopada 1630).

To głośne zaćmienie Słońca obserwowano także w Nowej Marchii i Księstwie Pomorskim. Kronikarz pomorski Johann Micreälius (*1597-†1658) zapisał:

(...) właśnie w tym dniu (...) pod Szczecinem wczesnym rankiem zobaczyliśmy dwie tęcze, a w południe księżyc razem z gwiazdą Wenus (J.Micreälius, V, s. 177).

Kronikarz nie ukrywał przed swymi czytelnikami, że podobnie jak dla całej Europy, musi to być i dla Pomorza zwiastun nieszczęść i tragedii. Najpewniej w związku z toczącą się od dwunastu lat krwawą wojną (wojna trzydziestoletnia). Powszechnie rozgłaszano na Pomorzu i w Europie, że niezwykle zjawisko astronomiczne zapowiadało włączenie się Szwecji do wojny. I rzeczywiście miało to miejsce już (26 czerwca wg. starego kalendarza) 6 lipca 1630 roku, kiedy król szwedzki Gustaw Adolf wylądował na czele swojej armii na wyspie Uznam, rozpoczynając właśnie na Pomorzu kampanię przeciwko cesarzowi.

Pozostało tylko tak cudownie przepowiedziane wydarzenie jeszcze w niemniej

na pomorskim brzegu



udany sposób przeprowadzić i nagłośnić propagandowo, by zyskać poparcie u cesarskich przeciwników.

*

Desant wojsk szwedzkich na Pomorzu w 1630 roku to wydarzenie licznie odnotowane w historiografii². Pomimo tego, jego odtworzenie wymaga od historyka czujności i zastanowienia. Nie chodzi o zwykłe zaspokojenie ciekawości, jakie wzbudza przepowiedziane zaćmieniem Słońca lądowanie szwedzkiej armii. Ale głównie dlatego, że objęte zostało działaniem szwedzkiej propagandy wojennej, zacieraającej rzeczywisty przebieg wydarzeń. Przyczyna takiego postępowania bynajmniej nie tkwiła w chęci utrzymania działania militarnego w tajemnicy przed przeciwnikiem, czego należałoby się spodziewać, ale z konieczności. Chodziło o zagłuszenie i ukrycie pechowego początku tego desantu, co mogło już na początku poważnie zaszkodzić propagandowo, zanim podjęto walkę z cesarzem.

Można tutaj użyć porównania, że tak jak z początkiem wojny trzydziestoletniej i jej czeskim okresem związane jest przedstawiane potem niemal w wymiarze symbolicznym wydarzenie defenestracji praskiej (1618), kojarzonej jakoby ze śmiercią wyrzucanych przez okno cesarskich zwolenników. A w rzeczywistości wszyscy cało wylądowali na przyzłaskowym śmietniku. Tak początek okresu szwedzkiego łączony jest z obrazem klęczącego i modlącego się króla szwedzkiego Gustawa Adolfa na brzegu morskim. Tutaj także opowieści i propaganda uproszczyły wizerunek zdarzenia.

Samo lądowanie Szwedów na Pomorzu omawiane było w dawnych kronikach raczej schematycznie i bardzo zwięźle. Podobnie odnosili się do tego wydarzenia biografowie króla³. Johann Micrälius zapisał, że z wybranego miejsca, które jest pierwszym po Szczecinie portem morskim, opłynął wokół wyspę Uznam, żeby zrobić

rozpoznanie terenu przeciwnika, a następnie dnia schodzi z całym wojskiem na suchy ląd, bez najmniejszego oporu ze strony cesarskich⁴. Za nim powtórzył opis Peter Rudolphi w końcu XVII wieku⁵.

W wielu opracowaniach, aby podkreślić znaczenie tej akcji, zawyżano wielkość armii lądującej na Pomorzu latem 1630 roku. Przeważnie podawano 20.000 żołnierzy, ale badania historyków skorygowały tę liczbę na najwyżej 15.000⁶. Do tego wzmacniano wymiar religijny, podkreślając jakoby król szwedzki specjalnie dokonywał desantu na

⁴ Johannis Micrälii Sechs Bücher von Alten Pommernlande, Stettin-Leipzig 1723, s. 180; H.J.Hacker, Pommern in der Zeit des dreissigjährigen Krieges, w: Beiträge zur Geschichte Vorpommerns. Die Demminer Kolloquien 1985-1994, Schwerin-Helms 1997, s. 193.

⁵ Archiwum Państwowe w Szczecinie, Rękopisy i spuścizny: Zbiór Samuela G. Loepera, nr 45a: Des Pommerschen Greiffens. Ander Theil der durch Noth und Theil ergriffene Greiff von a(nn)o 1627 bis 1650, Stuechow im oberen Hofe anno 1696, s. 160.

⁶ G.T.Gallus, Geschichte der Mark Brandenburg für Freunde historischer Kunde, Züllichau-Freystadt 1801, s. 31; G.Barudio, Gustav Adolf der Große. Eine politische biographie, Frankfurt a. Main 1982, s. 440; I.Asmus, Gustav II. Adolf, s. 80.

Pomorzu w rocznicę konfesji augsburskiej⁷, o czym długo jeszcze pamiętano⁸ i świętowano na Pomorzu⁹.

Według Erika Gustafa Geigera, którego monografia Gustawa II Adolfa wywarła duży wpływ na szwedzkie pojmowanie historii, desant wojsk szwedzkich został dokładnie umieszczony w dniu 25 czerwca, w setną rocznicę powstania wyznania w Augsburgu. Według tego historyka Gustaw Adolf „podczas gwałtownej burzy (...) wyruszył łodzią na zwiad, by przynieść swej drużynie wieść, iż wróg wycofał się do swojego obozu w Anklam. Potem rozkazał zejść na ląd”¹⁰.

Według kolejnej obszernej biografii króla autorstwa Johanna Paula król dotarł dopiero następnego dnia - 26 czerwca do ujścia rzeki Piany, gdzie wśród błyskawic i grzmotów nakazał wysadzenie wojska na ląd, a sam modlitwą podziękował za szczęśliwą przeprawę morską. Paul i wielu historyków przemilcza, że król skakał z jednej z trzech łodzi, które jako pierwsze dotarły do brzegu, potknął się, a nawet zranił się w kolano¹¹. To z bólu, a nie w celu odmówienia modlitwy król szwedzki przyklęknął. Słusznie kolejny z historyków Gustaw Droysen napisał, iż było czystą propagandą stwierdzenie u wielu dziejopisów, że król Gustaw Adolf odmówił mowę dziękczynną na pomorskim wybrzeżu¹².

Motyw lądowania Szwedów na Pomorzu znalazł się w dziełach kronikarskich. Jednym

⁷ Causae, ob quas Gustavus Adolphus coactus est eum exercitu in Germaniam et Pomeraniam movere, Stralsund 1630, s. 1-4; Balthasar Henckel, Disceptatio de bella tam protectio quam vindicatorio Gustavi Adolphi et fide Bogislai, Stettin 1631, s. 1-4; C.Pyl, Zustande Pommerns, zur Zeit des 1630 einfallenden ersten Jubilai wegen der augsp. Confession, Stralsund 1730, s. 4; P.Fryxell, Histoire de Gustaf II Adolphe, T. I, Paris 1846, s. 402; A.F.Gfrörer, Gustav Adolph, König von Schweden und seine Zeit, Stuttgart 1852, s. 599; B.Chapman, The History of Gustavus Adolphus and of the Thirty Years' War up to the King's Death, London 1856, s. 207.

⁸ Geschichtsquellen des burg- und schlossgesessenen Geschlechts von Borcke, hrsg. v. G.Sello, Bd. III/1, Berlin 1907, nr 190.

⁹ F.Thiede, Chronik der Stadt Stettin, Stettin 1849, s. 653-654.

¹⁰ E.G.Geijer, Svenska Folkets Historia, D. III, Örebro 1836, s. 189-190; I.Asmus, Gustav II. Adolf, s. 83.

¹¹ J.Paul, Gustav Adolf, Bd. II, Leipzig 1930, s. 164; I.Asmus, Gustav II. Adolf „Kompt in Pommern an”, s. 80.

¹² G.Droysen, Gustaf Adolf, Bd. II, Leipzig 1870, s. 151-152; A.Cronholm, Sveriges Historia under Gustaf II Adolfs regering, Th. VI, Stockholm 1872, s. 94-95; I.Asmus, Gustav II. Adolf, s. 81, 83, przyp. 22.



Des Schwedenkönigs Gustaf Adolfs Landung in Pommern am 24. Juni 1630.

² G.Schormann, Der dreissigjährige Krieg, Göttingen 1985, s. 40.

³ I.Asmus, Gustav II. Adolf, s. 79-96; G.Parker, The Thirty Years' War, Boston 1984, s. 123; M.Junkelmann, Gustav Adolf (1594-1632). Schwedens Aufstieg zur Grossmacht, Regensburg 1993, s. 309; R.Brziński, Lützen 1632, Apogäum wojny trzydziestoletniej, Oxford 2001, s. 6; Idem, Die Armee Gustav Adolfs. Infanterie und Kavallerie, Königswinter 2006, s. 6; R.Bonney, The Thirty Years' War (1618-1648), Oxford 2002, s. 24.

Królewskie potknięcie

z nich była *Arma Svecia* dzieło Philippa Arlaniebausa (ps. Philipp Abelin) z 1631 roku, znana w opracowaniach w łacinie i języku niemieckim. W kwestii przebiegu desantu nie wnosi jednak nic nowego¹³. Kolejne znane dzieło - *Inventarium Sveciae* Johanna Ludwiga Gottfrieda z 1632 roku było trudne dla czytelnika, ponieważ autor pomieszał chronologię wydarzeń¹⁴. Już większe uporządkowanie faktów znajduje się w *Kronice Historycznej* (*Historische Chronick*) autorstwa Philippa Abelina, która uświetniła zwycięski pochód króla szwedzkiego w Niemczech i została potem przedrukowana w dziele Mattheusa Meriana „*Teatrum Europaei*” w części drugiej¹⁵. W tych i innych dziełach kronikarskich desant szwedzki wspomniano pod wszelkimi możliwymi datami pomiędzy 24 a 26 czerwca¹⁶. Począwszy od końca XIX wieku do dzisiaj, lądowanie na Pomorzu wspomniane jest pod jedną datą starego stylu - 26 czerwca 1630 roku¹⁷.

Nie ma też zgodności, gdzie król szwedzki wylądował. W świetle zapisów kronikarskich wynika, że Gustaw II Adolf po raz pierwszy postawił nogę na Rugii, a dopiero później na Uznamie. Uzależniony od niekorzystnych warunków pogodowych król, dotarł najpierw z flotą do wybrzeży Rugii przy Nordperd w dniu (24 czerwca) 4 lipca i z powodu dużego upału i bezwietrznej pogody, nie mógł tego dnia nic więcej przedsięwziąć. Jeszcze tego samego dnia król kazał przewieźć się na Rugię. Tutaj koło Göhren zatrzymał się oczekując na przybycie reszty floty. Następnego dnia - (25 czerwca) 5 lipca większa część floty szwedzkiej dotarła do redy przed Greifswalder Öie, a dnia (26 czerwca) 6 lipca pozostałe statki desantowe. Część z okrętów z powodu niekorzystnego wiatru nadal pozostała w Kalmarze i dopiero w tym dniu mogła wyruszyć w rejs, a z kolei kilka statków z prowiantem - dopiero (27 czerwca) 7 lipca. Z tych dociekań wynika, że szwedzka flota desantowa dobijała do brzegu pomorskiego między 4 a 7 lipca 1630 roku.

W nocy z (25/26 czerwca) 5/6 lip-



ca król wypłynął łodzią na rozpoznanie wyspy Uznam. Prawdopodobnie chciał wybrać dogodnie miejsce do lądowania armii. Dnia (26 czerwca) 6 lipca wydał rozkaz wyokrętowania potowy piechoty, co rozpoczęło się około czwartej po południu, podczas burzy. Żołnierze docierali na brzeg z opóźnieniem, ponieważ statki zatrzymały się głębiej w morzu ze względu na płyciznę. To z kolei sprawiło, że Gustaw Adolf na czele trzech łodzi pierwszy dotarł na ląd¹⁸. Chcąc dać przykład swej armii pierwszy wyskoczył z łodzi przed swymi pułkownikami: Nilssem Brahe (od 1631 dowódca żółtego regimentu) i Peterem Brahe¹⁹. I to właściwie byli jedyni

świadkowie królewskiego potknięcia na pomorskim brzegu. Drugi z nich miał drugą żonę Beatę de la Gardie, więc pewnie to on wpłynął na odpowiedni wizerunek Gustawa Adolfa umieszczony na obrazie Johanna Hammera.

Operacja desantu armii szwedzkiej dwa dni. Rozpoczęła się wieczorem (26 czerwca) 6 lipca podczas gwałtownej burzy. Wyładowano z 28 okrętów wojennych i wielu statków transportowych 16 kompani jazdy, 92 kompanie piechoty i artylerii. Po zejściu na ląd założono obóz u północnozachodnich brzegów wyspy Uznam, przy ujściu rzeki Piany (*Peenemünde*). Spośród żołnierzy przybyłych z królem szwedzkim więcej niż połowa pochodziła ze Szwecji i Finlandii.

¹³ L.Heinrich, Wüthrich, Der Chronist Johann Ludwig Gottfried (ca. 1584-1633) – nicht identisch mit Johann Philipp Abele, w: „Archiv für Kulturgeschichte”, 43 (1961), s. 188-216.

¹⁴ *Inventarium Sveciae*, Das ist: Grundliche vnd warhafft Beschreibung dess Königreichs Schweden und Essen incorporirten Provinzien darinnen von Natur vnd Eigenschafft dess Lands (...) gehandelt wirdt: (...) verfasst Durch Joh. Ludwig Gottfried, Frankfurt (a. M.) 1632, s. 235-236, cyt. za: I.Asmus, Gustav II. Adolf „Kompt in Pommern an”, s. 88.

¹⁵ P.Abelin, *Historische Chronick Oder Warhafft Beschreibung aller vornehmen vnd denckwürdigen Geschichten, so sich hin vnd wider in der Welt, von Anno Christi 1629. biß auff das Jahr 1633*; I.Asmus, *Die Landung des schwedischen Königs Gustav II. Adolf in Pommern nach dem Theatrum Europeum*. Zum 375. Jubiläum eines europäischen Ereignisses, w: „*Pommern. Zeitschrift für Kultur und Geschichte*”, 43 (2005), Heft 3, s. 16-17.

¹⁶ I.Asmus, Gustav II. Adolf, s. 79-96.

¹⁷ M.Bär, *Die Politik Pommerns während des 30-jährigen Krieges*, Leipzig 1896, s. 75-76; P.Schwartz, *Die Neumark während des dreißigjährigen Krieges*, I, s. 111; K.Berg, *Arnswalde XVII*, s. 182; C.Th.Odhner, *Die Politik Schwedens im Westphälischen Friedenscongress und die Gründung der schwedischen Herrschaft in Deutschland und die Gründung der schwedischen Herrschaft in Deutschland*, Hannover-Döhren 1877, s. 49; *Rikskansleren Axel Oxenstiernas skrifter och brevveckling*, Opr. P.A.Norstedt, Stokholm 1888, s. 619; F.Berner, Gustav Adolf, s. 403; G.Schormann, *Der dreissigjährige Krieg*, 1985, s. 40; M.Lynch, *Scotland. A New History*, Edinburgh 1991, s. 7, Nr 17; H.T.Porada, *Beiträge zur Geschichte Vorpommerns*, w: „*Gesellschaft für Pommersche Geschichte und Alterthumskunde*”, 1997, s. 23, 27; C.V.Wedgwood, *Thirty Years War*, s. 238.



na pomorskim brzegu



Gustav Adolfs Gandung.

Poza tym nie brakowało ochotników z innych krajów, w tym najwięcej Szkotów, Anglików, Lapończyków i innych²⁰. Byli także Czesi, Morawianie i Pomorzanie.

Tymczasem w Europie interesowano się przede wszystkim zjazdem w Regensburgu. Tam pojawiło się pomorskie poselstwo książęce, które liczyło na zniesienie kwaterunku wojsk cesarskich w księstwie, ale żadnych pozytywnych rozwiązań w tej kwestii, o co usilnie proszono cesarza w imieniu księcia Bogusława XIV – nie zapadło. Posłowie nie wiedzieli, że w tym samym czasie miał miejsce szwedzki desant na wyspie Uznam, a Pomorze znalazło się właściwie w zupełnie innym, nowym, położeniu militarno-politycznym²¹. Zgromadzenie elektorów w Regensburgu tak mocno było pochłonięte własnymi sprawami, że, co prawda, dowiedzieli się o desancie szwedzkim, lecz nie miało czasu na podjęcie działań militarnych lub politycznych przeciwko wojskom szwedzkim. Jedyne co

uzyskali posłowie pomorscy w tej misji, to list wystawiony przez wszystkich elektorów do króla szwedzkiego, w którym uprzejmie poproszono Gustawa Adolfa o wycofanie jego wojsk z terytorium Rzeszy Niemieckiej²². Ale takie apele nie mogły wpłynąć na króla szwedzkiego. Natomiast brak zdecydowanej reakcji ze strony wojsk cesarskich na Pomorzu pozwolił armii szwedzkiej przejść inicjatywę²³.

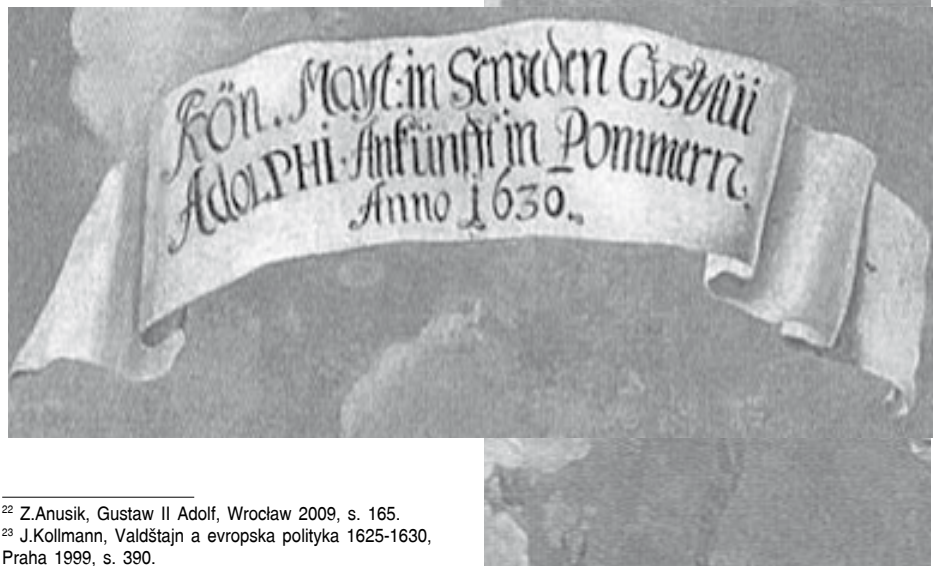
GRZEGORZ JACEK BRZUSTOWICZ

²⁰ J. Micreälius, *Pommersche Jahr-Geschichten*, vom 1606 Jahr bis auff die Kayserliche Einquartierung in Pommern and also das vierdte Buch vom Pommer-Lande, Stettin-Leipzig 1723, s. 80; H. Zopf, *Schweden und Kaiserliche in der Mark Brandenburg Anno 1631*, „Brandenburgisches Jahrbuch“, 2 (1927), s. 31; P. Engerisser, *Von Kronach nach Nordlingen, Der Dreissigjährigen Krieg in Franken, Schwaben und der Oberpfalz 1631-1635*, 2005, s. 15, 596; A. Cronholm, *Gustav II Adolf in Deutschland*, Nabu Press 2010, s. 105-108.

²¹ Archiwum Państwowe w Szczecinie, Archiwum Książąt Szczecińskich, Pars I, nr 1555: *Acta des Collegiats-Tages zu Regensburg gehalten Anno 1630*, k. 1-64; nr 1583: *Beschickung des Churfürstlichen Collegial-Tages zu Regensburg im Juni Anno 1630 wegen der grossen Beschwerden des Pommerlandes (1630)*, k. 1-62.

²² Z. Anusik, *Gustaw II Adolf*, Wrocław 2009, s. 165.

²³ J. Kollmann, *Valdštajn a evropska politika 1625-1630*, Praha 1999, s. 390.



PANIE BOŻE PRZEBACZ

Jan Stanisław
Smalewski

Późnym popołudniem w święto Matki Boskiej Zielnej Franek przywiózł z miasta Dankę. Weszli razem na podwórze.

A ona tu po co? - Władek poczuł się niepewnie, bowiem kilka godzin wcześniej wypowiadał się z grzechów nieczystości, jakich dopuścili się wspólnie. Obiecał też księdzu, że więcej nie będzie grzeszył z ateistką, która pracuje w Komitecie partii.

- Czy będę mogła posłuchać, jak grać? - dziewczyna zwróciła się do Władka. Franek, stojąc za jej plecami, dawał mu znaki, że na jej obecność nie miał wpływu. Sytuacja stała się kłopotliwą.

- My gramy całym zespołem. A u mnie, uczymy się tylko - wyjaśnił i powiedział również, że to niemożliwe, żeby jej zagrał, bo Franek nie przywiózł akordeonu.

- To twój kolega zagra na gitarze, a ty będziesz śpiewał. Proszę was!... - zrobiła błagalną minę.

Chłopcy nie planowali gry i śpiewów pod śliwką w sadzie, czego oczekiwała dziewczyna, ale zamierzali iść do kościoła, gdzie w tajemnicy przed całą wsią, ale za zgodą starego organisty, Władek ćwiczył grę na organach.

Franek czekał na decyzję swojego kolegi, jakby już wcześniej jej coś obiecał.

- Dobrze, posłuchasz nas obu - zgodził się Władek. - Wiesz, gdzie masz ją podwieźć? - zapytał kolegę, a dziewczynie wyjaśnił, że zaraz do nich dołączy.

- A czy to daleko? Gdzie mnie chcecie zabrać? - Zapewne pomyślała, że chłopcy wpadli na pomysł, żeby ponownie zawieźć ją do miasta.

- Tu blisko, do kościoła - wyjaśnił Franek.

- Zwariowałeś!? Mam iść z wami do kościoła? Będziecie grać w kościele? - nie dowierzała.

Franek uruchomił silnik, zawrócił motocykl i czekał.

- No to jedziesz z nim, czy nie?... - Władek wskazał na motor. A ponieważ wahala się, wyjaśnił: muszę podejść do kościelnego po klucz.

Stara plebania stała w sąsiedztwie kościoła, ale nie spełniała dawnych funkcji. Wieś od śmierci sędziwego proboszcza nie miała swojego księdza, nabożeństwa obstarciwali księża z Pociotkowa. W budynku pozostały jednak dwie rodziny autochtonów, w tym emerytowany kolejarz, który z pieczołowitością kontynuował dawne upodobania proboszcza; zajmując się pasieką. Przejął także funkcję kościelną.

Gdy Władek wszedł do jego pokoju, kościelny spojrzął w okno, z którego widać było kościół i wejście do zakrystii.

- A dziewczucha wam po co? - zapytał.

- Uparta się, żeby nas posłuchać.

- Nie wiem, czy powinienem... - zawałał się.

- Tylko na parę minut, panie kościelny. Ona zaraz sobie pójdzie.

- Trzymaj te klucze, chłopcze, ale... nie zamykajcie się od środka. Zaraz przyjdę do was - przestrzegł.

Czy tylko zwykła ciekawość, po co zabrali ze sobą dziewczuchę, nakazywała mu nadzór? Gdyby był ciekawy, czego Władek nauczył się przez ostatnich kilka tygodni ćwiczeń na organach, przyszedłby już do nich wcześniej.

Na ten świąteczny dzień - jedno z waż-

niejszych świąt kościelnych w roku - wokół glinianek wycięto niemal wszystkie tataraki. Leżały teraz razem z innymi ziołami na posadzce kościelnej i wokół świątyni. Ich zapach nie był już jednak tak intensywny jak rano, podczas uroczystej mszy świętej. Chociaż przywiewały wciąż jednak uwalniały charakterystyczny aromat świeżego bagna kumowskich glinianek. No i pachniały zapachem włośów Danki...

W tym uroczystym dniu święcono zioła, zebrane wcześniej z pól i łąk. Miały one w czas jesiennej soty i mroźnej zimy chronić przed wszelkimi chorobami.

Tego dnia także, dwie nabożne kobiety, kumy: Świątkowa i stara Gąskowa, opuściły pod wieczór swoje zagrody z myślą, żeby udać się do kościoła i posprzątać w nim po święcie.

Chłopcy przeszli przez zakrystię i przykleknęli pobożnie przed głównym ołtarzem.

Dziewczyna widząc, że zrobili to przed tajemniczym światłem, które tylko wierzącym wyjaśniało, że w tabernakulum znajduje się Ciało Boże, pod postacią chleba i wina, również pochyliła się i przykleknęła.

Wchodząc za chłopakami do świątyni, poczuła się nieswojo. Pierwsze, co spadło na nią, to ogrom kościelnego wnętrza, wypełnionego tajemniczym światłem sączącym się z witraży.

Długie kościelne okna na zewnątrz mogły zaobserwować każdy, tak jak każdy mógł dostrzec, że nie mają one zwykłych szyb, ale kolorowe witraże przedstawiające jakieś postacie i sceny.

Tu, we wnętrzu, światło dzienne przedzierające się przez szkła kolorowych witraży, zmieniało się w trwożną świętość. Świętość, którą uzupełniała galeria obrazów, składających się na cykl męki pańskiej.

Danka zatrzymała się przy balaskach i pytająco spojrzała na Władka, a on bez słowa pokazał dłonią na kościelną ławę przed bocznym ołtarzem.

Dziewczyna kiwnęła głową, że rozumie. Stała jednak nadal, wiodąc wzrokiem za chłopakami, którzy musieli przejść przez całe to trwożne, a zarazem tchnące świętością wnętrze, aby dostać się do głównego wejścia świątyni, skąd prowadziły schody na tajemniczy chór, na którym mieściły się organy.

Najpierw usłyszała ich głośnie kroki na kościelnej posadzce, przypominające chodzenie w nocy starego ściennego zegara, a potem skrzypnęły ciężko drzwi i zapanaowała cisza. Chwilę później Władek pojawił się wysoko, na chórze, gdzie w mrocznej głębi srebrzyście połyskiwały liczne, ustawione w rzędy piszczałki organów. Wychylił się z za ciężkiej, zdobnej w złocenia balustrady, pokłonił się ołtarzowi i powiedział głośno: - Panie Boże, przebac.

A potem zwrócił się do Danki: - Usiądź Dana. Usiądź i posłuchaj. A jak będziesz chciała, możesz wejść do nas na górę. - I zniknął. Bo ani klawiatury organów, ani samego organisty z tego miejsca, gdzie siedzieli w świątyni wierni, widać nie było. Nie widać też było chłopaka, spełniającego tak prozaiczną funkcję, jaką było napędzanie organów siłą fizyczną mięśni nóg, to znaczy kalikującego po przeciwnej stronie organów.

Głowę organisty mógł jedynie zza ołtarza zobaczyć kapłan. Jedynie on mógł wzrokiem lub gestem dać znać organście. Mógł na odległość z nim się porozumieć.

Organista nie był tu wcale taki ważny, jak wydawało się Władkowi. Liczyły się tylko organy i ich muzyka. Liczyło się to, co ręce i nogi organisty z organów potrafiły wydobyć.

Władek nie chciał jednak pozostawić dla Danki anonimowy. Pragnął, żeby jego ważność była równa tej, jaką miała muzyka. Kiedy to mogło zaistnieć? Ano wtedy, gdy organista śpiewał.

- Najpierw zagram „Kiedy Ranne Wstają Zorze”, a potem jej zaśpiewam - Władek powiedział do Franka.

- Co jej zaśpiewasz? - rozmawiali szep-tem.

- Zobaczysz - uśmiechnął się tajemniczo i otworzył kłódkę, blokującą dostęp do klawiatury. Obejrzał ją z nabożną czcią i dał znak koledze, że mogą zaczynać.

Danka usiadła przed ołtarzem Najświętszej Marii Panny i wpatrywała się w obraz. I, słuchając organów, nagle wydało jej się, że skądś zna tę postać, że już kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, widziała ją, że postać ta jest jej bliska.

Czy tylko wydawało się Władowi, było to urojeniem, czy grą wyobraźni, tego dziś już nikt się nie dowie. Faktem jest, że ożywając organy, Władek sam się zdumiał. Poczut się bowiem tak, jakby tam na dole siedziała nie Danka, nie jedna dziewczyna, ale pełni ich kościół. Jakby wszystkie tawy wypełnione były Dankami i wszystkie one teraz słuchały jego nabożnej pieśni, którą budziły jego palce, stopy, i serce.

I stało się coś dziwnego. Ostrze muzyki organowej przeszło świętość wpadającego do świątyni światła, zderzyło się z nim, zbliżyło w jedną zwartą siłę i całą mocą uderzyło w dziewczynę. Odwróciła ona głowę od świętego obrazu i ze zdumieniem spojrzała ku górze. Ale nie było tam Władka, ani Franka, był tylko jeden - ogromnej mocy - radosny kołtun muzyki i światła.

Oniemiała z wrażenia patrzyła wciąż w górę, na organy i wydawało jej się, że zaraz niebo się otworzy i wysypią się z niego anioły.

- Mówił, że gra na gitarze? - pomyślała o Władku. - A Franek? Na akordeonie?...

I poczuła, że nie znając prawdy, straciła coś wielkiego, coś, co podobne było do utraty, jaką niosło niechodzenie do kościoła i brak wiary w Boga.

- Jaki cudowny instrument - pomyślała. - Jaka jest ogromna, jak przytłaczająca jest jego siła.

A Władek?... Przecież to tylko chłopiec, którym się bawiła. Tam nad stawem, i na podwórzu, gdy wprowadzała go w pierwsze tajniki miłości.

A może to podstęp? Może on wcale nie jest chłopcem? Tak jak jego gitara nie jest wcale gitarą, tylko... potężnym organem odświętnego nieba.

I pomyślała w tym momencie, że Władek gra nie tylko dla nieba, gra również dla niej. No bo po co zabrał ją tutaj, do kościoła?

Nie gra teraz dla swojego Boga, tylko dla niej? - przestraszyła się. - Nie powinien chyba w takim miejscu grać dla kogo innego? Tym bardziej dla niej, grzesznej, bo... bawiła się jego młodziwieczą niewinnością.

I właśnie wtedy, gdy tak pomyślała, stało się coś jeszcze bardziej dziwnego. Organy umilkły, aby po chwili zagrać jeszcze rzewniej i boleśniej. Gdzieś spod chmur, z samej głębi kościelnego nieba, rozległ się przejmujący śpiew Władka.

Ty Matko moja, Panią byłaś pierwszą.

Przy Tobie światło i noc blaskiem stały miłości jednej, jedynie gorącej.

Matczynej miłości, tak jak boskiej chwały.

- Czy to naprawdę Władek tak śpiewał? - ale pytanie było jedynie lśnieniem błyskawicy, było tylko chwilą słodkiego

zadziwienia, bo oto do Danki dotarły słowa nieznanej pieśni kościelnej. Pieśni o matce.

O czyjej matce? Władka, Franka, czy... Przecież ona nie ma matki... I ból ścisnął serce Danki. I kazał jej pochylić głowę i zastonić twarz dłońmi. I tak ją trzymał, mocno, za serce, aż poczuła drżenie.

Gdzie jesteś Matko, że nie ma cię przy mnie?

Że przez ścieżki życia sama idę, kręte?

Wróć do mnie, Matko. Wróć o Pani święta.

I dłoń mi podaj, bym nie błądziła więcej.

I coś kazało jej podnieść głowę i spojrzeć na święty obraz. Spojrzała więc na obraz Najświętszej Panny i w jej oczach pojawiły się łzy. - Matka Boska uśmiechała się do niej. Ale to nie była już Matka Boska. To była ona, jej matka. Kobieta, której twarzy nigdy wcześniej nie mogła sobie przypomnieć. Nawet podczas burzy, gdy bardzo się bała, że uderzy piorun. I gdy marża po nocach sama, nie mając do kogo się przytulić. A także, gdy była głodna albo choroba trawiła ją gorączką. Wołała ją, matkę, ale jej przy niej nie było.

Nie było jej, bo Danusia była zbyt mała, aby zapamiętać jej twarz. Twarz prawdziwej matki. Matki, która odeszła kiedyś tak nagle.

Danusia miała tylko trzy latka, kiedy babcia wyniosła ją z płonącego domu, a nad nimi wybuchały potworne bomby, zrzucone przez niemieckie samoloty. Dziewczynka była przekonana, że jej matka pozostała na zawsze tam, w ruinach zbombardowanego domu, a tymczasem jest ona tutaj, w świątyni. I uśmiecha się do niej.

Danka opuściła ławkę, podbiegła do swej matki, która teraz z pobłażliwym uśmiechem wyciągała do niej dłoń, i ucałowała jej stopy.

I zaraz potem przestraszyła się tego, co zrobiła, bo jej matka zniknęła. Był znów tylko obraz. I bardzo ciężkie łzy wypełniły oczy Danki. Wypełniły je po brzegi, aż przelały się i gorącymi strumykami spłynęły po jej chłodnych policzkach.

- Jeszcze chwila, jeszcze jedna chwila i moje serce pięknie - pomyślała Danka, bo koszmara, jakie przetoczyły się nad nią, były tak ciężkie, że tylko on, Władek - anioł grający wysoko na niebieskim chórze, anioł, który je obudził, mógł je teraz uspić i żal jej utulić.

Znalazłam Ciebie, Pani moja, w świątyni.

I z sercem twoim łączę serce swoje.

Już mi nie straszny ból i złe zawieje.

Już złych ciemności więcej się nie boję. *

A ona tego anioła - jak mówią wierzący - wiodła na pokuszenie...

I nie mogąc powstrzymać łez. I wstydząc się swoich łez przed młodymi chłopcami, wybiegła na środek kościoła. Zatrzymała się przed tabernakulum, gdzie paliło się wieczne światło kościoła chrześcijańskiej wiary i zapytała się siebie, co takiego powiedział Władek w stronę ołtarza, zanim przemówił do niej z chóru?

Już wiem - przypomniała sobie i przy-klękała.

- Towarzyszu Boże, przebacz! - zawołała. I ocierając łzy w rękaw, wybiegła na zewnątrz, przez zakrystię.

Towarzyszu Boże powiedziała, bo dla niej wszyscy panowie kojarzyli się z uci-kiem. To oni wywołali straszną wojnę, która na zawsze odebrała jej matkę, oni nieśli gwałt i przemoc. Tak też uczyli Dankę

w szkole i tak była wychowana. A skoro Bóg, który kiedyś zabrał jej matkę, jest dobry, bo potrafi zmartwych i rzeczy martwe ożywiać, nie może więc być panem, musi być towarzyszem. Tak pomyślała.

Właśnie wtedy, gdy kościelny zbliżał się do drzwi zakrystii, wybiegła z niej Danka.

- Co się stało? - wystraszył się stary pszczelarz, bo zauważył, że dziewczyna miała oczy pełne łez. I zauważył też, że wybiegając z kościoła zachowała się tak, jakby wokół niej nie było świata, nie było jego - kościelnego, ani wyłożonej płytami z betonu przykościelnej drogi. Była tylko jakaś przepaść, pustka, w którą Danka uśli-owała zapaść się, zniknąć. I nawet potknęła się, i jakby w obawie, że zderzy się z nim, starym człowiekiem, pszczelarzem a zarazem kościelnym, omijając go na około, wbiegła na murawę, a po niej na skróty pomiędzy groby przykościelnego cmentarza, prosto do cmentarnej bramy.

Kościelny, zaniepokojony zachowaniem dziewczyny, pchnął ciężką furtę zakrystii, wszedł śpiesznie do jej wnętrza i rozglądając się bacznie, wszedł przed ołtarz. W kościele było jednak wszystko jak należy. Tylko kościelne organy grały dźwięczniej niż zwykle i dźwięczniejszy niż zwykle był śpiew organisty.

- A może to dlatego, że kościół jest pu-sty, nie ma w nim wiernych i echo tak niesie? - pomyślał. Kościelny był stary, ale słuch miał jeszcze dobry. Pomyślał więc zaraz, że to nie dlatego. Bo gdyby nie wiedział, że na organach gra ktoś inny, to może i miałby prawo tak pomyśleć. Ale wiedział przecież, że to gra uczeń organisty. Tylko jakim prawem organy grają tak dźwięcznie, świeżo i pięknie? Grają ładniej, niż pod palcami starego mistrza.

A uczeń? - Kiedy już uspokoił basy, alty i sopran, kończąc ostatnią zwrotkę pieśni kościelnej „Pod Twą Obronę”, i kiedy wychylił głowę z chóru, będąc przeświadczone, że tam na dole, w ławce przed bocznym ołtarzem zobaczy zadartą w górę głowę Danki i zobaczy pełne zachwyty jej oczy, zdziwił się bardzo. Zdziwił się, bo zamiast Danki, zobaczył starego kościelnego, który stał nieruchomo i z uśmiechem patrzył na organy.

- Możecie zejść? - zapytał, dostrzegłszy Władka. A gdy już zeszedł, postanowił zaspoko-koić swoją ciekawość.

- Co zrobiliście dziewczynie? - chłopcy popatrzyli po sobie ze zdziwieniem.

- A co mieliśmy zrobić?

- Wybiegła z płaczem.

- Jej nie było z nami na chórze - pośpie-szył z wyjaśnieniem Władek. Na co Franek dodał zaraz, że skoro z płaczem, to nic, jak tylko mogła się wzruszyć. Tak powiedział, gdyż i on poczuł dławienie w krtani, kiedy jego kolega śpiewał.

I uspokoił się stary pszczelarz, bo wyda-owało mu się, iż to możliwe, że dziewczyna wzruszyła się; chłopak grał tak ładnie.

- A co zrobiliście z tymi organami, jeszcze nigdy nie grały tak dźwięcznie - zapytał, chcąc dopełnić ciekawości. A gdy dowie-dział się, że całe poprzednie popołudnie spędzili przy ich odkurzaniu i przemywaniu piszczałek bimbrem, który robi ojciec Wład-ka, nie wiedział, co powiedzieć. Gdyby nie słyszał efektu, zapewne byłby ich zganił za samowolę. Zwrócił zatem uwagę, że zrobiło się późno i powiedział, że chciałby zamknąć kościół, gdyż wybiera się do znajomych, zanieść im świeżego lipowego miodu, a nie chciałby odwiedzać ich po nocy.

Wyszli bocznymi drzwiami od zakrystii, a potem małą furtką w ogrodzeniu, którą miał prawo chodzić tylko kościelny.

Nieco wcześniej, przed przyjściem kościelnego, przez wejście główne podeszły pod kościół dwie kobiety: stara Gąskowa, ze swą kumą Świątkową. Kobiety zatrzymały się przy krzyżu misyjnym i popatrzyły w górę.

- Świątkowa, czy wy też słyszycie, co i ja słyszę? - zapytała Gąskowa.

- Gąskowa, a czy wy, kumo, słyszycie to samo? - z wielkim przejęciem spytała Świątkowa. I jak do gaszenia ognia ruszyły razem pod drzwi główne świątyni. Przyjrzały się im z uwagą i spróbowały otworzyć. Ale drzwi zamknięte były na przysłowiowe dwa spusty i ani drgnęły.

Stojąc na progu, kobiety spojrzały po sobie.

- Kumo! - odezwiała się z przejęciem Świątkowa: - albo to mnie się przesłuchuje, albo coś jes nie tak. Zawarte, widzicie? A kościół słysząc.

- Ano, zawarte, kumo. Skoro zawarte, to kaj go słysząc? Gdyby byli w nim kościelny, to głosa i tak nie dadzą. Ja wyraźnie kumo słyszała organy.

Młodsza była Świątkowa to i mniejszej wiary. Więcej dowodów potrzebowała na to, żeby uwierzyć, że kościół sam słysząc. Ruszyła zatem spieszo ku bocznemu wejściu. - A nuż organista przyjechali?

Podbiegła, zaparła się, za klamkę ciężkich drzwi chwytła i bokiem w prawą wrotnię uderza. Ale drzwi... na dwa spusty zamknięte.

- No i co, kumosiu? - dopytuje się zmierzająca już do niej Gąskowa.

- Wielkie święto dzisiaj - mówi do niej Świątkowa, to i organ sam grają. By słać Panienkę - dodaje. - Spójrzcie kumo, zakryte niby od trumny wieko. Na amen.

I wystraszyły się kobiety. - Ma rację Świątkowa - myśli Gąskowa - święto wielkie to i raduje się kościół i organy grają. Ale żeby tak same, z niczego? I wraca z powrotem pod wejście główne, i klęka na schodach. A Świątkowa za nią, ale coś mignęło, zabłyszczano się i kazało jej przystanąć. Patrzy Świątkowa w górę na kościół, rozgląda się po witrażach i żegna się z wielkim przejęciem.

- Jeśli to ty jesteś, Przenajświętsza, to wielka grzesznica ze mnie, nie godnam Cię oglądać, ani stać przed Tobą - woła i zwała się na kolana przed krzyżem.

- Co wam jest, Świątkowa? - podbiega do niej Gąskowa, widząc, że kuma głośno odmawia zdrowaśki, a twarz ma przejętą taką, jakby samą Przenajświętszą zobaczyła.

- To cud zapewne jakiś! Cud kumosiu, cud wielki! Ja nie tylko organ w kościele słyszała. Mnie się zdawało, że przez okna poszło takie światło, jakby sama Przenajświętsza Pani przez nie przeszła.

- Wydawało wam się kumosiu, czy żeście widzieli?

- Widziałam. A wydawało się, że to Pani, ale pewna nie jestem. Twarz jak z boczno-go ołtarza.

- Co wy, kumo, gadacie? Jest to możliwe?...

I obie kobiety upadły przed krzyżem na kolana i modliły się głośno i gorąco. A gdy już odmówiły cały różaniec i przestały nasłuchiwać, bo ani chybi w kościele zrobiło się głucho, obeszyły kościół naokoło i postanowiły pójść do kościelnego, aby mu o tym wszystkim opowiedzieć.

Spotkały go, jak wychodził z domu z owiniętym w gazetę stoikiem miodu lipowego, ale organista nijak nie chciał uwierzyć, że kobiety były świadkami cudu, że kościół wieczorną porą sam się radował w to wielkie kościelne święto, że słyszały grające organy, a może i chóry anielskie,

i że ani chybi Świątkowej na moment ukażała się Najjaśniejsza Pani, choć zupełnie tego kobieta pewna nie była.

- Święto dzisiaj wielkie, to prawda - powiedział do kobiet - ale msza w południe była? Była. No i czemu miałby kościół sam śpiewać, albo sam radość jakąś wieścić?...

Żle potem o kościelnym rozpowiadały po Kumowie Świątkowa z Gąskową. Żle, bo to zapewne cud był wielki, w kościele aż po noc grało, a on nie tylko, że nie uwierzył, ale jeszcze je wyśmiał.

Kobiety zwołały Kółko Różańcowe i każda z nich po kolei opowiedziała wszystko od początku, co słyszała i widziała. I ustaliły, że to w nieprzypadkowy dzień i cud był nieprzypadkowy, bo od wojny kupę lat minęło, a kościół nieodnawiany. Tynki poszarzały, od strony Pociotkowa popękały nawet i zaczynają się wykruszać. Upomniata się zatem Panienka, a im nic innego teraz nie wypada, jak tylko zbiórkę na odnowę kościoła ogłosić.

I poszły z tym do księdza, domagając się przy tym, żeby o cudzie biskupa powiadomił. Ksiądz porozmawiał jednak najpierw z kościelnym i organistą. Na zbiórkę pieniędzy na odnowienie kościoła się zgodził, a co do cudu, powiedział, że było za mało świadków, żeby go ogłosić. Kościelny świadczyć nie może, bo niczego nie widział, a na dodatek twierdzi, że stara Gąskowa ma kłopoty ze słuchem, a Świątkowa zaś młodym winem pachniała, co go przy świętym stole wypita.

No i ustalono także, co by Władek na organach w Kumowie nie grał, przyjdzie na to czas, to starego organistę zastąpi.

JAN STANISŁAW SMALEWSKI

*/ Tekst pieśni J.S. Smalewski

Fragment przygotowywanej do druku powieści obyczajowej „Panie Boże przebac”



Jarosław Kapłon

morze

a jednak wracam — jak syn marnotrawny,
 który chce posłuchać szumu morza.
 to siła, która mnie nie potrzebuje —
 niesie. z każdym przypływem
 przypomina, że nie jestem centrum.
 i to mi wystarcza —
 by stanąć w miejscu,
 nie szukać sensu,
 oddychać.
 podchodzę bliżej, zanurzam stopy
 w zimnych bałwanach fal,
 czuję, jak coś się uspokaja we mnie.
 ciepło pod skórą łączy się z chłodem —
 jakby to była forma zgody.

bezbrzeżność

czasem stoję na brzegu.
 patrzę w niebieski bezkres.
 piasek otula stopy,
 zostawiam w nim ślad.
 liczę fale —
 a potem lecę wśród mew.
 nie po to, by gdzieś dotrzeć,
 lecz żeby zapomnieć. choćby na chwilę.
 morze nie pyta, skąd przychodzę.
 nie dziwi się mojej obecności.
 woda wraca i wraca —
 jakby wszystko, co odpłynęło,
 musiałoby kiedyś powrócić.
 nie próbuję tego zrozumieć.
 stoję. oddycham.
 zanurzam dłoń w słonym powietrzu.
 niczego nie szukam.
 te chwile są jak nieobecność,
 która pozwala być.

falochron

stoję na końcu. dalej — tylko głosy fal,
 biały horyzont. beton pod stopami
 szorstki jak język, na którym sól.
 pijam wodę z butelki.
 tu zaczyna się kadr:
 morze się cofa, a potem uderza o ścianę kamieni,
 wraca. zawsze wraca.
 jak ja do ciebie —
 myślami, rozbity, bez kształtu,
 niczym piana pod linią brzegu,
 ciało obracające się na brzuch,
 po ciężkim dniu.
 zupełnie jak wtedy,
 gdy ubrania były większe niż my sami,
 a sentymenty — jak cienie —
 odpływały bezwiednie.
 bo przecież nie wszystko zostaje.

Jarosław Kapłon – ur. 1972 we Wrocławiu. Poeta, autor pięciu tomów wierszy, laureat ogólnopolskich konkursów literackich, m.in. XVI Ogólnopolskiego i Polonijnego Konkursu im. Leopolda Staffa. Publikował m.in. w „Akcencie”, „Migotaniach”, „Akancie”, „Ricie Baum”, „Helikopterze”, „Zamojskim Kwartalniku Kulturalnym” oraz w „Poetyckiej Poczcie Radia Koszalin”. Mieszka w Zamościu.

Agnieszka Rykowska

Zaczerniam papier
i trochę mi się rozjaśnia(Marcin Orliński
„Paradoks” z tomu „Środki doraźne”)

– Nie jesteś nawiedzona – powiedział kiedyś przyjaciel Edo. – To twoja choroba sprawia, że przychodzą do ciebie dusze.

Nie wiem, kiedy TO po raz pierwszy się odezwę.

Może już w szkole podstawowej, gdy z koleżanką nie nauczyłam się na pamięć wiersza o ptaszkach. Polonista mieszkał w długim, drewnianym baraku, obok szkoły. W jego domu było mnóstwo kapci i butów. Wówczas TO szepnęło:

– Tutaj leżą buty z Auschwitz.

TO pojawiło się też po śmierci babci. Zobaczyłam ją przed domem. Stała z łaską w dłoni i rysowała nią rybę. Babcia przyszła również we śnie. Była noc. W kuchni pod ogromną lampą grzały się kurczaki. Babcia miała żółtą, mocno pomarszczoną twarz i suche usta. Złapała mnie mocno za nadgarstek i powiedziała:

– Chodź ze mną!

Może chciała mnie przed czymś ostrzec... Bałam się jej wtedy bardzo.

Później TO przyszło, gdy mama dostała zawału. Była jesień. Spałam u kuzynki, bo ojciec sprowadził na noc kolegę do picia, którego się bałam. Sąsiadką kuzynki była pani od gruszek. Zmarła kilka lat wcześniej w niewyjaśnionych okolicznościach. Przyjaźniła się bardzo z moją babcią. We wsi mówili, że zatruta się ciadem, gdyż w kuchni leżały zdechłe kurczaki.

Był piękny, jesienny poranek. Słońce weszło i przebijało się przez gołe gałęzie jesionów. Już miałam skrócić do furtki, gdy nagle na sąsiednim podwórku zobaczyłam kobiecą postać. Sunęła powoli ku drodze. Ubrana była jak pani od gruszek – w pomarańczowy serdak, ciemną spódnicę do połowy łydek i kozaki. Na głowie miała zieloną chustkę. Włoski na moim przedramieniu się uniosły, prawie na całym ciele poczułam dotkliwe zimno. TO szło w tym samym kierunku, co ja! Zrównawszy się z kobiecą postacią, spojrzałam szybko w jej stronę i niemal zamarłam z przerażenia. Nie spodziewałam się takiego widoku. Pod zieloną chustką zobaczyłam zupełnie czarną twarz! Zaczęłam przędko, ile sił w nogach biec do domu. Po kilku metrach, gdy poczułam się bezpieczniej, stanęłam obok przydomowej furtki, odwróciłam się, ale zjawy już nie było.

Nie mogłam w to wszystko uwierzyć. Nagle znalazłam się w potrzasku lęku zmie-

szanego z fascynacją. Trochę żałowałam, że kobieta – duch tak nagle zniknęła.

Gdy weszłam do domu, poprosiłam ojca o pieniądze na drogę do szpitala do mamy. Towarzysz ojca do picia siedział przy stole i świdrował mnie wzrokiem.

Za kilka tygodni powiesił się na grubej gałęzi jabłoni w pobliskim sadzie.

Następnie wyczułam TO w mieszkaniu Edo.

Edo... dobre, wielkie i ciepłe monstrum. Pokochałam jego serce i inteligencję.

Po roku intensywnego romansu awansował na przyjaciela. Tak naprawdę miał na imię Edward. Edem nazwała go bratanica – córka starszego brata, który w stanie wojennym wyemigrował do Szwecji. Młodszy brat Edo, Zbyszek, został moim wujkiem przez małżeństwo z Aliną, siostrą ciotecznią mojego ojca.

Na studiach, mieszkaliśmy trochę u Edo. Wynajął także pokój młodszemu ode mnie studentowi, Pawłowi, na którego rzuciłam

NIE JESTEŚ
NAWIEDZONA

się błyskawicznie. Był słodki i smaczny jak batonik „Pawelek”, niesamowicie piękny i przystojny, a ja w burzy hormonów. Herling-Grudziński pisał w „Innym Świecie”, że kobiety gorzej znoszą głód fizyczny i seksualny. Coś w tym jest.

Edo miał prawie dwa metry wzrostu. Starszy ode mnie o dwadzieścia lat. Pracował w łazienkach Królewskich jako ogrodnik. Nie miał własnych dzieci, ale dzięki niemu na świecie rodziły się kwiaty. Kochał rośliny, chyba z wzajemnością. Doskonale sobie z nimi radził.

Obcy się go bali. Całkiem niepotrzebnie, gdyż naprawdę był człowiekiem bardzo dobrym, pogodnym, inteligentnym, w dodatku z dużym poczuciem humoru.

Jego matka, arystokratka z Przemyśla, po wojnie trzy razy próbowała dostać się na medycynę. Za czwartym podejściem przyjęli ją w końcu na rehabilitację.

Ojciec wywodził się z ziemiaństwa spod Lwowa. Oficer Wojska Polskiego po trzydziestu latach małżeństwa postanowił wziąć rozwód, po czym ożenił się z własną sekretarką. Mieszkanie zostawił rodzinie. Zmarł, gdy byłem na studiach. Pewnego dnia w przedpokoju wyczułam coś dziwnego. Ojciec Edo? Nie umiem tego chyba zbyt dobrze wyłumaczyć... Coś wewnątrz mnie powstawało. Jakiś obraz, który teraz mogę jedynie przetworzyć na słowa.

Stał w przedpokoju jego duch, oparty o starą komodę, ubrany w oficerski mundur.

Następnie usłyszałam:

– Kocham ich bardzo, zawsze kochałem. Powiedz im to.

Edo zmarł w szpitalu tuż przed pandemią.

Jego ostatnie słowa, jakie usłyszałam, to:

– Pa, malutka.

Kilka dni po pogrzebie przyszedł do mnie we śnie, nad ranem. Kochaliśmy się. Odleciałam. Miał na sobie białą bluzkę z krótkim rękawem. Ładnie wyglądał i pięknie się uśmiechał.

Dziś TO daje jeszcze znać o sobie. Raz mniej, raz bardziej przyjazne. Czasem biega po dachu, czasem po podłodze w kuchni. Słyszę je nieraz na strychu. Dopiero, gdy zapalam światło, odchodzi.

– Co to za diabeł, który boi się światła?! Pierdol go! A jak cię gwałci, to mu powiedz, że szybko dochodzisz – śmieje się kolega.

Z jednej strony TO bywa śmieszne, z drugiej przerażające. Ma przeważnie czarne barwy. To mój koszmar, mój diabeł.

Opisane robi się mniej mroczne.

Najgorzej, gdy znajduję się w silnym stresie. TO wówczas ściągą ze mnie kołdrę, czuję postać silnego mężczyzny, który napiera na moje plecy. Towarzyszy przy tym ogromny lęk.

Siostrzenica powiedziała pewnego dnia, po tym, gdy TO

mnie odwiedziło:

– Ciociu, to jest na pewno paraliż przysenny.

– Nie, pani Agnieszko, żaden paraliż, to po prostu pani choroba – dodała lekarka.

Najpiękniejsze kolory miało latem, gdy o drugiej w nocy z dwudziestego siódmego na dwudziesty ósmy sierpnia dwa tysiące dwudziestego trzeciego roku usłyszałam na podwórku znajomy walc z „Nocy i dni”. Wyszłam na schodki. Wszystko wokół grało. Muzyka rozbrzmiewała w oborze, w zagajniku sosen i brzoź, za domem, w ogródku, w niebie. Chciałam tańczyć.

Następnego dnia reżyser „Nocy i Dni”, Jerzy Antczak, napisał na Facebooku, że stał się cud i to chyba sprawa metafizyki: jego chora żona zaczęła wracać do sił vitalnych, minęła jej apatia, odzyskała apetyt i chęć do życia. Wyraziła zgodę na leczenie.

Dziś przypominam sobie słowa pewnego poety. Kiedyś doszło między nami do lekkiego spięcia – mianowicie pokłóciliśmy się o wiersz. Napisał do mnie:

„Żeby zobaczyć w tym konkretnym wierszu truchło, to trzeba mieć albo spaczoną wyobraźnię, albo specyficzne predyspozycje.”

Czasem marzę o napisaniu kryminału. Uśmierciłabym w nim te wszystkie głosy, szmery. Zamordowałabym wewnętrzne dźwięki.

AGNIESZKA RYKOWSKA

FRANCIS CARLIN (1881 – 1945)

ALCHEMIA

Dzięki światłu księżyca
Srebrzy się wrzosowisko;
Dzięki promieniom słońca
Złotem chałupy błyszczą.

Dzięki gwiazdnej poświacie
Planety kąpią się w rzece;
Dzięki jasnym twym oczom
Miłość wypełnia me serce.

ROBIN FLOWER (1881 – 1946)

MSZA

O, śliczna, jasna pani, o ustach
czułych, czerwonych,
I piersi bielszej niż zimą
gałęzie ośnieżone,
Podczas mszy cię ujrzałem,
gdym czcił Podniesienie,
I wiem, że pół mej duszy
skazałem na potępienie.

L.A.G. STRONG (1896 – 1958)

SŁOWA SĄ KRUCHE

Tamtej godziny, której nie zapomnę,
Kiedy patykiem po piasku pisałaś,
Mgła była gęsta, twe włosy wilgotne,
Swą małą rączką dłoń moją ścisłaś.

Słowa są kruche, choć obiecujące,
Oczy mijają się w tłumie jak obcy,
Podobne smutnym, pękniętym muszelkom
Lub górskim wiatrom w trawie buszującym.

JOHN LYLE DONAGHY (1902 – 1949)

GDZIE KRZEW TAWUŁY GIBKIEJ PNIE
SIĘ W GÓRĘ

Gdzie krzew tawuły gibkiej pnie się w górę
I wodospadu kipiel grzmi piorunem,
Gdzie morski łosoś kończy swą mitręgę
I pośród gór zlatują się jastrzębie,
Tam ona, patrząc w otchłań wody czarną,
Ujrzy kochanka swego zimne ciało.

Gdzie gołąb ciężko fruwa nad polami
I łasic pułk prowadzi bój z myszami,
Gdzie w trawie przyczajona tkwi jaszczurka
I pająk snuje przędę od pagórka,
Tam ona, pokonując las zarośli,
Słyszy, jak bije serce jej miłości.

Andrzej Brzoza



Podobno żyjemy w kraju, w którym więcej ludzi pisze niż czyta książki. W tej sytuacji przypomnienie artysty, który prawie sto lat temu stał się pisarzem, może zastanawiać. Ale może też zaciekać, zwłaszcza gdy wiadomo, że ktoś w trybie urzędowej decyzji z 2020 roku - tj. pięćdziesiąt lat po jego śmierci - administracyjnie zmienia mu biografię. Biografię galicyjskiego Polaka spod austriackiego zaboru, lwowskiego pisarza i społecznika, który razem ze swą Ojczyzną musiał w 1945 emigrować z terenu II RP do PRL-u funkcjonującego pod sowieckim nadzorem.

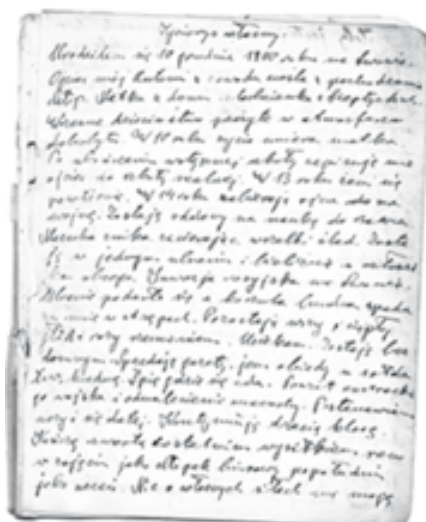
Znawcy przedmiotu uważają, że istnieje bardzo czytelny związek twórczości Jana Brzozy (1900-1971) z jego żywymi perypetiami, np. trudnym galicyjskim dzieciństwem, a zwłaszcza faktem dramatycznego, wczesnego osierocenia przez matkę (1910), a później nagłą utratą ojca (1915) podczas I wojny światowej. Ten związek - już po wejściu autora w świat literatury - dodatkowo ugruntowała jego przynależność do przedwojennej grupy literackiej „Przedmieście”, hołdującej jednocii życiowej i literackiej prawdy artystycznej. Dodatkowo oba wątki jego biografii - ten osobisty i ten literacki - wypełnione są wręcz nieprawdopodobnymi wydarzeniami. Najczęściej splecionymi z imperatywem edukacji, jako sposobu na zrozumienia świata i potrzeb wywołanych podejmowanymi w nim rolami. W tym warkoczcu zdarzeń, zadziwiająco zbiegi okoliczności, jakimi obdarzał go los.

Jak wiadomo, lata przełomu XIX i XX wieku przebiegały w klimacie narastania wielkich dziejowych konfliktów społeczno-ekonomicznych. Pojawiały się też wtedy różne pomysły zaradzenia im. Papieska encyklika *Rerum Novarum* z 1890 była jednym z takich pomysłów. We Lwowie miała akurat swego wielkiego orędownika w osobie arcybiskupa Józefa Bilczewskiego. Ojciec hierarchy był stolarzem. Zachowały się relacje opisujące obecność metropolity na spotkaniach w lwowskim związku cieśli. Wywodzone z encykliki jego słowa o warunkach pracy głoszone z kościelnej ambony i osobista troska o ludzi pracy wyrażana m.in. w rozmowach podczas takich nieformalnych spotkań roboty wówczas wielkie

LWOWIANIN, KTÓRY ZOSTAŁ PISARZEM...

wrażenie na lwowiakach. Jednym z początkujących cieśli budowlanych był wtedy we Lwowie przyszły pisarz Jan Brzoza. Pół wieku później, gdy o tym opowiadał, widać było wyraźnie, jak te wydarzenia odcisnęły się na jego rozumieniu problemów świata. Tym bardziej, że sam, często osobście angażowany, korzystał we Lwowie z form wsparcia wdrażanych tam również wg pomysłów, do których wprowadzania to metropolita zachęcał magistrat miasta. Po dwóch dekadach, już jako społecznik i literat sam opisywał losy ludzi, spośród których się wywodził. Pokazywał potrzebę większej sprawiedliwości społecznej, a nawet osobście angażował się w lwowski magistrat we wspieranie potrzebujących. W jego archiwum zachowało się sporo ciekawych dokumentów takiego jego zaangażowania. Autorowi encykliki *Rerum Novarum* jej tekst przyniósł miano „papieża robotników”. Upowszechniającego ją z taką pasją metropolitę Lwowa, Jan Paweł II uznał po latach za świętego, a lwowskiego pisarza, który z tych samych pobudek, problemy najuboższych uczynił motywem przewodnim swojej twórczości, podkarpacki urzędnik państwa polskiego poddał w 2020 urzędowej dekomunizacji. Sam przy tej okazji przyznając, że nigdzie nie znalazł twardych dowodów na to, by ten autor był komunistą (???). Kto mocno stąpa po ziemi dokładnie wie, że choć co innego mówią fakty i dokumenty, takie urzędowe pomówienie może już na zawsze przylgnąć do tej postaci.

Na progu pisarskiej kariery Jana Brzozy wiele lwowskich instytucji chciało go lepiej poznać i rozpytywało o jego curriculum vitae. Zachowała się kopia odręcznego życiorysu z 1934 roku pisanego dla ZLP. Oto jej pierwsza strona:



Zyciorys własny

„Urodziłem się 10 grudnia 1900 roku we Lwowie, Ojciec mój Antoni, z zawodu cieśla, z pochodzenia chłop. Matka z domu szlachcianka z Szeptyckich. Wczesne dzieciństwo przeżyte w atmosferze dobrobytu. W 10 roku [mojego] życia umiera matka. Po ukończeniu wstępnej szkoły zapisuje mnie ojciec do szkoły realnej. W 13 roku żeni się

powtórnie. W 14 roku życia zabierają ojca na wojnę. Zostaje oddany na naukę do szewca. Macocha znika zacierając wszelki ślad. Zostaje w jednym ubraniu i bieliźnie u człowieka obcego. Inwazja rosyjska we Lwowie. Ubranie podarto się a koszula brudna spada ze mnie w strzępach. Pozostają wszy, ciągły głód i razy rzemieniem. Uciekam. Zostaje bezdomnym. Sprzedaję gazety, jem obiady u żołdatów, kradnę. Śpię, gdzie się uda. Powrót austriackiego wojska i odnalezienie macochy. Postanawiam uczyć się dalej. Kontynuuję trzecią klasę. Kończąc czwartą ostatnim wysiłkiem, rano w zjściu jako chłopak biurowy, popołudniu jako uczeń. Nic o własnych siłach nie mogę”

Nawet w takich warunkach zdobył jednak zawód cieśli i skutecznie zaliczył kolejne klasy w drodze do eksternistycznej matury. Gdy w 1920 nad jego miastem znowu zawisła groźba sowieckiego najazdu, tym razem Konarmii Budionnego, jako ochotnik i syn żołnierza I WŚ, natychmiast stanął do obrony

Rok 1920. Pierwszy z lewej jest przyszły pisarz Jan Brzoza
ART. FOTO B.EBEL. Lwów, ul. Gołdecka 11, vis a vis Kościoła św. Anny

Lwowa. Zachowała się foto-ewidencyjna karta jego pododdziału ochotników, wykonana dla broniowego miasta przez lwowski zakład fotograficzny.

W 1923 roku przyszły pisarz założył rodzinę a rok później żona namówiła go do opublikowania w lwowskiej gazecie młodzieńczego wiersza pt. *Głód*. Ta publikacja uznana została za jego debiut poetycki. Duża część jego ówczesnego życia upływała mu na borykaniu się z brakiem pracy. Długo balansował wtedy na granicy egzystencjalnej katastrofy. Z szczęściu jego synów, trzech zabrakło mu głód, nędza i epidemia tyfusu, z której cudem ocalała jego żona Aniela z d. Dziedzińska. Z tej nędzy - kierowany jakąś niepojętą, wręcz magiczną mocą - wystął do świata telegram, w formie lapidarnego pamiętnika bezrobotnego, zatytułowany *Człowiek bez pracy* i wywołał nim odzew zasadniczo odmienniejący całe dalsze jego życie. W czasie o połowę krótszym od tego, który dał mu zawód, rodzinę i maturę, szybko uzyskał po tym debiucie prozatorskim (1932 w Warszawie), cenzus uznanego we Lwowie, zawodowego literata, członka ZAIKS-u i Związku Zawodowego Literatów Polskich. W 1934, sztuką *Zafoga A*, zadebiutował w katowickim teatrze, jako dramaturg. We Lwowie przebojem wdarł

się do intelektualnej elity miasta. Chwile, w których otwierały się przed nim drzwi do literatury, tak opisał na kilka miesięcy przed śmiercią w refleksyjnym Komentarzu do swej pracy konkursowej z 1931 :

„... gdy otrzymałem zawiadomienie o nagrodzie, byłem tym zupełnie zaskoczony. Po ochłonięciu, przeszedłem nad tym do porządku, traktując wyróżnienie konkursowe, jako nic nie znaczący w moim życiu incydent i skierowałem uwagę na swoje sprawy i kłopoty. O karierze literackiej nie pomyślałem. Miałem inny cel życiowy, a mianowicie, chciałem zostać budowniczym, aby spełnić marzenie ojca, który dawał mi nieraz do zrozumienia, że chciałby, abym kiedyś wybił się na tym polu. Oczywiście bezrobocie bardzo mi w tym przeszkadzało”.

(PAMIĘTNIKARSTWO POLSKIE

Nr 1 z 1971)

Po opublikowaniu prac konkursowych, zupełnie inaczej niż on sam, zareagował na Jana Brzozę świat literackich autorów i krytyków. Dostrzegł w nim talent



i wrażliwość artystyczną wartą fachowego wsparcia. Profesor Juliusz Petry, dyrektor programowy lwowskiej rozgłośni Polskiego Radia utworzył przed nim świat radia namawiając do serii autorskich miniatur literackich, które autor on line sam wygła-

szał na radiowej antenie. Szybko poznali się również na nim profesorowie uniwersyteckiej polonistyki. Spontanicznie otworzyli nowemu literatowi możliwość nieformalnego studiowania u siebie. Wspierali wiedzą z zakresu teorii literatury i pokierowali doborem najpotrzebniejszych mu wtedy lektur. Archiwum pisarza zawiera bardzo ciekawą korespondencję, jaką prowadzili z nim wtedy profesorowie Kleiner, Łempicki, Bujak, Pigoń, Kawyn czy też Józef Czarniecki, który był inicjatorem pierwszego spotkania autorskiego tego pisarza, zorganizowanego w grudniu 1936 w Lublinie, tj. zaraz po ukazaniu się powieści Jana Brzozy pt. „Dzieci”.

„...**Talent Brzozy jest niewątpliwy i poetyczny** – napisał wtedy Karol Koniński w swojej pracy opublikowanej we Lwowie w latach dużych rozterek Brzozy związanych z jego dość niespodziewanym dla siebie debiutem prozatorskim z 1932 roku - **siłą tego pisarza jest jego u c z u c i o w o ś ć - ale uczuciowość, jako siła pisarza może być zarazem jego słabością /.../ Takiemu pisarzowi, ażeby się nie zmanierował i nie zmarnował, trzeba dać warunki, aby mógł być cierpliwym, nie spieszyć się z pisaniem**



i ogłaszaniem, spokojnie wzrastać, uczyć się, więcej wiedzieć, dostrzegać opory intelektualne, zawikłania, trudności, zagadnienia – i do nich się umysłowo podciągnąć, nie tylko sercem i stylem reagować, choćby i to serce, i ten styl były szlachetne”.

Ta publicznie ogłoszona wówczas ocena autora, stojącego dopiero na progu świata literatury, dokonana przez wybitnego krytyka, społecznika i badacza kultury, który w 1931 obronił właśnie doktorat na Uniwersytecie Lwowskim zrobiła spore wrażenie na debiutancie. W 1971, tak o swojej ówczesnej reakcji pisał w kwartalniku Pamiętnikarstwo Polskie:

„... **Po przeczytaniu tej oceny postanowiłem ostatecznie zostać pisarzem. Nie**



posiadam mocnego charakteru ale mam w sobie upór ludzi słabych, ludzi rzucających przez los życiowy, czasem wbrew ich woli. Zdecydowałem jeszcze raz uczyć się. Zaciśnięć zęby i wgrzyzać się w nie znane i trudne dla mnie problemy zawodu piarskiego...”



Tak rozpoczęła się kariera literacka Jana Brzozy, również autora częstych występów radiowych przynoszących mu wtedy ogromną popularność we Lwowie i twórcy poczytnej prozy, drukowanej w wielu codziennych gazetach tego miasta. Stał się artystą i społecznikiem, który po dwudziestu latach od swojej – wydawałoby się beznadziejnej – bezdomności, doszedł we Lwowie w 1938 roku do pozycji uznanego pisarza, laureata literackiej nagrody Lwowa, a nawet – na wniosek prezydenta miasta – jako osoba zaufania publicznego, dołączył do grona członków ówczesnych komisji wyborczych. Gdy Brzoza wydał swą drugą powieść pt.

„Budowali gmach”, Jerzy Putrament – wtedy krytyk literacki lwowskich „Sygnałów” – w swej recenzji z 15 stycznia 1939 napisał :

„... Brzoza, jako powieściopisarz niewiele ma, zwłaszcza na gruncie polskim, poprzedników /.../ samodzielność i nowość jego polega na doborze świeżych motywów, które w literaturze dotychczas nie odgrywały większej roli /.../ Chodzi tu o pracę ludzką. Powieść zachodnio-europejska nie zdobyła się dotychczas na odwagę przyznania jej roli choćby równie ważnej, jak ta, którą w tej literaturze odgrywa np. miłość /.../ Chyba najkonkretniejszym osiągnięciem Brzozy jest sugestywne i wierne odtworzenie ogólnej atmosfery pracy. Przymus, bezwzględny ekonomiczny przymus, trzymający za kark robotnika przy budowie znalazł w Brzozie portrecistę pierwszej klasy /.../

Natomiast w 1950, w związku z drugim, już powojennym wydaniem tej samej po-

wieści, mówiło się głównie o proletariackim pochodzeniu autora, a poświęcone mu noty biograficzne powstające po roku 1989 skupiały się przede wszystkim na „komunistycznym” podobno, charakterze uprawianej przez niego tematyki... Gdy w 1939 hitlerowcy wkroczyli do Lwowa mieli pisarza Jana Brzozę wpisanego na listę polskiej inteligencji przeznaczonej do natychmiastowego rozstrzelania. Nie wiedzieli jednak, że Jan Brzoza to literacki pseudonim artysty. Wylegitymowali go, i jako Józefa Worobca – takie było bowiem rodowe nazwisko pisarza – nie zatrzymali. Gdy po niego wrócili, już go tam nie znaleźli. W ramach retorsji zostali więc najstarszego syna pisarza do obozu pracy w Rudniku nad Sanem. Teraz, egzekutorzy najwyraźniej pokazują, że o Janie Brzozie wiedzą dużo więcej, niż on sam kiedykolwiek o sobie wiedział.

10 grudnia 2025 roku upływa 125 rocznica urodzin pisarza Jana Brzozy, kiedyś poddanego austro-węgierskiej monarchii, galicyjskiego Polaka ze Lwowa, przed którym w 1932 roku los otworzył drzwi do literatury, w 1945 uczynił go Ślązakiem z wyboru, a w 1958 – ze wskazań medycznych – zrobił go sezonowym obywatelem rodzinnego miasta żony, tj. podkarpackiego Leżajska nad Sanem.

Jako społecznik angażował się w rozwój polskiego Lwowa, a potem – w ramach powołanych tam w 1944 z jego udziałem, struktur Związku Patriotów Polskich – w obronę Polaków i restytucję pamiątek kultury polskiej w wojennych czasach wypychania Polski z tego obszaru. Był też organizatorem powojennego życia kulturalnego na Górnym Śląsku, kierownikiem literackim

wielu śląskich teatrów, organizatorem redakcji Literackiej Polskiego Radia w Katowicach, bezpartyjnym prezesem śląskiego ZLP (1946-56), a po 1956 radnym miasta Katowice. Natomiast w Leżajsku angażował się w przypominanie m.in. wojennego holokaustu miejscowych Żydów, ożywianie pamięci o leżajszczaninie, poecie Tadeuszu Hollendrze oraz dziejach tamtejszej emigracji zarobkowej do Ameryki z przełomu XIX i XX wieku.

W kulturze polskiej Jan Brzoza stał się teoretykiem i współtwórcą nurtu tzw. autentyzmu w XX w. prozie literackiej. Zostawił w swym dorobku blisko trzydzieści powieści i sztuk teatralnych oraz kilkadziesiąt opowiadań, z których kilka trafiło do kanonu polskiej nowelistyki XX wieku. Są wśród jego dzieł powieści historyczne o sławnych Polakach: Emirze Rzewuskim (1968), Kazimierzu Pułaskim (1960) czy Ignacym Domeyce (1961), opowieść o losach polskich chłopów tysiącami wcielanych kiedyś siłą do armii zaborców (Dziwiny batalion – 1953) czy literacka wizja terytorialnego exodusu Polaków zza Buga (Ziemia – 1946), lub rzecz o emigracji za chlebem (Powrót z Ameryki- 1966) a nawet saga polskiej rodziny (Nadszedł dobry dzień 1971), ilustrująca jej awans społeczny zawieszony w czasie pomiędzy feudalną Galicją pod austriackim zaborem, a pojątańskim PRL-em. Autor tych utworów był artystą, który nie tylko zdołał godnie przeżyć opisany tu czas, ale i w historii swojego narodu oraz we współczesnej polskiej kulturze pozostawił po sobie bardzo wyraziste, własne – autorskie i społeczne – dokonania znacznie wzbogacające naszą Wspólnotę Narodową.

ANDRZEJ BRZOZA



Roman Warszawski

– A gdybyśmy tak wybrali się do Krakowa?

Dawid spojrział na mnie zdziwiony. – Co to za pomysł? – w jego głosie wyczułem zaskoczenie.

– Dawno nigdzie nie byliśmy. A Kraków to Kraków, zawsze dużo się tam dzieje. Czytam, że jest całkiem nowy pociąg, pendolino. Przez Warszawę, Oświęcim, Wadowice i Bochnię. W cztery i pół godziny jest się na miejscu.

– Nie szkoda ci czasu?

rzeń, powoli zaczęłam osuwać się najpierw w miłe i ciepłe odrętwienie, a następnie w coś w rodzaju przedśionka drzemki. Ostatecznie było wcześniej rano, musiałem skoro świt zerwać się z łóżka. (Dawid najpewniej zasnął.) Za oknem przesuwaty się coraz jaśniejsze krajobrazy, słońce coraz śmielej biło po oczach, co raz za razem powieki zmuszało do opadnięcia, przez co sen stawał się coraz bliższy i bliższy.

To niesprawiedliwe, przemknęło mi przez już pół senną myśl. I to jeszcze jak niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe jak cholera. Niesprawiedliwe były te wszystkie współczesne udogodnienia i wygody. Bo czy akurat na tej trasie nie powinno to być zabronione? (Może nawet w tej sprawie należałoby gdzieś napisać? – do ministerstwa albo do PKP, do głowy przyszła mi absurdalna myśl.) Wszak kiedyś, właśnie w kierunku Krakowa, w bydlęcych wagonach przewożono ty-

da kręgosłupa. W głowie miałem zamęt i niesamowity mętlik. Przez ten ból, przez to, że nie mogłem go wytrzymać i znieść, postanowiłem jak najszybciej znów wypłynąć na powierzchnię i się obudzić. Gdzie byłem? Co tu się działo!

– Co pan tak się trzęsiesz? – jeszcze zanim oprzytomniałem zagadnął mnie sąsiad o gęsto zarosniętym podbródku z drugiej strony przejścia między fotelami.

– Och, śniło mi się, że jestem w jakimś strasznie zimnym wagonie – wyjaśniłem, rozcierając ręce zgrabiąłem od zimna.

– Śniło się panu? Wygląda, jakby miał pan gorączkę, tak pan się trzęsiesz.

– Spoko. Jestem zdrowy, zaraz się rozgrzeję.

– Na pewno?

– Tak, chwila moment.

– Oj, nie wiem, nie wiem...

W końcu się odczepił. Zamówiłem go-

A GDYBY TAK DO KRAKOWA?

– Nie, na Kraków nigdy mi nie szkoda. Praca nie zajac. To dobry pomysł, nawet bardzo dobry. Daj się przekonać.

Udało się. Postanowiliśmy nie zwlekać. Ustaliśmy, że pojedziemy w najbliższą sobotę i zatrzymamy się na niedzielę. Bilety kupiliśmy w internecie, spotkać mieliśmy się na dworcu.

Na peronie byłem punktualnie. Ja byłem, ale Dawida nigdzie nie było. Rozglądałem się po ludziach, którzy, podobnie jak my, chcieli wypróbować nowe połączenie i których przybywało coraz więcej. Ale Dawida jak nie było, tak nie było. Aż trudno było mi w to uwierzyć. Co się stało? Kilka razy próbowałem się do niego dodzwonić, ale jego komórka uparcie nie odpowiadała. Cholera, pomyślałem. Nie ma rady, jadę sam.

Pociąg był ok. Czysty, komfortowy, zachęcający do wygodnego rozpostarcia się w ergonomicznym fotelu. Ach, jak wielki postęp w tej mierze dokonał się od czasu komuny! Kiedyś wagony obowiązkowo musiały śmierdzieć i zwykle były zatłoczone po sufit. Kiedyś, pamiętam, w dzieciństwie, z Łodzi do Tczewa jechałem nawet w wagonie pocztowym, na półce tuż pod sufitem, bo gdzie indziej nie było miejsca. A teraz... proszę bardzo. Palce liżać. Przyniosą ci nawet wodę mineralną i zapytają – z gazem, czy bez gazu. Albo kawę, według życzenia.

Rozejrzałem się wokół. Na twarzach innych pasażerów też dało się odczytać zadowolenie. Była spora grupka plecakowiczów, którzy z Krakowa pewnie chcieli dalej uderzyć do Zakopanego, w Tatry, a także jacyś miłośnicy fotografowania, bo z kilku półek dyskretnie wзираły statywy, co wywołało u mnie niemałe zadowolenie, bo – jak wiadomo – jestem zaciekle przeciwnikiem fotografowania komórką. Oj, wiem, wiem, że jakość takich zdjęć często jest zaskakująco dobra, ale mimo wszystko dla mnie takie robienie zdjęć to profanacja.

Pociąg nie stukał, lecz gładko sunął po szynach. Mimo braku tych regularnych ude-

siące przerażonych ludzi stłoczonych jak przystawione sardynki, na stojaka, sikających gdzie popadnie i walących kupę pod siebie, bez końca, doba za dobą, bez ztapiania choćby jednego haustu świeżego powietrza, ni kęsu snu...

Teraz, w sąsiedztwie – obok plecakowiczów i posiadaczy fotograficznych statywów – nagle ujawnili się kanapkowicze. Jak na komendę zaczęło się gremialne wyciąganie bułek obłożonych jakimiś smakowitymi zapachami, drożdżówek, chipsów, a nawet jajek ugotowanych na twardo. Łagodne, płynne ruchy wagonu oraz migający za oknami krajobraz najwidoczniej stanowiły nieodpartą inspirację dla żółdkowych soków, które zaczęły się dopominać o swoją daninę. Na wielu twarzach zagościło jeszcze większe zadowolenie. Żeby nie musieć nikomu niczego zazdrościć (niestety, nie miałem swoich kanapek, bo liczyłem, że Dawid będzie miał jakieś) ten miłaskający krajobraz jeszcze bardziej przystoiłem opadającymi powiekami i z wolna poczęłam osuwać się w sen.

Nagle znalazłem się w ciemnym i zimnym pomieszczeniu o gęstym, cuchnącym powietrzu – jakby w jakiejś skrzyni? Z zewnątrz dochodził twardy, regularny turkot. Dopiero po chwili zorientowałem się, że ta skrzynia to wagon, wagon kolejowy, toczący się po starych torach. Ale jak inny od tego, w którym znajdowałem się przed chwilą! Jego ściany zbudowane były ze źle dopasowanych desek, a przez szpary między nimi wściekle wiało chłodem i wilgocią. Wagon wypełniony był ludźmi. Ilu ich tam było! Nie było mowy, żeby gdziekolwiek usiąść – ścisk panował niemiłosierny. Miejsca było tak mało, że z trudem można było stać. Pasażerowie napierali na siebie, ocierali się i jęczeli. Niektórzy modlili się w jakimś nieznanym języku. Ich podróż na pewno trwała już bardzo długo. Godziny? Jakie godziny! Być może całe dni! Wskazywał na to ból, który i ja nagle zaczęłam odczuwać w całym ciele. Bolały mnie ręce, plecy, nogi, nasa-

racza herbatę u obsługi i za chwilę z plastikowego naczynia siorbąłem earl greya. Nie lubiłem tych plastików, ale czego nie robi się w podróży? Najpierw gorąco, a po chwili zwykłe ciepło zaczęło się delikatnie po mnie rozchodzić i znów poczęłam zapadać się w sobie. Tamci – z tamtych pociągów – jakby ktoś podał im ciepłą herbatę, nawet jeśli nie byłby to earl grey) – na pewno by nie marudzili...

Znów znalazłem się w tej samej przesywanej wiatrem skrzyni, która jak już powiedziałem była starym bydlęcym wagonem. Dokładniej zaczęłam rozglądać się wokół siebie, choć ścisk na to w ogóle nie pozwalał. Dotkliwy ból momentalnie powrócił. Znów bolało mnie dosłownie wszystko, musiałem jechać już od wielu, wielu godzin, a może nawet od kilku dni. Obok napierał na mnie jakiś facet o twarzy tak samo zarosniętej, jak u tego gościa, z którym przed chwilą rozmawiałem o tym dlaczego jest mi tak zimno. Dostrzegając go tylko kątem oka, ścisk był tak samo niemiłosierny jak poprzednio. Ścisk i smród – znów mnie to uderzyło. Tak, ten obok był bardzo podobny do tamtego z drugiej strony przejścia, z tą tylko różnicą, że ten był bardziej zarosnięty. A może to był nawet on? On? – ale w jaki sposób? Jak nagle przeniósł się do mojego snu? Choć w snach, jak wiadomo, wszystko jest możliwe. Ale nie dociekałem tego dłużej, bo pod jedną ze ścian wagonu zauważyłem od podłogi po sufit ułożone walizki. Walizki starego typu. Z pogrubiłonej tektury i kartonu, z brązowymi, plastikowymi wzmocnieniami na narożnikach. Kiedyś, przed laty, sterty takich walizek – zresztą bardzo podobnie ułożonych – widziałem w muzeum w Oświęcimiu. Tuż obok stosów niezliczonych drucianych okularów; pewnie są tam do dziś. Zresztą kto ich nie widział? Ale nie wszystkie walizki zmieściły się pod tą ścianą, bo niektórzy mieli je przy sobie i starali się je wykorzystać jako prymitywne siedziska. Wywoływało to niezadowolenie tych, którzy stali obok – bo człowiek z walizką

(lub siedzący na walizce) zajmuje więcej miejsca niż człowiek bez walizki, przez co ten obok ma jeszcze mniej miejsca.

Pendolino zaczęło hamować. Obudziłem się. Dojeżdżaliśmy do Warszawy.

– Znów pana przewiozło? – natychmiast usłyszałem gościa z drugiej strony przejścia między fotelami.

– A co, znów tak się trzęsę?

– Tak mi się wydaje.

– Wie pan, miałem jechać z kolegą – postanowiłem jak najszybciej zmienić temat.

– I co? Gdzie on jest?

– Nie przyszedł na dworzec. Nie wiem, co się stało, a teraz nie mogę się do niego dodzwonić.

– A to pech. Jak kolega ma na imię?

– Dawid – zdziwiłem się, że coś takiego go interesowało.

– Może zgarnęli go po drodze na dworzec...

– Co takiego?

– Nie słyszał pan, że teraz takie rzeczy się zdarzają?

– Nie, nigdy.

– Toś pan szczęśliwy... Choć tam z przodu wagonu jest chyba jakiś Dawid. Słyszałem, jak się komuś przedstawiał. Może to ten pana znajomy?

– Nie, na pewno nie. Ten mój Dawid miał miejsce obok mnie. Razem kupowaliśmy bilety.

Przymknąłem oczy, dla niepoznaki. Chciałem w ten sposób uciec od tak głupiej konwersacji. Pociąg gładko sunął po spawanych szynach. Warszawa – choć tu i ówdzie było jeszcze widać bryły przysadzistych biurwców – zostawała za nami.

Po chwili znów byłem po drugiej stronie. Chłód w bydłącym wagonie, mimo chyba jeszcze większego ścisku, był bardziej dotkliwy niż poprzednio. Znów widziałem stos old modowych walizek pod ścianą, które tylko dlatego nie osuwały się na zakrętach i przy hamowaniu, że stłoczeni ludzie napierali na siebie ze wszystkich sił i chcąc zdobyć choć odrobinę więcej miejsca, wciskali je w ścianę, co powodowało, że niektórzy z nich pękali. Ludzie też pękali – co jakiś czas ktoś osuwał się na zafajdaną podłogę, by już się nie podnieść. To wagon ruski, czy niemiecki, germański? Z opowiadań wiedziałem, że Niemcy w tego typu wagonach w jednym narożniku w podłodze wycinali otwór, który miał być czymś w rodzaju prymitywnej ubikacji, z kolei ruscy czymś takim się nie fatygowali i stłoczonych ludzi skazywali na robienie pod siebie i odlewanie się gdzie popadnie. Wydawało mi się, że z jednego narożnika ciągnie chłodem, co zdawało się sugerować, że to raczej wagon niemiecki. Chcąc się upewnić na tyle, ile było to możliwe, wychyliłem się w prawo w nadziei, że coś dojrzę, ale żadnego otworu w podłodze nie zobaczyłem, tylko ogorzałą zarośniętą tego, który ze wszystkich sił na mnie napierał i który coraz bardziej przypominał mi tego dociekliwego rozmówcę z drugiej strony przejścia między fotelami.

– Panie, tam w drugim końcu wagonu naprawdę jest jakiś Dawid! – szarpał mnie teraz za łokieć. – Niech pan tam podejdzie i sprawdzi, czy nie jest to pana znajomy...

Wyrwał mnie ze snu. Za oknem nie było już śladu słońca, krajobraz pociemniał, a jednocześnie pojaśniał, bo na polach leżał jakby śnieg.

– Co pada śnieg? O tej porze roku? – bezwiednie zapytałem.

– Nie to tylko grad. To zdarza się nawet latem – skwapliwie wyjaśnił ten z drugiej strony przejścia.

Po postanowiłem, że dalej będę spał, że nie dam się zbudzić do reszty. Nie chciałem

tak posępnego krajobrazu oglądać w środku lata. Znów zacząłem osuwać się w nicłość, ciemność, chłód i niemitosierny ścisk). Ten zarośnięty i ogorzały (jego zarost stawał się coraz bardziej szczeciniasty) cuchnął koniem i tytoniem (jest takie powiedzenie). Kto to jest? Skąd on tu się znalazł? Że też i po tej stronie musiałem na niego trafić...

Jakby dawał mi ręką jakieś znaki. – Tam, tam, patrz pan – dukał z trudem tąpiąc powietrze. – Tam jest ten Dawid.

Spojrzałem, gdzie pokazywał i rzeczywiście po przeciwnej stronie wagonu dostrzegłem kogoś bardzo podobnego do Dawida.. Też był uwięziony w ludzkim ścisku jak w imadle, a na jego twarzy malowało się skrajne wyczerpanie.

– Dawid, to ty? – wydusiłem z siebie zdławionym głosem. – Dawid, słyszysz?

Z największym trudem odwrócił twarz w moją stronę, bo tłum go blokował tak samo jak mnie.

– Tak, to ja. Ale ty też tu jesteś?

– Jak tu trafiłeś?

– Zgarnęli mnie. Zgarnęli w drodze na pociąg.

– Jak zgarnęli?

– Najnormalniej w świecie. Tak jak to robią.

– Dzwoniłem do ciebie.

– Natychmiast zabrali mi komórkę.

Nic nie rozumiałem. W głowie miałem jeszcze większy mętlik niż przed chwilą.

– A nie mówiłem? – ten szczeciniasty i ogorzały triumfował. – Od razu tak mówiłem.

Pociąg zaczął hamować znacznie gwałtowniej niż pendolino. Ludzie zakotysali się raz w jedną stronę, raz w drugą, a potem jeszcze raz. Szparami między deskami wdarło się jeszcze bardziej dotkliwe zimno. Wiedziałem, że za wszelką cenę muszę się stąd wydostać. Uniósłem ręce do góry i po omacku zacząłem szukać jakiejś liny, lub drabiny, dzięki którym mógłbym przedostać się na drugą stronę.

– Nic pan nie znajdziesz – znów usłyszałem głos tego ogorzałego, który cuchnął

teraz długo niemytym ciałem.

– Musi być jakieś wyjście!

– O tak, zaraz je zobaczysz!

Pociąg zatrzymał się. Na zewnątrz było słychać jakieś gardłowe pokrzykiwania i ujadanie psów. Ktoś od zewnątrz gwałtownie zaczął odryglowywać przesuwane drzwi wagonów, które ze zgrzytem rozsunęły się na boki. W twarz uderzyło jeszcze większe zimno, a w oczy biel leżącego wokół śniegu.

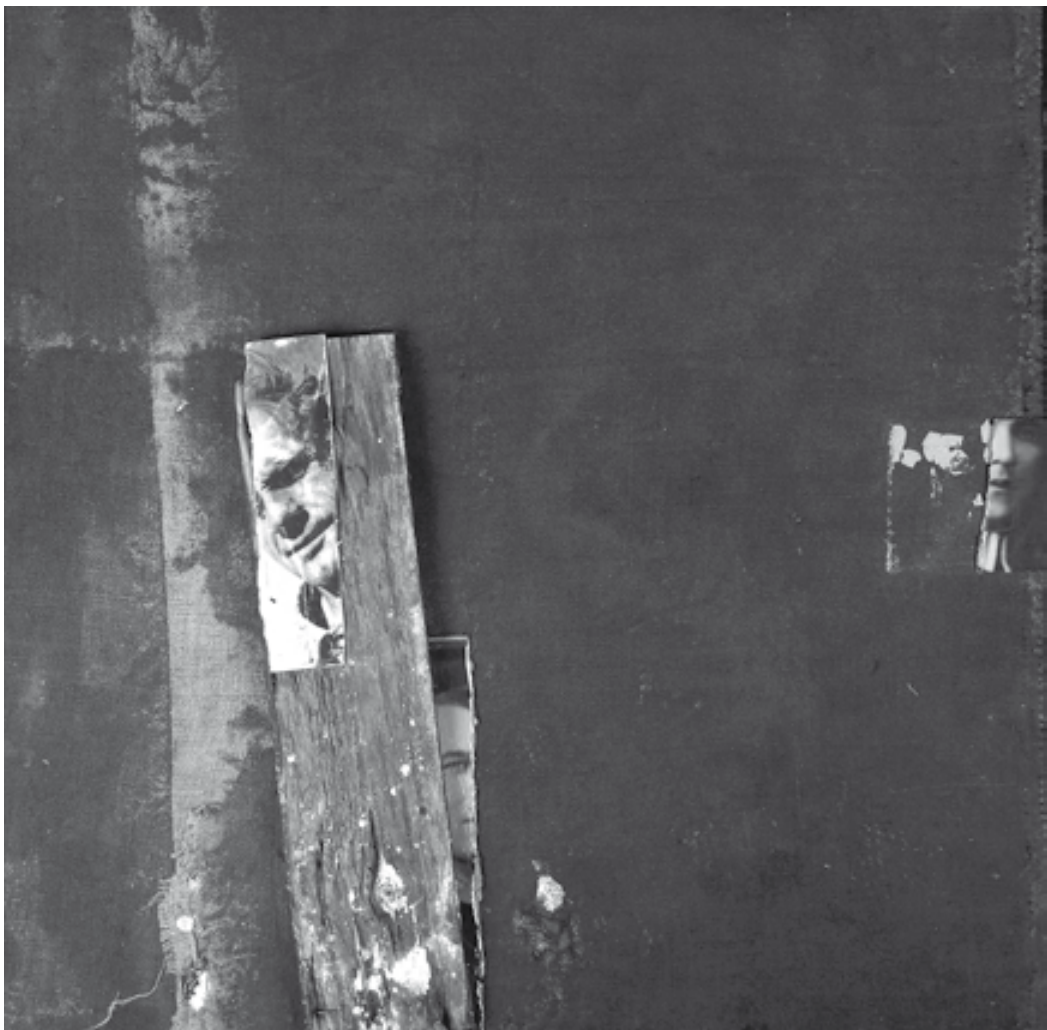
– Co tu jest grane? – nadal szukałem jakiejś drabiny i liny.

– Co? Nie widzieliś bałwanie, że od dawna na to się zanosilo? – ten ogorzały i śmierzdzący dalej syczał mi do ucha. – Było to widać gołym okiem. Nie słyszałeś o szczurach z Oranu, które tylko czekają na to, żeby na nowo wyleźć ze swoich kryjówek i nor?

Ale to nie były szczury, to były wielkie psy, owczarki. Z ujadaniem i pianą na pyskach rzuciły się na szeroko rozwarte wejścia do wagonów. Ludzie ze strachu zaczęli wyskakiwać na śnieg, niektórzy łamali przy tym nogi. Ja też zostałem wypchnięty, a raczej wyspany na zewnątrz. Co teraz? Co teraz?, jedna jedyna myśl kottowała mi się w głowie.

– Los, los, los – słyszałem nawoływania żandarmów w szarych mundurach stojących wzdłuż torów. Czy chodzi o los, ludzki los, czy może o coś całkiem innego?, przyszło mi do głowy, a zaraz potem w oddali zobaczyłem dwa wysokie prostokątne kominy i wydostający się z nich gęsty czarny dym. Wiedziałem, co to znaczy – wiedziałem gdzie jestem. Czytałem o tym w książkach, gazetach i widziałem na filmach. Żadnego pendolino już nie będzie. Żadnej drabiny, liny, dziury w płocie. Ci w uniformach zaczęli formować nas w dwie kolumny – z jednej strony kobiety i dzieci, z drugiej mężczyźni, i pędzili nas do przodu. Los, los, los, słyszałem bez przerwy. Coraz wyraźniej było czuć słodkawą dławiący dym. Kominy były coraz bliżej.

ROMAN WARSZEWSKI



Träger er sie: Wo ist nun ewige
den Sabbath heilen? Da sind si-
n, gefangen, denn wo sie geantworte-
Christu

Träger er ist: So ist unser Leben
den Sabbath heilen? Da sind sie
in Gefangen, denn wo sie geantwor-

Christi

anconforti deye in tota regia
poterunt optima. Gus. vj
in. statim post Comitatu edita
in n. potior habenda. Pratio.

Evangelium am stehenden So

Sol
mmen
ol eine
er seyn
seyn
ege, n
indes
Zehn
uch, p
muß
nd Ar
ngunv
: Wil j
heilige
on Rus
muß er
ind hö

Ruszard Hetnarowicz

Wybrane z cyklu:

„Konfesjonał z mandragorą”

Drugi brzeg

Jest we mnie to jezioro
z błękitnego nieba odbiciem
wzrokiem błędzącym
po drugim brzegu
i marzeniem
dopłynąć do niego

Jest we mnie ten żal
próby lęklwie niepodjętej
skażony snem głębi
zachłannie przygarniającej
ciemnością tulącej

Jest we mnie ta tęsknota
dotknięcia nieznanego
wniknięcia w tajemnicę
drugiego brzegu
oczy kuszącego

Jest we mnie to jezioro...

Ubywamy

Ubywa nas z każdym odejściem

Niekiedy to okruc
niemal niezauważalny gdy był
bolesny gdy go nie ma

Tracimy części siebie
bezpowrotnie
choć bywa
wracają głuchym echem

Są jednak wyrwy
zionące pustką i chłodem
zgrzytające chaosem myśli
uczuć przeżyć wspomnień

Wzywające tęsknotą za nim
do niego
czy do siebie w nim

Do tych niespełnień
trosk radości
pytań bez odpowiedzi
spojrzeń rozpacz
niemych wołań o ratunek

I ta niekończąca się rozmowa
z powidokami
z cieniem obecności
jeżącą się w ciszy
dociekaniem sensu
rozdrapywaniem ran
oczekiwaniem win odpuszczenia
choć
ich nie było

Ubywa nas z każdym odejściem
mniej nas dla świata
dla odchodzących więcej

Tak trudno się pogodzić
z utratą
tak trudno zrozumieć
że i w naszym podróżnym węzłku
będzie część kogoś

Niepomna już z nas utraty

* * *

Jest jeszcze we mnie
ten wiatr hulaka
co w mgły się otula
z liści szelestem zagada
i ścieżki w nieznane
omiata, zamiata...

Ślady marzeń
znajduje
i z nadziei
je spowiada...

Jest jeszcze...?

Pandemia liczb

Po tej wojnie
nie będzie procesu ludobójców
o bezkarność zadbali
po pierwszej fali

Po tej wojnie
nie będzie heroicznych zwycięzców
bez truchła wroga
tylko wstyd i trwoga

Po tej wojnie
pustki nie wypełnią ludzie
tylko liczby w tabeli
skrętnie zliczane
w marionetek celi

Po tej wojnie
nie będzie procesu ludobójców
oni nie chcieli
oni musieli
bo... liczby w tabeli

* * *

Wieczór się dzisiaj rozkojarzył
dnia beznadzieją
i drzemką marzeń.

Do pamiętnika

Wszystkim,
którzy idą swoimi drogami
i nie czekają czyjejś pomocy,
którzy dróg nie chcą usłanych różami
lecz by bez przeszkód móc kroczyć,

życzę

nadziei i wytrwania,
pogody ducha,
bo czas pogania
i coraz trudniej bez czekania
odnaleźć w sobie
i spotkać
Człowieka.

* * *

Jest we mnie ta łza
skrycie rękawem otarta
mężczyźnie wszak płakać
nie wypada
nawet takiemu
z pacholęcia kielkującemu

Jest we mnie ta kropla
co soli strużką do ust spływa
i rzeźbi w duszy słowa
które powrócą kamieniem
dojrzałość ogłoszą
spóźnionym ich zrozumieniem

Nie wstydz się swoich łez
smutku, żalu, tęsknoty
wstydz się winy swojej
w płaczu innych ludzi
i swojej głupoty

A jeśli tego świadomość
życie tobie przysporzy
o tej łzie pamiętaj
i niech sumienie twoje pali
byś nie zapomniał że je masz
bo bez niego byłoby tylko gorzej

Jest we mnie ta łza...

Maria Jentys-Borelowska

„Ja prawie nie potrafię nic napisać, jeśli dla samego siebie nie widzę kwestii, które mnie podniecają”

(z listu do Andrzeja Turczyńskiego, 16 listopada 2000)

Czułości zasoby niewyczerpane miał zawsze dla swoich korespondentów, a i niezbędną dawkę heroizmu potrafił z siebie wykrzesać, ilekroć go potrzebowali, nawet gdy organizm – sterany latami pracy i wyniszczony chorobami – komunikował mu w dojmujący sposób, że dość, pora przestać, chore oczy już nie mogą ... Nie słuchał organizmu, nie zważał na ślepnące oczy, nieustępliwie robił swoje: czytał i pisał, pisał i czytał – do końca. Był bowiem – mimo starczych dolegliwości i ograniczeń – szczęśliwy jak nigdy, że może prowadzić za pośrednictwem listów (spotkania bezpośrednie były najczęściej niemożliwe) rozmowy z osobami bliskimi mu duchem, pokrewnymi rozumieniem rzeczy ukrytych w słowach.

Jak się zdaje, szczególnie głębokiej satysfakcji dostarczała mu wymiana myśli z dwoma korespondentami: Andrzejem Turczyńskim i Bogusławem Kiercem. W liście do Turczyńskiego z 16 marca 2002 pisał: „[...] zaglądam do poszczególnych zdań Twojej książki [Święto ikony – dopisek MJB], w niej jest zobaczenie fundamentów naszego istnienia z właściwej perspektywy, nie z perspektywy naszej doraźności. Dziękuję Ci, Andrzeju [...], najprawdopodobniej nie uwierzę w Twoje ‘pokonanie przestrzeni tragiczności’, ale z pewnością znajduję wiele z tego, w co wierzymy wspólnie, na co identycznie patrzymy”. Z kolei w epistole do Bogusława Kierca z 3 października 2011 wyznawał z nietajonym entuzjazmem: „Jasna cholera! Myślę, że jest tak, jak ty napisałeś. Nawet bez szczególnych znaków wiemy obydwaj, że jesteśmy jakoś wewnętrznie spleceni, że jesteśmy jakoś dla siebie wzajemnie.”

A korespondentów miał Bereza wielu, pisali bowiem do niego wszyscy, którzy szukali zrozumienia dla swoich nierozumianych i akceptacji dla nieakceptowanych, często też okrutnie postępowanych utworów, on zaś czuł się w obowiązku odpisywać każdemu, z wyjątkiem jawnych literackich hochsztaplerów. Z biegiem lat dorobek epistolograficzny Berezy zaczął dorównywać eseistycznemu. O publikacji jego listów do twórców i znawców słowa – do prozaików, poetów, eseistów, krytyków – pierwszy bodaj pomyślał Dariusz Bitner. Tom *Epistoły* ukazał się w roku 1998, w Bitnerowej oficynie Basil. Zawierał dziesięć szkiców (w tym szkic o listach Heloizy i Abelarda!) oraz listy Berezy do Dariusza Bitnera. Po śmierci autora *Miar* epistoły zaczął publikować regularnie – i publikował je przez trzy lata – szczeciński „eleWator”. W roku 2022 szczecińskie wydawnictwo FORMA wespół z Fundacją Literatury imienia Henryka Berezy upubliczniło w edycji książkowej jego *Korespondencję* z Krystyną Sakowicz, dziś zaś oferuje zbiór listów do sześciu osób. Są to: BOGUSŁAW KIERC, poeta, eseista i aktor (25 listów, od 11

CZUŁOŚĆ I HEROIZM O „EPISTOŁACH 2” HENRYKA BEREZY

maja 2002 do 3 października 2011), HALSKA OLSIŃSKA, poetka, żona Andrzeja Turczyńskiego (5 listów, od 10 kwietnia 1998 do 28 grudnia 2008), PAWEŁ PRZYWARA, prozaik, doktor nauk humanistycznych (5 listów, od 30 września 1986 do 11 listopada 2001), MAGDALENA RABIZO-BIREK, redaktorka kwartalnika literacko-artystycznego „Frazz”, literaturoznawczyni i krytyczka literatury (59 listów, od 14 października 1999 do 1 sierpnia 2011), GRZEGORZ STRUMYK, poeta, prozaik, artysta malarz i fotografik (72 listy, od 11 września 1992 do 21 grudnia 2009), o ANDRZEJ TURCZYŃSKI, powieściopisarz, poeta, dramaturg, tłumacz (35 listów, od 12 września 1984 do 16 marca 2002).

W sumie jest to 199 listów – jeśli odliczyć dwa najwcześniejsze, mniej istotne – z kilkunastu ostatnich lat życia wielkiego krytyka-pisarza-filozofa literatury, który urodził się w roku 1926, zmarł w 2012, a cały swój osiemdziesięcio-sześcioletni pobyt na ziemi poświęcił bez reszty literaturze. A mówiąc konkretnie: przeczytał nieprzeliczoną ilość dzieł literackich, zaopiniował dla „Twórczości” tysiące maszynopisów, napisał niezliczoną ilość recenzji, esejów, zapisków, wypisków, oniriad, epistoł, a także cztery spore garście miniaturowych wierszy, wydał dziesięć książek o literaturze (*Sztuka czytania, Doświadczenia, Prozaiczne początki, Związki naturalne, Proza z importu, Taki układ, Bieg rzeczy, Sposób myślenia: tom 1 - O prozie polskiej, Pryncypia, Obroty*), cztery zbiorki wierszy (*Miary, Wzgledy, Zgłoski, Zgrzyty*), obszerny tom zapisów snów (*Oniriada*), po jego śmierci zaś dzięki staraniom przyjaciół i wyznawców ukazały się w druku zasoby słynnej orzechowej szafy Wielkiego Wtajemniczonego.

Nazwanie Henryka Berezy Wielkim Wtajemniczonym wydać się może dziwne, przesadne, śmieszne, a przecież oczywiście jest – przynajmniej dla tych, którzy o literaturze myślą poważnie – że wiedza o tej dziedzinie ludzkiej aktywności duchowej jest w gruncie rzeczy wiedzą tajemną, ten więc, kto tę wiedzę posiadał, zasługuje na miano wielkiego wtajemniczonego. Że autor *Pryncypiów* posiadał ją w stopniu wysokim, dowodzą wszystkie jego teksty, a najbardziej chyba epistoły, płynące z głębi własnych, metafizycznych doświadczeń w odpowiedzi na cudze, podobne doświadczenia. Oto przykłady:

Z listu do B. Kierca, 13 grudnia 2004: „Ja czegoś takiego [zmysłowego doznania wieczności - dopowiedzenie MJB] doszukiwałbym się w wyprawach onirycznych do mojego pierwszego wszechświata, wyprawy

realne destrukują mnie i odbierają spokój, mógłbym napisać, parafrazując Twoje słowa z listu, że pozostawiają mi przestraszenia, nie przywracając ukochań. W snach nie brak straszności i jest coś silniejszego niż one, chyba właśnie to, o czym piszesz, dotykalnie dostępna wieczność. Jej doświadczam głównie onirycznie lub przez sztukę, tę najwyższą.”

Z listu do M. Rabizo-Birek, 23 grudnia 1999: „Zwątpiłem nie tyle w wiedzę o sztuce, co w jej jakąkolwiek skuteczność, gdyby była nawet najdoskonalsza. Demaskując nieudolność cudzego dzieła ulegamy złudzeniu, że ono mogłoby być lepsze, gdyby twórca robił wszystko w zgodzie z naszą wiedzą. Tak nie jest i być nie może, on robi, co potrafi. [...] Ostrość demaskacji i ataku wymaga największego zaufania do siebie, takie zaufanie bywa najczęściej wielką nieostrością. Ufamy bardzo często na ślepo czemuś, co sami odrzucimy, ufamy, to najłatwiej, własnej nierozumności”.

Z listów do G. Strumyka, 23 lutego 1993: „Ja jestem od filozofowania po omacku, przez sen. Ja niech będę myślącą wyobraźnią, sama, w ciemnościach.” **17 kwietnia 1993:** „Słów nie należy przeciążać, należy liczyć się z ich przyrodzonym ciężarem gatunkowym, z ich niezależnym istnieniem. One są dla nas, ale nie są nasze w całości, wieszcz mylił się, gdy mu się marzyło, żeby je mieć na usługach”.

Z listu do Andrzeja Turczyńskiego, 11 grudnia 1995: „[...] dziękuję za list, za chwilę refleksji o mojej, o Pana, o naszej samotności. Ja wiedząc o mojej absolutnej samotności w jakiś dziwny dla mnie samego sposób oddalam ją od siebie, to znaczy, oddalam poczucie jej istnienia przy mnie, we mnie. Nie rozumiem, jak to się dzieje, jak to w ogóle możliwe, ale jest tak, jakbym nie cierpiał z jej powodu. Gdy myślę o niej, pomniejsza ją poczucie nobilitacji, nobilitacja kojarzy mi się z byciem samotnym w umieraniu, wobec śmierci, wobec nieskończoności, czuję się wtedy jak muszka, która w cudowny sposób wiedziała, że jest znikomością, nią właśnie”.

Już cztery powyższe cytaty dają przedsmak poznawczej doniosłości i językowej atrakcyjności epistoł, jednak dopiero lektura całego zbioru otwiera drzwi do wewnętrznego świata Henryka Berezy, do jego wyobraźni, o której sam napisał (w liście do Turczyńskiego, z 14 lutego 1995), że nie znalazłszy spełnienia w żadnej ze sztuk, wylała się z niego „jak wielka rzeka w czas powodzi”, zagarnęła go, wchłonęła i wyrzuci „gdzieś

na skale, na piasku, w martwym morzy". Abstrahując od tragicznego aspektu tych słów, stwierdzić trzeba, że świat wewnętrzny Berezy właśnie za sprawą tej nieokreślonej jak powodziowa rzeka wyobraźni jest tak rozległy, tak fascynujący, tak – objawieniuowy. Czyta się *Epistoły 2* z zapartym tchem, w poczuciu, że przekracza się granice, poznaje nieznane, nawet nieprzeczuwane światy, doświadcza wtajemniczenia w duchową rzeczywistość kogoś, kto wie, rozumie, czuje.

Pierwszy plan *Epistoł 2* to wypowiedzi krytyka o przysyłanych mu przez korespondentów ich nowych księżkach (w przypadku Magdaleny Rabizo-Birek o nowych numerach „Frazy”). Nie ma potrzeby dopowiadać, że wypowiedzi te to istotne dopełnienie eseistyki krytycznoliterackiej, jaką Bereza uprawiał przez pół wieku, to jej cenne i piękne zwieńczenie, to wzór literaturoznawczej epistolografii. Drugi plan to wątek osobisty. Początkowo dość nikły, z biegiem czasu wyraźniejszy, pod koniec bardzo wyraźny. Właśnie z uwagi na ten wątek w tytule niniejszego tekstu obok słowa „czułość” znalazło się słowo „heroizm”. Heroiczny w gruncie rzeczy przez całe życie, jeszcze w latach 2008–2011, jako człowiek po osiemdziesiątce, po wielu operacjach, z licznymi fizycznymi ograniczeniami, zdobywa się Bereza na heroizm, by czytać i pisać z właściwą sobie uwagą, rzetelnością i... czułością.

Ale już w listach znacznie wcześniejszych znajdujemy tak dramatyczne komunikaty, jak choćby w liście do Andrzeja Turczyńskiego z 24 stycznia 1997:

„[...] nie pisałem od lata, w sierpniu się dowiedziałem, że wszystkie moje operacje [okulistyczne - dopisek MJB] nie zdały się na nic. W bezpośrednim obcowaniu pozoruję normalność funkcjonowania, lepiej z tym mnie, lepiej wszystkim, w rzeczywistości moje możliwości działań życiowych są radykalnie ograniczone. Wszystko jest limitowane, zna Pan to, jak to jest. Nie będę się skarżył, trzeba znosić, co jest do zniesienia”.

Albo w epistołach do Grzegorza Strumyka z 30 listopada 2005 i z 12 czerwca 2007: „Z porządkami życia (Twoje słowa) ciężka sprawa. Ja zostałem w tym roku (tęgoroczna operacja) już zasadniczo uporządkowany, nic nie ma dla mnie znaczenia, jestem w sferze porządku końca.” I drugi list: „Grzegorz, przeproszam za milczenie, milczę, wisząc na krzyżu moich absurdalnych obowiązków”.

Kończąc, przytoczę jeden jedyny w zbiorze list napisany do Berezy i przez Berezę powtórzony w liście zwrotnym. Czyli list w liście. Do A. Turczyńskiego, z 6 maja 1995 roku. „Panie Andrzeju, w Pana poprzednim liście jedno zdanie mnie poraziło swoją urodą i prawdą, przepisuję je z prawdziwą przyjemnością: *Bo Pan, Henryku, wciąż i tylko śni o ludziach, jakich już nie ma, o literaturze, która utraciła dziewictwo swoje literackie, i teraz, rozpaczając, błąka się po snach Szaleńca Bożego, Henryka Berezy!*”.

I jeszcze słowo o eseju *Mój Bereza*, którym wydawca dopełnił tom. Poślowie to jest bowiem dziełem Andrzeja Śnioszka, dziś już nieżyjącego młodego badacza i krytyka literatury, doktoranta Uniwersytetu Śląskiego, autora wielu cennych szkiców i studiów literackich. Zafascynowany fenomenem Henryka Berezy, Śnioszek przeprowadził szeroko zakrojoną ankietę berezologiczną z zamiarem napisania na jej podstawie dysertacji doktorskiej. Owa gorliwa docieklivość doprowadziła go

jednak do piekła wątpliwości wobec niedawnego idola. W rezultacie przeszedł na stronę jego oponentów, przyjął ich realistyczny – pragmatyczny? cyniczny? – punkt widzenia, odwrócił się od Berezy, a tym samym – jak rychło pojął – od samego siebie. Sprzeczne odczucia, targające nim skrupuły kazały mu raz jeszcze przyrzeć się oniriadom, wypiskom, epistołom. Wreszcie znalazł rozwiązanie.

„Dzięki listom – napisał w poślowiu do ich edycji, we wrześniu 2024 roku – dojrzałem do przyjęcia Berezy, pogodzenia się z jego gustem, który ma przecież z moim wiele wspólnego. Jednocześnie wiem, że na Berezie nie można poprzestać, trzeba go uzupełnić stanowiskiem przeciwnym, głoszącym zastrzeżony podziw dla ‘martwych’ wielkości [...] Albo inaczej: podziw dla największych warto dopełnić rozpoznaniem

Berezy, choćby po to, żeby nie przegapić perełek: Andrzeja Turczyńskiego, Marka Gajdzińskiego, Krzysztofa Bieleckiego czy Marty Zelwan”.

Andrzej Śnioszek zmarł 9 maja 2025 roku. Miał lat 37. Wielka szkoda, że się tak pospieszył. Pozostaje mieć nadzieję, że spotka się i a m z naszym Wielkim Wtajemniczonym i wreszcie porozmawiają jak równi sobie?!

MARIA JENTYS-BORELOWSKA
WARSZAWA 26 PAŹDZIERNIKA 2025 R.

Henryk Bereza: *Epistoły 2. Listy do Bogusława Kierca/ do Halszki Olsińskiej/ do Pawła Przywary, do Magdaleny Rabizo-Birek/ do Grzegorza Strumyka/ do Andrzeja Turczyńskiego. Poślowie - Andrzej Śnioszek. Wydawnictwo FORMA. Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy. Szczecin, Bezręcze 2024, liczba stron 272.*



Marian Lech
Bednarek

dni września, objawiające się w mych snach,
nadają kształt i ubarwienie
moim słowom, zdaniom,
o czymkolwiek mówię,
cokolwiek wypowiadam

tajemnych krasie,
W jego oddał dziewczyną i głębie bezszumne,
Nie znające pór roku, zamarłe w beczasie
Gdy umrę, siostry moje, zagaście blask słońca,
Idźcie za mną w baśń ową, gdzie

○ ZBIORZE ESEJÓW „ODYSEJE” STEFANA RUSINA - SZKIC

Wchodzę do galerii w muzeum wyobraźni Stefana Rusina, a tu pełno portretów na ścianach wisi.

Podchodzę bliżej i widzę portret **Konstandinosa Kawafisa**. Dalej Bolesław Leśmian, Anna Achmatowa,

Marina Cwietajewa, Krzysztof Kamil Baczyński, Józef Baran i Urszula Benka. Wszyscy wiszą i patrzą się na mnie duchem rozkwitniętego informelu. A ja zdębiałem i wracam do początku obrazów. Zagłębiając się w szczegóły portretu Kawafisa. Szczupła twarz w okularach, przypominająca ptaka, który dopiero co nadziobał się robaczków egipskiej ziemi.

Zabłąkany w miłości spokoju rzucił realistyczne światło na ruchliwy pędzel Stefana Rusina. Artysta ujrzał w krawacie greckiego poety wzory rozbryzganych fal rzeki Połomak. Ale ktoś lubi zwykłą glinę, jeśli chodzi o piękno tryskające z wiersza „Apoloniusz z Tyany”. A nastrój kolorów wychwycił Rusin w zdaniu: „i niekiedy jakieś niematerialne, zwinne, nieuchwytnie widmo leci nad tymi wzgórzami”. „Kawafis był artystą słowa, a pomimo tego nie wiedział, jak wyrazić swoje wewnętrzne rozdarcie i smutek. Taki wyraz twarzy można właśnie znaleźć we wszystkich autorskich portretach Stefana Rusina, które nawiązują do tragicznego życia Odyseusza.

Wrzesień 1903

Chociażby iluzjami pragnę się oszukiwać,
by nie odczuwać jałowości mego życia
Wielokrotnie byłem tak blisko,
lecz obojętny, pełen lęku.
Ust nie mogłem otworzyć,
gdy wewnątrz mnie płakało moje życie
Tyle razy byłem blisko tych oczu,
tych ust gotowych do miłości,
tego ciała, o którym śniłem i które kochałem
Tyle razy byłem tak blisko.

Grudzień 1903

I chociaż o miłości mojej nie
mogę nic powiedzieć,
ani o twych włosach, ustach, oczach –
jednak twarz twoja, którą
przechowuję w duszy,
dźwięk twego głosu, który
trwa w moim mózgu,

Bohaterowie w jego wierszach młodzi i piękni. Szli na spotkanie z miłością dopiero po nocy, o zmroku, w okolice nadmorskich bulwarów i nadbrzeży, a nie do hoteli, gościnnych pokoi przy restauracjach i oberżach, gdzie się uprawia uznane rodzaje miłości, pisze autor S.R.

Następny portret w złotych ramach. Na środku długi, orli nos i niebieskie, przenikliwe oczy **Bolesława Leśmiana**. Czupryna na głowie rudawa i mały wąsik pod nosem. Brwi ułożone z różnych małych, kochanych kobiet, jakby uplecione z nich. Semickie rysy twarzy; jakże o nich wiele wiemy, gdy spojrzymy w historię przodków, myśli autor esejów. Niemiecko-żydowski przodek Leśmiana ukazujący się w jego dużych uszach i nadal słuchający kto chce rządzić tym światem? Małutki człowieczek o dużych stopach i drobnych dłoniach, utopiony w pięknych kobietach jak w trawie, pisze wiersz „Prolog”, jako obraz całkowitego oderwania się od życia.

Prolog

Dwa zwierciadła, czujące swych
głębin powietrzną,
Jedno przeciw drugiemu
ustawiam z pośpiechem
I widzę szereg odbić,
zasuniętych w wieczność,
Każde dalsze zakrepiłem bliższego jest echem
Dwie świece płoną przy mnie,
mrużąc złote oczy
Zapatrzony w lustrzanych otchłań wirydarzy:
Tam aleja świec liśćmi złotymi się jarzy
I rzeka nurt stężyła obojętnie toczy
Widzę tunel lustrzany, wyżłobiony, zda się,
W podziemiach moich marzeń,
groźny i zakłęty
Samotny, stopą ludzką nigdy nie dotknięty,
Nie znający pór roku, zamarły w beczasie
Widzę baśń zwierciadlaną,
kędy zamiast słońca,
Nad zwłokami praistnień
orszak gromnic czuwa,
Baśń, co się sama z siebie bez końca wysnuwa
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca...
Gdy umrę, bracia moi, ponieście mą trumnę
Przez tunel pograżony w zgróź

chór gromnic czuwa,
W baśń, co się sama z siebie
bez końca wysnuwa
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca!

Jednak urzędnicza zaradność i zdolności notariusza Leśmiana rzucają trochę światła na zawirowaną ciemność kolorów malarza esejów.

Leśmian nadal zakochany w pięknych kobietach i w płonących myślach filozofa Henri Bergsona wpada z kobietą w krzaki malinowe i pisze wiersz:

W malinowym chruśniaku

Duszo było od malin, któreś, szepecząc, rwała
A szept nasz tylko wówczas
zacichał w ich woni,
Gdym wargami wygarniał z podanej mi dłoni
Owoce, przepojone wonią twego ciała
I stały się maliny narzędziem pieśniodoty
Tej pierwszej, tej zdziwionej,
która w całym niebie
nie zna innych upojeń, oprócz samej siebie
I chce się wciąż powtarzać dla własnej dziwoty
Śledzą nas... Okradają z ścieżek i ustroni,
Z trudem przez nas wykrytych
Gniew nasz w słońcu pała!

Śpieszno nam do łez szczęścia,
do tchów naszych woni,
Chcemy pieśniodoty próbować,
poznawać swe ciała.

Ciągle to trwało u Leśmiana, kosmiczne pożądanie, aż nagle pomyślałem w tym szkicu, że trzeba dać moją malinową, współczesną odpowiedź.

Maliny polskości

W malinowym chruśniaku tysiące
malin się skrzyknęło
by ruszyć na wojnę z kim się da.
Różne naczynia ustawiły się jak do wystrzału
i dawaj sypało się to wszystko,
sypało czerwone
aż ślinka ciekła.

Jasne pola dudniły od słońca,
a tu góry malinowej amunicji rosną,
przelatują nam przez palce różne szczyty
ambicji, wymierzone jak snajperskie pocałunki.
Komendy padają, losy wrogów na gałęziach
się kołyszają oplakane ciszą.

Wciąż wynurzają się z ciemności krzaków
nowe bataliony, by czmychnąć do butli
wystrzelić nalewką spirytusową
w łeb emigrantów.

Ach jakie słowa padają przy malinach,
nawet Putin i Trump nie rozgryzą tych szyfrów
wojennych, bo nie znasz dnia ani godziny
kiedy dopadną cię maliny.

MARIAN LECH BEDNAREK

Maliny też dopadły Stefana Rusina, zwłaszcza jako malarza. W poświęcie czerwonych mgieł unoszą się tu i tam na wystawie jego wyobraźni. Na przykład w obrazie „*Nie ma fauny i flory. Jest odrobina wyobraźni*”, pastel. Wyobraźnia ta namalowała jeszcze inne znaczne portrety poezji światowej.

Spotykam kolejny portret. Tym razem w ciemnych, dramatycznych ramach ludzkiego żywota. To portret **Anny Achmatowej**. Jak pisze autor, poetka wzięta to nazwisko jako pseudonim po swojej prababce Tatarce Praskowii Achmatowej. Stało się to wtedy, gdy ojciec z matką (o nazwisku Gorienko) nazwali pisanie wierszy przez Annę zajęciem haniebnym. Z obrazu patrzą egzotyczne rysy twarzy, lekko wygięty nos, szare duże oczy i długie ciemne włosy. Po prostu kobieta do poderwania, tancerka. Ale właśnie taki Anna miała los: mnóstwo kochanków, mężów, ślubów. Ale i dużo zła i prześladowań ze strony Stalina i jego szlugałów. Ale ludzie coraz bardziej uwielbiali jej poezję. Autor S.R. dobrze uchwycił w tym obrazie literackim olbrzymi dramat Anny, postugując się ciemnym kolorami ludzkiej biedy, która Annę pochwyciła w szpony gruźlicy, zawałów serca, braku pieniędzy i wielką samotność, którą powiększali otaczający ją rodzice i mężczyźni zdradzający ją. Anna nie kochana przez męża, napisała poniższy wiersz:

Lubił trzy rzeczy na świecie:
śpiew podczas nabożeństwa,
białe pawie i przetarte mapy Ameryki
Nie lubił, kiedy płaczą dzieci,
nie lubił herbaty z konfiturą z malin
i nie znosił kobiecej hysterii
...A ja byłem jego żoną.

Ale Annę wielu mężczyzn kochało, bo była piękną kobietą, o pięknym głosie. Co wykorzystywała jako różne tajemnice miłości, tryskającej z jej wierszy. Jej późniejsze sukcesy literackie i sława świeci u Stefana Rusina jasnymi pastelami słów, które można podziwiać w kolorach na różnych wystawach autorskich. Widać portrety radosnych, trochę baśniowych, pięknych młodych kobiet, namalowanych suchą pastelą. Kojarzy mi się to wszystko z ogólnym osobowym pięknem Anny Achmatowej, która czaruje do dziś swoją poezją, choć jak wiemy, już dawno nie żyje.

Zwiedzanie wystawy Stefana Rusina ciągle trwa. Muszę powiedzieć, że po przeczytaniu eseju o Marinie Cwietajewej,

jestem cały zdruzgotany, aż mi paleta z rąk wypadła, bo też jestem malarzem, co bardzo wpłynęło na uformowanie się portretu tej poetki we mnie. Zacznę, jak zwykle od ram. Tym razem ramę portretu dostrzegłem jako podwójną. Pierwsza jej część wygląda tak:

Marina Cwietajewa (fragment wiersza)

Po powrocie z emigracji
stałem się dla nich obca
Córka w łagrze Siostra na Syberii
Mąż w więzieniu
Syn nie mógł się pogodzić
z naszą biedą
Zakazano druku moich wierszy,
przecież mogły być komuś potrzebne,
może nawet jak chleb
Przekładałam tylko drugorzędnych poetów.

Drugą częścią ramy portretu jest ogień, rama z ognia miłości, której Marina pragnęła i która jej osobą promieniowała. Po środku portretu siedzi pogodna kobieta o ciemnych oczach, skrywających prawdę duszy, rudozłote włosy. Lekko się uśmiecha. Kochała różnych mężczyzn, a oni ją, ale kochała też niektóre kobiety.

Te dwie części ramy mieszają się ze sobą, aż ciężko postawić kropkę zakończenia tego mojego szkicu.

Stefan Rusin pisze: „Dbała o to, by jej poezja była odważna i oddawała jej czasy pełne tragizmu i politycznych zawirowań. Zajmowała się w niej tym, co wielkie: życiem, miłością, śmiercią, sztuką, wyjątkowymi twórcami. Emigrację rosyjską drażniły jej odważne eksperymenty nad wierszem”. Gdy rozkwitła już poetycko i żyła ciągłym pragnieniem miłości, zaczęła ją niszczyć Stalin i jego NKWD, nawet poza granicami ZSRR. Marina Cwietajewa opisuje to w drugim fragmencie wiersza:

Straceńcza odwaga opuszczała mnie
Dłużej nie mogłam iść pod prąd
i przyjmować pogardy
Ojczyzna to złudzenie
Oficjalnie pracowałam
jako pomywaczka
Gdy syn z mieszkańcami Jelabugi
porządkował miejsce
pod przyszłe lotnisko,
w sieni odebrałam sobie życie
Moim zwłokom nie odprawiono panichidy
Nikt nie wie, gdzie je pochowano
Ale nie zapomniano o haku,
by go pokazywać pątnikom.

A zatem, smutno pisząc to zdanie, Marina Cwietajewa odebrała sobie życie (powiesiła się na linie), ale zostawiła po sobie piękne, przejmujące wiersze i smutek w duszy Czytelnika. I to musieliśmy jakoś razem wymalować ze Stefanem Rusinem, bo on malarz-poeta i ja malarz-poeta. Zwiedzam więc dalej muzeum portretów jego wyobraźni i i mojej.

Następny portret to **Krzysztof Kamil Baczyński**. Ten obraz też zaskakuje ramami, bo zbudowane są one z karabinów maszynowych, które mnie prowokowały, żebym sprawdził czy mają w magazynkach jeszcze naboje. Woląłem jednak spojrzeć na postać poety

namalowaną przez Stefana Rusina. Twarz raczej delikatna, ukryte mądre spojrzenie szaroniebieskich oczu i włosy ciemnoblonde. Siedzi przy stole, na którym leżą ołówek, kartka, pióro i karabin maszynowy powstańca. „Ponieważ nie odnajdywał się w schematach ideologii”, jak pisze autor, ja myślę że umiejętnie łączył konspirację, bojowe akcje z pisanem wierszy i rysowaniem. O swoim pokoleniu napisał tak:

Nas nauczono. Nie ma litości.
Po nocach śni się brat, który zginął,
któremu oczy żywcem wykłuto,
Któremu kości kijem złamano,
i drąży ciężko bolesne dłuto,
nadyma oczy jak bąble – krew.
Nas nauczono. Nie ma sumienia.
W jamach żyjemy strachem zaryci,
w grozie drążymy mroczne miłości,
własne posągi – żli troglodyci.
Nas nauczono. Nie ma miłości.
Jakże nam jeszcze uciekać w mrok
przed żaglem nozdrzy węszących nas,
przed siecią wzdętą kijów i rąk,
kiedy nie wrócą matki ni dzieci
w pustego serca rozpruty strąk.

[FRAGMENT UTWORU K.K. BACZYŃSKIEGO „POKO-
LENIE”, 22 LIPCA 1943]

Baczyński to poeta apokalipsy spełnionej, legenda. To miłość i wojna, baśniowy świat przyrody i brutalna rzeczywistość, teatr snu, symbolika poetyckich obrazów, kumulacja wrażeń zmysłowych (zapach lilii, biały wąż milczenia, szum morza, miękkość obłoków). Miłość jest sacrum, sensem życia, przynosi ukojenie.

Ponieważ patronami poezji K.K. Baczyńskiego byli Juliusz Słowacki, Cyprian Kamil Norwid, Czesław Miłosz, Józef Czechowicz, autor eseju S.R. zaczął robić dużo kleksów na płótnie kartki. Przeważały brązy, czerwień, czerwienie i żółcenie. Zielenie pojawiły się wtedy, gdy Baczyński uczył się w różnych szkołach. Czerwienie i czernie wtedy, gdy poeta strzelał z karabinu i ocierał się o śmierć. Błękit pojawiał się wtedy, gdy Krzysztof przytulał kobietę i pisał wiersze o miłości. Kiedy autor eseju pisze „Właśnie w tym liceum zdarzały się przypadki zachowań ksenofobicznych i antysemitycznych wśród uczniów”. Bo Krzysztof wśród wrogów się znalazł, rozpętała się krwawa bójka między Polakami a Żydami. Żydem był również profesor-wykładowca. Nad klasą unosiły się szepty Zyyyt, Zyyyt, nie Żyd, tylko Zyyyt, Zyyyt. I właśnie w tej klasie rozbluzgały się wszystkie kolory malarza, a właściwie wszystko zamieniło się w różne kleksy, najbardziej te czerwono-czarne. Artysta Stefan Rusin przemówił informemlem kleksowym jak Pollock, a zarazem zdaniem-
myślą. Poeta Stanisław Piętak (1909-1964) napisał:

„Sylwetkę miał jeszcze chłopcę,
a wzrost mniej niż średni, twarz szczupłą,
oczy szare, trochę zmęczone, chory był
ciężko na astmę, nie ukrywał tego (...)
był dowcipny, wymowny, o żywiołowym
poczuciu humoru. Przy tym zadziorny był
po młodzieńczości, najczęściej opowiadał
o bojowych akcjach, sam co raz rwał się
do nich, już wtedy zamierzał wstąpić do
konspiracyjnej podchorążówki, na co pa-
rzyłem bardzo sceptycznie”.

Kleksów dużo w tym eseju malarza, a Baczyńskiemu zażęskniło się za dzie-
ciństwem, więc pisze:

→ Matka

Sny dziecinne pachniały wanilią.
 Jak oderwać to życie od trwogi?
 Te dni jak małe bożki w oliwkowym lesie –
 – wyrosły z nich dorosłe wilki i ogień
 opaliły sosny strzelistych uniesień. [...]
 Matko,
 jeszcze jednym uśmiechem
 sprzed lat dwudziestu
 przywróć mi wzrok dla świata
 dziecięcy.

[FRAGMENT UTWORU K.K. BACZYŃSKIEGO „***
 (SNY DZIECINNE PACHNIAŁY...)”, 26 PAŹDZIERNIKA
 1940]

Po kolejnej akcji bojowej powstania warszawskiego, Krzysztof nie wrócił już do swoich wierszy, rysunków, grafik. I do życia. Został trafiony kulą w głowę przez niemieckiego snajpera.. Na płótnie kartki eseju znowu pojawiły się czerwone kleksy krwi. Ale przed jego zakończeniem malarz-poeta prysnął też niebieskimi plamkami (i widać było że z dużym rozmachem to zrobił). Prawdopodobnie to dusza Krzysztofa Baczyńskiego odlatywała do nieba.

A teraz podchodzę do portretu **Józefa Barana**. Jak zwykle, zaskakujące ramy obrazu. Zbudowane są z kosi, grabi, motyki i topaty. A więc narzędzia rolnicze, poprzez które poeta zaczynał poznawać życie na wsi. Ale pisząc kolokwialnie, Józef Baran, to nie baran, jak na niego mówili koledzy w dzieciństwie. Józef Baran to kot o ciemnych oczach, który potrzebuje ciepła i wolności. Jest średniego wzrostu, okrągła twarz, duże uszy i ciemne oczy, krótki nos podparty siwym wąsem. Włosy krótkie, ciemne, pokryte siwizną. Oparty jest plecami o stodołę, patrząc w dal, która mu przyniesie dużo niespodzianek w życiu. Poeta-malarz tego eseju wyrzucił z siebie cały potencjał kolorów związany z kolorytem desek szopy. Gdzieś widać było pęknięcia, sęki i ociekający smugami olej jak łzy życia Józefa Barana, które dopiero zaczynał przenikać jako poeta. Pewnego dobrego dnia napisał wiersz:

Śnił mi się Artur Sandauer

Śnił mi się Artur Sandauer
 jak na nieżyjącego
 wyjątkowo ciepły i ożywiony
 – pan sobie nie wyobraża
 powiada
 – co to za rozkosz
 dla prawdziwego krytyka
 być Nicością
 uzyskać wreszcie
 dystans absolutny
 do wszystkiego
 nawet do Rilkego i Mallarmego
 Goethego i Homera
 czytać te ich pozał się boże
 arcydzieła
 bez ziemskiej taryfy ulgowej
 z perspektywy Ostatecznej
 – no cóż
 zawsze chciał się pan zbliżyć
 do tej boskiej perspektywy
 – jakby pan zgadł

westchnął melancholijnie
 z bardzo daleka i wysoka
 – niech pan jednak nie zapomina
 że do osiągnięcia tego
 brakowało mi zawsze jednego
 dystansu do siebie
 samego
 a teraz właśnie to mam
 jeżeli śmierć jest mistrzynią życia
 niebył jak dotąd
 najdoskonalszą formą
 nieomyślności
 objawił mi
 przez sen
 swój najnowszy paradoks
 nim
 jak to on tryumfalnie
 rozplynał
 się na powrót
 w nicości

Był wtedy młodym „dobrze zapowiadającym się” poetą z prowincji. Dlatego w dalszej części eseju Stefan Rusin przeorał Józefem Baranem (jak pługiem) pola Australii, Ameryki Południowej i Północnej, gdyż poeta napatrzonny od dziecka na rolnictwo i całą przyrodę posiadał idiom swojego języka – jakby już wrodzony, bo gdy spojrzał na kosę, to ona podobno aż śpiewała. Wszędzie czuły na konkretną atmosferę wsi. Dlatego rodzi się wiersz:

Przed świat idące nawoływanie
 zakochaj się we mnie
 ja się odwzajemnię
 wczepimy się w siebie
 bez tchu i bezdennie
 ja skryję się w tobie
 ty się skryjesz we mnie
 śmierć nas będzie szukać
 po świecie daremnie

Pod wrażeniem myśli buddyjskiego mnicha Shunryu Suzuki (1904-1971) poeta pisze w swoim dzienniku: Są ludzie, którzy w którąkolwiek stronę się obrócą i cokolwiek powiedzą, natychmiast stwarzają wrażenie jałowej pustyni, a zarazem potem lejkowatej pustki, która wsysa do środka, tak wszyscy od nich uciekają. I są ludzie, którzy cokolwiek powiedzą czy uczynią, powodują, że rodzi się wokół żywna słoneczna okolica, słysząc śpiew ptaków, szmer źródła i czuć pogodną aurę; dlatego chce się z nimi jak najdłużej obcować, rozmawiać, bo człowiek czuje się w ich obecności bogatszy i ciekawszy. I tu Stefan Rusin pochłonięty tropem buddyjskiego Zenu, maluje aurę sielskości pejzażu, wszystko suchą pastelą, by uspokoiwszy Czytelnika, podsumować biedę Barana w cywilizacji Zachodu. Ukazuje to poniższy wiersz:

Wspomnienie pierwszego wyjazdu na Zachód
 tyle zachodów
 i wreszcie
 Zachód!
 sezamy
 światła i towarów
 otwórzcie się!
 Paryż 1978

słyszę przez okno
 motelu Sous une Tulipe
 miarowy stukot
 obcasów
 to kroczy ku mnie
 wieczny emigrant Stanisław Mrożek
 dostojnie jak bocian
 z Borzęckich łąk
 (gdyż jako satyryk
 jest szczególnie uwrażliwiony
 na własną powagę)
 będzie uczył ziomka jeździć metrem
 właśnie oderwał się od pisania Emigrantów
 zagląda do otwartej szafy
 w mojej mansardzie
 z sublokatorami molami
 i widzi puszkę konserw
 jest bardzo kontent
 tak, tak! – potwierdza autorytatywnie
 wszyscy Polacy
 wyjeżdżają do Paryża z konserwami
 zgadza mu się
 jest jak w jego sztuce...

W końcu Stefan Rusin zniesmaczony zły mi prognozami Ukrainy z Rosją, przechodzi do tematu wojny. Wystrząsł wszystkich jego kolorów na palecie zamieniają się w strach ludu Ukrainy przed bombami i przybywając wiatrem pod pióro Józefa Barana, który pisze wiersz:

UKRAINO UKRAINO

Ukraino Ukraino
 czarnoziemna kraino
 szkielety domów poburzonych
 miliony
 bezdomnych
 wypędzonych
 ciągną drogami ulicami
 kobiety z dziećmi z psami
 z tobołkami
 ich żywe miasta obrócone
 w kamień na kamieniu
 w perzynę
 Ukraino Ukraino
 cierpienia kraino
 Chrystus na krzyżu umiera
 ty we mnie Ukraino śpiewasz
 pieśń o dzielności
 sen o potędze
 czy zawsze musi się za to płacić
 krwią ofiarą
 (...)
 Ukraino Ukraino
 otwarta brocząca krwią rano
 całaś nią już zalana
 gdy wypuszczasz z siebie skrzydła
 stale obcinane
 mieczem najeżdżcy...

I pod koniec wiersza schodzimy do naszej codzienności: Ukraina, krew, Chrystus, cierpienie, ból emigracji przesywający cały nasz świat (a szczególnie Europę). W tej sytuacji niejeden człowiek, niejeden poeta chciałby zostać tylko kotem, któremu

wystarczy trochę ciepła i miłości. A przede wszystkim artystycznej wolności, która aż pachnie w jego wierszach.

Nie wiem, jak to mitologicznie wytłumaczyć, ale po przeczytaniu eseju Stefana Rusina o **Urszuli Bence**, przychodzi mi jedynie do głowy pragnienie, żebym ten szkic o poetce napisał jako ptak. Nie wiem czy dam radę? Określić ramę i samą poetkę. Ale stoję już przed obrazem. Ramy jakby nie było, wokół obrazu dużo mandarynek i pomarańczy (widać że Rusin tu narozrabiał). Patrzy na mnie łagodna, w dojrzłym wieku kobieta o niebieskich oczach i bujnych włosach. Ale sprawa się bardzo skomplikowała, gdyż ja też kiedyś namalowałem dwa portrety Urszuli. Jeden był prawie realistyczny, który już kilka lat wisi na ścianie w jej domu. Drugi portret w tym roku namalowałem (2025). To portret jakby surrealistyczno-dadaistyczny. I w formie i w kolorze. Poetka tańczy nad sobą smukłymi, drobnymi rękami. Na głowie siedzi jej bardzo kolorowy ptak. Otoczona jest chmurą niebieskich i czerwonych gwiazd. Nad Urszulą świeci duża niebieska gwiazda. A pod Urszulą zaś czerwona, większa od niebieskiej. Siłą rzeczy nałożyły się na siebie dwa portrety. Ale jak to u Urszuli, ona to lubi, bo codziennie w mitach baraszkuje, że tych portretów Urszuli jest na świecie o wiele więcej. Jako królowa mitów, zakochana w Leśmianie, żartuje sobie wierszem:

BALLADA O ZAKOCHANYM WISIELCU

no to cóż z tego, że cię kocham – wisząc?
i że nie pieszcze
tylko się wstrząsam –
spróbuj ty także obok mnie zawisnąć
ty najpierw w górę wzniosłszy włosy
potem ciałem do włosów nadążać:
spróbuj od wewnątrz
tak spać się
potem przewiń się przez śmierć i przez miłość:
z miłości upełć dla szyi stryk
ze śmierci – dla bioder grzech
potem przewiń się przez śmiech
a to już wiatr
tak ciałem kołysze
a i duszą
tuż obok na strychu
wtedy diabli nam otcłaniam poruszają
jak chorągwią
jak złością
a Bóg wierny i sprawiedliwy
na wywalone nasze języki
grosz położy
z litością

Po czym Stefan Rusin po malarsku odkrywa, że nastroje grozy, milczenie, emocjonalne rozdarcie, stąpienie się w nicości Urszula wywiodła ze swoich majaków sennych, a nie z rzeczywistości. Odczuwając ostatnie godziny życia swojego męża malarza, pisze wiersz:

Ostatnie spotkanie

za każdym razem gdy chwytasz
mnie w ramiona wiem

że to spotkanie jest ostatnim
w życiu i tylko powtarza się
przez kolejne noce
w ich czarnych wielogodzinnych lustrach
gdzie czeka na nas ten chłopczyk
z płonącym na piersi kwiatem
a my nie śmiemy podejść gdy
dwoje naszych serc
to tylko wyraz oczu tego chłopca
(*À PARIS, PLACE MONGE, LE 13 JANVIER 84*)

Stefan Rusin dopowiada: „Stanisław Barańczak w zaproszeniu Benki na Uniwersytet Harvarda zwrócił uwagę na pojawiający się nurt mistyczny w poezji Urszuli Benki”. Dużo wierszy u Benki powstaje ze zwidów nocnych, zjaw, jakby poetka szukała przyczyny istnienia, zamieniając to w poezję. Na przykład TY

Cokolwiek z nad wód powstaje. Dopiero dziś
narodził się, pełen zranień.

+++
Świętość skażona jest nicością,
na drogach są ślady bestii.
Człowiek, gdy idzie jedną z tych
dróg, myśli o zbawieniach,
o odrzuconej łasce, o pokucie.

Świat Urszuli Benki to jeden wielki informel odczytany przez Stefana Rusina. W tych wszystkich wierszach leją się setki litrów różnych kolorów, charakterystyczne smugi rzeki. Wszystkie tematy są płynącą farbą. Ale poetka przywykła do takiego świata u boku swego męża malarza Urbanowicza, kiedy jeszcze żył. „Obrazy w wierszach są gęste od znaczeń”, potwierdza to autor eseju. A poetka w opowiadaniu „Triamat”, o stosunkach damsko-męskich pisze: „Jedynym wyjściem-czułam coraz mocniej – jest w sposób naturalny skończyć romans”. Ulubionymi tematami rządzenia

Ludźmi i historią, wszechświatem kultury i piękna, jest dla poetki Jezus Chrystus, Orfeusz, Eurydyka. A zaskakująca scena pojawia się wtedy, gdy Orfeusz zjada Eurydykę. Ale i Orfeusza w końcu dopadają bestie (menady) i rozszarpują go na strzępy, które potem skórczy Chrystus i czyni tak, że robaki, zwierzęta, ptaki dalej słuchają śpiewu Orfeusza.

Ale jak znam Urszulę Benka, ona na to z lekkocią odpowiedzi: „Księżyc się pokłócił z jajkiem”. I to jest cała odpowiedź, dlatego Chrystus swoim spokojnym milczeniem zwycięża Heroda, który Jezusa chce namówić do dokonania jakiegoś cudu. Ale Jezus jest nieugięty i swym milczeniem zachęca Urszulę, by dalej kontynuowała swoją opowieść o księżycu i jajku:

Księżyc się pokłócił z jajkiem

Duszę ci moją dam jak wianek
Będziesz w wianku
Niebieski kochanku
Niech Trójca się z nas śmieje

I następna rozróżba poetycka Urszuli:

Oj, kwoko moja biedna
Wysiadujesz jaja piekła
Twoje własne złote rozbite

Płyną przez ulicę
Może tymi piekielnymi zabawmy się i my
I niech teraz piekło łyka łyż
I niech kuka żałośnie kuku kuku
gdy kot-Jezus się skrada
Dopaść ptaka

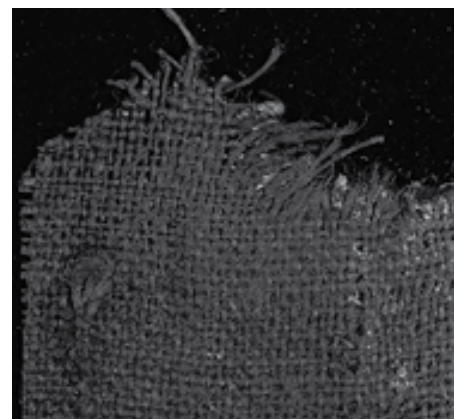
A potem padają święte słowa, napisane jakby samym światłem przez Stefana Rusina: „Jeśli dobrze rozumiem Benkę, człowiekowi dane jest doświadczenie pełni, a więc tego, co współtworzy jego duszę. Swoją drogę powinien przebyć od społecznego dna aż do tronu. Musi pozbyć się lęku, bo ma tylko siebie, jako klucz do tego skarbcza. Choć napotyka przeszkody różnej postaci, otwiera się przed nim możliwość zachowania pełni tożsamości i zdobycia skarbu. Każda rana, jaką doznaje, jest święta. Rana inicjująco „daje mu nowy rodzaj widzenia”. Nagromadziło się tyle dobrych kolorów i dźwięków na palcach malarza-poety, że aż mu spadł pędzel ze stołu i zrobił kleksa w formie wiersza, który jest pochwałą wielkiej intuicji, jak pisze Urszula:

Wieprze stały wokół głowy jak wieniec
Wpatrzone w oczy i usta
Nie myliła ich intuicja
Język Orfeusza był słodki melodyjny
Jego oczy były smaczne lekko słone
Po rozgryzieniu czaszki świeży mózg
Zwierzęta zlizywały z tą godnością
Jaką daje usłuchanie Boga
Boga piękna Boga wiecznej sztuki

Uniesiony w glorii pochwał i zachwytów różnych znanych polskich i zagranicznych krytyków, którzy o poezji Benki aż śpiewają, ja nie wiem jak tu podać Urszuli moją prawdziwą rękę. Bo jak szkicuję te eseje Stefana Rusina malarza-poety, to mi pismo kruszeje. Ot..., zdobywanie wielkiej twierdzy, która mi szepnęła grubymi murami: „Już nie będziesz żył nigdy w nędzy, drogi Marianie. Postaw tylko kropkę z uśmiechem, a znajdziemy się w cudownym puentowym lesie”. Ale muszę powiedzieć, że dla mnie, jako też malarza-poety, to był wielki trudny zakręt, to pisanie, z którego, mam nadzieję, wyszedłem cało, nie poobijany jak po wypadku, by dalej obserwować ciekawy rozwój duchowy świata poetyckiego mojej przyjaciółki Urszuli Benki, i jej świata codzienności, w którym na pierwszym miejscu żyją dom z ojcem-staruszkiem i jej ulubiony ogród.

MARIAN LECH BEDNAREK 5.10.2025

Książka „Odyseje” wydana za własne pieniądze. Autor nie korzystał z żadnego wydawnictwa.



Maria Jolanta
Fraszewska

„PRZEMIJAM W SPOSÓB SOBIE NIEPOWTARZALNY”. URSZULA KOZIOŁ.

Gdy poetka Urszula Kozioł pisała i wydała *Supliki*, liczyła sobie już siedemdziesiąt lat. Składała swą pisemną prośbę do instytucji „wyższej” zwanej: wieczność, nieskończoność, kosmos. Składała modlitwę do Królowej Różańca – supliki. Skargę na odchodzenie, na sposób starzenia się organizmu i wchodzenia w tę szczególną przestrzeń nieuniknionej niemocy. Czy poetka czuła się wyzyskana przez życie? Czy wierzyła w Sąd Ostateczny? Czy błagała o jeszcze jedną, choćby niewielką chwilę, ale znamiennej chwilę pozostania na ziemi? Wiersze porażają swą egzystencjalną głębią. Zgadamy się z ich tonem czy nie, w którymś momencie senioralnego wieku stajemy emocjonalnie przed samotnością odwróconego lustra narodzenia.

Pamiętam moją babcię i prababcię przesuwającą palcami koraliki w czarnym różańcu. Poruszały bezwiednie ustami wydając pomruki. Wstuchiwałam się w to coś, co wówczas było dla mnie dziwnym mamrotem pod nosem, a dla nich modlitwą.

Czasami prosiłam babcię, aby mówiła głośniej i wyraźniej, bo też chcę posłuchać. Ale jej nie było wygodnie mówić głośniej, ponieważ wyraźne mówienie spowalniało proces przeskakiwania z koralika do koralika. Babcia mówiła mi, że modlitwa jest ważna, bo ma ją i mnie, i całą rodzinę, ochronić przed złem. Skoro jest taka ważna to dlaczego babcia się śpieszy? I czy na pewno Matka Boska wszystko zdąży usłyszeć i zapamiętać, bo to tak cicho i szybko. Ja nic nie słyszę, a siedzę blisko, a ona przecież jest o wiele dalej.

Teraz nie jestem już małym dzieckiem, teraz jestem w wieku babci. Nie modłę się, być może dlatego, że nikt nade mną nie stoi. W każdym bądź razie, ja go nie widzę. Widzę błękitne niebo z wędrującymi chmurami, dokładnie tak samo, gdy byłam małą dziewczynką.

„W pewnym wieku bywają chwile, w których bezwzględnie czujesz się (...) bezgranicznie zbezczeszczonej przez swą bezbrzeżną zbeźność.”¹

„W pewnym wieku już się niedowidzi niedosłyszany niedomaga nie dojada nie dopuszcza nie dożywia nie dosypia [...] nie domodła [...] nie doprasza się.”²

„Czy na myśl, że masz kochać bliźniego swego jak siebie samego nie wpadasz w panikę? Bo czy ty samego siebie kochasz? [...] A co, jeśli ów bliźni to świnia? A ci, jeśli to nie tylko bałwan i prostak, ale na dokładkę – oczywisty dupek i śmierdziel jakich mało! Pokochać za friko kretyń? Imbecyla? Uroczystego idiotę? Pokochać drania spod ciemnej gwiazdy, hipokrytę czy zadufka za to jedynie, że jest twoim bliźnim? [...] Nawet bez wzajemności?”³

„Bóg – jeśli jest – doprawdy nie zna umiaru w zadawaniu nam bólu. Czy nie dość, że zanim jeszcze przyjdziemy na świat, już podpisuje każdemu wyrok śmierci, tak że nie znamy dnia ani godziny?”⁴

Pytania i skargi mnożą się przechodząc z kartki do kartki. Przeskakują z koralika na koralik, a każdy jest czarny, obwarowany ciemnym człowieczym losem. „Chciałabym jeszcze moc”.⁵ Urszula Kozioł te słowa na-

piisała w lipcu 1998r. Miała dopiero 67 lat. Dokładnie tyle samo jak ja teraz. Może dlatego tak bardzo rozumiem emocjonalność piszącej te słowa kobiety. Ona obserwuje siebie poprzez upływ lat.

„badam zanikający już
choć jeszcze nieco widoczny
obszar samej siebie
w trakcie zanikania”⁶

Ona ma już prawo mówić otwarcie o obrazach i przestrzeniach, które spostrzeża. Prawdę. Bo prawda jest naga, czysta jak brud świata. Liczą się już tylko i wyłącznie fakty. Fakty bez ozdobników i upiększeń. Na wykwinne stroje szkoda materii i czasu, słów, gardła i piachu, który sypie się prosto w oczy lub przesypuje w klepsydze. Jak grom z jasnego nieba padają odpowiedzi. Ginią w oczywistościach, które ludzkie potworności ponazywały po swojemu i teraz sensem staje się bezsens.

„mówią mi że to słońce
ale kto ich tam wie
już nie dowierzam cudzym
przeświadczeniom”⁷

Supliki w zaprzeczności były rozpowszechnioną formą wnoszenia skarg do sądów, władców, panów i Boga. A nawet trafiły do poezji polskiej. Przychodzi mi na myśl poezja Jana Kasprzowicza, a w szczególności „Salve Regina” w cyklu „Hymny”.

„A na zachodzie
płonął krąg słońca,
ogromny krwawy krąg,
przecięty ogromnym obłokiem,
i rzucał ogromny
cień Kusiciela,
skrzyżowanego na twojej Golgocie,
na Babilonie twej duszy,
i topił świat w jego mroku
(...)
Gdzież jest radość? gdzież ostoja
na burzliwym świecie?
Kilka mogił, kilka krzyży
śródo piaszczystej zboczy
coraz bliżej, coraz bliżej
wóz się ku nim toczy.
(...)
Nędza jest wszędzie
nędza w miłości
i nędza w cierpieniu!

Śmieję się
(...)
Salve Regina

Właśnie tak, witaj Pani Świata, Królowo Święta, witaj. Wiersz jest napisany w formie mistycznego nawiedzenia. Modląc się i płacząc przechodzimy nad cierpieniem, nie poddajemy się, aby żyć. Wybieramy pokorę modlenia się lub bunt i niezgodę na błaganie o zmiłowanie.

„dlaczego umieramy, na Boga
cóż to za niedorzeczność”
(...)⁸

„Dlaczego nie znajduję pocieszenia
w modlitwie, dlaczego nie znajduję Ciebie?”⁹

Wahanie, niepewność wyczekiwanie nieuniknione, to nie jest uczucie lęku, to bardziej zdanie obrazujące wewnętrzny strach jako stan zniecierpliwienia dla głosu napierających wciąż do głowy myśli. Poprzez nawiązanie do antyku, Włoch, starożytnych legend poetka nawiązuje do przeżyć ogólnoludzkich. Tych, które przeżywa każdy człowiek niezależnie od okresu i czasu, w którym wiecie swój żywot. Słowa te zdają się być sakramentem odchodzenia. Pomiedzy szukaniem łaski a znakiem pogodzenia. Szukaniem wyjścia pomiędzy obietnicą trwania a codziennością, która nie wyjaśnia sensu istnienia. Pomiedzy bólem oglądania odejścia bliskich, przyjaciół, znajomych a paciorkami suplików, które nie pomagają w drodze od jednego koralika do drugiego.

„pośpiesz się
Boże
przecież
chyba potrzebujesz mnie żeby zaistnieć
zanim pochłonę mnie wielkie
i niepojęte NIC”¹⁰

„Traktat o niczych psach” jest metaforą całej treści zawartej w „Suplikach”. Prawda, której nikt nie uniknie zawiera się w słowach o psach niczych, bo starzy ludzie są im podobni: „Być może wyją, kiedy już nikt ich nie widzi”. Na zewnątrz pokazujemy uśmiech, bo tak trzeba, bo ludzie od innych oczekują odwagi, jednak wewnątrz nas ból, niepewność, lęk, cierpienie. Schowani w domach toniemy we własnych łzach.

Tomik „Supliki” Urszuli Kozioł został w roku 2006 nominowany do Literackiej Nagrody Nike. Nagrodą tą uhonorowano poetkę w 2024r za tomik: „Raptularz”.

MARIA JOLANTA FRASZEWSKA

Urszula Kozioł, *Supliki*, Wydawnictwo Literackie, 2005

8 *** dlaczego umieramy, s. 55

9 Wygaszanie, tłum z włoskiego

10 Wygaszanie, s.69-70

1 Traktat o pewnym wieku I, [w]: *Supliki*,

2 Traktat o pewnym wieku II

3 Traktacik o miłości bliźniego

4 Mały traktat o Bożych niesprawiedliwościach

5 Traktacik o mnożeniu

6 Wyrwyki I s.30

7 Wyrwyki I s.31

Tadej Karabowicz

W Gdańskim wydawnictwie **Fundacja Światło Literatury** ukazał się tom wierszy Zbigniewa Joachimiaka – poety i redaktora naczelnego pisma literackiego „Migotania” o nazwie „Miasto, miasta, w mieście” z podtytułem: „Nowe i stare wiersze miejskie” (Gdańsk 2025).

Poeta Zbigniew Joachimiak, (ur. 14 maja 1950 roku w Elblągu), to uznany autor mieszkający i tworzący w Gdańsku. Jego dorobek literacki stanowi czternaście tomów poezji. Od dwudziestu trzech lat autor jest wydawcą „Migotań” – ogólnopolskiego pisma literackiego o znacznej renomie artystycznej. Jest także krytykiem literackim i tłumaczem. Jako jeden z pierwszych tłumaczył wiersze amerykańskiej poetki i pisarki Anne Sexton – właściwie: Anne Gray Harvey (1928-1974). Poeta zajmuje się także wydawaniem książek w prowadzonym przez siebie wydawnictwie **Fundacja Światło Literatury**.

Działalność literacka oraz redaktorsko-wydawnicza Zbigniewa Joachimiaka charakteryzuje się odwagą oraz głębią przemyśleń natury filozoficzno-literackiej. Świadectwem takiej postawy jest najnowszy tom poetycki „Miasto, miasta, w mieście”. Dlatego nie bez znaczenia pozostaje informacja Ludwika Topp-Zawistowskiej, umieszczona na okładce książki gdańskiego poety, dotycząca etymologii tytułu: „Jest ich więcej, ale te trzy miasta: Szczecin, skąd [poeta] przybył do Gdańska, który od 50 lat jest jego małą ojczyzną i Cincinnati, które związało go poprzez ukochaną córkę, to główni bohaterowie jego nowego zbioru wierszy. Te miasta i jego – poety – w nich życie. Tak różne – w sensie geograficznym – i tak podobne, jeśli mierzyć je skalą pragnień i rozczarowań, wzlotów ducha i jego upadków. To są jego wiersze miejskie, bo duchem, bo historią, bo środowiskiem i kulturą”.

Ludwika Topp-Zawistowska – filmoznawczyni oraz krytyczka literacka i redaktorka wydawnictw książkowych, zwróciła uwagę na aspekt przestrzenny miasta w najnowszym tomie poety. Jest to przestrzeń filozoficzna, budowana w sensie egzystencjalnym oraz geograficznym, ale także w sensie kreowania osobistych toposów i mitów.

Gdy mówimy o przestrzenności miasta w twórczości Zbigniewa Joachimiaka, to trzeba powiedzieć, że poetę interesuje jego czynnik mityczny. Ale poezja autora, nie jest podporządkowana kanonom jednostki osadniczej, jaką jest miasto, a podporządkowuje się wiwisekcji samego siebie na tle przestrzeni indywidualnej w mieście. Bo przecież miasto ukazane w poezji Joachimiaka, to zagęszczenie zabudowy i ludzi, to także samotność człowieka w wielkiej aglomeracji miejskiej. Stąd z poezji autora wyrasta osobista obrzędowość przeżyć i historii, którą poeta nazywa czynnikiem miejsca.

W książce poetyckiej Zbigniewa Joachimiaka, ponadczasową funkcję obrazu, pełni sugestywna szata graficzna. Jej twórcą jest artysta plastyk Marek Przybyła. Proponuje on własną grafikę do ilustracji tomu, ukazując na okładce okno w przestworzu, gdzie z jednej z szyb wylania się skrzydło, a z innej

CORAZ WYRAZISTSZE SŁOWA

powiewa chorągiew, zatknięta jakby poza przedziałem okna. Symbolika okładki nie jest łatwa, ale powinna zainteresować czytelnika swoją mitycznością. Jako struktura abstrakcyjna, dodana do wierszy książki, sugeruje istniejącą świadomość hippodamejską toposów:

Nie ma żadnej pewności
czy ten ogień zaplonie
a może już wdarł się na wszystkie strony
rozświetlając i parząc
dając radość lęk i duszy
podniecenie jednocześnie
ten ogień który być może
dopiero się rozwinie
bo schowany w ciemnościach wybucha
oczekiwanie i niespodziewanie
jak schowana w gęstej trawie mina
daje oszłomienie i uspokojenie zarazem
przebija się przez gęste tumany dymu
pochodzi z materii z niej się rodzi
dając inne znaczenie tej samej istocie
z nicości przez same płomienie (...)

(WIERSZ: „A POŚRÓD ŚCIAN I KAMIENI”, s. 12)

Czym jest więc okno na okładce książki poetyckiej, czy nie filozoficzną ramą rozwartą jak płomienie wieczności na przestrzał, czy może symbolem pulsującej dwuznaczności – zewnątrz i wewnątrz, będących punktem wyjścia do filozoficznego postrzegania świata. A może strukturą mityczną miast Zbigniewa Joachimiaka? Przypomnijmy – Elbląg, to miasto gdzie poeta przyszedł na świat, Cincinnati, gdzie przebywał na wygnaniu i Gdańsk, gdzie obecnie mieszka i tworzy pracę. Miasta te w poezji autora posiadają bramy, są otoczone palisadami oraz fosami obronnymi. Dlatego wyobrażam sobie, jak poeta wpatruje się pilnie w gdański „Sąd Ostateczny” Hansa Memlinga i widzi w nim dwuznaczność, która jest kluczem do rozumienia czegoś odwiecznego. Światło „Sądu Ostatecznego” pada bowiem tak samo na zbawionych i na potępionych, złączonych wspólnym dziedzictwem życia na ziemi. Tom poetycki, zawiera także malarską tajemnicę dwuznaczności, a mianowicie imprymiturę, zastosowaną w „Sądzie Ostatecznym” Hansa Memlinga, czyli dodatkowy laserunek. To co w tomie poetyckim jest wewnętrzne, staje się jego imprymiturą. Natomiast to co jest zewnętrzne, jest mimiką literacką, gestem, grymasem, a nawet pantomimą. Stąd imprymitura wzmacnia treść wierszy, i pełni funkcję tła do wielu tematów mimicznych, takich jak spełniające się obrazy, nawarstwienia, czy wspomniane już hippodamejskie toposy. Tak dzieje się w utworach „Droga do nieba Pomywaczki okien seminarium biskupiego w Oliwie” (s.17-18), „Wiosna na miękkich poduszkach 2025 roku” (s. 28-30), czy „Miasto, które milczy chórem” (s. 57-58).

Zbigniew Joachimiak w utworze „Cincinnati 12 lipca 1983 roku” mówi:

Chłodny powiew rzeki nie sięga do miasta,
krótkonogi wiatr staje tuż
u pierwszych domów
niezdecydowany wejść do downtown.

Miasto jest umarłe, tu nie słychać ptaków,
powietrze stawia opór nawet
małym ruchom,
kamienie rodzą krople potu.

Słońca nie widać, przysłonięte
kopułą rozżarzonego powietrza,
domyslać się go można
z przyspieszonych skurczów serca
i ciała wylewającego gorące strugi deszczu.

Nie można uwierzyć, że za szczerline
zamkniętymi oknami,
za spoconymi głowami klimatyzatorów
zmęczone ciała szykują się do skoku
przez noc

do następnego tak samo
bezlitosnego dnia upału.

(WIERSZ: „CINCINNATI 12 LIPCA 1983 ROKU”, s. 37)

Treść utworu posiada wymowną informację: „Miasto jest umarłe, tu nie słychać ptaków, / powietrze stawia opór nawet małym ruchom, / kamienie rodzą krople potu”, zapewne stanowiąc rodzaj przedproza apokalipsy. Bowiem ona wydarza się na oczach poety, gdy zestawiona zostaje wedy miasta z sakralnością przyrody, obiektywnie istniejącą poza jego murami. Wówczas „miasto jest umarłe”, a „zmęczone ciała szykują się do skoku / przez noc”. Łącząc różnorodność myśli i przeżyć, poeta rozumie swoje osaczenie w bogactwie i ubóstwie, pięknie i brzydocie miasta.

W symbolicznym wierszu „107 Milton Street” o otwartej narracji, autor zwraca uwagę na filozoficzne przesłanie miasta, jako kokonu, czy wręcz ula przepelnionego symboliką obecności i dźwiękami mowy, z jej ekspresywną komunikacją:

(...) Biała Księżniczka mówią o niej
gdy jako jedyna wykonuje
bezbłędnie piruet
pośród swoich kolegów i koleżanek
z tej czarnej zapomnianej
dzielnicy spadającej w dół
aż do samego downtown
aż do samej fontanny
która jest tu jedynym ratunkiem

➔ bo jest wilgocią

Benjamin prowadzi mnie do góry
woła coś do dziewczynki w oknie wie
że czeka na mnie
ale nie wchodzi do środka
zostaje przed domem
a mnie wchłania zacieniona sień
kolejne tajemnicze pokoje
jak ciemne wiersze Edgara A. Poe (...)

(Wiersz: „107 Milton Street”, s. 15-16)

Wykładnię o własnej twórczości, Zbigniew Joachimiak zawarł w wywiadzie udzielonemu dla poety i pisarza Andrzeja Waltera. Wówczas poeta powiedział: „Pisanie jest moją bardzo osobistą funkcją życiową, choć paradoksalnie sprawia mi wszelkie moje piarstwo: trud, znój, a czasami ból. Całe życie piszę (od 13 roku), a więc jestem w jakimś sensie grafomanem. No, trudno, tak jest. Pytanie, co uważam w poezji za najważniejsze jest jak otwierany ciężarek dla myśli i wszelkie odpowiedzi ciągną zaraz na manowce. Pewnie mógłbym o tym napisać książkę, a i tak byłoby to przede wszystkim błądzenie i poszukiwanie odpowiedzi. Ale parę rzeczy jest oczywistych. Broń Boże, jednak nie należy traktować tego jak wyczerpującą odpowiedź. **Poezja musi być niezależnie od literackości i jej „sztuczności”** zawsze funkcją życiową poety. To gwarantuje cały segment wartości: prawdę, oryginalność, szczerość, uczciwość, etc. W moim osobistym przypadku, wiem to na pewno, bardzo ważną jest sfunkcjonalizowana estetycznie prywatność. Mogę powiedzieć, że nie ma nic ważniejszego niż moje życie i moje przeżycia i emocje. Nie bez powodu przeżywają mnie poetą *nowoprywatnościowym*, (choć to *nowo* – jest całkowicie zbędne). Ale z drugiej strony wiemy, że nawet najbardziej prywatnym zwierzeniom autora nie powinniśmy dać się nadmiernie zwodzić, zawsze jest w nich literackość i kreacja, choćby dlatego, że tą drogą właśnie chce autor dotrzeć do swoich osobistych spraw”. (Patrz: Pisarze.pl. 12. 07. 2022)

W utworze „Ulice Gdańska” autor przywołuje na świadka historię, by mogła powiedzieć z głębi pamięci o sprawach i rzeczach minionych. By wytłumaczyła nowym pokoleniom sens epok zawartych w miejskiej toponimice, zakłętą w dawnych nazwach, odartych tynkach i zaniedbanych napisach:

Piękne ulice Gdańska piękne ulice
wrzeszczą, są w paradyżach stogach, oleją się
na całej długości miasta
lampy paradyżu pobłyskują i strzyżą
w ciemnościach najbardziej obficie,
kolibią się spacerowiczami,
motławią w starym mieście,
które nie jest aż tak stare

Blask pelznie po oknach ze spuszczoneymi
zasłonami pelargoni (tam to muszą
dziać się rzeczy, och rzeczy, że aż ho)
jak pięknie, jak pięknie jest pod ulicą
Dubois, bo pod nią jest ta inna
- jak ona się nazywała 60 lat temu?
Jak się nazywała 80 lat temu?

Tu był Langfuuuuuhr
teraz Wrzeeszcz
Pod nimi słyszę szelest, szurania, tupoty
nóg, butów, trzewików i podków
turla się wóz koński
naprzeciwko Jaśkowej Doliny
stoi niechodzący zegar
(ale na starych widokówkach
nieustannie zmienia miejsca,
czy to znaczy, że jednak wciąż chodzi?),
do Dubois pod numerem 48 pięć kroków
Pani Ewa pierze starą koszulę
swojego ojca - zaginął
w pięknej nadmorskiej wsi w Stutthof,
teraz się mówi w Sztutowie, (...)

(Wiersz: „ULICE GDAŃSKA”, s. 46)

Zbigniew Joachimiak, jako poeta, sakralizuje mityczne progi „swoich” miast. W jego poezji stają się one żywym świadkiem poetyckiej rozmowy o przeszłości. Miasta poety posiadają ożywione cechy. Jednakże etymologia słowa „miasto” jest dla twórcy ciąglą zagadką. To miejsca nie-

znajomych spojrzeń, mitycznych ogrodów i kamienic (wiersz „Wrzeszcz nad ranem”, s. 64). To także zadziwiająca rozmowa herbacianego przechodnia z szeptem domu, z utworu „Herbaciany przechodzień i rozmowa jego z szeptem domu, którego już nie ma” (s. 82).

W wielu literackich opowieściach, które poeta tworzy, zadawania się jego prywatna historia. Bowiem obcowanie z miastem (z miastami) sprawia, że one, „nieożywione olbrzymi” – jakby to powiedziała Julia Hartwig, są wyrazem poetyckiej jaźni i mogą tworzyć geografie wizjonerskiego snienia. (Patrz: wiersz „Do onirystów”, s. 99). Stąd tom poetycki „Miasto, miasta, w mieście” jest ważną propozycją literacką na mapie polskiej poezji współczesnej. Jego zwała tematyka i poetyckie przestrzenie, odwołują czytelnika do istotnej propozycji myślowej twórcy – do jego rozważań na temat przestrzeni miasta, jako mitu poetyckiego.

TADEJ KARABOWICZ
LUBLIN, WRZESIEŃ 2025

Zbigniew Joachimiak, „Miasto, miasta, w mieście. Nowe i stare wiersze miejskie”, Wydawnictwo Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2025, ss. 204. ISBN 979-83-973818-3-4



Agnieszka Moroz

(Recenzje z instagramowego bloga
Poławiaczka książek)

Charlotte Weitze

„Rosarium”

„Zatraskuję okno, a kiedy znowu zamykam oczy, śnię o węzach, gałęziach i dłońiach. Wszystkie razem owijają się wokół mojej szyi”.

Ten cytat to jeden z wielu zapadających w pamięć, poetycko-antropomorficznych obrazów, odwzorowujących misterną tkankę świata przedstawionego „Rosarium”. W swojej odważnej, oryginalnej i olśniewającej powieści z pogranicza realizmu magicznego i fantastyki Weitze wychodzi od spostrzeżenia, że to rośliny dały początek wszelkiemu życiu na Ziemi. Pisarka zauważa, iż właśnie one są spośród całej materii ożywionej najbardziej wytrzymałe (widłaki, mchy i paprocie przetwierały wszystkie katastrofy naturalne!) i akcentuje fakt, że - gdyby zechciały - mogłyby na zawsze położyć kres ludzkiej egzystencji.

Splatając ze sobą losy bohaterek z trzech kolejnych pokoleń (prabababki, wnuczki i prawnuczki), pisarka snuje opowieść o naukowej obsesji na punkcie obdarzonej świadomością, legendarnej róży i botanicznym odkryciu, które może zawrócić na losach całego świata. Jej „Rosarium” to mroczna baśń, łącząca wybujałe antropologiczne teorie (takie, jak ta, że małpy wyewoluowały w ludzi dzięki halucynogennym grzybom, poszerzającym ich zdolności intelektualne) z onirycznymi obrazami, ukazującymi m.in. leśne rodzeństwo zamieszkujące pień starego drzewa, kobietę oplecioną przez różne pnącze i wypuszczającą z ciała świeże, zielone pędy czy zakonnice, które czczą światło i próbują fotosyntezy.

Powieść Weitze pochłania i hipnotyzuje, stopniowo przechodząc od mozaikowych obrazów, które tchną surowym pięknem i złożonością świata przyrody do niepokojącej, dusznej atmosfery, nieuchronnie zbliżającej się i przeczuwanej przez wszystkich katastrofy w duchu gry komputerowej „The Last of Us” albo filmowej „Melancholia” Larsa von Triera.

Dla mnie „Rosarium” było nie tylko prawdziwą czytelniczą uczcią, ale wręcz jedną z książek życia! Dawno nie doświadczyłam takiego zachwytu po przewróceniu ostatniej strony! Patrzyłam na stworzone przez Weitze światy, czując jak świetne punkty na moich tęczęwkach „łączą się w gwiazdozbiory”. Wiem, że ze mną zostaną.

Sayaka Murata

„Dziewczyna z konbini”

Czym jest normalność trzydziestolatki w oczach dzisiejszego społeczeństwa?

• Posiadaniem pracy? Tak, lecz nie byle

jakiej. Kobieta powinna stale awansować i wybierać zajęcia pozwalające stopniowo piąć się coraz wyżej po zawodowej drabinie.

• Życiem w związku? Tak, lecz nie w przypadkowym. Musi wybrać partnera na tyle zaradnego, by nigdy niczego jej nie zabrakło.

• Posiadaniem dzieci? Owszem. Najlepiej całej gromadki, dzięki której wypełni swą kobiecą rolę w odwiecznej sztafecie przedłużania gatunku.

Keiko Furukura - bohaterka „Dziewczyny z konbini” - nie spełnia żadnego z punktów tego schematu. Od osiemnastu lat pracuje w konbini (sklepiku z artykułami pierwszej potrzeby i przekąskami - japońskim odpowiedniku naszych Żabek) i nie zamierza tego zmieniać. To jej komfortowa przestrzeń, „akwarium wypełnione światłem” i znajomą melodią szeleszczących paczek chipsów, przetaczających się po rolkach puszek z napojami, dźwięku fotokomórki i szumu ekspresu do kawy. Tu realizuje się w pełni - w uszytej na jej miarę - pracy ekspedientki. Tu wtapia się w tłum i wreszcie czuje się człowiekiem, pomimo swych emocjonalnych dysfunkcji. Ale świat nie potrafi jej tego wybaczyć.

„Dziewczyna z konbini” to brawurowa powieść o przytłoczeniu młodych ludzi niekończącą się presją sukcesu. Opowiada o potrzebie tkwienia w bezpiecznym letargu i odnalezieniu swojego miejsca w rzeczywistości, która dla części z nas jest już i tak wystarczającym wyzwaniem.

Kolizje „niedopasowanych” jednostek z otoczeniem opisywane przez Sayakę Muratę, przypominały mi obrazy z filmów „Homar” i „Parasite”. Postać Shirahy, który pragnął jedynie „spokojnej egzystencji” w zawieszeniu, bez konieczności podejmowania jakiegokolwiek wysiłku, skojarzyła mi się zaś z „Kopistą Bartleby” Melville’a i jego alchemiczną formułą: „wolałbym nie”. Nawet pomimo tych oczywistych kulturowych fundamentów, „Dziewczyna z konbini” pozostaje jednak powieścią świeżą i zaskakującą. W dobie, gdy tak wiele zawodów staje się zagrożonych przez AI i z dnia na dzień praktycznie przestaje istnieć, historia Keiko wydaje się coraz bardziej aktualna!

Beatriz Serrano „Ogród rozpacz ziemskich”

Lubię się czasem pozgrywać. Kiedy mam do czynienia z kimś, kto słabo mnie zna, zdarza mi się wygłaszać absurdalne zdania tylko po to, by zobaczyć, jak zareaguje. Dorosłe życie bywa tak frustrujące i nudne, że każdy z nas szuka jakiegoś sposobu na przetrwanie. Bohaterka „Ogrodu rozpacz ziemskich” ma ich całe mnóstwo.



KSIAŻKI NA HACZYKU

Marisa to pracownica agencji reklamowej na kierowniczym stanowisku średniego szczebla. Jest singielką, wiecznie względnie wygodne życie i dobrze zarabia, mimo iż na co dzień bardziej symuluje pracę niż pracuje. Sztukę tę - którą określa pieśczośliwie „grą biurową” - ma opanowaną do perfekcji. Delegowanie zadań, teatralne przerzucanie kartek terminarza, sprytnie kopiowanie cudzych pomysłów i elegancki biurowy outfit skutecznie dopełniają wizerunku profesjonalistki, pozwalając Marisie potajemnie oglądać filmiki z szopami pracami zającymi tort i urywać się z biura pod byle pretekstem.

Mimo tych wybiegów, dziewczyna czuje się chronicznie zmęczona i udręczona samym przebywaniem w biurze. Uważa, że zawodowo poniosła porażkę, a jej życie to „złe napisana, hermetyczna i nudna tragedia”. Chwilowego ukojenia poszukuje w: malarstwie Boscha, wyrafinowanych przekąskach, podróżach, alkoholu, wesółych papieroskach i fantazjowaniu o własnej śmierci w nieszczęśliwym wypadku.

Powieść Beatriz Serrano przeczytałam w jeden wieczór, upojona fenomenalnym czarnym humorem, aktualnością i trafnością zawartych w niej spostrzeżeń na temat współczesnego świata, a nade wszystko kapitalnym portretem bohaterki, która jest jak połączenie Hany z serialu „Girls” z tytułową bohaterką „Fleabag”. Serrano brawurowo obśmiewa w nim m.in. modę na mentoring oraz korporacyjną nomenklaturę, opartą na zastępowaniu prostych wyrażen ich angielskimi odpowiednikami, tak by miały bardziej prestiżowy, kosmopolityczny wydźwięk. Obnaża też płytkość dzisiejszych relacji międzyludzkich, naszą pogłębiającą się samotność i przytłoczenie ciągłą presją na sukces, który od dawna jest tylko słowem-wydmuszką. Gorąco polecam „Ogród rozpacz ziemskich” - nie tylko pracownikom korpo! →

Iida Turpeninen „Żywe istoty”

27 lat - zaledwie tyle upłynęło od pierwszego do ostatniego spotkania człowieka z krową morską. Tylko tyle zajęło nam całkowite zgłodnienie tego gatunku. Makabryczne polowanie na ciekawe ludzi, bezbronne „syreny” to pierwszy z mrocznych obrazów, jakimi zaskoczy Was książka „Żywe istoty” lidy Turpeinen, a będzie ich wiele!

Kiedy myślimy o badaczach przyrody, zwykle wyobrażamy sobie ludzi przyjaznych zwierzętom i obchodzących się z nimi z szacunkiem. A przecież naukowcy, którzy odkrywali nowe gatunki, zaczęli od zabijania napotkanych osobników, ponieważ pragnęli poznać ich anatomię, zachowując przy okazji szkielety i tkanki! Wiedzie jednak, że oni też nie wychodzili z tych poszukiwań bez szwanku. Turpeinen doskonale oddaje tragizm każdej ze stron - zwierząt na wymarcie oraz zapalnych przyrodników, którzy dla pasji zapędzili się na skraj świata, oddając po drodze wszystko, co najcenniejsze...

„Żywe istoty” to kunsztownie opowiedziana historia prawdziwych postaci, takich jak Georg Wilhelm Steller (który w 1741 roku dotarł do słynnej wyprawy Beringa na Kamczatkę i odkrył istnienie krowy morskiej) oraz cudów natury (m.in. wyjątkowo pięknych ptasich jaj, które dały początek absurdalnej kolekcjonerskiej gorączce). Ta - napisana pięknym językiem - książka jest rodzajem upstrzonego faktami, fabularyzowanego reportażu, który wiedzie czytelników aż przez trzy epoki (XVIII, XIX i XX wiek), mówiąc o przemijaniu, tęsknocie i niezrozumieniu dla świata natury, którego - jako gatunek - nie jesteśmy godni.

Autorce udało się w niej zawrzeć całą ignorancję człowieka, który jeszcze niedawno był przekonany, że odnajdywane głęboko w ziemi kły mamutów wskazują na bytowanie tych gigantycznych stworzeń w podziemnych jaskiniach, a dziś - świadomie i z premedytacją - uśmierca kolejne gatunki zwierząt, by zaraz potem budować na ich temat mity i prezentować je w muzeach.

„Żywe istoty” to ostrzeżenie wygłoszone w imieniu wspaniałych, majestatycznych stworzeń, które odeszły w ciszy. Wielka szkoda, że go nie posłuchamy...

Monika Śliwińska „Księżę: biografia Tadeusza Boya Żeleńskiego”

„Ostatni heretyk na katolickiej ziemi” w czasach, gdy narażanie się klerowi było jeszcze aktem odwagi. Lekarz, który na wezwanie jeździł do pacjentów pociągami i wyskakiwał w biegu na stacjach, choć jednocześnie nie był w stanie choćby słuchać opowieści o ranach.

Nieśmiały neurotyk, który dla żartu pozwał redakcję „Czasu” i stoczył spektakularną polemiczną batalię z Karolem Irzykowskim. Melancholik, który celował w satyrze, pisząc teksty dla kultowego kabaretu „Zielony balonik” i opublikował tom cytowanych do dziś, pikantnych, ironicznych wierszyków pt. „Słówka”. Założyciel

Kropki mleka, krzewiącej wiedzę o prawdziwym żywieniu noworodków i wydającej (za darmo) pasteryzowane mleko. Aktywny działacz w walce o dopuszczenie prawa aborcyjnego w szczególnych sytuacjach, którego komentarz: „kilku panów w sile wieku rozstrzygnęło o losach milionów kobiet i poszli, zadowoleni z siebie, na kolację” do dziś pozostaje w naszym kraju mocno aktualny.

Wybitny intelektualista i tłumacz, zaangażowany w wydawanie własnej serii dzieł klasyków, bez którego nie poznalibyśmy Prousta, Stendhala czy Balzaca. Wreszcie - temperamentny miłośnik kobiet. O Tadeuszu Boyu-Żeleńskim mogłabym czytać w nieskończoność!

Pod tym względem - jako bardzo bogate źródło informacji - „Księżę” Moniki Śliwińskiej sprawdza się doskonale! Biografistka wykonała wielką pracę archiwistyczną, by drobiazgowo zarysować tło życia Boya, dostarczyć czytelnikowi wszelkich cymesików na temat swojego bohatera, a nawet odkładać fragmenty historii, jakie do życiorysu pisarza dopisała radziecka propaganda.

W akcie lektury „Księżę” okazał się jednak nieco zbyt akademicki. Trudny w odbiorze, a momentami zwyczajnie nużący z uwagi na morze zawartych w nim faktów. Dlatego - choć bardzo zależy mi na pielęgnowaniu pamięci o Żeleńskim - uprzedzam, że to przeprawa dla wytrwałych!

Agnieszka Płonka „Stary przyjaciel”

„Mój problem nie był drzazgą pod paznokciem. Był starą śmiercią, taką, od której człowiek boi się zasypiać” - wspomina Kasandra - bohaterka książki „Stary przyjaciel”.

Trudno o lepsze zobrazowanie ciężaru postpamięci. Jeszcze większym wyzwaniem jest ukazanie wpływu pamięci zapożyczanej na konstytuowanie się tożsamości jednostki i uchwycenie napięć, wynikających ze zderzenia prawdy tej jednostki z prawdami zbiorowości. Agnieszce Płonce ta sztuka udaje się doskonale!

Kasandra jest dziewczyną z Fioletowego Podwórka. Mieszka na planecie krążącej wokół dwóch gwiazd - czerwonej i niebieskiej. A przynajmniej tak twierdzi (w jej opresyjnym świecie, podporządkowanym propagandzie i kontroli, bezpieczniejszym używać metafor). Zresztą - jak przekonuje bohaterka - to nieważne, skąd jesteś. Dopóki potrafisz dobrać słowa tak, by opowiedzieć swoją historię, musisz ją opowiadać.

Opowieść Kasandry krąży wokół symbolu dwóch skrzyżowanych polan z płonącym nad nimi ogniem. Dla niej to znak zbrodniarzy z Republiki Krwi - dzikiej Północy, skapaniej w szkarłatnym świetle gwiazdy czerwonej, gdzie grasują gangi najeżdżające pobliskie tereny i przesuwające w ich stronę lodowce. Znak czystego zła i cierpienia, które dotknęło jej najbliższych. Jak odczytują go mieszkańcy odległych krain? Czym jest dla uprzywilejowanych ludzi z Portowego Miasta, którzy nigdy nie musieli nosić dziurawego płaszcza ani zbierać pieczętek, by móc kupić żywność?

Badaczka postpamięci, Marianne Hirsch, zauważyła, że dzieci ofiar Holokau-

stu nie są w stanie rozprawić się z jego traumą, ponieważ pamięć, którą w sobie noszą, jest pamięcią zapożyczoną, rozgrywającą się w zastępczej przestrzeni i czasie, a co za tym idzie, niemogącą umrzeć śmiercią własną. To pamięć, która „raczej eksploduje niż przejdzie w zapomnienie”. Podobne uczucie wzrasta i pęcznieje w sercu Kasandry, przybierając coraz bardziej rozpaczliwą postać.

„Stary przyjaciel” to także powieść o rozczarowaniach dorosłości. O zderzeniu wyobrażeń „z czasów bez czasu” - gdy ma się 20 lat, a marzenia mogą być nieskończone - z rzeczywistością.

Wspaniała literatura piękna o fantastycznym zabarwieniu!

Samantha Sotto Yambao „Water moon. Księżyc w wodzie”

Które wybory mają większy wpływ na nasze życie - duże czy te małe? Kierunek studiów, życiowy partner i urodzenie dziecka, a może wyjście z pracy przed czasem, powrót do domu inną drogą albo pikantna przekąska zamiast słodkiej?

Powieść „Water moon. Księżyc w wodzie” filipińskiej Autorki Samantha Sotto Yambao dotyka właśnie owej delikatnej materii sztuki wyborów i alternatywnych ścieżek. Zabiera czytelników w oniryczną podróż na skrzydłach papierowego żurawia.

Literatura azjatycka często jest wymieniana na jednym wydechu z frazą „literatura wytchnieniowa”. „Księżyc w wodzie” to kolejna książka, która potwierdza trafność tej konotacji i wpisuje się w nurt kojących powieści o magicznych miejscach: kawiarniach wędrujących w czasoprzestrzeni, tradycyjnych sklepach papierniczych, fantastycznych bibliotekach czy „niezuzinkowych” sklepach całodobowych. Na tle podobnych - w większości koreańskich - historii, książkę o tajemniczym lombardzie przyjmującym w zastaw coś znacznie cenniejszego od rodowej biżuterii, wyróżnia jednak niespotykany literacki rozmach!

Yambao zaprasza odbiorców do surrealistycznego świata z Nocnym Targiem wśród chmur, gdzie na straganach kupić można butelki pełne gwiazd i perły z oceanami, w których ktoś zamknął swoje wspomnienia. To poetka, szkolowska wizja pełna papierowych wiosek z origami, jezior kwiatów lotosu, bezgłośnych wodospadów, muzeów, gdzie za bilety płaci się swoim czasem i lasów porośniętych szklanymi dzwonkami. Jest filozoficzna i melancholijna, a jednocześnie wciąga i zdumiewa nagłymi zwrotami akcji.

Zanurzona po szyję w azjatyckiej kulturze, ujmuje nawiązaniami do kitsugi, ikigai, origami czy lirycznych chińskich przysłów. Intryguje, zwodzi i raz po raz wymyka się czytelnikowi niczym kwiat w lustrze albo... księżyc w wodzie! Mnie zachwyciła w sposób absolutny, a podchodziłam do lektury bez żadnych oczekiwań! Szach-mat i książkowy top tego roku!

AGNIESZKA MOROZ

Ryszard Biberstajn

LAMENTA DIALOGI Z HÖLDERLINEM

Niewielu jest pewnie poetów tak wszechstronnych, jak Lech Lament. Od urodzenia mieszkający w Turku, osadzony w tamtejszym środowisku artystów i animatorów kultury. Debiutował jako poeta w 1976 r. Od tego czasu pisze wiersze (także dla dzieci), teksty piosenek, komponuje, wykonuje prace plastyczne (z tej ostatniej działalności jest również znany, jak z poezji; ilustruje książki, w tym także własne).

Radość pisania, do której niekiedy przyznają się twórcy, w przypadku Lecha Lamenta ma szczególny wymiar, gdyż poeta ten niejako bawi się konwencjami, podejmuje wyzwania, jakie generują gatunki wiersza, ociosuje ich formalne ramy i wypetnia własną poetycką „rekwizytornią”. Jedną z najczęściej używanych przez niego figur jest księżyc, obecny także w tytułach zbiorów („Sprzymierzeńcy księżyca” – 2006, „Dryfujący księżyc” – 2010, „Winowajca księżyc” – 2012, „Polowanie na złoty księżyc” – 2019). A jeśli chodzi o drążenie gatunków, to na pierwszy plan, obok piosenek, wysuwa się tom „Okolice nadmiaru. Oktostychy” z 2022 r.

W swoich wierszach Lament nawiązuje dość często do osób z najbliższego kręgu znajomych, ale jeszcze częściej (i chciałoby się powiedzieć: mocniej) do postaci, które są także hasłami kulturowymi, jak Budda, Jezus czy Friedrich Hölderlin. Osoba niemieckiego poety z przełomu XVIII i XIX wieku, prekursor nowych nurtów literatury (klasyki weimarskiej i romantyzmu), zdaje się w szczególności sposób zajmować turkowskiego twórcę. Fascynacja ta ma swoje uzasadnienie, bo rzeczywiście trudno znaleźć w tamtej epoce postać równie dramatyczną, jak właśnie Hölderlin.

Mam przed sobą jeden z tomów wierszy Lamenta pt. „Každy dzień jest przepowiednią” z 2011 r. Zawiera poezję ważną, intrygującą. Składa się z trzech części, z których najobszerniejsza powstała pod wpływem głębokiego zainteresowania się poety Hölderlinem. Cykl „Nieznana wersja Hölderlina” stanowią 73 wiersze (niektóre ujęte w większe całości – dyptyk i tryptyk). Zdumiewa konsekwencja Lamenta w tworzeniu poetyckiej biografii niemieckiego poety, chociaż postać ta została w tych utworach niejako zasymilowana, wchłonięta przez autora cyklu. Wynikiem tego zabiegu jest swoisty autobiografizm. Zresztą w słowie wstępnym sam przyznaje: „Zafascynowany postacią Hölderlina, studiowałem jego biografię, listy i *Hyperiona* podczas stanu wojennego. Ta zbieżność tragizmu i własnych podobnych odczuć i przeżyć skłoniła mnie odruchowo, podczas poznawania jego dzieł i tej straszliwej epoki, do popętnienia wielu wierszy związanych z Hölderlinem i ze mną”. Poeta mówi wręcz o „trzeciej postaci”, a więc całkiem nowej jakości, która jest rzeczywistym bohaterem tego cyklu.

Warto po latach, a od wydania tomu „Každy dzień jest przepowiednią” minęło ich grubo ponad dwadzieścia, wrócić do niego, by czytelniczej refleksji poddać mechanizmy rządzące dziejami, a także aby nabrać trochę historiozoficznej perspektywy.

Rzecz rozpoczyna się (jeśli już traktować ją w kategoriach chronologii biograficznej) od Nürtingen, w którym przyszły poeta podjął pierwszą edukację. W tle echa Rewolucji Francuskiej, stąd pojawiają się tu postaci Napoleona i Robespierre’a. Ale już w kolejnym wierszu widać wyraźne odniesienie

do ja lirycznego i jego sposobu przeżywania rzeczywistości *tu i teraz*, a główny bohater cyklu pozostaje niejako w tle. Ta technika przenikania się dwóch rzeczywistości i dwóch perspektyw postrzegania świata obecna jest w większości wierszy na obszarze każdego z nich, jak również w ramach całej zwartej kompozycji. To znaczący wiersze tematycznie związane wprost z Hölderlinem przepieczone zostają z tymi, w których już wyraźnie spotykamy świat turkowskiego poety. Te ostatnie inkrustują poetycką narrację z niemieckim romantyzmem w roli głównej. Do „odautorskich komentarzy” należą m.in. wiersze: „Dni terroru”, „Niepokój”, „Przeczuć”, „Obraz wojny”, „Autoportret zbiorowy”, „Nad Wisłą”.

Lament zdaje się opierać wiersze z tego cyklu na uniwersalnych wartościach i tęsknotach. Zwłaszcza tych, które ulegają zaburzeniu w czasach kryzysów i wojen. W tym względzie utwory te mają wymiar ponadhistoryczny, bo „Okrucieństwo zawsze zostawia swe piętno na każdej epoce i w podobny sposób odczuwamy miłość, ból i samotność” – pisze poeta we wstępie do swej książki. Czy zatem poezja ma szansę ocalić przed złem tego świata? Takie pytanie mógłby sobie zadawać poeta z Tybinki, który przecież wierzył w jedność natury i ducha, w harmonijną całość rzeczywistości, zarówno realnej – rozumianej kategorycznie, jak również transcendentnej. Wydaje się ta jedność nieosiągalna, bo zaledwie idea, którą człowiek próbuje realizować. Niemożność odnalezienia pełni dla Hölderlina – filozofa wydawała się nie do zniesienia, więc pozostawał tylko obłąk, w który zresztą wkrótce popadł. Zanim to jednak nastąpiło, w poezji właśnie upatrywał ocalenia, bo tylko słowo poetyckie niesie z sobą sprawczą moc. A zło, przed którym może chronić, jest wynikiem utraty tej harmonii, przenikniętej Logosem. „Nikt nie mógł lepiej wyrazić istoty tego doznania niż Hölderlin” – pisze Jan Czarniecki w „Teologii Politycznej Co Tydzień” w numerze 25/375 z 2023 r. – „W jego twórczości czuć drżenie, ale i przemożną intensywność wiary w owych bogów, tęsknotę za ich obecnością, potrzebę słowa, które ten ból opatrzy”.

Taką potrzebę wyczuwa u Lecha Lamenta także jego czytelnik. Chyba najmocniej widać to w wierszu „Poeta mówi”, w całości będącym poezją roli. Hölderlin, snujący monolog wewnętrzny, to *alter ego* turkowskiego twórcy. Ta tożsamość dwóch osób, a właściwie jednej w jej dwoistości, daje okazję do swego rodzaju przestania, w którym brzmia echa refleksji niemieckiego filozofa o pokoju, harmonii, ale także autora cyklu, zafascynowanego Hölderlinem, a przy tym ujawniającego w wielu wierszach swoje pacyfistyczne poglądy. Hölderlin-Lament mówi: „Niech wam sprzyja fortuna – największy żywioł – miłość”. Jednak aby mogła być uznana za wartość podstawową w świecie konfliktów i pełnoskalowych wojen, potrzebna jest nadzieja. Nie ta wysublimowana jako kategoria z zakresu teologii, lecz taka, o której czytamy w wierszu Czesława Miłosza pod takimże właśnie tytułem (z cyklu „Świat. Poema naiwne”): „Nadzieja bywa, jeśli ktoś wierzy, / Że ziemia nie jest snem, lecz żywym ciałem, / I że wzrok, dotyk ani słuch nie kłamię”. A zatem nie jest enigmatyczną mrzonką, lecz realną wartością odczuwaną sensorycznie. Nie inaczej pojmuję ją twórca „Nieznanej wersji Hölderlina”. Jego liryczny

bohater, otoczony scenerią ze znamionami zagłady, w wierszu „Czas apokalipsy” pielęgnuje codzienne rytuały, upatrując w nich szansy na ratunek: „Podlewam na balkonie żółtą trawę. / Oślamiam jej dłoń przed skażonym wiatrem. / a ludzkość ocali świat i siebie”. Innym razem to coś bardziej spektakularnego, jak kończące cykl zburzenie Bastylii, które poeta utożsamia ze zburzeniem Muru Berlińskiego.

Entuzjastycznie przyjął cykl Leszek Żuliński. We wstępie do tomu „Každy dzień jest przepowiednią” wspomina o poczuciu wspólnoty z autorem, nawiązując do własnego zbioru „Ja, Faust”. Widzi w takiej twórczości, moim zdaniem niestety, znamiona zanikającego gatunku uprawiania poezji. Wystarczy przecież przypomnieć choćby sztandarowy cykl Zbigniewa Herberta z Panem Cogito w roli głównej, także tomiki Roberta Gawłowskiego „Marco Polo szuka nowej drogi” (1984), „Marco Polo” (1987) czy „Georg – ostatnie chwile, ostatnie błyski” (1998), a także Jarosława Trzeźniewskiego-Kwiećnia „Piwnica Mozarta” (2020) i inne. Przecież zawsze jest to pisanie według paradygmatu *ja* poety. Tak jednak czytamy Herberta i wszystkich wymienionych powyżej. Tak czytamy też poetę z Turku. Dlatego Żuliński zauważa: „Lament w swoim dialogu z Hölderlinem pisze – nie zapominajmy o tym – przede wszystkim o sobie. O swoim miejscu w sobie, w świecie, w kulturze, pośród wciąż szalejących konstelacji ontologicznych i aksjologicznych”.

Jest to świat, który z pozoru nie potrzebuje filozofów i poetów. Pograża się w chaosie w obszarach, o których wspomina Żuliński (sam zresztą swego czasu był tego chaosu aktywnym udziałowcem, a więc wiedział, o czym mówi). W rzeczywistości obie te dziedziny, ze sobą przecież spokrewnione, chronią nas przed automatyzmem własnych działań i stwarzają przestrzeń do refleksji, do doświadczania autonomii i zarazem wspólnoty z innymi, poczucia sensu (jakkolwiek ów sens będziemy pojmować). Wiara w moc ocalającą słowa jest cechą zarówno Hölderlina, jak i Lamenta oraz Żulińskiego. W „Nieznanej wersji Hölderlina” znaleźć można wiele na to przykładów, lecz nie wprost. Toż przecież cały cykl jest manifestem takiej wiary. Tu zaznacza się jednak fundamentalna różnica między Lamentem i jego bohaterem. Ten ostatni, „niedoceniany, odrzucany, konsekwentnie zamyka się w swoim poetyckim świecie, pograżając się w szaleństwie i tracąc kontakt ze światem rzeczywistym” – pisze o tym cyklu Artur Jurgawka. Utrata z rzeczywistością Lamentowi raczej nie grozi. Pisząc o Hölderlinie nie wchodzi bez reszty w jego mroczną dziedzinę. Odwrotnie – im głębiej wnika w życie i dzieło niemieckiego poety, tym bardziej trzyma się siebie samego tutaj, teraz, w tym świecie, w którym żyje. Temu służy także seria wierszy inspirowanych niemieckim poetą.

Pisanie o twórcy sprzed dwustu lat i pisanie o sobie, zanurzonym w trudnej codzienności, stwarza możliwość umacniania przekonania, że poezja przekracza granice terytorialne i czasowe. Hölderlin na prawie 40 lat zamknął się w wieży w Tybindze. Lament nie musi do niej nawet na chwilę wchodzić. A gdyby w chwili słabości chciał, po drodze zatrzyma go słowo. Każe się sobą zaopiekować.

I w nagrodę ocala.

RYSZARD BIBERSTAJN

Stanisław Chyczyński

REPETYTORIUM: WŁÓCZĘGI DUCHOWE

Rodzima poezja religijna, w obecnych trudnych czasach, ma się wcale dobrze, a patronują jej takie wielkości, jak Jan Twardowski, Janusz St. Pasierb czy choćby Jan Paweł II. Aktualnie do czołowych jej reprezentantów należy Wojciech Kudyba (r. 1965), profesor stołecznego UKSW, autor m.in. kilku książek poetyckich i kilku prozatorskich (w tym 2-tomowej powieści historycznej *Putasy*). Norwidolog, który inspirował się raczej Rilke niż Norwidem. Przez krainę literatury peregrynuje w asyście swoich ulubieńców, po lewej – Marcin Świetlicki, po prawej Zbigniew Herbert. Całkiem niedawno wydał opowiadania zebrane pt. *Z drugiej strony* (W-wa 2024) oraz retrospektywne *Włóczęgi duchowe* (W-wa 2025), czyli wiersze z lat 1990–2025. Zamierzam skupić się na tej drugiej pozycji.

Jak zapewnia wydawca, wszystkie wiersze zostały na nowo przejrane i poprawione. Rzeczywiście, skrupulatny badacz twórczości autora Gorców *Pana* mógłby odnotować wiele drobnych zmian. Trzy przykłady: *Odwiedzanie Tyszowiec* nosi teraz tytuł *Wstępując do Tyszowiec*, *Rozmowa z Bogiem* stała się po prostu *Rozmowa*, a tytułowa *La Verna* jest tutaj *Alwernią*. *Plewienie marchwi* straciło personalną dedykację, bywa i tak. Więcej różnic dotyczy samej treści utworów, gdzie np. *Sącz* zastąpił *Krasnobrodem*, *Lublin* – *Zamościem*, a *Neapol* – *Tomaszowem*, w którym poeta się urodził. (Tyszowce pozostały bez zmian). Co ważniejsze, przeróbki dotknęły nie tylko nazw geograficznych. Zatem niektóre stare teksty zyskały nową szatę werbalną.

Kudyba tworzy poezję niezwykle plastyczne, obrazowe, sugestywne, pełne konkretów ze świata fauny i flory, na ogół ułożonych w naturalnym pejzażu dzieciństwa i okresu dojrzewania. Kiedy zaczyna rymować, budzą się znane echa z Brylla (za sprawą tematyki i rymów wewnętrznych) tudzież z Wencła (analogie treściowo-formalne, rymy zewnętrzne). Te poniekąd hermetyczne wiersze bystry czytelnik otwiera za pomocą słów-kluczy. Jednym z najważniejszych jest termin „Rozmowa” (*nota bene* często pisany od wielkiej litery), który oznacza dialog istotny ze Stwórcą. Do kolejnych należą: „miasto”, symbol wspólnoty wiernych, i „ogród” – jako znana ewokacja z Herberta, a nawet „tajno”, które wymownie ilustruje wszelką zgniliznę moralną i kulturową. *Zatruta studnia* Malczewskiego jest tutaj *Zakryta studnia*, która – „Napełniona” – stanowi „Widzialne centrum – nazbyt oczywiste/ By mogło być przedmiotem zwątpienia”. *Rezerwuuar wodny* – źródło życia i nadziei, atoli dla chrześcijanina liczy się głównie woda żywa, jaką znamy z Ewangelii. O ile Leśmianowi „Bóg znikał – w brzozie” (*Niewiara*), o tyle Kudybie – wręcz przeciwnie! Objawia się nie tylko w bliźnich i naszych „braciach mniejszych”, ale nawet w trywialnych motywach nieożywionego realu. „W pustkowiu znaczeń, w rozproszeniu sensu”, „w melancholijnej

mgłę, trującym dymie gnoju”, „przejrzystym szczyrce śniegu”, „nadrzecznym promienach i sklepieniach”. Mało tego: „Gdziekolwiek byśmy się nie udali – będzie”. Brawo, bravissimo!

Universeum jest tajemnym przesłaniem Stwórcy, skierowanym do stworzeń rozumnych, które winny starać się odczytać owe zaszyfrowane sygnały. (U Kuzańczyka był to *Deus absconditus*). Jesteśmy powołani do tropienia Ojca, ukrywającego się przede wszystkim w tym, co nas spotyka. Wbrew pozorom, wg Kudyby, nie jest to wszystko arcytrudne, bo „To, co się musi zdarzyć, jest rozmową”, ale też „To, co się musi zdarzyć, jest spotkaniem”. W filozofii Emmanuela Levisy spotkanie to relacja metafizyczna, która zawsze dotyczy naszego bliźniego i dzieje się w przestrzeni etycznej. Tam spotykamy mistrza, swego nauczyciela, który uczy nas bycia wobec drugiego człowieka, a bycie jest zawsze relacją etyczną. Mamę Dekalog, znamy Mistrza z Nazaretu, więc!... Sedno sprawy oparte jest na bezgranicznej ufności, o jakiej czytamy w świętej *Modlitwie*: *Noc/ Jakbym krążył z owadami/ W trudnej do wyjaśnienia/ Konieczności zaufania/ I czci./ Wokół świecy.* Ot, i wszystko jasne!...

STANISŁAW CHYCZYŃSKI

Wojciech Kudyba „Włóczęgi duchowe”, PIW, Warszawa 2025, str. 176

Kinga Młynarska

POCZUCIE BYCIA GDZIEŚ OBOK

Powolne ruchy roślin Karola Płatka to Nagroda Główna w I. Ogólnopolskim Konkursie na Książkę Poetycką FONT.

Pierwsze, co zwróciło moją uwagę w poezji Karola Płatka, to kreacja podmiotu. Z jednej strony jest mocno zanurzony w przestrzeni poetyckiej, to świadek i uczestnik sytuacji lirycznych, a z drugiej – ich kreator i / lub komentator. Co więcej, jest w pełni świadomy swojej konstrukcji. Wie, że jest (tylko i aż)... bytem literackim. „Ja” liryczne mogłoby zatem uchodzić za alter ego autora, ale chyba nie chce, dlatego umyka wszelkim klasyfikacjom. Przede wszystkim poprzez dzielenie się głosem – pozwala wypowiedzieć się innym, co de facto każe brać pod uwagę, że podmiotów jest tu kilku.

Podmiot (ten główny, który mieści w sobie wszystkie inne) mówi o świecie współczesnym. I nie wyraża zadowolenia. Przeciwnie – dostrzega to, co prowadzi do „apokalipsy”. Panuje tu atmosfera niepewności, a może nawet i jakiegoś odrealnienia. Rozumianego jako niedowierzanie z zastanej rzeczywistości. Poczucie bycia gdzieś obok.

Naczelnym tematem wydaje się kryzys ekologiczny, choć Płatek nie czyni z niego osi tomu, ani nawet poszczególnego wiersza. Raczej jakby mimochodem i przy okazji „wrzuca” pewne elementy, będące też raczej symbolami większych problemów. Składają się one na obraz dość zatrważający, np.: „sterta hulajnog elektrycznych”, „spaliny nad asfaltem”, „paczkomaty”, „zapleśniałe kąty”.

Podmiot Płatka trochę kpi, trochę ubolewa. Snuje rozmaite wizje, opisuje codziennie zdarzenia, ale trudno znaleźć w nich jakiś przejaw nadziei czy radości. Może dlatego sięga do wspomnień?

Nieco zaskakującym motywem jest tu swego rodzaju podróż sentymentalna do kresu dzieciństwa i dorastania. Może właśnie po to, by gdzieś móc zakotwiczyć samego siebie lub świat, jaki podmiot postrzegał za ten dobry, normalny, zwyczajny.

„Nagrane wnętrze Poloneza [który wiezie do przedszkola]” to symbol bezpieczeństwa, a „herbata z sokiem malinowym” oraz „szelest prezentowego papieru” – symbol spełnienia marzeń i radości.

Podmiot nie czuje się pewnie w dzisiejszym świecie, chyba nie znalazł jeszcze własnego miejsca, nie dookreślił swojej roli w wielkim planie kosmicznym. Jest zagubionym przedstawicielem całego gatunku ludzkiego. A pocieszenia, wsparcia lub zapomnienia upatrzuje między innymi w „ginię”.

Pojawia się tu sporo kulturowych nawiązań, które Płatek wykorzystuje dość swobodnie. Bierze dokładnie tyle ile mu potrzeba. Warto podkreślić, że one nie służą mu do budowania kontekstów, a raczej do uplastycznienia swojego poetyckiego obrazu.

Author wyławia rozmaite przejawy komi-

zmu oraz absurdu z otoczenia. Trzeba przyznać, że jest spostrzegawczym obserwatorem. Dostrzega naprawdę dużo. I jeśli coś takiego znajdzie, to natychmiast uruchamia (w swoim podmiocie, ale i w czytelniku) proces skojarzeniowy.

A ten może poprowadzić w zupełnie nieoczywiste rejony!

Witraz

słońce połamało się
na ścianie

teraz to katedra
odprawiamy

Podoba mi się swoboda Płatka oraz swista fantazja literacka. Poeta szuka różnych możliwości, wprowadza elementy humorystyczne, celnie operuje ironią, a i w kwestii formalnej wybiera dość interesujące rozwiązania. Bardzo jestem ciekawa, jak to pisanie rozwinię się w kolejnych książkach.

KINGA MŁYNARSKA

Karol Płatek, *Powolne ruchy roślin*, FONT, Poznań 2024

Nominacja do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius w kategorii debiut.

Zdzisław Drzewiecki

MIŁOŚĆ NIEDOKOŃCZONA - O TOMIE ADAMA OCHWANOWSKIEGO „WIERSZY DLA LIDKI... SONETY NIEDOKOŃCZONE”

Listy od Adama Ochwanowskiego zawsze lśnią pełne poezji. Tak było i tym razem, biała koperta zawierająca najnowszy tomik poetycki Adama „Wiersze dla Lidki...” wydany, przy pomocy wielu mecenasów, których autor wymienia na wstępie książki, przez Oficynę Poligraficzną APLA w Kielcach przy współudziale Stowarzyszenia Klubu Wodnego „Kon-Tiki” w Pińczowie. Tomik zawiera 34 sonety niedokończone oraz wiersz „Wigilia z Lidką w tle...”, który otwiera całość. Teksty poetyckie przeplatane są aranżacjami graficznymi Sylwii Bętkowskiej. Wszystko wygląda bardzo zgrabnie.

Autor od lat związany z regionem (ziemia pińczowska) pokazuje, że jego twórczość, choć osadzona lokalnie, sięga tematów uniwersalnych – miłości, czasu, przemijania, relacji międzyludzkich.

„Wiersze dla Lidki...” to książka bardzo osobista, intymna wypowiedź poetycka – poeta kieruje swe słowa do „Lidki”, co czyni tę książkę niemal listem-wyznaniem. Wszystkie utwory poświęcone są miłości życia podmiotu Lidce. Tytuł „sonety niedokończone” sugeruje, że mamy do czynienia nie z klasycznymi sonetami zamkniętymi w pełnej formie, lecz z tekstami, które pozostają pewnym gestem, otwartą przestrzenią, być może niedopowiedzianą. To nie pełna przemowa, ale urwany oddech, moment zawieszenia, przerwana refleksja. Mimo że autor używa terminu „sonet”, teksty nie trzymają się rygorystycznie klasycznej budowy sonetu (czternaście wersów, rymy, struktura strof). To raczej stylizacja lub inspiracja formą niż ścisłe przestrzeganie formalne. To powoduje, że czytelnik staje się współuczestnikiem – domyśla się, dopowiada, współtworzy znaczenie. To tworzy specyficzną aurę – oczekiwania, braku, przerwania.

Adam Ochwanowski w tomie *Wiersze dla Lidki... sonety niedokończone* podejmuje jeden z najstarszych tematów w literaturze – miłość – lecz czyni to w sposób głęboko osobisty i nowoczesny. Poeta nie opisuje uczucia w jego klasycznej, romantycznej pełni, lecz raczej bada jego ślady, pęknięcia i niedokończenia. Tytułowa forma „sonetów niedokończonych” jest nie tylko zabiegiem formalnym, ale przede wszystkim kluczem interpretacyjnym: to metafora miłości, która nigdy nie osiąga doskonałości, zawsze wymyka się zakończeniu.

Cykl stanowi intymny dialog z adresatką – Lidką. Bezpośrednie zwroty („A ja mówię ci, Lidko...”, „Miłość, Lidko...”, „Nie mam żalu, Lidko...”) nadają utworom charakter listów, a nawet spowiedzi. Jednak Lidka nie jest tylko konkretną osobą – staje się figurą relacji, symbolem drugiego człowieka, z którym łączy nas historia uczuć, wspomnień i utraconego czasu. W ten sposób Ochwanowski tworzy poezję, która choć osadzona w doświadczeniu jednostki, staje się uniwersalnym świadectwem kondycji współczesnego człowieka.

W wielu wierszach pojawia się motyw

czasu. W otwierającym fragmencie „A ja mówię ci, Lidko, że czas nas oszukał” poeta formułuje najważniejszą diagnozę cyklu: to nie my kierujemy czasem, lecz on nami. Czas „oszukuje”, „zacierza granice”, „miesza drogi” – nieustannie przekształca miłość, pamięć i sens. Miłość, która miała być trwała, okazuje się nietrwała właśnie dlatego, że podlega przemianie, zapomnieniu, powtarzalności.

Cechą charakterystyczną poezji Ochwanowskiego jest prostota języka, za którą kryje się głęboka emocjonalność. Poeta nie szuka wyszukanych metafor, lecz używa obrazów codziennych: drogi, ścieżki, płyty, poranka. Te motywy – znane z życia każdego czytelnika – stają się nośnikami refleksji o przemijaniu. Porównanie miłości do „zgranej płyty” jest jednym z najtrafniejszych w całym cyklu: pokazuje, że uczucie może trwać, ale już nie poruszać; może brzmieć, ale bez melodii. W tych prostych, codziennych obrazach kryje się siła poetycka, którą można by nazwać realizmem emocji.

W wierszu „Miłość, Lidko, nie musi być szczerą,
Bo za dużo w niej chciwych podtekstów,
Zręcznych sztuczek, wyuczonych gestów...”
Ochwanowski rezygnuje z sentymentalizmu — jego „ja” liryczne demaskuje teatralność uczuć.

Widać tu ironię i gorzką mądrość dojrzałego człowieka: uczucia są podszyte egoizmem i kalkulacją.

Forma sonetu — dawniej używana do wyrażania wzniosłych uczuć — zostaje tu wykorzystana przewrotnie, aby mówić o rozczarowaniu i fałszu. To poetycka rewizja miłości romantycznej. Nie ma w jego poezji lamentu, jest natomiast pogodzenie z niedoskonałością świata. To gorzka, ale prawdziwa lekcja dojrzałości: uczucia są skażone ludzką słabością, a ich autentyczność bywa chwilowa.

Z kolei w wierszu
„Nie mam żalu, Lidko, do miłości,
Co jak zgrana zacina się płyta,
Gdy kolejny poranek zaświta
Bez dowodów wzajemnej radości...”

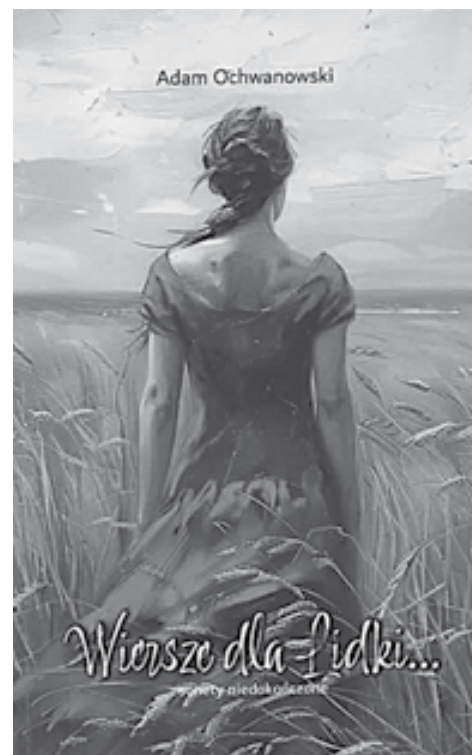
widać pogodzenie się z losem. Porównanie, przywołane już powyżej, miłości do „zgranej płyty” jest mistrzowskie: prosty obraz, ale głęboka symbolika. Miłość trwa, lecz już nie wzrusza; powtarza się, aż staje się rutyną. Brak „dowodów radości” to nie dramat — raczej rezygnacja i akceptacja. To sonet o codzienności uczuć — bez patosu, ale z czułością dla tego, co minione.

Tytułowe „niedokończenie” dotyczy nie tylko formy sonetu, ale i sensu istnienia. Każdy wiersz kończy się jakby w pół zdania, pozostawiając przestrzeń na domysł czy refleksję. To zaproszenie do współuczestnictwa: czytelnik musi sam „dokończyć” te wiersze – emocjonalnie, intelektualnie, duchowo. W ten sposób autor nadaje klasycznej formie sonetu nowoczesny wymiar – zamienia ją w dialog otwarty, proces, a nie zamkniętą strukturę.

W kilku fragmentach poeta poszerza perspektywę z osobistej na metafizyczną: „Bóg oszalał, Lidko, świat się kurczy...” – to już nie tylko rozmowa z ukochaną, ale także z Bogiem, z losem, z nieuchronnością końca. Ochwanowski ukazuje, że miłość i wiara są dwoma przejawami tego samego pragnienia – ocalenia sensu w świecie, który się rozpada.

Wiersze dla Lidki... sonety niedokończone to poezja dojrzewania, odchodzenia i akceptacji. Autor nie szuka pocieszenia w romantycznym ideale, lecz w prawdzie o ludzkim doświadczeniu. Każdy z jego sonetów to nie gotowa odpowiedź, lecz fragment rozmowy – z drugą osobą, z czasem, z samym sobą. I właśnie w tej niedoskonałości, w tej przerwanej frazie, tkwi siła jego poezji. Ochwanowski pokazuje, że to, co w życiu najważniejsze, zawsze pozostaje niedokończone.

ZDZISŁAW DRZEWIECKI



Tadej Karabowicz

POEZJA I PROZA JAKO

PRZYKŁAD JEDNI LITERACKIEJ

Tom Andrzeja Samborskiego „Nie tylko COVID. Wiersze i proza” (Lublin 2022) ukazał się w Lubelskiej Bibliotece Stowarzyszenia Pisarzy Polskich pod redakcją Zbigniewa Włodzimierza Fronczka. Książka powstała dzięki wsparciu finansowemu krakowskiego Instytutu Literatury, w ramach programu Tarcza dla Literatury. Program ten dotyczył wsparcia dla twórców w okresie pandemii. Książka posiada dwa działy – poetycki (71 wierszy) i prozatorski (36 krótkich opowiadań zatytułowanych „Dziennik sanatoryjny”) i została przygotowana przez lubelskie wydawnictwo Polihymnia, jej projekt graficzny opracował Michał P. Wójcik.

Utwory poetyckie i prozatorskie Andrzeja Samborskiego są zbudowane na zasadzie krótkiej formy poetyckiej, bliskiej do miniatury literackiej. Charakteryzują się one zwięzłą koncepcją myślową i obrazową. W większości posiadają uczuciową treść, pogłębioną subiektywnym postrzeganiem świata. Posiadają także żartobliwe podglebie, wywodzące się ze starożytnego epigramatu, oprawionego w osobiste autorskie przesłanie bycia pomiędzy światem realnym, a mitem. Krótkie prozy są oznaczone strukturą dodatkowej puenty, nawiązującej do różnych zdarzeń lub dotyczą konkretnych osób. Andrzej Samborski powiedział o sobie, że jest „autorem miniatur”, realizując się literacko w „epigramatach, aforyzmach [i] krótkich formach prozatorskich”. Natomiast o twórczości poety powiedziano, że jego „lapidarne utwory oparte są na wyrazistych konceptach, podanych w formie pozbawionej jakiegokolwiek barokowości. Tylko w ten oszczędny sposób można uzyskać zamierzony efekt: poruszyć jednocześnie wyobraźnię i intelekt” (Bogusław Wróblewski: „Lublin – miasto poetów”).

Poeta, prozaik i pieśniarz Andrzej Samborski urodził się 18 sierpnia 1967 roku w Lublinie. Z wykształcenia jest psychologiem. Studiował na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, dodatkowo pogłębiał wiedzę o teatrze w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie. Jest zdobywcą wielu nagród literackich. Wydał m.in. zbiory: „To się śpiewa, to się tańczy” (Lublin 1995), „Na śmiech i życie” (Lublin 2004), „Zwierzę się wam... czyli zwierzęta, rośliny, zjawiska przyrody, a wśród nich człowiek” (Lublin 2020), „Mój czas” (Lublin 2021), „Ulica mi Lublina” (Lublin 2021), „Ekslibrisy literackie. W hołdzie dla Andrzeja Kota” (Lublin 2023). Jest autorem aktywnym, a jego pasją stały się muzyka i teatr. Wystąpił w wielu spektaklach, posiada również ważne osiągnięcia muzyczne. Tworzy teksty do własnych piosenek. Najnowsze pole działalności autor znalazł na styku literatury i fotografii. Za wystawę będącą upamiętnieniem 90. rocznicy powstania lubelskiej Jesziwy we wrześniu 2020 roku został nagrodzony Medalem Zasłużony dla Miasta Lublina.

Andrzej Samborski w tomie „Nie tylko COVID. Wiersze i proza” szuka odpowiedzi na postawione pytania, związane z trudnym 2020 rokiem – z pandemią. W utworach autor zastanawia się nad darowanym czasem i wyznacza kody filozoficzne poezji przełomu. Tym przełomem jest pandemia z jej ograniczeniami, które wprowadzono do życia społecznego wraz z jej wybuchem. Autor stara się nawiązać także do przeszłości, zwłaszcza w pokładach tematycznie ważnych dla niego. Píše o sprawach egzystencjalnych i odświeżających. W taki sposób, tom poetycko-prozatorski spina kłamię poznawczą wiele wątków – stając się książką

interesującą i ciekawą. Jej przesłanie stanowi poszukiwanie maksimy dla słowa „być”, w ekstremalnych warunkach życia w pandemii, widzianej z perspektywy autorskiego pojmowania świata i jego przeżywania.

Poprzez osobiste doświadczenie słowa, autor stworzył wielobarwny świat przeżyć i emocji. Podporządkował materiał literacki zaskakującym i nieodgadnionym formom rzeczywistości. Przykładem takiego stanu mogą być wiersze o pandemii:

Z głową rozpaloną
niczym czajnik z gwizdkiem
nijak było zasnąć,
choćby zmrużyć oka.
Wyparowywałem,
Został cień człowieka.

(UTWÓR „WIERZ COVIDOWY” s. 6)

Sen przysł. Słońce mam
pod powiekami.
Zanim na zewnątrz
się nie rozwidni,
nie zasnę. Razi.

(UTWÓR „GORĄCZKA 39 STOPNI C” s. 12)

Termometr — pistolet
wymierzony w głowę.

(UTWÓR „Chińska ruletka” s. 13)

Znowu ktoś stworzył
puszkę nieszczęścia.
Pandora z Wuhan
zginęła pierwsza.

(UTWÓR „PANDEMIA” s. 14)

Przywołane utwory nawiązują do miniatury literackiej jako małej formy poetyckiej. Stąd w twórczości autora uobecniają się wyznaczniki starożytnej greckiej struktury epigramatu i aforyzmów. Poeta, poprzez skondensowaną treść, odwołuje się do kreatywnej logiki, że w literaturze nie ma ustalonych raz na zawsze toposów myślowych. To oznacza, że twórca ma prawo rozwijać i udoskonalać własną formę literacką. Poprzez takie widzenie rzeczywistości, Andrzej Samborski jest autorem odważnym, kreatywnym i wrażliwym. Wyznacznikiem jego twórczości staje się maksymalizm i trafność puenty. Wśród wątków ważnych, pozostaje motyw obecności w przestrzeni kulturowej. Mowa o Fryderyku Chopinie, jako geniuszu narodowym, widzianym z perspektywy osobistej. Oto dwa przykłady utworów, bliskich poecie, poprzez jego aktywność muzyczną:

Tak go przez całe życie namawiali —
Panie Chopin napiszże wreszcie wielkie
dzieło — Łaskawy panie, dlaczego znów

tak mało — Królu złoty, dlaczego to
nie opera? A może byś jakiś hymn

dla narodu?

Chopin wzruszył ramionami.
Wyciągnął przed siebie szczupłe
dłonie
szlifierza
diamentów.

(UTWÓR „Chopin — życie i twórczość” s. 37)

Chopin — wierszem wolnym.
Życie — w nieustannym,
rubato od pierwszych
polonezów brzdąca,
okrzykniętego już
geniuszem, aż po
walc l’adieu i dalej

na setkach tysięcy
fortepianów —

To, co wiecznie nie ma
końca i jest wolne,

jak wiersz.

(UTWÓR „CHOPIN — WIERZEM WOLNYM” s. 38)

Poeta także jest autorem — odważnych
w swojej osobistej wymowie
i treści — strof poetyckich:

Odkąd przestałem gonić czas,
przestał przede mną uciekać.

Żyłem w pośpiechu, byle jak,
Od nowa uczę się życia.

(UTWÓR „***ODKĄD PRZESTAŁEM GONIĆ CZAS” s. 48)

Lata mijają.
Przychodzą jesienie.
Deszcz. W deszczu nie widać łąz.

(UTWÓR „***LATA MIJAJĄ” s. 51)

Pomiędzy mną a ziemią
brak punktu zaczepienia.
Nosi mnie, to tu, to tam,
nie zapuszczam korzeni,
owocu przez to nie ma.

(UTWÓR „***POMIĘDZY MNĄ A ZIEMIĄ” s. 54)

Zacytowane wiersze o wymownej osobistej treści, pogłębia samoświadomość autorska, ale i czytelnicza. Brak tytułów, daje dodatkową wciągłość i rodzi dodatkowe pytania retoryczne. Sposoby argumentowania i obrazowania, zawarte w utworach, stanowią zamkniętą całość, z wymowną strofą: "Nosi mnie, to tu, to tam, / nie zapuszczam korzeni, / owocu przez to nie ma", która posiada śmiało odniesienie do wątku biograficznego. Można więc powiedzieć, że Samborski nie boi się operować językiem subiektywnym i niejednoznacznym.

Podobną narrację treściową posiadają utwory prozatorskie, zawarte w drugiej części tomu (s. 77-106). Poeta stworzył je w jednolitym przedziale czasowym – roku 2021. Stąd utwory te są zbiorem spójnym i nawiązują do wątków autobiograficznych. Po otrzymaniu skierowania do sanatorium okazało się, że zmieniło ono optykę życiową poety. Autor przyzwyczajony do własnej codzienności, znalazł się w nowej dla niego sytuacji. Pojawili się nieoczekiwane wydarzenia i wartości. Dlatego zaczął je opisywać.

Utwory prozatorskie "Dziennika sanatoryjnego" można porównać do zwartych minia-

tur na granicy poezji i opowieści. Mają one zwięzłą i ascetyczną kodyfikację. Są przykładem poszukiwań formy, która dotąd i w takiej formie nie wybrzmiała w twórczości autora. Oszczędne środki stylistyczne i spójna treść, granicząca z absurdem, dają możliwość "po-dejrzeć" codzienność sanatoryjną i wyrazić słowem jej ustalone szablon. W sanatorium oprócz zabiegów, wyjazdu krajoznawczego, oczekiwania na posiłki, ludzie zawierają nowe znajomości oraz próbują odnaleźć się w nietatwych dla nich rolach. Przykładem mogą być utwory: "Twarzą do stołca" (s. 98), "Ptasie niebo" (s. 100), "Torcik" (s. 102-103), "Niedziela w deszczu" (s. 194-105).

Z utworów wyłania się (w pewnym sensie) autoportret pisarski Samborskiego, za-stany w konkretnej rzeczywistości. Jest nią "realność", która rządzi się swoimi prawami. Posiada ona własny rytuał, któremu autor podlega. Sanatorium – to zamknięta strefa przeżyć, emocji i obserwacji siebie oraz innych. Utwory "Dziennika sanatoryjnego" są "zapisem" sytuacji, z którymi przyszło się zmie-rzyć Andrzejowi Samborskiemu. Stąd usiłuje on przybliżyć rzeczywistość sanatoryjną nie tylko z myślą o czytelniku, ale także z refleksją

o przekroczeniu pewnej granicy formalnej we własnej twórczości. W takiej konfiguracji my-słowej utwory stanowią rodzaj diariusza, gdzie obrazy przybliżają rzeczywistość i są punktem odniesienia poznawczego. Zostały napisane, jako reakcja na nową sytuację.

Tom Andrzeja Samborskiego "Nie tylko COVID. Wiersze i proza" wpisuje się w dotych-czasowy dyskurs literacki autora. Cechuje go estetyczny minimalizm i subtelność odczuć, la-pidarność i nowatorstwo. Wyróżnia skłonność do refleksji. Zwięzłe sentencje uzmysławiają, że istnieje zapotrzebowanie – tak osobiste, jak czytelnicze, na taką literaturę filozoficzno-sytuacyjną. Z czytelniczego punktu widzenia, twórczość poety zawiera ważne przesłanie, że figury retoryczne spełniają rolę autorskich zdobyczy i są usytuowane na pograniczu rea-łności świata i jaźni.

TADEJ KARABOWICZ LUBLIN, WRZESIEŃ 2025

Andrzej Samborski, „Nie tylko COVID. Wiersze i proza”, SPP Lublin, Wydawnictwo Polihymnia, Lublin 2022, s. 114, ISBN 978-83-66761-28-5

Katarzyna Michalewska

W świetle badań psychologicznych, bez-pośrednim efektem doświadczanej przez dziecko traumy związanej z sytuacjami zaniedbań emocjonalnych, odrzucenia czy różnych form przemocy, może być stan zamrożenia, odcięcia się od przeżywania własnych uczuć. W skrajnych sytuacjach trauma może stać się przyczyną zespołu stresu pourazowego pro-wodzącego do depresji, zaburzeń lękowych, uzależnień. Często następstwa traumatycz-nych wydarzeń dotyczą także następnych pokoleń. Dowodem tego badania nad potom-kami ofiar holocaustu. Austriacki psycholog Victor Frankl – sam będąc więźniem obozów koncentracyjnych – pisał o matych holocau-stach dotykających nas na co dzień.

Zwyczajna obojętność, chłód emocjonalny, raniące słowa czy po prostu brak czasu i uważności potrafią niejednokrotnie ranić bardziej niż przemoc fizyczna.

Tematyka psychologicznych dysfunkcji, uzależnień czy innych problemów psychicz-nych stała się w ostatnim czasie częstym motywem chętnie wykorzystywanym w lite-raturze. Zdarza się, że epatowanie dysfunkcjonalnością służy zwiększeniu zainteresowania utworem, poczytności, czasem pełniąc rolę zastójny dymnej dla jego formalnej słabości, miąższości treści.

Z tym większą radością trzeba odnotować pojawienie się książki poetyckiej dotyczącej wspomnianych problemów, która jest zara-zem pozycją dojrzałą, przemyślaną treściowo i spójną formalnie. Mowa tu o najnowszym tomiku *Lodowce* autorstwa Ewy Wyrembskiej, nagrodzonym w 2. Ogólnopolskim Konkursie na Książkę Poetycką FONT.

Autorka zbioru poprzez metaforyczny świat lodowca – symbolizującego mechani-zmy świata, który osacza, wyklucza i niszczy, posługując się swoistą „glacjologiczną ana-logią”, przy pomocy poetyckich porównań i obrazów wnikliwie przedstawia ruchy tek-toniczne dysfunkcyjnych rodzinnych relacji z wrażliwością, a zarazem precyzją badacza, analizując konsekwencje emocjonalnych na-stępstw spekań i transgresji (transgresja, na-rodziny, rozmnażanie).

Zbiór wierszy Wyrembskiej to paraboliczny przekaz, skupiający się na jednym motywie. Autorka nie wpada w banalność i monotonię.

CZŁOWIEK DOTKNIĘTY „LODOWYM JĘZYKIEM” ODRZUCENIA

W sposób twórczy i pomysłowy przyjmuje za punkt wyjścia związaną z lodowcami ter-minologię, ożywia i metaforyzuje przestrzeń „tarasów kemowych”, „transgresji” i „muto-nów”. Kreując oryginalne, nieoczywiste po-etyckie obrazy, wydobywa z lapidarnych, ascetycznych tekstów – spełniających w do-skonałym stopniu zasadę „minimum słów, maksimum treści” – różnorodność nowych znaczeń.

Podmiot liryczny – kobieta, matka, żona egzystująca w świecie „wiecznej zmarzliny” – dziedziczonej traumy spowodowanej obo-jętnością, przemocą i zaniedbaniami usiłuje uchronić swoich bliskich od jej wszechobec-nych następstw. Przejawiają się one w tok-sycznych, zafałszowanych relacjach przemo-cowych, pozbawionych czułości wzorcach wychowania (mówią), sprzecznej z sercem materialistycznej uniformizowanej logice bezwolnych lalek „manekinów, nieudolnie udających człowieka” (transgresja, dorosłe lodowce). Demaskując ekspandujący świat „lądolodu i lodowca”, podmiot liryczny pró-buje odnaleźć swoją życiową niszę, ziemię obiecaną. Chce ocalić od zamrożenia małe okrucieństwa i ciepła w codzienności: „niech się ogrzeją”/ stopniowo / lizaki lody cukierki lodowe” (na wolności). Czasem wydaje się, że jednak traci nadzieję, gdy okazuje się, że „nie ma granicy wiecznego śniegu”, jakby „lodowy pak” stawał się lo-dowym paktem z prawami genetyki.

Autorka *Lodowców* nie obawia się sta-wiać trudnych pytań o granice wolności, autonomii, zależności od uwarunkowań (na-rodziny, kem, skutki zimnego wychowu).

Ta „glacjologiczna eksploracja”, odbywa się w języku. Uwidacznia się przy tej okazji ambiwalentny stosunek poetki do języka. Bywa on narzędziem zawłaszczania i prze-mocy – zawierają się w nim toksyczne mię-dzypokoleniowe przekazy niszczące poczu-cie godności, odzierające z pozytywnych uczuć i dewaluujące wartość człowieka. Z drugiej strony to właśnie w języku dokonuje się swoiste katharsis. Jest on podstawowym narzędziem psychoterapii, która zaczyna się

od wyrażania przeżyć, podzielenia się bole-snymi doświadczeniami.

Słowo – logos ma moc rozwiązywania tok-sycznych węzłów, pozwala na uświadomienie sobie destrukcyjnych schematów, wyzwala zamrożone i stłumione uczucia. Rozmowa przywraca relację, bo gdy pozostajemy „skłó-ceni / milczący / wreszcie nie ma relacji jest tylko on / lity” (transgresja), jak lód, czy skała: „skute mrozem / jak ryby i dzieci głosu nie mają / czasem płyną” (dobre lodowce to martwe lodowce)

Swoistym (pierwotnym) językiem jest także mowa ciała. Często pojawia się w tomie tę-sknota podmiotu za bliskością, miłością wy-rażającą się w dotyku, przytuleniu: „niech mnie ktoś roztopi / może gdyby długo trzymał mnie w ramionach / skruszyłby rozdrobnił / może naprawiłby ryny odprowadzające / lodow-cową wodę”. Daje się tu dostrzec intuicyjne przecucie uzdrawiającego oddziaływania kającej cielesnej intymności: „zatapiasz się we mnie jak bursztyn / jak długo dasz radę” (katastrofa klimatyczna), która według wybitnego psychoterapeuty Alexandra Lowena, ma moc uzdrawiania zimnego, zamkniętego serca.

Człowiek, dotknięty „lodowym językiem” odrzucenia i braku czułości często jednak nie potrafi zdobyć się na zaufanie i w re-zultacie mniej, lub bardziej świadomie, odrzuca możliwości uleczenia, zmiany. Zamyka się na różnorodne formy terapii, stając się w ten sposób niejako „ofiara z wyboru” (na kozefce). Autorka *Lodowców* jest daleka od moralizowania i przed zafiksowaniem się na takiej postawie, zdaje się przestrzegać, a nie oceniać.

Najnowszy tom Ewy Wyrembskiej po raz ko-lejny udowadnia nieobojętność autorki na to, co najwężniejsze i co w jakimś stopniu dotyczy osobiście każdego. Porusza wyobraźnię i – co istotne – w sposób wrażliwy i pełen współczu-cia dotyka serca czytelnika, pozwalając mu skonfrontować się z odrzuconym, zagubionym dzieckiem, które żyje w każdym z nas.

KATARZYNA MICHALEWSKA

Ewa Wyrembska, *Lodowce*, FONT, Poznań 2025

Tomasz Pyzik

ZACHWYT I DZIAŁANIE

Poezja Barbary Gruszki-Zych rozpościera przed czytelnikiem niezwykle indywidualną, niemal intymną perspektywę poznawczą. Liryczna propozycja uznanej artystki słowa wnika w przestrzeń niejawnych emocji, które podkreślają szlachetny i czuły wizerunek obecnej w wierszach osoby mówiącej. W epigramatycznym tekście o incipicie **** (czyja to dłoń z linią życia)* ujawnia się, być może, wszystko to, co dzieje się w warstwie emocji i ma dalsze przełożenie na twórczość liryczną autorki z Czeladzi. A zatem, jak czytamy w tych kilku wersach o funkcji monologu lirycznego, „[...] wszystko co czujesz / głęboko skrywane i tak na wierzchu”. Czego możemy się spodziewać po zamieszczonym w zbiorze *Całuj ten świat* materiale literackim? Już z fragmentu przytoczonego epigramatu widzimy, że mamy do czynienia z poezją, w której autorka szczerze dzieli się swoim światoodczuwaniem, owym doświadczeniem przeżywania świata jako otrzymanego daru, który może posłużyć innym, by spojrzeć na rzeczywistość w celu przemiany siebie.

Jest to poezja oczyszczająca, powracająca do czystego dobra, do nieskalanego dzieciństwa, które teraz, z perspektywy osoby dojrzałej, jawi się niczym rajska biesiada. Kolejne soliloquium, wiersz **** (gdzie się ukryto w tobie dziecko)* stanowi piękną retrospekcję sięgającą do wieku niewinności, ale nadrzędną funkcją tego utworu jest ponowne wykształcenie w sobie spojrzenia dziecka, które cechuje się nieustannym zdi-

wieniem i zachwytem poznawanego świata. Osoba mówiąca idzie jednak dalej, a jej zakres poznawania rzeczywistości przekracza zwyczajny bieg wydarzeń, przez co odkrywa własne miejsce w księdze przeznaczenia. To pogłębione widzenie opiera się na duchowym paradygmacie wpisanym w *homo viator*, o czym mówi tekst zatytułowany **** (z podróży się wyrwywam zatrzymuję siadam)*. Do czytelnika dochodzą więc zapisy będące dialogiem z „kimś Innym”, a podróż sama w sobie objawia się metaforą poszukiwania jedynego Źródła, w którym życie się nie kończy. W takiej tonacji utrzymana jest *kantata* - wiersz będący wzruszającym wglądem w odeszłe istnienia, gdzie śpiewność lirycznego wywodu ujętego w strumieniu poetyckiej nadświadomości oplata bliskich zmarłych i ożywia ich w nieśmiertelnej przestrzeni autorskiej duszy.

Tytułowy incipit utworu **** (stworzenie świata w każdej chwili)* zawiera w sobie tę kumulację nagłego zachwytu, który zamienia impresję w stałe usposobienie artystyczne pozwalające utrzymać metafizyczną dyspozycję do odbioru iluminacji. Słowa „stworzenie świata w każdej chwili / kto go nie widzi dawno umarł” wprowadzają czytelnika w obszar cudu wiekuistego istnienia, gdzie możliwe staje się to, aby dostrzec coś, co „teraz razi i zachwyca / rozbijając niebo na tysiąc kryształów”. Zaświatowa epifania przekłada się na inną percepcję rzeczywistości, otwiera nasłuch na ciszę „brzegów rzek brzegów świata”. W liryku **** (tak mi*

chodziło o piękno) autorka rozwija swój zamiast twórczy, dopełniając kolejny wers stwierdzeniem mówiącym, że chodziło jej o piękno „wyptywające z wysoka”. Wertykalne wskazanie niebiańskiego źródła absolutnych wartości rozpisuje się w dalszej części utworu w dydaktyczne rady dla „wytrwałych wędrowców”, którzy pozostali wierni nadziei wbrew zwątpieniu. Materiał poetycki Barbary Gruszki-Zych podąża - jak czytamy w rzeczonym wierszu - „[...] drogą / na horyzoncie świecącą / tajemniczym światłem / ponad urwiskiem chmur / zebranych by ocalić słoneczny promień”.

Kontynuację metafizycznego obrazowania odnajdziemy w kolejnym impresyjnym utworze **** (jakby ktoś rozbił namioty na szczycie)*, który jest najwyższą literacką próbą utrwalenia zapierającego dech w piersiach błysku iluminacji. Poetka wpisała tu egzystencjalne doświadczenie łączące niepokój z pokorą, postawę człowieka wierzącego wobec transcendentnej tajemnicy Boga. Wyodrębnione przez Sørensa Kierkegarda uczucia „bojaźni i drżenia” towarzyszą przeżywanemu przez podmiot zjawisku, na co nakłada się jeszcze jedna tajemnica - twórcze powołanie, które sprawia, że dusza artystki słowa jest - jak pisał Czesław Miłosz w *Ars Poetica* - „domem otwartym”, gdzie „we drzwiach nie ma klucza / a niewidzialni goście wchodzą i wychodzą”. Zmetaforyzowana autocharakterystyka poetki wygląda następująco: „w tej rzece płynącej w tobie / odbite wszystkie światła z wysokości / po cichu w grozie i drżeniu zapalane dłoń / skąd wyciągnięta boisz się zapytać / dlaczego do ciebie o tym wolisz milczeć”. Autorka troszczy się o swoich niewidzialnych gości, którzy zostają przez nią czule zaopiekowani. Liryczne wspomnienia - np. **** (nie zrobiliśmy sobie zdjęć)* - cechuje intensywność przeżywania dawnej obecności, przez co zapis unieważnia upływ czasu, utrwalając istnienie drugiego w ciągłym „tu i teraz”.

Tytuł zbioru *Całuj ten świat* ma swoje pierwotne miejsce w utworze **** (skąd płynie rzeka o nazwie Rio Grande)*. Poetka wpisuje się w dociekania podmiotu z wiersza Źródło zawartego w *Tryptyku Rzymskim* Karola Wojtyły. Próba dojścia do wspomnianego źródła kończy się afirmacją świata inkrurowanego metafizycznymi odblaskami, co wyraża impresyjne zdanie tytułowe. Semantycznie paralelizmy odnajdziemy jeszcze w bardzo osobistym tekście **** (nie wypuścisz z rąk tego świata)*, dedykowanym „wujkowi księdzu Jankowi”. To jego słowa zamykają wiersz, tworząc pełną przenośni naukę dotyczącą dobrego i oddanego innym życia: „nie uciekaj w rozpacz / na śliskie zbocza zwątpienia / w zgubne mgły przed świtem / dopóki słońce wstaje w twoich oczach / razem z nim rzucaj światło / rzucaj się na życie”.

„Całuj ten świat”, „rzucaj światło”, „rzucaj się na życie” - to imperatywy nakłaniające do zachłannego poznawania i uwielbienia świata. Zachwyt i działanie - oto poetyckie przesłanie Barbary Gruszki-Zych, która swą twórczością z pogranicza realizmu i metafizyki zachęca do uważliwego oraz mądrego spojrzenia na otaczające nas dary Stworzyciela.

TOMASZ PYZIK

Barbara Gruszka-Zych, *Całuj ten świat*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2025.



Wit Romanowski

POCHWAŁA POEZJI

Wydana po polsku w Nowym Jorku nakładem oficyny Lightning Source LLC książka W Nowym Świecie autorstwa **Czesława Karkowskiego**, amerykańskiego profesora polskiego pochodzenia dobrze już znanego z tamów Migotań, opowiada o podboju Meksyku przez Hernana Cortesa w XVI wieku. Zaczne jednak od całkiem innego regionu – od Polinezji, od Hawajów.

W tomie pióra znakomitego pisarza z Montany **Hamptona Sidesa** pt. *Na szerokim, szerokim morzu* o ostatniej wyprawie Jamesa Cooka, znajdujemy następujący sugestywny opis:

„Tej nocy, kiedy pojawiły się statki, niektórzy rybacy byli na oceanie i pracowali przy świetle pochodni. Jeden z nich, Mapua, ze zdumieniem ujrzał wyrastający ponad falami ogromny kształt z ogniem płonącym na szczycie. Z boku miał on otwory, a na przedzie długą włócznię, niczym ostry nos miecznika. Zaraz potem pojawił się drugi stwór, bardzo podobny do pierwszego. Mapua nie miał pojęcia, czym one są, ale był pewien, że mają w sobie coś złowieszczonego.”

Nieco dalej czytamy:

„Następnego ranka oba lewiatany podpiły bliżej lądu. Czyż one były? Skąd przbyły? Czego chciały? Ponoć jeden z oszołomionych tubylców zastanawiał się, czym są te rozgąęzające się dziwadła (z uwagi na maszy, rozprza i bomby). Wtedy inny stwierdził, że to drzewa poruszające się po wodzie.

Nie, odparł miejscowy kapitan, to pływające heiau, czyli świątynie. To nie jest coś zwyczajnego, przekonywał kahuna. Owe gąęzcie, tłumaczył, to z pewnością stopnie wiodące do nieba.

Gdy okręty zbliżyły się jeszcze bardziej, (...) mieszkańcy wioski nie mogli oderwać wzroku od tego zjawiskowego potwora i ludy ogarnęto wielkie zdziwienie. Na brzegu zebrał się spory tłum krzyczący ze strachu i z pomieszania myśli. Ciche i upiornie wyglądające statki, z topoczącymi i nadymającymi się na przemian żaglami, mogły kojarzyć się z jakimiś gigantycznymi płaszczkami, które postanowiły wynurzyć się z głębin.”

Właśnie do takich sytuacji dochodziło, gdy miało miejsce spotkanie dwóch nieznanym sobie światów i kultur; opis przytoczony przez Sidesa pokazuje to w sposób niezrównany (dlatego go tu cytuję). Pojawiało się wtedy za każdym razem pytanie: z czym mamy do czynienia?, co widzimy?, czego doświadczamy? Jakich pojęć użyć, by zrozumieć to, co przed nami niespodziewanie się wyłania?

Odpowiedzi na te pytania były często zaskakujące i jakże błędne. Zwykle inne, po prostu, być nie mogły. Jeszcze częściej odpowiedzi w ogóle długo nie było. Dochodziło do licznych konfuzji i nieporozumień – niekiedy trwających całe wieki.

Z tym samym problemem, pisząc o podboju Meksyku i zdobyciu stolicy państwa Azteków, Tenochtitlanu w latach 1520–1521, zderzył się Czesław Karkowski. Znamienne było to, w jaki sposób w ogóle zetknął się z tym tematem i go podjął, o czym pisze we wstępie do swojej książki. Najpierw, w roku 2000, nabył *Selected Poems 1917–1982* **Archibalda McLeisha**, który swego czasu należał do czołówki amerykańskich poetów amerykańskich i był jednym z tych, „którzy torowali amerykańskiej świadomości drogę rozumienia dla nowożytnej poezji (...).”

W tomie tym Karkowski natrafił na po-

emat *Conquistador* z roku 1932 o podboju Meksyku przez Cortesa – „o podróży, o niezwykłych krajach, obcych ludach, trudach i cierpieniach wędrowców”. Szybko jednak porzucił ten tekst, bo – jak pisze – niewiele z niego zrozumiał. Zniechęcił go nowoczesna składnia i organizacja materii poetyckiej (silnie zapożyczona od Ezry Pounda) – za nadto dlań dziwaczna, urywana, której nie potrafił złożyć w sensowną całość.

Minęło 15 lat. Wtedy to Karkowski okazyjnie, na wyprzedzący, kupił książkę **Bernala Diaza** – uczestnika wyprawy Cortesa, pt. *The Conquest of New Spain*, relacjonującą te same wydarzenia, o których czytał w poemacie *Conquistador* MacLeisha. Opowieść Diaza szybko go jednak zniechęciła i nie przeczytana książka trafiła na półkę.

Minęło kolejne 10 lat. Karkowski pisze: „W poszukiwaniu dostatecznie zajmującej lektury do samolotu na zimowe wakacje w St. Martin, natrafiłem na książkę Bernala Diaza. (...) Uznałem, że dla zabicia paru godzin lotu, wystarczy.”

Tym razem książkę odebrał całkiem inaczej. Natychmiast skojarzył ją z poematem MacLeisha z 1932 roku, a całość wydała mu się znakomitą materią na opowieść o spotkaniu (a właściwie zderzeniu) dwóch odmiennych i nierozumiejących się wzajemnie cywilizacji – europejskiej (kastylijskiej) i prekolumbijskiej.

Przed jego oczami nagle pojawiła się wizja opowieści, którą powinien napisać – „o wielkim zdziwieniu, olśnieniu, związanym z wkroczeniem w nieznaną sytuację, w dziwne lądy, wśród osobliwych ludów z ich specyficznymi obyczajami, o otwarciu szeroko oczu na piękno, egzotykę i dziwność odmiennych stylów egzystencji.” Towarzyszyć temu miało niepowtarzalne „przeżycie wielkiego zdumienia, zaskoczenia, amplitudy emocji od krańcowego przerażenia w obliczu niechybnej śmierci z rak wroga,

zgrozy z powodu zetknięcia z nieznanym, ohydny, wstrętny obyczajem, odstręczającym postępowaniem obcych, po uniesieniu z powodu niezwykłego piękna, czaru, nadzwyczajnej, niewidzianej dotychczas urody.”

Ale jak to napisać – jak to odmalować? Jak tę sytuację przedstawić, żeby oddać unikalność chwili spotkania dwóch obcych sobie kultur – a zarazem jak najmniej z tego zgubić i stracić? **Karkowski wpada na świetny pomysł: należy zderzyć relację Bernala Diaza z poezją MacLeisha z poematu *Conquistador*.** Spolszcza Diaza, tłumaczy na polski poezję MacLeisha i obie narracje ze sobą przeplata. Powstaje dzieło – modne określenie – na wskroś hybrydowe, a przez to bardzo nowoczesne i otwarte. Poezja staje się uniwersalnym pomostem i wytrychem do przedstawienia i zrozumienia tego, co nowe, nieznanne i w najlepszym razie rozpoznawalne intuicyjnie. Prawda o tym, co zaskakujące i trudne do pojęcia rodzi się na styku realistycznej opowieści Bernala Diaza z uniwersalistycznym i nowatorskim językiem poety. Biały wiersz przetrada się w nieoczekiwany katalizator, który ułatwia wy tłumaczenie i zrozumienie tego, co na pierwszy rzut oka zdaje się niewytłumaczalne. **To jedyna w swoim rodzaju pochwała poezji**, która wybrzmiewa w jakże zaskakujących okolicznościach. I aż trudno uciec od refleksji, czy – gdy kiedyś dojdzie do kontaktu z jakąś cywilizacją spoza Układu Słonecznego (czego przecież nie można wykluczyć) – wtedy poezja także stanie się najpewniejszym wehikułem zrozumienia i porozumienia nas z nimi i ich z nami?

Czas okaże.

WIT ROMANOWSKI

Czesław Karkowski (opr.), W Nowym Świecie, Lightning Source LLC, Nowy Jork 2025



Robert Rudiak

DUCHOWA GŁĘBIA ISTNIENIA

Elżbieta Musiał jest w kraju czołową twórczynią poematów, bo i tę formę wypowiedzi lirycznej sobie upodobała i w niej czuje się znakomicie. Od roku 2008, kiedy ukazał się jej pierwszy poemat, tak i po dziś dzień poetka skupia się i tworzy głównie ten gatunek z pogranicza epiki i liryki. To, że radzi sobie świetnie dowodzą liczne nagrody literackie przyznane jej właśnie za poematy, jak *Na zdjęciu wciąż żyjemy* z 2012 roku czy *Mówię pochylona cambrią* z 2015 roku. W roku 2025 ukazał się ósmy poemat Elżbiety Musiał zatytułowany *Totum*, który jest zarazem jej piętnastą książką.

O ile w poprzednich poematach pisarka obierała za temat życie wielkich artystów, będących w bliskich relacjach partnerskich, jak Dora Maar i Pablo Picasso, Frida Kahlo i Diego Rivera, Kamille Claudel i August Rodin, czy Katarzyna Kobro i Władysław Strzemiński, to najnowszy zbiór dziewięciu poematów dotyka już spraw zupełnie innych, ukierunkowanych na osobiste przemyślenia pisarki, najogólniej mówiąc – całkowitym problemie ludzkiej egzystencji. Wyraz totum, którym nazwała swój zbiorek Musiał, w języku łacińskim oznacza „całość” lub „wszystko” i on jest środkiem do dalszych artystycznych poszukiwań i rozważań pisarki. Otwierający tom poemat zatytułowany „Temet nosce”, tym razem w języku greckim odnosi się do „poznawania samego siebie”, jest tutaj hasłem naczelnym, które przyświeca autorce *Totum*. Starożytny aforyzm spopularyzował Sokrates, a pochodzi on z delfickich maksym, które widniały niegdyś u wejścia do świątyni Apollona w Delfach, wzywając niejako wchodzących do niej do zastanowienia się nad własnym wnętrzem i poznania własnych ograniczeń.

Poemat „Temet nosce” zaczyna się od słów: „Oto JA. Myśl mnie złowiła – więc jestem”. Podmiot od samego początku mówi na kim będzie skupiał swoje przemyślenia i wokół kogo będzie kręcił się liryczny świat, w każdym jego wymiarze – fizycznym, duchowym i psychicznym. Zadaniem podmiotu jest „uświadomić co nieuświadomione”, zaczyna się więc od rozważań umysłowych:

(...) Ach gdyby nie JA –
myśl byłaby co najwyżej chmurą umykającą
albo jaskółką pierwszą, która wiosny nie czyni.

Ciało zaś jako materia i fizyczność podmiot określa jako realną formę zdolną do dokonywania uczynków, trwania w ruchu, mogącą widzieć, mówić i odczuwać:

Płynąc – ucieleśniam. Jestem uczynkiem
najdrobniejszym z drobnych i słowem,
i zobaczeniem. Jestem wczoraj dziś i jutro.

(...)
Dziękuję ci łupino doczesna
dziękuję szczeru lubieżny.

Motyw wędrówki odnajdujemy w owym „płynięciu” – choć podmiot nie wie po co ma płynąć, to sens istnienia tkwi w samym płynięciu, ziemskiej peregrinacji. To pielgrzymka w poszukiwaniu siebie, sensu trwania i głębi egzystencji. Ma w tym pomóc ciało, które poetka rozkłada na czynniki pierwsze – biologiczne, astralne, ezoteryczne, a pomagać ma w tym jaźń, umysł, świadomość, nadświadomość, sny i marzenia.

Mówiąc: „Oto JA” wprowadza ruch, wystarczy bowiem być, aby życie i świat zaczął się „dziać”. Podmiot składa też dziękczynienie za ciało biologiczne i duszę, którą nazywa „esencją wielkoduszną”, dziękuje też sobie za siebie, za swoje jestestwo.

W poemacie „Kamień” wskazuje na kolejny atrybut wędrowania, tym razem kosmicznego, kiedy kamienie lewitują w przestrzeniach i spadają na ziemię. Potem są obecne tutaj po wsze czasy, zachowując milczenie, do którego – jak mówi podmiot – kamień się urodził. Kamień jest martwy i jednocześnie żywy, jak w paradoksie Schrödingera. Nikt nie zna wieku kamienia, czy to leżącego na rozdrożu, czy tego, z którego wznosi się domy, kościoły, a wtedy zaczyna się je ożywiać. Kamienie są odłamywane, by służyć działaniom człowieka. Poetka wymienia też ich cały szatafaj, frazeologiczny ciąg kamieni budowlanych, węglanych, miłowych i kamyków szczęścia, dowodząc, że są one ściśle powiązane z ludzkim bytowaniem.

Trzeci poemat to „Woda” – żywioł, bez którego życie nie może istnieć. Wodę podmiot nazywa labilnym bóstwem, z którego rodzą się strumyki, rzeki i morza. Przywołuje te najważniejsze w mitologii – rzeki Hadesu i Heraklitowe „panta rhei”, przypominające, że wszystko przemija, nawet wody. Rzece wypomina podmiot „piętę Achillesową”, którą stanowi woda:

(...) Tym razem
w jej szkielet nie napłyną inne
wody – tylko ten cień,
tylko cień wody.

Podmiot mówi do wody: „Umykasz między palcami niby CZAS”, wskazując na to, co nieuchronnie musi przeminać, po rzekach zostanie koryto, przemienie nurt i ujawni się kamienie na jej dnie, które kiedyś wrzucono do wody. Stąd nazywa też wodę „zadziwiającą formułą płynności”, gdyż wszystko się upłynnia, podobnie jak życie człowieka, po którym, podmiot parafrazując Leopolda Staffa, mówi:

(...) A po nas zostaną
jedynie ślady na piasku i kręgi po wodzie.

Kolejny poemat to „Przestrzeń”, która jawi się jako względna i niezawodna, „przenikliwa a nieprzenikniona”. Posiada ona w sobie „własną obecność”, ale też kryje nicość, czyli „TO COŚ”, co „przepętnia pustką”. Idzie tu bowiem nie tylko o przestrzeń dookoła, ale też kosmiczną, która jest absolutną geometrią i trwa w przestrzeniach jak „nieśmiertelny EON”, stąd podmiot zwraca się do przestrzeni w apostrofie:

O gnozo, o przestrzeni, wy sobą będące,
nasycone sobą.

„Pamięć” to następny poemat, do którego poetka przemawia w formie inwokacji. Nazywa ją nieodgadnioną, emanacją pragnień, zwańnię i zdarzeń, która „jawi się hologramem”, a kiedy pamięć zaczyna zanikać, to trzeba ją koloryzować, aby ocalić mglisty obraz wspomnień:

O, pamięci niezaspokojona
projekcja zachłyśnięta sobą!”

W poemacie „Myśl” poetka porusza problem związany z umysłem, logicznym rozumowaniem, wyobraźnią, abstrakcją, myśleniem kwantowym i kartezjańską kategorizacją istnienia. Mówi o niej „monado w przestworach”, nazywa ją „uzurpatorką głębi”, określa ją substancją sztuki transmutacji, dlatego powie:

Niby jesteś bez precedensu,
między czuciem, wiarą, szkiełkiem i okiem.

„Anima”, czyli dusza to kolejny poetycki dylemat, który zajmuje Elżbietę Musiał. W zderzeniu ze światem realnym, nauką i logiką bywa zwykle pomijana lub przemilczana.

Oto ona półgębkiem, połykana
niczym garść wstępu.

Pomyka więc bezsłownie, omyka bezgłośnie.

Byle ją pominąć, byle jej nie wspominać.

Podmiot uważa, że dusza, choć nietknięta

ewolucją, mieści się w teorii rozwoju,

stąd symbiozę dychotomii somatyczno-

spirytystycznej admiruje i adoruje zarazem:

Istota świetlana! Esencjo tajemna

z widmem barwnym i kontinuum.

Mamy dziś obie jedno ciało,

jak duszę jedną obie.

Z duszą poetka wiąże też zagadnienia tożsamości człowieka i jego sumienia, które stanowiąc jedność z osobowością, mogą być zakorzenione w duchowości, podobnie jak nadjaźń czy intuicja. Kończąc poemat „Anima” podmiot przywołuje myśl i transponuje słowa Charlesa Baudelaire’a:

Ulotna więc najtrwalsza – paradoks kolejny.

Płyniemy (mówię do niej, a jednak do siebie).

Płyniemy, aby płynąć – jak

prawdziwi wędrowcy,

choć nie wiemy czemu.

W tytutowym poemacie „Totum” jego autorka wrzuca doń niejako wszystkie atrybuty zmysłowe i humanistyczne fenomeny, które wiążą się z rozwojem duchowym, społecznym, etycznym i osobowościowym jednostki, a więc dotyczą całościowego procesu kształtowania się wzorców myślenia i postrzegania rzeczywistości. To tutaj wymieniana podmiot choćby miłość, słowa i czas pisane wielkimi literami, postrzegane jako byty mistyczne i ponadczasowe, jako ulotne, fantazyjne miraż, pełne podziwu lustrzane widma i malarskie sfumato. Totum rozumiany jako idea ludzkiej egzystencji zawiera się według podmiotu we frazie:

Lecz istota bytu tkwi w ciszy pomiędzy.

W ciszy uniesienia.

W zamykającym tomik poemacie „Liczba” podmiot odwołuje się do harmonijne-

go porządku w kosmosie. Zastanawia się, co było pierwsze u zarania świata – słowo czy liczba, doskonała w swojej istocie, a więc natchniona, boska i nieśmiertelna. Liczba to abstrakcyjny i przemożny klucz do wszechświata, algorytm do zrozumienia kształtu galaktyk, jest ona postrzegana jako natchniona boską iskrą duchowy ład i zasada odwiecznego bytu:

Bez pomyłek stwarza dzieła doskonałe.
Ale czy bytem jest, czy zasadą bytu
ta LICZBA ożywiona DUCHEM?
Która mentalnym i eterycznym.
Która i jednym, i drugim.

Stefan Jurkowski na rewersie okładki książki *Totum* napisał: „(...) te wersy stoją się medytacją, zachęcają do spojrzenia w głąb siebie i uważnego zatrzymania, by «uświadomić co nieuświadomione» (...) Mamy tu swoisty «strumień świadomości», ale też żywy (i życliwy) dialog z elementami rzeczywistości, które niejako przenikają się z podmiotem lirycznym”. Dialog ów trwa na niwie poetycko-filozoficznej, to w nim przywołuje Musiał cytaty z K. K. Baczyńskiego, B. Leśmiana, L. Staffa, W. Szyborskiej i E. Stachury, ale też teorie Platona, Sokratesa, Heraklita z Efezu i Kartezjusza.

Poetyckie frazy w połączeniu z barwnymi, transowo-wizyjnymi grafikami autorki sta-

nowią wzajemnie uzupełniającą się jedność i korelującą całość. *Totum* to liryczna, porywająca intelektualno-metafizyczna podróż przez osobisty i nader intymny świat myśli, odczuć, przeczuć i wyobrażeń autorki, stanowi refleksyjną sumę nad istotą człowieczeństwa i sensem jego żywota.

ROBERT RUDIAK

Elżbieta Musiał, *Totum*, wydanie autorskie, Drukarnia Compus, 2025, ss. 56. ISBN 978-83-972321-2-9

Mateusz Wabik

WYBÓR Z BUNTU

Ucieszyłem się kiedyś na widok w księgarni wyboru wierszy Marcina Świetlickiego pt. „>>Daleko wysunięta placówka liryczna...<<. Nie stąd. Wiersze” wydane w 2023 roku w ramach serii „Poezje” przez krakowskie wydawnictwo naukowe Universitas, gdyż elity naukowe Krakowa przygotowujące ten wybór dały znać światu literackiemu, że nie odcinały się od buntowników z „Brulionu” (z których jeden krytyk z „Halartu” zrobił mieszczan) i nie przejmowały się lokalnymi animozjami pomiędzy twórcami o dotacje urzędowe, albo knajpianymi sądami typu, że po „Zimnych krajach” poeta już nic godnego uwagi nie wydał. Poza tym ów wybór wierszy był jednym z dwóch poetów, którzy zadebiutowali w latach 90-tych swoimi książkami, co też było sygnałem, że sądy niektórych poetów, czy czytelników, że wszystko co ciekawe w polskiej poezji skończyło się na twórcach Nowej Fali nie były oznaką rozsądku i rozgarnięcia.

Ów tom wierszy zaopatrzone we „Wstęp” Tomasa Kunza, który wybrał wiersze oraz kilka tekstów, mniej lub bardziej udanych, w ramach postawia pióra krakowskiego krytyka i historyka literatury Mariana Stali, Pawła Głowackiego, poety Grzegorza Olszańskiego i krytyka Piotra Śliwińskiego. Dziwił nieco brak tekstów krytycznych kogoś bardziej ogarniającego kulturę rocka i stylistykę punk rocka, bo przecież Marcin Świetlicki mógł swoją postawą szokować tylko kogoś, kto tej estetyki nie znał lub ją odrzucał, a przecież w jego tekstach było sporo odniesień ideowych, czy stylistycznych charakterystycznej dla owej subkultury, z której wyrósł jak sam nie raz w wywiadach zaznaczał.

Wybór wierszy do zbioru wydawał się jednak całkiem do rzeczy, gdyż jak mogłem się przekonać przeglądając książkę ze znanymi mi już wierszami z książek poety wydanych przed 2023 rokiem, Tomasz Kunz chciał zaprezentować niekoniecznie najlepsze teksty poety, ale ułożyć zbiór na zasadzie reprezentatywnych tekstów dla każdego etapu poezjowania Świetlickiego. Nie odrzucał wierszy, które stały się tekstami do muzyki Świetlicków, które niektórzy krytycy i czytelnicy uważali za mniej ciekawe, gdyż wydawały im się tylko tekstami piosenek. Jednakże zdałem sobie sprawę podczas przeglądania wyboru, że czegoś jednak zabrakło. Na pewno brak wiersza „Dla Jana Polkowskiego” z „Zimnych krajów” w „Daleko wysuniętej placówce...” był zastanawiający, gdyż pominięto wiersz uważany za programowany, nie tylko odnośnie twórczości Świetlickiego, ale całego zjawiska roczników 60-tych. W wierszu poeta zrywał z etosem krakowskiej opozycji, która denerwowała go schematycznością i rytualizmem językowym i sygnalizował, że wybierał sprawy prywatne. Także nie wzięto pod uwagę wiersza z „Zimnych krajów 2” – „Nie dla Jana Polkowskiego”, w którym poeta omawiał losy swojego buntowniczego wystąpienia. Pominięto świetnego „Upiora”, mrocznego i kryminalnego „Karola Kota”, którego na podobieństwo tekściarzy rockowych i punkowych poeta napisał z innego niż swój punktu widzenia, czyli mordercy kobiet. Także znany, dawny wiersz Świetlickiego jak „Etos pracy” nie wszedł w skład zbioru. Pominięto

„Tryb życia” ze „Schizmy”, który najpełniej oddawał stan zerwania ze środowiskiem naukowym i opozycyjnym i ukazywał czynności, które poeta wykonywał jako zwykły człowiek, a nie namaszczony guru poetycki swojego pokolenia, czyli pił kawę lub herbatę, albo odgarniał śnieg. W tej samej serii ukazał się wybór wierszy Jana Polkowskiego i chyba dlatego zrezygnowano z wierszy Świetlickiego odcinających się od krakowskiej opozycji, dla której poezja Polkowskiego była ważna.

Mimo, że uważałem, że wybór wierszy Świetlickiego mógł być nieco bardziej wyrazistszy i pełniejszy, to można uznać ową książkę za w miarę interesującą i mogącą wprowadzać młodszych czytelników w świat poezji po 1989 roku.

MATEUSZ WABIK

Marcin Świetlicki, „>>Daleko wysunięta placówka liryczna...<<. Nie stąd. Wiersze”, Kraków 2023



Stanisław Topaz

TAJEMNICE LUDZKIEJ EGZYSTENCJI W UJĘCIU POETKI MARII BALCER W TOMIE WIERSZY ODCIEŃ

Maria Balcer jest mieszkanką Przytkowic, miejscowości położonej w powiecie wadowickim w gminie Kalwaria Zebrzydowska. Ukończyła Filologię Polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przez ponad 30 lat była nauczycielką języka polskiego w szkole podstawowej. Zajmuje się zarówno poezją, jak i prozą. W 2021 r. wydała zbiór wierszy *Taki rok*. Trafiła także do almanachu polskiej poezji religijnej *A Duch wieje, kędy chce* (Lublin 2021). Stała współpracuje z magazynem artystyczno-literackim „Nihil Novi” redagowanym przez znanego poetę, prozaika i krytyka literackiego Stanisława Chyczyńskiego (Calvarianusa) oraz „Kalwariarzem”, pismem Towarzystwa Przyjaciół Kalwarii Zebrzydowskiej, a także „Kurierem Lanckorońskim”. Jej teksty ukazały się też w poznańskim „Protokole Kulturalnym”, bydgoskim „Akancie” oraz starachowickiej „Radostowej”.

W 2025 r. w krakowskim wydawnictwie „3 kolory” został wydany jej kolejny tom poetycki p.t. *Odcienie*. Przedstawiono w nim 64 wiersze. Powyższa książka poetycka liczy 88 stron, a zakończona jest postawem wspomnianego już krytyka Stanisława Chyczyńskiego p. t. *Poetyckie odcienie egzystencji*. Okładkę zaprojektowała Eta Zaręba, a ilustracje są dziełem Zuzanny Balcer. Całość materii książki zgrupowana jest w pięciu rozdziałach: *Malowanie*, *Spotykanie*, *Trwanie*, *Pamiętanie*, *Zmieranie*.

Zgodnie z Wikipedią „odcień” w teorii koloru to jedna z głównych cech koloru, obok jasności i nasycenia, zdefiniowana technicznie jako „stopień, w którym bodziec może być opisany jako podobny lub różny od bodźców opisanych jako czerwony, zielony, niebieski i żółty”. W malarskiej teorii koloru odpowiada ona czystym i nasyconym kolorom – bez domieszek szarości, przyciemnienia lub rozjaśnienia. Jest to jeden z elementów koła barw. W słowniku języka polskiego PWN wyczytamy zaś, że odcień, to „odmiana jakiegoś koloru różniąca się intensywnością lub domieszką innego koloru” względnie „drobna różnica zaznaczająca się w czymś”. Termin „odcień” posiada aż kilkadziesiąt synonimów. Jest to więc bardzo szerokie i zróżnicowane spektrum znaczeniowe. Ogólnie można powiedzieć, że wyróżniamy aż dziesięć grup znaczeniowych dla wyrazów bliskoznacznych słowa „odcień”: o dźwięku (np. tembr), w kontekście tonacyjnym (np. ton), w odniesieniu do specyfiki czegoś (np. atmosfera), jako określenie koloru czegoś (np. barwa), w kontekście głosu ludzkiego (np. brzmienie), w odniesieniu do uosobienia osoby (np. cechy), w kontekście odcieniowym (np. domieszka), w kontekście zauważenia drobnych szczegółów (np. niuans), w kontekście odcieniowym koloru (np. kolor), w odniesieniu do tonacji zabarwienia (np. poziom).

W związku z tym warto sobie zadać pytanie, co miała na myśli Maria Balcer, nadając swojemu nowemu zbiorowi wierszy tak wieloznaczny tytuł *Odcienie*. Na początek tych rozważań należy uważnie odczytać motto na stronie tytułowej tomu: „Przeżyte chwile, zapamiętane słowa i obrazy/ – są jak odcienie, które tworzą to życie”. Autorka odwołuje się tu wyraźnie do ludzkiej pamięci. To co pozostało w pamięci człowieka, co się w nią wryło na skutek przeżytej przeszłości, słowa i obrazy, a więc doznania głównie dwóch zmysłów: wzroku i słuchu, tworzy tło teraźniejszego życia tego człowieka i odczytywa również na jego przyszłość.

Słusznie zatem krytyk literacki Stanisław

Chyczyński w postawie mówi o odcieniach egzystencji, w szczególności charakteryzując te stany w następujący sposób: „niewątpliwie egzystencja może jawić się poprzez różne odcienie afektywne, od euforycznych po dysforyczne, od ekscytujących po deprymujące, oraz wszelkie inne stopnie pośrednie. Cała ta emocjonalna gradacja bywa źródłem inspiracji dla poetów, prozaików, malarzy czy reżyserów, którzy tworzą dzieła, mniej lub bardziej rezonujące z pierwotnymi odczuciami”.

Czy jednak tło wierszy poetki z Przytkowic jest aż tak szerokie (!), czy może fundamentem jej wierszy są jakieś bardziej szczegółowe, ale zasadnicze elementy ludzkiej egzystencji na tej ziemi? Aby odpowiedzieć na to pytanie wpierw należy przyjąć jako założenie, że nie wolno interpretować dzieła literackiego przy pomocy arbitralnie przyjętego klucza, przeniesionego schematycznie z dotychczasowego warsztatu metodologicznego opiniodawcy. Ażeby odnaleźć klucz hermeneutyczny do dzieła poetki, należy postąpić zgodnie z zasadą koła hermeneutycznego. Nie można zrozumieć całości bez zrozumienia szczegółu, a szczegół nie może być rozumiany bez odwołania się do całości. Tak więc skuteczna interpretacja polega na ruchu kołowym – od całości do szczegółu i od szczegółu do całości. W procesie rozumienia musimy zacząć od pobieżnego oglądu całego dzieła, które jest przedmiotem wykładni. Wstępne rozumienie pozwala nam na lepsze zapoznanie się z interpretowanym dziełem i dalszą jego interpretację.

Kwestie ogólne związane z terminem „odcień” zostały już omówione wyżej. Analiza zaś poszczególnych wierszy zawartych w omawianym zbiorze prowadzi do wniosku, jakie elementy ludzkiej egzystencji są tematem dzieła przytkowiczanki sensu stricto. Do tych składników stanowiących filary ludzkiej tożsamości należy w praktyce odnieść tytułowe „odcienie”. Powinno się zatem w tym celu przejść od ogółu do szczegółu i przytoczyć dwa ostatnie wiersze z rozdziału *Trwanie*. Pierwszy z nich, to *Rzeźbiarze*. Brzmi on tak: „Za naturę się ludzką/ wzięli dwaj rzeźbiarze;/ misternie dłubią w sercu,/ poprawiają twarze,/ potem malują, kładąc światłocienie;/ jednego imię : Miłość;/ drugiego: Cierpienie”. Drugi utwór, to *Wniebowzięcie*. Jego treść jest następująca: „...i uprosz, Matko,/ by po kalwarii życia/ być wniebowziętym...”. Stąd droga z powrotem od szczegółu do ogółu i tezy, że tom wierszy Marii Balcer poświęcony jest zderzeniu się w sercu podmiotu lirycznego największych tajemnic człowieka, jakich doświadcza w swym życiu, to jest: Miłości, Cierpieniu, Śmierci i Wierze. W pierwszym wierszu jest mowa o Miłości i Cierpieniu, w drugim o Cierpieniu (kalwarii) i Wierze (wniebowzięciu), spoiwem zatem Miłości i Wiary jest Cierpienie, a skoro kalwaria, to i zmartwychwstanie. Te cztery elementy mają swoją charakterystykę, kolor, barwę, odcienie. Miłość ma odcienie, Cierpienie ma odcienie, Śmierć ma odcienie i Wiara

ma odcienie.

Oprócz liryk prostych, łatwo zrozumiałych lub pozornie prostych, część utworów poetki z Przytkowic stanowi zbiór mikromedytacji w wymiarze metafizycznym. Z jej tekstów wyłania się obraz chrześcijańskiego rozwiązania tajemnicy istnienia człowieka, jego tożsamości, bólu egzystencji, wreszcie doświadczenia nadziei, która sięgać będzie poza granice śmierci. W lirykach Marii Balcer wyraźnie widać wpływy lektury prawdopodobnie poezji ks. Jana Twardowskiego. Świadczy o tym nie tylko tematyka, ale i ewidentny w wielu wierszach prymat werbalnego konkretnego nad abstraktem, co czyni ją piewczynią „z drobnych skrawków/ złożonej codzienności”, o czym wspomina w postawie Stanisław Chyczyński. Nawet franciszkanizm charakterystyczny dla poezji ks. Jana Twardowskiego ma w pewnym sensie swoje odbicie w omawianym tomie wierszy, o czym przekonuje utwór *Poverino* w rozdziale *Spotykanie* wprost dotyczący św. Franciszka z Asyżu, jako codziennego wzoru do naśladowania.

Poetka opublikowała w zbiorze utwory o urozmaiconej budowie. Są to zarówno wiersze białe, rymowane, jak też stosuje haiku i wiersz wolny. Zwykle każdy utwór kończy punktą. Niezależnie od problemów egzystencji dnia codziennego jej liryki są wytworem refleksji filozoficznej nad światem współczesnym i życiem ludzkim, nad cywilizacją w warunkach czwartej rewolucji przemysłowej, kiedy świat „gna do przodu na złamanie karku”, nie oglądając się prawie w ogóle na siebie. Jest ona jednak pomimo wszystko optymistką. W wierszu *Pamiętanie* wskazuje, że świat „...nie przepadł – przysnął tu,/ gdzie w rzeczach drzemie pamiętanie.” W puencie z nadzieją zaś konstatuje: „przysnął, mój Synku, dawny świat,/ gdzie w rzeczach drzemią stare słowa./ A kiedy czasem budzą się,/ zegar do tyłu czas odmierza/ i pamiętanie, Synku mój, / o Dawnym, w serca znów uderza.”

Autorka z Przytkowic jest osobą z oryginalną wyobraźnią, operującą plastycznymi obrazami, ukazującymi postrzegany przez nią świat; jawi się nam jako osoba bardzo wrażliwa. Jej zmysły są wyczułone na barwy życia. Poszczególne organy odpowiedzialne za zmysły (uszy, oczy, nos, dłoń, język) są zaś załącznikiem natchnienia i powstania kojarzących się z nimi utworów: powonienie (np. wiersze *Piwonie*, *Początek lipca*), wzrok (np. *Namalowałam miłość*, *Zwykły obrazek z wehikułem w tle*), słuch (np. *Bądź, Odcienie*), smak (np. *Bądź, Bezczenne*), dotyk (np. *Fraza*, *Czego nie napiszę*).

W utworze autotematycznym *Czego nie napiszę* Maria Balcer odnosi się wprost do procesu powstawania wierszy w jej osobistym przypadku. W szczególności tak to charakteryzuje: „Piórkiem na skórze/ pyłkiem pod powieką/ kamieniem w bucie/ są okrucy wierszy/ wyjął je z siebie/ i ułożył w całość/ inną ode mnie/ nie umiem / i nie chcę”. Ta miniatura poetycka stanowi odpowiedź na to, jak powinien tworzyć poezję każdy prawdziwy artysta. W szczególności

jest zobowiązany przekazywać w wierszach samego siebie. Wszelka obłuda i fałsz skazane są bowiem na przegrany i zapomnienie. A że każdy z twórców charakteryzuje się inną wrażliwością, innymi doświadczeniami, innym mikrokosmosem, to i paleta barw i odcieni wierszy jest nieograniczona, nieprzebrana. Tak osobiście i osobiście odbierany stan, musi zaowocować wierszem typowym dla twórcy i ściśle z nim związanym – bez względu na to, czy podoba się innym, czy nie, czy jest modny, uznawany w danej chwili za dobry. „Zasiana” myśli, okruczeństwa wiersza potrafi uporczywie dopominać się o „skryzalizowanie”. Ten stan, kiedy nosimy w sobie zamiar napisania czegoś, kiedy snują się po głowie frazy, skojarzenia, kiedy do głosu dochodzą różne emocje, bywa i przyjemny, i bardzo niekiedy męczący – jak piórko na skórze czy kamień w butcie, dotkliwy aż do tego jak pyłek pod powieką. Poezja to dzieło człowieka wrażliwego, a nie gruboskórnego, piórko na skórze symbolizuje zatem ponadto, że wartościowa poezja powinna być w pewnym sensie melodią sfer niebieskich, powinna człowiekowi uszla-

chetniać, unosić się ku górze, natchnienie bowiem pochodzi od Demiurga. Gdy przyjdzie odpowiednia wena treść i symbolika przyszłego wiersza jest prawie w całości dla twórcy dostrzegalna, namacalna, zaledwie zniekształcona pyłkiem pod powieką. Gdy przejdziemy do czynu i chcemy ten wiersz stworzyć, napisać, jego okruczeństwa jednak uwierają jak kamień w butcie, nie dają się zebrać w jedną całość. Trzeba je oszlifować, w odpowiednim miejscu umieścić pomiędzy ziemią (tym co prozaiczne) , a niebem (tym, co wznioste), pomiędzy profanum i sacrum. Okruczeństwa wiersza należy zatem wyjąć z siebie i ułożyć w jedną całość zgodnie z własnym „ego”, nie można udawać kogoś innego, bo to sprowadzi na nas niepowodzenie. Zdaje sobie z tego sprawę podmiot liryczny, albowiem w puentie sygnalizuje, że tego nie chce, a nawet nie umie.

„Żeby coś znaleźć, trzeba wiedzieć, czego się szuka” – to słowa ks. Jana Twardowskiego. Poetka z Przytkowic, autorka wiersza *Czego nie napiszę*, niewątpliwie odnajduje w wierszach samą siebie, a przez samą

siebie poznaje cztery tajemnice człowieka, cztery fundamenty ludzkiego funkcjonowania: wiarę w Najwyższego, miłość, cierpienie i śmierć (powolne umieranie, przemijanie). Przez to jej poezja jest autentyczna.

Do refleksji poetkę skłaniają codzienne sprawy. Frazy poetyckie rodzą się w jej głowie pod wpływem ulotnych przeżyć, skondensowanych chwil. Czyż nie trafnie bowiem przedstawia nam świat w swojej istocie i kolorach wybitny poeta Józef Czechowicz, pisząc że: „... między niebem i ziemią jedno jest tylko głowa/ człowieczy kwiat” (*Synteza*), zaś w innym miejscu: „ spokojnie miękko świeci chwila bez godziny” (*Dom Św. Kazimierza*)? Słusznie więc poetka z Przytkowic w tytułowym utworze temu wskazuje: „cisza jest jak muzyka/ ma wiele odcieni/ słuchaj/ nim zapanuje/ ta absolutna”.

Reasumując należy stwierdzić, że książka poetycka Marii Balcer jest interesująca. Gorąco zachęcam do jej przeczytania.

STANISŁAW TOPAZ

Maria Balcer, *Odcienie*, Wydawca 3 kolory, Kraków 2025, ss.88.

Stanisław Topaz

Redaktora działu poezji bydgoskiego miesięcznika literackiego „Akant” Marka S. Podborskiego (pod tym pseudonimem funkcjonuje poeta Marek Szypulski) znam od 2021 r., kiedy nawiązałem kontakt z kierownictwem tego pisma i zacząłem drukować w nim swoje wiersze. On to wprowadził moje liryki na jego łamy. Podborski pseudonim przybrał prawdopodobnie dla odróżnienia się od noszącego to samo imię i nazwisko (Marek Szypulski) pisarza starszego pokolenia (rocznik 1946) – prezesa Polskiego Funduszu Humanitarnego, z którym, należy podkreślić, nie pozostaje w żadnym pokrewieństwie. Po ponad czterech latach w dniu 2 czerwca 2025 r. otrzymałem od bydgoskiego poety przesyłkę, a w niej jeden egzemplarz jego nowego zbioru poetyckiego zatytułowanego jednym wyrazem *Szwank*, zaciekawiającym już na początku potencjalnego czytelnika i budzącym niejednoznaczne domysły po lekturze tego dzieła.

Marek Podborski (rocznik 1965) jest aktualnie autorem kilku książek. W 2015 r. wydawnictwo „Jama Art” Maciej Zwolanowski opublikowało jego książkę poetycką *Abra KadaBrda BYDGOSZCZ*. W 2018 r. to samo wydawnictwo wydrukowało jego zbiorek poetycki pod tytułem *Dwa*. W drugiej książce zostały przedstawione po raz pierwszy, jeśli chodzi o dorobek pisarski bydgoszczanina, dość liczne grafiki i rysunki jego utalentowanej córki Mileny Gazda-Szypulskiej. Podborski jest ponadto autorem znakomicie opracowanego almanachu *Śpiętrzenie*, w którym przedstawiono wybór wierszy 33 autorów, drukujących swe utwory w „Akancie”, z okazji ukazania się trzechsetnego numeru tego znanego i cenionego pisma literackiego. Almanach ten został wydany przez Instytut Wydawniczy „ŚWIADECTWO” w 2021 r. w Bydgoszczy. Szatę graficzną stanowiły grafiki córki poety Mileny Gazda-Szypulskiej.

Po długim okresie, bo po 7 latach, niemal w połowie 2025 r. twórca z Bydgoszczy przedstawia czytelnikowi nowy tom poetycki *Szwank* wydrukowany przez „Magenta s. c. Poligrafia” w Bydgoszczy. Powyższe dzieło poetyckie liczy 206 stron, jest więc stosunkowo obszerne i liczbą wspomnianych stron przewyższa oba tomy poetyckie poety wydane wcześniej razem wzięte (*Abra Kada-*

SZWANK JAKO SYMBOL WIELOZNACZNOŚCI POEZJI MARKA PODBORSKIEGO

Brda oraz *Dwa*). Kto zapoznał się z trzema tomami poezji bydgoszczanina z radością musi stwierdzić, że książka *Szwank* jest najdojrzalszą pozycją w dorobku poetyckim Podborskiego, a pisarz ten stale rozwija swój warsztat poetycki. Projekt okładki do tego dzieła poetyckiego opracowała po raz kolejny córka autora Milena Gazda-Szypulska, zaś twórcą trzynastu – jak sam to poeta określił „zjawiskowych grafik” – jest światowej sławy rzeźbiarz i reliefista, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie Wincenty Kućma. Analizowany zbiorek poetycki składa się z dziesięciu rozdziałów i epilogu. Tytuły poszczególnych rozdziałów w kolejności to: *Ucieleśnienie*, *Tryptyk*, *Zmagania o smoka*, *Płaki i węże*, *Ballada o błędnym rycerzu*, *Wrastanie*, *Dzień Hioba*, *Pokój przechodni*, *Okna*, *Sady*.

Po analizie zawartych tam wierszy, których lektura, jest nieraz nietatwa, przed każdym czytelnikiem wytoni się zasadnicze pytanie, dlaczego pisarz nadał swojemu dziełu poetyckiemu tytuł *Szwank*.

Zgodnie ze słownikiem języka polskiego pod red. Witolda Doroszewskiego i słownikiem wyrazów obcych Władysława Kopalińskiego wyraz „szwank” w dawnej polszczyźnie oznaczał „raz, cięcie”, a obecnie symbolizuje „ ujmę, uszczerbek, szkodę, stratę, uszkodzenie, niekorzyść, krzywdę”. *Szwankować* znaczy: „nie być w porządku, nie funkcjonować prawidłowo”. Oba słowniki podają, iż słowo to pochodzi od niemieckiego wyrazu: „schwankung” – „chwianie się, wahanie się, niepewność”. Stosownie do słownika niemiecko-polskiego Buchmanna pod red. Marły Salamoni-czyk i Katarzyny Wolak-Sadowskiej wyraz „schwankung” oznacza po polsku „wahanie”, zaś „schwank” stanowi w języku polskim przymiotnik: „chwiejny, niepewny” względnie „giętki”.

Wychodząc z tych założeń w mojej ocenie autor z Bydgoszczy wyraz „szwank” wprost odnosi do interpretacji przez czytel-

nika swoich wierszy. Tego, który pobieżnie zna się na literaturze i wyrobionego literacko. Po pierwsze chce przekazać miłośnikom książek, że jego wiersze nie są idealne i zwłaszcza dla nie obeznanego z poezją czytelnika mogą stanowić karkołomną lekturę. W tym sensie są niedoskonałe, dotknięte skazą, **uszczerbkami**, są dla takiego bibliofila nie w porządku, wydaje się takiemu czytelnikowi, że nie zostały opracowane właściwie, **nie funkcjonują prawidłowo** w obiegu jako utwory poetyckie. Może on nawet uznać, że przynoszą **ujmę** autorowi. Drugiemu zaś z tych czytelników, który zada sobie trud i zagłębi się w treść jego wierszy, zrozumie ich wartość i dojrzałość, wskazuje poprzez tytułowy epitet „ **giętki, niepewny**” („szwank”), że jego język poetycki jest „**giętki**”, **plastyczny i przesiąknięty wielosensem**, zatem możliwa i sugerowana przez autora jest różnorodna interpretacja jego utworów. Występuje w nich bowiem rozwarstwienie znaczeń, a w związku z tym jednoznaczna interpretacja poszczególnych wierszy **jest „niepewna”**, zwykle opatrzona istotnym błędem, niedoskonałością. Sam poeta subtelnie podpowiada to spostrzegawczemu czytelnikowi na stronie trzeciej jedenastego numeru „Akantu” z 2025 r., pisząc o swoim tomiku poetyckim: „czemu ten papier szwankuje, wykręca się i niby ulega natłokiem w dekompresji znaczeń?” To zapewne miał na myśli również oryginalny twórca z Bydgoszczy, przekazując w liście elektronicznym do mnie kilka dni przed doręceniem mi za pośrednictwem poczty książki, iż czytanie jego utworów w tym zbiorze poetyckim jest wskazane w kolejności „ od początku w kierunku zakończenia i niekoniecznie w całkowitej trzeźwości umysłu”.

Reasumując potencjalny czytelnik nie wszystko w zgłębianej książce poetyckiej musi zawsze rozumieć, ażeby bawić się słowem na serio, czy też z przymrużeniem oka. Ważne są bowiem także nie dające się wytłumaczyć na pierwszy rzut oka nie-

RECENZJE

→ wypowiedzenia, elementy i warstwy wiersza nadające się do różnorodnych interpretacji, tworzące przy tym zasadniczą trudność, a jednocześnie w sumie użytych środków stylistycznych sprawiające wrażenie miśternie oszlifowanej całości. Nie trzeba do końca rozumieć wiersza, aby poczuć poezji moc. Treści jego są przekazywane bowiem w sposób pośredni, utajniony, zawoalowany, swoistym językiem ezopowym. Wszystko to prowadzi do przeżyć i emocji, świadczących o wartościach nieuchwytnych utworu (imponderabiliach).

Liryki Podborskiego to głównie wiersze białe, chociaż nie gardzi też rymami, jest to poezja nieraz w stylu dadaistycznym, ale charakteryzująca się nie tylko pięknymi metaforami, lecz i bogactwem innych figur stylistycznych. Urzekająca i dająca wiele do myślenia jest też charakterystyczna dla tego poety gra słów, słowotwórstwo, dzielenie wyrazów na odmienne znaczeniowo części, celem poszukiwania wielosensów, pogłębienia polisemii poszczególnych zdań, słów, zabiegi związane z derywacją lub pokrewne. Takie dzielenie wyrazów na części stosują w poezji oprócz pisarza z Bydgoszczy także niektórzy inni autorzy, zajmujący się eksperymentami związanymi z budową morfologiczną wyrazów, z reguły jednak sporadycznie. W przypadku lingwistiki Podborskiego dzielenie słów, stosowanie cezury (przerwy) wewnątrz nich, to zabieg formalno-semantyczny, kreatywna technika językowo-poznawcza, polegająca na rozdeleniu wyrazu na mniejsze części, aby stworzyć nowe, często zaskakujące, intrygujące, czy humorystyczne znaczenie, a nieraz uzyskać efekt typograficzny. Jest to rodzaj zabawy słownej, wykorzystującej fonetyczną lub graficzną strukturę wyrazów, przy czym odbywa się to w przypadku jego wierszy z wyczuciem smaku i w sposób subtelny,

podkreślający walory utworu, choć nieraz w sposób brawurowy.

Warto przypomnieć, że dadaizm polegał na buncie przeciw tradycyjnym normom i logice, rezygnacji z konwencji i estetyki na rzecz absolutnej swobody twórczej, absurdu, prowokacji i przypadkowości. Był to ruch artystyczno-literacki, który narodził się podczas I wojny światowej jako reakcja na chaos i bezsens wojny, proponując jako alternatywę „antyszukę”. Kluczowe jej elementy stanowiły m.in. prowokacyjne dzieła, kolaże, fotomontaże oraz użycie przedmiotów codziennego użytku, jako dzieł sztuki. Artyści świadomie odrzucali logikę i rozum, posługując się absurdem, dowcipem, ironią i nonsensem, aby oddać chaos rzeczywistości. Tytuł dzieła Podborskiego, jak już wielokrotnie w tej recenzji podniesiono, to *Szwank*, a słowo niemieckie „schwankung” ma jedno ze znaczeń – „rozchwianie”, co można także wyłożyć w duchu dadaistycznym jako rozchwianie rzeczywistości, jej chaos.

Poezja pisarza z miasta nad Brdą nacechowana jest semantyczną zwięzłością, ale jednocześnie ujawnia pełny wachlarz problemów egzystencjalnych, ból i tajemnicę istnienia. Słowa w jego utworach są pozornie zdyscyplinowane, a przez ich materię prześwituje głęboka, niejednoznaczna treść. Z przedstawionego w tym tomie wyboru wierszy za najcelniejszą piętnastkę, czyli tzw. perełki uważam: *Taki sobie zwiad w borach, Letni parkiet, Gra na ty, Bogini, Zaśnij, Poświata, W pustelni, Kłęby, Na krawędzi* (czyżby nawiązanie do ostatniego zbioru z 2024 r. Stefana Pastuszewskiego?), *Kosmo gram, Czarne pestki, Obieg* (Podborski też uznał go za bardzo udany, skoro przedstawił w almanachu *Śpiętrzenie*), *Przedtem, Udłeczenia, Różo wiec.*

Zbiór poezji opracowany przez Podbor-

skiego nie jest monotematyczny. Poświęcił swoją zonglerkę słowną wielu zagadnieniom. Warstwa szeregów utworów lirycznych ma charakter baśniowy, występują tu węże, smoki, szamanka, zmory, boginki, rusałka, prastowiańskie święto Noc Kupały. W innych wierszach znajdują się liczne odniesienia do mitologii greckiej, np. Odyseusza, syren, cyklopów, Pandory, harpii, Hadesu, do czasów antycznych: Troi, wulkanu Wezuwiusza i Pompejów, do ptaków: ich poprzednika pterodaktyla, łabędzia, sowy, do postaci biblijnych: Hioba, Adama, Ewy, zaś w wierszu *Czarne pestki* do katastrofy w elektrowni jądrowej w Czarnobylu na Ukrainie wiosną 1986 r.

Trudno byłoby w tak krótkiej recenzji poddawać analizie wszystkie perełki z książki poetyckiej bydgoszczanina. Wspomnieć można co najwyżej o tym przykładowo, aby unaocznić potencjalnemu czytelnikowi koloryt tych niełatwych wierszy i ich wieloznaczność. W rozdziale p. t. *Ballada o błędnym rycerzu poświęconym bohaterowi powieści Miguela Cervantesa Don Kichotowi*, jego studze (giermkowi) Sancho Pansie i wybrance serca błędnego rycerza Dulcinei znamienny i miśternie dopracowany jest m. in. utwór *Bogini*. W tym wierszu tytułowa bogini przedstawiona jest plastycznie jako żywioł nie do zatrzymania, istna furia: „*Wstała/ bezruchem płynnym/ wypłukanym z łóżyska/ złotonośnej rzeki pustyni/ Skinęta lekko głową/ w nieuchronnych oczach/ rozchyliła wargi/ znową/ I zawołała las/ żeby się wyszumiało/ spojrzata na wodę/ by się pomarszczyła*”. Niemniej na końcu wiersza ex abrupto została sformułowana zaskakująca puenta: „*Tchnęta na chmury/ by się pokłębity/ ci skata piorunami/ by wpaść w oko/ cyklonu*” (!) (m. p. – S. T.).

Motyw bogini został także zaakcentowany przewrotnie m. in. w jednym z wierszy rozdziału *Ptaki i węże*, p. t. *Letni parkiet*. Przedstawiona tam jest, jakby w szalonym śnie, w czasie tańca jakaś kobieta-fatum, a tak charakteryzuje ją autor: „*Ona jest rozhuśtanym tramwajem/ czerwonym/ lubieżnym krogulcem/ z piekłem w oczach/ bogini*”.

Wymowne jest zakończenie wiersza, świadczące o skutkach spotkania tej kobiety fatalnej na parkiecie z okiełznanym przez nią, pozostającym pod jej urokiem mężczyzną: „*Zamknę objęcia/ z amok nie w zakłęciach/ zszarpanych piór/ Scałuje go wprost zatańczy/ i zaraz urwie mu tęt/ całuje wręcz połyka/ Pijany sen niebo szczyka/ a didżej sam pluje/ na chleb*”.

To czego poszukuje autor, tworząc tego rodzaju wieloznaczną poezję, a jednak intrygującą i zmuszającą do myślenia, w sposób wyrafinowany i niezwykle precyzyjny przekazał twórca z Bydgoszczy w wierszu *Na krawędzi*: „*Próbuję wyzwolić się/ z syntetycznych wizji/ i formy spłowieć/ O to żyję w czasach ostatecznych/ rozstrzygnąć/ i szukam tej utraconej/ niewinności/ bezwiednej/ bezwiedzy*”.

Wypada życzyć zatem autorowi z Bydgoszczy, aby dotarł lub zbliżył się do tej „bezwiednej bezwiedzy” i aby jego poszukiwania „utraconej niewinności” nie okazały się płonne oraz bezproduktywne.

Najnowsza książka poetycka Marka Podborskiego jest interesująca, zatem zachęcam do jej studiowania i powolnego smakowania w celu odnalezienia sedna rzeczywistości.

STANISŁAW TOPAZ

Marek S. Podborski, *Szwank*, Bydgoszcz 2025, projekt okładki: Milena Gazda-Szypulska, grafiki:

Wincenty Kućma, ss. 206.



Mateusz Wabik

Nie poznałem wszystkich tomików Romana Honeta, ponieważ rozwój i dojrzałość w jego poezji objawiła się nie tym, czego oczekiwałem od niej, a tym najbardziej cennym tomikiem, którego lektura dla mnie była niezapomnianym doświadczeniem czytelnictwa, to była jego druga książka poetycka pt. „Pójdiesz synu do piekła”, która ukazała się w 1997 roku. Potem dzięki autorowi poznałem jego wcześniejszą także bardzo udaną książkę pt. „alicja”, która ukazała się dzięki wygraniu przez autora V edycji ogólnopolskiego Konkursu im. Baczyńskiego. Wiersze z obu książek powstawały kiedy ukazywał się w Krakowie, a potem w Warszawie „Brulion”, a poeci związani z tym pismem, mniej lub bardziej byli docenieni przez krytykę za prywatne poszukiwania, nieufność do polityki, sporą dozę buntu przeciwko różnym zjawiskom w polskiej kulturze. Rytm wierszy poetów z „Brulionu” by szybki, szarpany, wiersze ich czytało się jakby jakiś spiker mówił szybko komunikaty. Wiersze Honeta z tamtych czasów mimo, że utrzymane były w innej poetyce niż wiersze roczników 60-tych, bo bazujące na skojarzeniach, traumach, tęsknotach, eksploracji wyobraźni, pisane były w podobnym sprawozdawczym, ostrym tonie. Później poeta z tomiku na tomik był coraz bardziej powściągliwy w budowaniu

CISZA PO DEFORMACJACH (NOTA)

porównań opierających się na odległych skojarzeniach, czy w eksploracji podświadomości, świat i wspomnienia często pokrywały się większą dozą sentymentalizmu, ton i rytm jego utworów wydawał się nieco bardziej rozlazły i wyciszony, a świat opisywany przez wspomniane wydarzenia, czy notowane obserwacje nie wydawał się już tak odpychający i kaleki. W 2024 nakładem „Biura Literackiego”, tym razem w Kołobrzegu, ukazała się dziewiąta książka poetycka Romana Honeta pt. „pamięć niczyja, ciało moje” i zauważyłem przy pierwszej lekturze, że część cech dawnych wierszy pozostała, ale sporo się zmieniło. Zniknął mrok, deformacje, klimaty ala Schulz, jukstapozycje i inne naleciałości awangardowe, a pozostała nastrojowa liryczna wyznania, która czasem zmieniała się w drobne quasi-traktaty religijno-filozoficzne o ludzkiej egzystencji, przemijaniu i umieraniu. Także wydaje się, że Honet w niektórych wierszach np. z cyklu „ciało moje” chciał wypróbować bardziej komunikatywną poetykę jakby epistolograficzną. Można było wynieść z lektury tomiku Honeta barokowe przecucie, że wszyscy

odejdziemy prędzej czy później, że zbliżaliśmy się do grobu, dawne miłości zmieniały się w poczucie utraty i tęsknoty, a świat dzieciństwa pozostał w pamięci w lekko zdeformowanych kształtach. Z takich nowych tonów w poezji Honeta pojawił się szacunek dla ludzkiej chciwości i poczucie, że poeta żył w kraju „gorszej jakości”. Szczególnie ta druga fraza pojawiająca się w kilku wierszach wydawała się czymś nowym w przypadku Honeta, gdyż poeta o Polsce nigdy wprost nie pisał. Jak już coś krytykował np. przemiany w pejzażu centrum Krakowa to raczej w wywiadach. Na pewno była to nadal oryginalna poezja w Polsce, pisana w charakterystycznym tonie, ni to religijno-patetycznym, ni to sentymentalno-escapistycznym, ni to smętno-prześmiwczym, to jednak tym razem po lekturze nowego tomiku niewiele zostawało w pamięci. Chciałoby się, żeby więcej było zaskakiwania czytelnika podczas lektury jak dawniej, gdyż bez tego poezja Honeta traciła moc.

MATEUSZ WABIK

Roman Honet, pamięć niczyja, ciało moje, Kołobrzeg 2024

Andrzej Walter

ZAŚMIECANIE WIERSZEM

Stary poeta postawił nam oto ... stary dom.

„Dom z wierszy – taki tytuł nosi jedna z ostatnich książek Romana Śliwonika.” jak oświadcza nam w ramach anonsu na tylnej stronie okładki sam autor tego tomu czyli nie kto inny jak Marek Wawrzekiewicz. Dalej pisze: „Mój zmarły przyjaciel uważał, że każdy poeta buduje wierszami swój dom, najbardziej własny i suwerenny. Buduje, nawet jeśli tej czynności sobie nie uświadamia. Ślady tego tematu możemy odnaleźć także w twórczości Iwaszkiewicza, Różewicza, Ważyka i kilku innych poetów.

Budowanie trwa długo – od pierwszych wierszy pisanych własnym językiem, aż do końca życia. Poeta buduje dom, mebluje go, wyposaża w sprzęty, obrazy, bibeloty. Wszystko to z biegiem lat wychodzi z mody, starzeje się, psuje, ale zostaje w domu, staje się jego niezbywalną częścią.

Mój dom jest stary i staromodny. Staromodny jak rymowany wiersz.”

MAREK WAWRZKIEWICZ

Stary dom

Dom osierocony. Podłogi nie skrzypią,
Ugasło echo kroków mieszkańców i gości.
Już tutaj nikt nie mieszka. W pień wycięto lipy,
Które dom oceniały w zielonej przeszłości.

Okiennica na jednym zawiasie wciąż wisi,
Strzęp pożółkłej firanki bezradnie powiewa.
Odeszły stąd na zawsze wygłodniałe myszy,

Na tapetach porwanych
martwo kwitną drzewa.

Nadtłuczona szyba i kulawe krzesło.
Jedna samotna gwiazda ponad domem świeci.
To, co się tu stało, zwierzało i przeszło,
A piąty kąt pokoju ktoś wierszem zaśmiecił.

Mój Boże, chyba jestem już skazany na tego Wawrzekiewicza, na Jego stare domy, echo kroków mieszkańców i gości, na starców – Poetów nadiągających z przeszłości, na odchodzenie wygodniactwa, których jazgotu i jęku niemal już nikt nie usłyszy i na tembr i wydźwięk liryczny zaszłości, co wbrew pozorom więcej daje blasku i wiary niż kruchości, bo świat dzisiejszy czego już nie stwarza, kopiuje tylko to, co było, nowe bełkotem ścieli, nikogo to już nie zdziwi, niczego też nie rozweseli. Śmieję się głupcy i gawiedź nad miarę i skrzecząc, złowieszcze nam prawdy dziś głoszą, taka to duszy przepowiednia...

A piąty kąt wierszem zaśmieca.

Dlaczego nikt tego dziś chyba lepiej nie napisze? Nie umię? Nie wiem. Śmiećmy tymi wierszami wszystkie kąty. Wytwarzamy ten współczesny papier toaletowy temu choremu światu i jeszcze z nas szydzą. Te nasze domy z wierszy, pożal się Boże: krzywe i oplute, bo sami nań plujemy i do nich nieraz i na inne domy, kolegów czy nawet przyjaciół, tych nieszczęsnych po piórze i tych bez piór (choć im się wydaje). Gdzie w nas ta wawrzekiewiczowska przenikliwość, cała ta jaskrawość, ta mądrość, i ta rozważa, ta umiejętności ujęcia w niedopowiedzeniu, w niedostojności i ta najwyższych lotów sztuka pisana raz rymem

raz bez rymu, a jakoś tak ... zawsze na temat, zawsze a propos, zawsze wyrażający: ducha czasów, siłę poezji, właściwe słowa na właściwe przedstawienie tych jarmarcznych czasów. Nie potraficie tak? No wiem. I dlatego o tym piszę, i dlatego jestem na Wawrzekiewicza (jak i wy) skazany. I dlatego jakże często jestem Wawrzekiewiczem zachwycony.

Niechaj się spalą te ostatnie astry,
Niech nad nami listopad zapłaczę woskowo,
Bo oto już spływamy w piasku wąwóz ciasny
Fala czasem posłuszna, niedojrzały owoc.

Albowiem zawsze skąpo dni na dojrzewanie,
Za mało światła, ognia, powietrza i wody.
I spadnie na nas tylko – jak
garść ziemi – pamięć,
Tak krucha jak kość biała, pusta jak oczodół.

Oj, tak, nie dla nas żywioty, płonie poezja i fala czasem postusza, a my niedojrzały owoc, a nam tylko garść ziemi, wiemy, krucha jak kość biała i o zgrozo pusta jak oczodół. Prerażający, ale niestety – bardzo, bardzo prawdziwy ów krótki wiersz, choć zapewne nie aż taki, abym tak to właśnie odebrał, i nie taka była intencja ustawodawcy – czyli piszącego ów wiersz.

Wiersze rymowane, albo w części rymowane, takie niby śpiewne, klasyczne, a pomimo to odnajduję w nich to samo, zawsze u Wawrzekiewicza to samo. Jego dom jest klasyczny, skromny, właściwy, nieco chaotyczny, ale w sam raz, nieco rozedrgany, ale na miejscu, troszeczkę zacządzony pamięcią, ale

RECENZJE

➔ bez przesady, taki adekwatnie retro, z elementami nowoczesności, w każdym razie każdy powinien się w tym Domu odnaleźć, każdy odczyta go właściwie, jeśli będzie chciał Go odczytać. To ... dobry Dom, na skale zbudowany, na słowie i na przyjaźni, na tym, co szeptała każda przeżyta metafora, na strunach najpiękniejszych wierszy i wspaniałych wydarzeń w wielu miejscach świata związanych z Poezją. Stary dom, 30 metrów kwadratowych, dom kawalerka, ale ile w niej miłości, dobra i Poezji?!

Bo dni siwiejąc palą się jak pióra

Chociaż jeszcze żyjemy – nie

możemy śpiewać

Nam śpiewać nie kazano i być może powoli nadchodzi nasza nowa Reduta Ordona, po niemal dwustu latach. To nie czas poezji, to czas strzelnicy raczej, nie wiem chyba do końca, ale staram się rozpoznać: tego ducha i tego czasu, w którym poezję usuwa się ze szkół i przestrzeni publicznej, serwując jazgot i propagandę, słowami karmiąc kłamstwa utudę.

Więc jak wątła gałązka rośnie nasza pamięć

Coraz dalej od brzasku, coraz bliżej nocy

Idziemy w jedno słowo które nam nie skłamię

Może i nie skłamię, ale dziś kłamstwo nabrało nowych jakże znaczeń. Wkradło się nawet do poezji i mikroświatka literackiego, weszło na salony upiększając mierność i wręczając im wszelkie możliwe nagrody i order, uwznioślając grafomanów do rangi mistrzów pławiących się w wianuszkach wyznawców i organizujących literackie spędy celem jeszcze większego rozświetlania ich kiepskich, niewiele znaczących wierszy. I wszyscy im klaszczą do rytmu i do rymu, jako beneficjenci kilku nocy i kolacji zakrapianych uświęconą wodą zachwyty jaki to ten maestro doskonały. Mawiają na niego wybitny. No fakt, wybił się z ciałem innej postsocjalistycznej branży. Przetłumaczony na sto języków, szwedzki już dawno i tylko czekamy na laur wieńczący dzieło. Dzieło nad dziełami. Arcydzieło arcymistrza. Oto błędny ślad polskiej poezji XXI wieku, tej zdeformowanej, tej utomnej, tej w krzywym zwierciadle. Na szczęście to nie jedyny jej wykwit.

Mamy (oto znów - na szczęście jeszcze poetę prawdziwego – Marka Wawrzkiwicza – bezpośredniego spadkobiercę największych w tej pogardzanej dziś poezji, kroczącego ich natchnieniem i śladem, zainspirowanego, acz budującego własny potężny dom, może i stary, może i staromodny, ale jaki zachwycający.

Ocalić nas mogą nie uzurpatorzy, ale prawdziwa tęsknota i prawdziwe słowa.

Lecz tęsknota to sprawi że zaczniemy spadać

Na kamienne pustkowia na piasek jałowy

Gdzie za cywilizację będą nas spowiewać

Czarni mnisi w habitach półneutronowych

Złe czasy nadeszły. Choć bogato jest i dostatek nam sprzyja. To wszystko złudnym jest i pozornym. Nadciągają burze, czarne chmury, zawieruchy. Duch niespokojny nóż już ostrzy i próbuje – na razie zabić w nas słowa i słów doliny, potem wzniesie przyłbicę i przerodzi zło w czyn. Wawrzkiwicz w swej poezji czasami nawet uzyskuje też ton profetyczny, wizjonerski, ale siłą tej poezji jest zawsze człowiek w swej kruchości, jego tęsknota i ból, jego miłość i pamięć, jego melancholia, nostalgia i subtelność. Małe jest piękne, małe jest poezją, małe świeci i oświetla nam drogę. Mały człowiek wielkich wyzwaleń.

Ładne te rymowane wiersze Wawrzkiwicza. Klasyczne i harmonijne. Dobrze wybrane z całej twórczości. Uspokajają i koją. Udowadniają jednak, że ta forma to ... stary dom, jeszcze starszy poeta, acz jakże większy od jemu współczesnych, poeta, który jeszcze chce pokazać, że była kiedyś **taka** poezja. Tylko taka i aż taka.

Nasze domy spowite są sztucznością, ślepotą i naruszaniem granic. Nasze domy są chaotyczne, zagubione w swoistym feng shui podłych czasów, sterylne zamrożone chłodem i wyrachowaniem, bezduszne i nieludzkie. Nasze domy szybko przeminą. Rozpadną się jak domki z kart, z bardzo słabych kart. Pełną pulę zgarnie... ktoś inny.

Ktoś inny

To tak, jakby liść tonął w jesiennej wodzie.

Z ogromnej odległości, w strumyku pamięci

Nadpływają godziny. Stoimy na wprost nich –

Rozstrzelani przez czas.

Wolno, coraz wolniej.

Jak doczekać wieczora? Gdzie

późny mrok spotkać?

Jestem w twojej pamięci jak w pustej galerii.

Jak fragment krajobrazu, który wzruszył kogoś

Jeszcze dziś, przed południem.

Kto je zapamiętał –

- To wzruszenie nagle – ten,

kto już stąd wyszedł,

Czy światło, które zgasło?

Płonąć jak sprzęt drewniany.

Tonąć jak liść w wodzie.

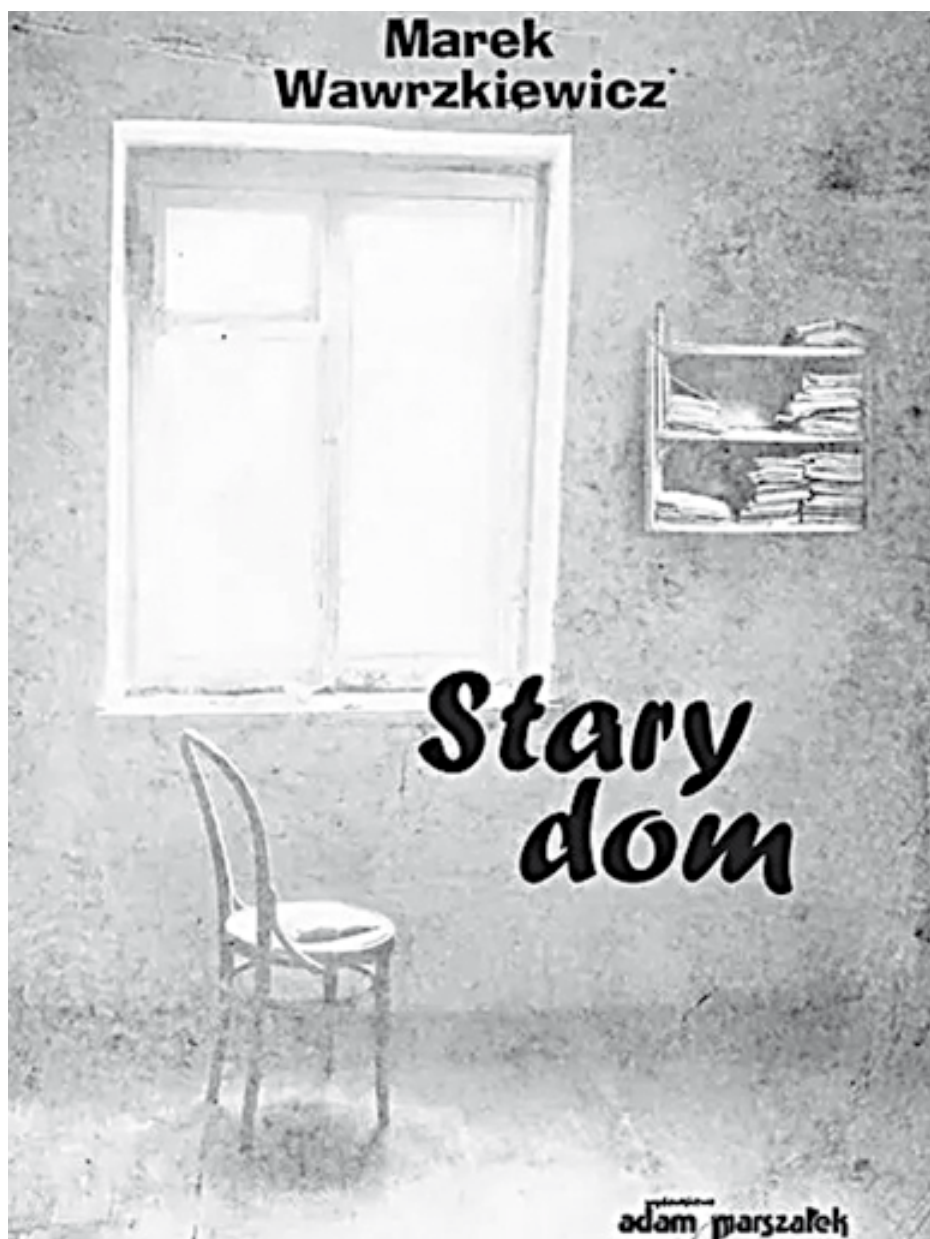
Gasnąć jak gaśnie światło.

Myślałaś, że żyłem kiedyś –

A to był ktoś inny.

ANDRZEJ WALTER

Marek Wawrzkiwicz „Stary dom”. Toruń
Wydawnictwo Adam Marszałek.
ISBN 978-83-8415-018-4



Tadeusz Wojewódzki

Uwagi na kanwie lektury tomiku poezji:
Gabriela Szubstarska, *Zamknięte w czasie*.
WTS 2025

TOMIK DO PLECAKA LEPSZEJ CODZIENNOŚCI

Kultura elektroniczna zawłaszczyła naszą Kuwagę, a wraz z nią – uważność na to, co w życiu niezbędne, by dalej normalnie funkcjonować. To ona narzuciła nam nową formułę komunikacji – szybką, fragmentaryczną, emocjonalną, „tu i teraz”. Nie pozostawiła współczesnemu człowiekowi miejsca na to, co w czasach jej nieobecności dawało siłę, przywracało sens codzienności, uduchowiało, kzepiło. A właśnie taką rolę w życiu wielu pokoleń spełniała poezja.

Kultura elektroniczna to kultura migawki i skrótu – w niej treść ma działać natychmiast, albo wcale. W takim świecie poezja wydaje się anachroniczna – zbyt cicha, zbyt powolna, zbyt wymagająca intelektualnie. Skoro wymaga skupienia, wyciszenia, czasu – to brak miejsca dla niej w codzienności jakby sam siebie usprawiedliwiał. Nawet jeśli przemknęła nam taka oto myśl, że chwila z tomikiem poezji byłaby faktycznie dla siebie, a nie dla poezji jako takiej – to myśl ta szybko zostaje przykryta rytmem spraw, powiadomień i wiadomości.

A przecież byłaby to chwila na odbudowanie własnego wnętrza, na emocjonalne uporządkowanie tego, co naprawdę ważne, i odsunięcie tego, co tylko takim się wydaje. Na pokrzepienie, którego brak wypełnia codzienna nerwowość, niecierpliwość, niepewność. Na końcu strach... Ale nawet wtedy, gdy pojawia się to pragnienie zatrzymania, blokuje je dylemat: co czytać? – a zaraz potem, jeszcze bardziej dotkliwie – kiedy?

Przydałby się taki tomik poezji do którego można sięgnąć w każdej chwili, by przypomnieć sobie miłe skojarzenia, odświeżyć myśli zagonione codziennością i z głębszym oddechem dalej robić swoje widząc w takim scenariuszu sens ukierunkowany dobrymi wspomnieniami, nowymi celami i marzeniami.

Właśnie taki tomik poezji mam w ręku. To *Zamknięte w czasie* Gabrieli Szubstarskiej (2025). Nie pamiętam, ile razy sięgałem do niego, ale dostatecznie często, by utwierdzić się w przekonaniu, że warto podzielić się wiedzą o nim. Bez adresowania do konkretnego odbiorcy, gdyż to poezja uniwersalna. Także w takim sensie, że trafi do każdego kto zachował jeszcze odrobinę choćby tylko emocjonalnej wrażliwości na słowo. I tylko tyle. Resztę dopełni sama poezja.

Ważnych tekstów napisałem w życiu sporo. Ukończenie filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim, doktorat z filozofii (filozofii nauki) na UAM w Poznaniu, lata felietonistyki, publicystyki – a pisząc o tym tomiku mam tremę, jak debiutant. Zajmowanie się na co dzień kategoriami myślenia powinno też tworzyć silny fundament do tego, by podzielić się skutecznie taką dobrą nowiną, że jest coś, co pomaga w codzienności. Nie piguła. Nie drogi sprzęt. Nie cudotwórca. Ale taki – nieomal 100-stronicowy – tomik poezji.

Tymczasem zabierałem się już do pisanie o nim kilka razy. I ciągle coś mnie blokowało.

Raz – sama postać Gabrysi Szubstarskiej. Jak o niej poczytasz, to nabierasz respektu. Tomików kilkanaście. Nagrody, udziały. W tomiku jest krótka notka o tym wszystkim. Skromnie, na ostatniej stronie. Ale i tak robi wrażenie.

Dodatkowy szkopuł w tym, że Gabrysi Szubstarskiej poznałem i obserwowałem

z bliska. Gdański Klub Poetów – tętniące życiem, rosnące obserwatorom w oczach, a jej w dłoniach – inteligentne, udane i szybko rozwijające się dziecko, wydaje się czymś niemożliwym do zaistnienia i tak intensywnej obecności. Tutaj – w świecie, którego sens określa biznesowy interes. Właśnie tutaj mityśnicy poezji mają – dzięki niej – swoje miejsce, przystań w Bibliotece Oliwskiej i kilkanaście okazjonalnych – w okolicy, gdzie rozwieszają swoje „poetyckie pranie”. Masa organizacyjnej i fizycznej, konkretnej roboty. Dla kilku przynajmniej – mocnych mężczyzn. W tomiku jest zdjęcie Gabrysi. Ile ma wspólnego z tymi mocnymi – ocenicie sami.

Wspominam o tym, gdyż zastanawiałem się nad źródłem treści wspomnianego tomiku. Nasze życie nie ma wprawdzie ani oczywistego, ani pełnego przełożenia na charakter tego, co tworzymy. Prawda. Ale kiedy stykamy się z dziełem człowieka, które nas porusza, budzi podziw, wzrusza, skłania do głębszej refleksji, to siłą rzeczy człowiek zastanawia się jednak nad osobowością twórcy. Nie wiem o Gabrysi więcej niż obserwator stojący z boku i przyglądający się jej z daleka.

Z takiej perspektywy jest postacią – jedną z nas. Rodzina, działka, wczasy w ciepłym słońcu. Masa wydarzeń poetyckich. Spotkań, wieczorków, wystaw. Ogrom pracy organizacyjnej. Czasochłonnej, niewidocznej, a koniecznej. I ona – zawsze taka sama. Skromna, zorganizowana, zadbaną, ale stonowana w podkreślanu swojej kobiecości. Otwarta, przyjazna, z dystansem pozwalającym każdemu zachować jego prywatność.

Warsztat poetycki Gabrysi Szubstarskiej jest na pierwszy rzut oka bardzo oszczędny. Nie ma tutaj wyszukanych ozdobników treści, kokieterii ani filiterii, eksperymentów ze słowami i znaczeniami, które chodzą często po głowach sięgających po pióro, a mniej doświadczonych poetów. Nie ma elaboratów poetyckich ciągnących treści przez kolejne wersety i strony, w oczekiwaniu Czytelnika, aż poeta się wreszcie wygada i coś szczęśliwie wydusi z siebie. O tym czego tutaj nie ma, a bywa częstym gościem współczesnych tomików poezji można by jeszcze długo. Ale polecam lekturę tego tomiku z powodu tego, co w nim jest.

A jest lapidarny, spójny przekaz treści, które otwierają się z kolejnymi wersetami budząc skojarzenia zdarzeń, myśli i emocji równie silnych, co nieoczekiwanych. Każdy wiersz jest całością starannie przemyślaną, zamkniętą, dopieszczoną i gotową do dialogu z czytelnikiem. To oczywiste, że każdy z nas odbierze każdy z jej wierszy inaczej, ale wszyscy w podobny sposób skorzystamy z potencji, jaką stawia do naszej dyspozycji każda ze strof. Niczego nie narzucając, ale budując sugestywne obrazy uruchomi w nas podobny spłot myśli i odczuć oraz obrazów.

Ciekaw byłbym czy mój odbiór tych wierszy jest aż tak bardzo zindywidualizowany i z ciekawości proszę o lekturę znajomych. Bardzo ode mnie różnych – doświadczeniem życiowym, zainteresowaniami, wiekiem. Zdumiewające byłoby, że kiedy rozmawialiśmy o konkretnych utworach, jakiś czas po lekturze, do konkretnych wierszy przypisywaliśmy te same obrazy. Przynajmniej z nazwy,

gdyż konwencje plastyczne byłyby bardziej widoczne, gdyby myśli można było rzucać bezpośrednio na ekran, ale to za jakiś czas zapewne.

Przykładowo wiersz:
Eli Drzewickiej

Światło odbite w kałuży
staje się obce
więc instynktownie
rusza w przeciwną stronę
nie chce by strach
stał się treścią jej życia
nie chce być narzędziem
i nie chce czekać na prawdziwą rozpacz

Patrzy na wszystko
własnym spojrzaniem
rozmawia
słowa także szukają bliskości

Twierdzi że z każdej pułapki
da się wymknąć
trzeba tylko wyobrazić sobie drzwi

wszyscy zapamiętaliśmy jako obraz wyobrażonych sobie drzwi. Część z nas widziała je na ścianie, część na skale, część jeszcze gdzie indziej. Ale najważniejsze było przestanie: nie ma sytuacji bez wyjścia. Wyjście jest zawsze w nas. W każdym z nas. Dysponujemy bowiem tym, co najbardziej ludzkie: wyobraźnią.

Kiedy już rozgadywaliśmy się bardziej – wychodziło na jaw, że ten wiersz Gabrysi stawał nam przed oczami w sytuacjach trudnych życiowo czy zawodowo. Nie jako pocieszenie, ale jako nakaz wyobrażenia sobie rozwiązania, które mogło wydawać się mało prawdopodobne lub wręcz niewykonalne, a ostatecznie – zbawienne.

Tajemniczą warsztatową Gabrysi Szubstarskiej jest warsztatowa ścieżka, sposób kreowania poetyckiej narracji, tworzenia obrazów tak plastycznych i zarazem o takim potencjale asocjacyjności, że każdy z nas pomimo innych skojarzeń odnajduje to samo przestanie i zapamiętuje je jako ważną życiową odpowiedź.

Rzadko kiedy przekaz literacki łączy w sobie wszystkie te elementy w tak lapidarny, oszczędny i wyrazisty zarazem formułę.

Powie ktoś, że każda sroka swój ogon chwali i moja opinia o tomiku *Zamknięte w czasie* bierze się tylko z moich osobistych, bardzo indywidualnych cech i potrzeb mentalnych. Oczywiście, że tak. Ale nie byłby to powód do pisanie recenzji udostępnianej publicznie, a – ewentualnie – listu prywatnego adresowanego bezpośrednio do Gabrieli Szubstarskiej. Rzadko piszę recenzje, ale powód ich powstania jest ten sam, co przy innych publicznie podejmowanych tematach: zwracanie opinii publicznej uwagi na zdarzenia, fakty, postaci i produkty o wyjątkowych i ważnych zarazem walorach. Takich dla których dobro współczesnego człowieka jest wartością szczególną.

RECENZJE

Największym bodaj paradoksem lat 20 tych XXI wieku jest zjawisko różnie nazywane, a mające swoje źródło w masowych technologiach informacyjnych oraz informatycznych. One zalewają nas informacją i masą produktów ze wszystkich obszarów, w tym i kultury. W tej powodzi toną, giną, umykają naszej uwadze najbardziej wartościowe treści, wytwory intelektu współczesnego człowieka, niosące ze sobą treści o walorach uniwersalnych i utylitarnych zarazem. A codzienność opanowują krzykliwe, płytkie, doraźnie interesujące. Z tomikiem *Zamknięte w czasie* może być właśnie tak. Zginie gdzieś w tym tłumie medialnym. Z niepowetowaną szkodą na spragnionych dobrego i mądrego zarazem słowa podanego w czystej formie. Jasnej, czytelnej, obrazowej.

Ze stratą dla współczesnego człowieka, który

Nie umie czekać
wszystko musi być teraz
ma wrażenie że jeśli przysiadzie – utonie
albo że zostanie na świecie
sam jak palec.

To wrażenie mija wraz z fizyczną bliskością tomiku Szubstarskiej, wraz z takimi frazami, jak ta. Gdzie człowiek odnajduje się i sobie podobnych i pragnie wspót z nimi iść dalej, strona za stroną, by szukać wsparcia, odpowiedzi i dawnych pytań zapisanych w nowej, głębokiej, choć tak przecież oczywistej i czytelnej formule.

Mądrzejsi o sugestie, że

Trzeba tylko nauczyć się
odkładać to
za czym się tęskni
i wiedzieć o czym należy zapomnieć
wtedy nadchodzi uspokajająca niepewność

stajemy się równie bliscy emocjonalnie
podmiotowi lirycznemu, skoro i on (ona)

Lęka się spotkań
lęka się obcych twarzy
niech odejdą

Jak ma powiedzieć
że wszystko rozumie że pamięta
gdy w gardle
umierają słowa

Odnajdowanie w tomiku emocjonalnej oraz intelektualnej bliskości – z formułą odbierania i przeżywania współczesności – jest kluczem otwierającym drzwi do poetyckiego partnerstwa Autorki z Czytelnikiem. Sugerowane obrazy i przeżycia kreowane w subtelnej, a zarazem prostej językowo frazie, urzekają kolejnymi strofami i tworzą obietnicę odkrywania scen, postaci i doznań, pragnienie których podsyca każdy, kolejny krok.

Nie ma znaczenia, w którym momencie i na której stronie otworzymy ten tomik poezji. Za każdym razem przemówi do nas równie subtelny i czytelny zarazem przekazem. Wyciszy obecny stan emocji i pozwoli – choć na jeden moment – żyć w rzeczywistości poetyckiego dialogu o życiu, emocjach, pięknie, przemijaniu. Gdzie możliwe są najgłębsze, z samego dna

duszy wyjęte sceny i zwierzenia.

Byłam w miejscu
ziemniejszym niż śmierć

Wierzę, że gdy głęboko ukryję strach
i przestanę je odwiedzać
zapomnę
niczego nie powinniśmy budować na lęku
O nieszczęścia najczęściej
obwiniamy Boga
On nie prowadzi z ludźmi żadnej gry
wszystko się dzieje w naszych głowach.

Wystarczy zrozumieć że pamięć
jest tylko fragmentem
nie treścią życia
że wciąż nosimy w sobie ciepło.

Podkreślając głęboko humanitarny, uniwersalny charakter tomiku Gabrieli Szubstarskiej wystarczyłoby w zasadzie zacytować ten tylko tekst, aby zilustrować moc, głębię i uniwersalny charakter przekazu zamieszczonych w nim treści. Cytowany powyżej tekst dobitnie podkreśla prawdę historyczną o wspólnych korzeniach poezji i filozofii. Wspólne umiowanie mądrości, przeplecione w poezji umiowaniem piękna – obfituje przekazem sentencji równie głębokiej, cennej i prawdziwej, co powszechnie użytecznej. Zwłaszcza teraz. W dobie istotnej obecności lęku w życiu człowieka. Lęku inspirowanego własnymi pobudzeniami, jak i świadomie kreowanego powszechnie dostępnymi dzisiaj kanałami informacyjnymi.

Prawda o istocie lęku – wyrażona słowami poezji – nabiera szczególnego znaczenia i wagi. Rodzi pytania o miejsce głęboko ukrytego w nas strachu i jego miejsce w kreowanym przez nas świecie. O jego sens, rolę – przypisywane i faktyczne źródło. Zajęci natłokiem informacji, obrazów, doznań postrzeganych dzięki współczesnej technologii uzyskujemy często fałszywą perspektywę istotności. Fałszywy obraz realiów, a wśród nich udział pamięci, nadając jej znaczenie właściwe treści życia. Przypomnienie, iż jest ona tylko życia fragmentem, otwiera przed nami szansę poukładania obrazu życia i jego istotności poza obszarami strachu i lęku.

Przypomnienie treści tak ważnych życiowo i tak istotnych dla jakości naszej egzystencji, wrzucone w multimedialny kanał informacji – traci bezpowrotnie swoją ważność. Ujęte w szaty poetyckie ma szansę odegrać rolę spolegliwego opiekuna. Roztropnego mentora.

Poruszanie się w obszarze tak delikatnych strun, napiętych emocjami – wymaga od autora niezwykle staranności w doborze środków wyrazu. Stylistyczne mistrzostwo Gabrieli Szubstarskiej, oszczędność stosowanych środków wyrazu emocji, staranność w doborze słów sprawiają, że przekazywane przez nią treści nabierają charakteru niezwykle ważnych prawd życiowych.

Swoją własną perspektywę intelektualną i emocjonalną określa w takim oto fragmencie wiersza:

Najważniejsze stają się rzeczy
po których widać upływający czas
w nich zatopione są uczucia
tylko one istnieją naprawdę

Jest to perspektywa intelektualnej emocjonalności. Trudna do epistemologicznego dookreślenia w kategoriach logiki dwuwartościowej, a tak czytelna w tej krótkiej frazie. Uczucia utopione w rzeczach nadają istnieniu tych rzeczy sens, znaczenie. Inspirują naszą uważność.

Intuicyjnie oczywiste. Teraz. Po wybrzmieniu tych słów.

Praktycznie każda strona tego tomiku, każdy wiersz otwiera filozoficzny dyskurs opowiadany słowami zrozumiałymi dla tego, kto żyje, myśli, czuje. Jak choćby *Nadzieja*. Błysk wytłuskany z brytki lodu...

Spojrzałam w oczy zaskoczeniu
wiedziała że nadszedł czas
dotknięcia ziemi
a przecież wszystko się działo
i morze
i łąka
niczego nie wymyślałam

Chwile bezgranicznego szczęścia
warto zapamiętać
mogą się więcej nie zdarzyć

Życie płynie normalnie
i z brytki lodu
można wytłuskać blask

Poetycka opowieść o świecie – na niecałe sto stron – jest zbyt długa, by ją jednym pochłonąć tchem. Zbyt wielu i zbyt mocnych i różnorodnych dostarcza ona emocji, by starać się skumulować je w krótkim czasie. Choć zaskoczenie świeżością spojrzenia i głębią narracji budzić może ciekawość – co dalej, dalej i dalej. Warto tę lekturę czytelować. Wracać do niej ze świadomością, że jest jeszcze wiele przed nami. Wyciszenia, refleksji, dobrych myśli, głębokich uniesień.

Chciałoby się pisać tę recenzję aż do wyczerpania asocjacji, jakie ona wywołuje zawsze ilekroć zajrzymy do tomiku. I pewnie dla własnych potrzeb wygadania się będę robił to nadal. Tutaj pozostaje wierny ideom przyświecającym mi w każdej formie publicznych wypowiedzi: dzielić się wiedzą ze wspólnej intencji lepszego życia. Im więcej wśród nas będzie ludzi rozumiejących samych siebie, spełnionych własnymi działaniami, wspieranych przyjaznymi gestami i ramionami, tym bardziej nasza rzeczywistość bliższa będzie upragnionemu rajowi. A w każdym razie normalności – na naszą miarę i skalę.

Pozostając wiernym niniejszym przekonaniom polecam tomik Gabrieli Szubstarskiej. Bez względu na nastroje, przestrzeń i czas – zawsze znajdziecie tam to, czego aktualnie najbardziej brakuje. Raz wzniosłości sacrum, innym razem dobrego słowa i serdecznej porady. A to znów melancholijnej zadumy i refleksyjności.

Każdy wiersz, za każdym razem odczytasz w nieco inny sposób. I tak jedna ścieżka pomoże więcej i lepiej, i radośniej niż poszukiwanie tego samego na wielu drogach o lokalnych i światowych znakach ważności, wartości i optymalności. Taka bowiem jest natura i istota wielkiej poezji.

TADEUSZ WOJEWÓDZKI

Maria Jolanta Fraszewska

NIE PRZESPAĆ SIEBIE W KAŻDY CZAS

Wiersz otwierający tomik: „Przespane sny” Jerzego Hajdugi zatytułowany: „Listowna liryka” wiedzie czytelników w sens całego przekazu poetyckiego. Od początku do ostatniej nuty słowa.

w kopertach
przetrzymuję
lirykę

co jakiś czas
wysyłam
do siebie

Czy zapis nieopisujący tego, co widzą oczy na zewnątrz w otaczającej przestrzeni, a skupiony na duchowości świata wewnętrznego, przekazujący to, co widzą wewnętrzne oczy zmysłów, jest możliwy do ukazania? Wyjście z ukrycia zawsze poprzedzone jest głęboką refleksją związaną z wyobrażeniem sobie świata, który jest tam, poza mną, poza tobą, poza własnym organizmem. Subiektywne emocje i przeżycia. Drogi i labirynty prowadzące do nich rozpoczynają się w środku człowieka. Dla każdego z nas jest on inny, dla kogoś jest to serce, dla kogoś innego mózg, a dla jeszcze kogoś innego po prostu środek. Punkt. Przyczynę. Środek do odczuwania. Lek „na całe zło”. Miłość i poezja.

Koperty to chwile, które zawierają emocje zebrane z refleksji, które powstały z oglądu wydarzeń, promieni sięgających do głębi przeżyć. Tyle razy słyszymy w życiu codziennym przekaz, że trzeba być w realnym kontakcie ze sobą. Jak to zrobić? I czy mamy czas, czy dajemy sobie czas na tę czynność w pociągu do szybkiego przemijania?

„Przestańmy odchodzić”

tak jakoś nawet
śmierć wraca
do siebie

Wieloznaczność w powyższym wierszu skłania do szerokich i głębokich przemyśleń. „Nawet śmierć wraca do siebie”, rodzi się i umieramy, taka jest kolej rzeczy naszego ciała. Wracamy do punktu początkowego. Tak po prostu jest. Akceptacja nie zawsze przychodzi łatwo. Śmierć jest jednocześnie metaforą konieczności i prawdy życiowej, ale też przekazem, nie odchodzimy od siebie, zawsze pozostajemy sobą. Nawet jeśli zbłądzimy, to możemy wrócić do siebie, do hołdowanych przez nas wartości, tych które nadają sens naszemu istnieniu.

„Z reszty wspomnień”

(gdy życie się nie kończy, tylko zmienia)

ona i on w starej kawiarence przy kawie patrzą
na siebie z pierwszych spojrzeń i pocałunków
wspomnienia same rozmieniają się
na drobne

ona liczy grosze on
na dłuższy
wieczór

koniec
choćby
i dzisiaj

Bo tak wygląda nasze ludzkie życie. Zwyczajnie. Gospodarczo. Twórczo i przyjemnościowo. Rodzinnie. Samotnie. Wędrując. Nie wychodząc z domu. Spacerując po parku. Spędzając czas wolny w charakterystyczny dla siebie sposób. W kawiarence. Odnajdując odłożone na później zainteresowania. Wciąż doznając. Żyjąc pozostawiamy wspomnienia. One nas łączą, wzbogacają, przemieniają, rozświetlają, zasilają, tkają, by rozkwitać we wspomnieniach i jednocześnie wchodzić w kolejny dzień z uśmiechem na twarzy. Bez żalu, bez rozpacz, że coś przeminęło. Bo wartość przemijania polega na tym, że istnieje we wspomnieniach, które tworzą podsumowanie zrozumienia sensu naszego życia, doświadczeń, których bilans może być nowym przeżyciem i obrazem dla refleksji. Otoczenie siebie czułością w kontekście akceptacji i pogodzenia się z przemijaniem.

Przechodząc od dnia do dnia, od miesiąca do miesiąca, nie zauważamy przechodzenia, bo przecież idziemy i idziemy, a więc istnieje to co przed nami. Jesteśmy w drodze, a przecież tempo kroków zmienia się. Już się nie wydłużają jak ciepły wieczór. Cokolwiek wydarzyło się w przeszłości warto zrozumieć czy choćby podjąć trud zrozumienia, warto dać sobie tę szansę, aby nie doświadczać gorczy, która może nam zaszkodzić w końcowej integracji czy pogodzenia się ze sobą. Wiele niedokończonych rozmów, wiele rozczarowań doznanych, niespełnionych pragnień, zawodów i skarg wniesionych do ... siebie. A przecież ową gorzkość możemy pojąć jako sól, która nie wypala dziur w całym, a jest smakiem dodającym szczególnego aromatu jak pyszny smak lodowego orzeźwienia, słony karmel w wafelku w letni słoneczny dzień.

„Wracasz”

aż podglądałam okno
podśluchuję drzwi

Nie jesteśmy sami. Czasem wystarczy wyciągnąć dłoń, bo tego potrzebuje nasza ręka. Jest wyrazem serca. Ona chce dotknąć drugiego człowieka. Ona pragnie pogłodzić go po twarzy, przytulić, dodać otuchy i w ten sposób ujrzyć swoją siłę i moc przekazu. Ująć sens w swoje dłoń. Ochronić siebie poprzez przygarbienie siebie jak odepchniętego kiedyś z niezrozumiałych powodów, psa. Bo „ja” to też osoba. Przytulić drugiego człowieka, przytulić siebie, przytulić swoje wspomnienia.

„Pieski nasz widok”

wyciągamy ręce
łasi się
dłoń

Niezwykle cenię krótkie formy przekazu księdza Jerzego Hajdugi. Zawierają w sobie przestrzeń w niewidzialny sposób zapisaną atramentem sympatycznym.

I gdzieś w tomiku, pośrodku, wiersz wyjaśniający główny wątek. Natchnienie. Czym ono jest? Tajemnicą człowieka, nad wyjaśnieniem jego istnienia i wartości, głowili się już starożytni filozofowie. Daimonion, głos wewnętrznego ducha, boskie natchnienie. Powołanie? Intuicja? Szczególna uczuciowość? Czy go się szuka, czy ono się pojawia, czy ono jest jako potencjał w każdym człowie-

ku? Sokrates twierdził, że daimonion jest tajemniczym głosem przemawiającym do niego. Platon uważał, że jest to nadprzyrodzony głos, głos sumienia. Czesław Miłosz ujmując natchnienie – daimonion, jako siłę sprawczą poety. W tomie „Wierszy ostatnich” w: „Dziewięćdziesięcioletni poeta podpisuje swoje książki” 2006r. znajdziemy słowa: „my jesteśmy zaledwie igraszką, Sił tajemniczych, nieznanych nikomu”. W „Świadectwie poezji” Czesław Miłosz podaje fundamentalne słowa: „Mówiąc szczerze, całe życie byłam we władzy daimoniona i w jaki sposób powstawały dyktowane przez niego wiersze, nie bardzo rozumiem”.

A poeta Jerzy Hajduga pisze:

„Przespane sny”

za dużo we mnie snu
bez nocy już dzień
się przytuli

Oczywiście każdy odbiorca tych kilku słów może zinterpretować je na własny sposób, wynikający z osobistych przemyśleń i doświadczeń. Według mnie jest to opis natchnienia. Ono pojawia się jakby było snem, tajemnicze uczucie, które staje się wyjaśnieniem: „już dzień”, tajemnicy. I które przytula się do poety i pozostaje zapisane w słowie. Chwila, która staje się podsumowaniem, nagłym olśnieniem. A wynika z zapadania się w siebie, jakby we śnie, który nie jest snem, bo jest „bez nocy”. „Już dzień się przytuli”, już jest dzień codzienny. Wracamy do wykonywanych obowiązków. Wracamy do codziennej rzeczywistości.

W intymnej korespondencji „Listów do młodego poety”¹, Rainer Maria Rilke do Franza Xavera Kappusa, dzielił się głębokimi refleksjami o dojrzewaniu duchowym, cierpliwości, samotności i miłości. W „Liście nr 4” Rilke zachęcał młodego poetę do zadawania pytań zanim pojawią się odpowiedzi. „Postaraj się pokochać same pytania, jakby były zamkniętymi pokojami lub książkami napisanymi w bardzo obcym języku. Nie szukaj teraz odpowiedzi, które nie mogą ci być dane, ponieważ nie byłbyś w stanie ich przeżyć.”

Dojrzałość jest tym elementem, który umożliwia czytanie życia.

„Dłużej nam”

Za oknami pociągu nie zatrzymuje się
noc, nie zatrzymuje się pociąg. Konduktor
przed chwilą sprawdził bilet. Wszystko się
zgadza, to ten pociąg, to ta noc. Jeszcze raz
wstaję i siadam, by się upewnić, że to dzieje
się naprawdę, że to może się dzieć - -

na swój widok
oczy zamykamy

tak po prostu
dłużej nam

do siebie

¹ „Przespane sny”, Jerzy Hajduga, wydawnictwo MK, 2025, Kraków, Drezdenko, s.61, 48 wierszy

Katarzyna Michalewska

ŚWIATŁOCZUŁA STRUKTURA - MIEJSCE RODZENIA SIĘ EGZYSTENCJALNYCH NAPIĘĆ

Amerkański filozof Alan Watts porównywał rzeczywistość do dynamicznego procesu, który daje się opisać następującymi po sobie, czasownikami w formie ciągłej. Coś dzieje się, a to działanie się podzielone jest na szereg mniejszych sekwencji, zdarzeń dokonujących się w przestrzeni i czasie. Taka procesualna teoria rzeczywistości skojarzyła mi się z lekturą wierszy Małgorzaty Południak z jej książki poetyckiej *Pierwszy milion nocy*.

Słowo poetyckie wytwarzane przez rytmiczne, powtarzające się bodźce, zdaje się powstawać w tej książce nie tyle z wcześniejszego pomysłu i kalkulacji, co raczej impulsywnej czynności – swistego werbalnego i wizualnego action painting, które wydobywa znaczenia z płynącego wartkim nurtem strumienia artystycznej podświadomości.

Domeną tego, co intuicyjne, animalistyczne, kobiece, nieświadome, co dotyka cienia i mnogości archetypów jest metafora nocy, mnożąca się swobodnie w tytule, nawiązującym do symboliki nieskończoności.

Znaczący i symboliczny tytuł tomu oraz tytuły tekstów (w drodze, o dniach za dniem, człowiek mutualizmu, dynamika, swoboda, struktura wody) odsyłają nas do dynamiki procesu życia, zmiennej migotliwej struktury rzeczywistości. Wskazuje to na działanie

się, następstwo zdarzeń, ruch oraz przemieszczanie się w przestrzeni zewnętrznej i podmiotowej. A relacyjność ludzi i zdarzeń odzwierciedlane są językiem poetyckim, splatającym się ze sztuką wizualną.

Każdy tekst to światłoczuła struktura – miejsce rodzenia się egzystencjalnych napięć w punkcie na przykład tak banalnym, jak „zgięcie środkowego palca” ale i w „głębinach zatopionych łodzi” – pomiędzy światem i zaświatami.

Małgorzata Południak w sposób fascynujący rozmieszcza środki ciężkości i skojarzenia między odległymi i pozornie wykluczającymi się ze sobą punktami konkretności albo abstrakcji, zwyczajności i fantazji, uniwersalności i tego, co jednostkowe niepowtarzalne: od „rzutu wysypki” do „fizycznego dmuchania w maszyny drukarskie”.

Poetka umacnia związek z realnością, pociągając za sznurki wyobraźni czytelnika.

Być może między innymi w tym paradoksie leży bezpretensjonalna wartość tej poezji?

Autorka *Pierwszego miliona nocy* misterną grą obrazów i metafor do utraty tchu – dosłownie i w przenośni – przepływa przez uczucia i pragnienia odbiorcy, podróżuje w czasie przez kinematografie, folklor, mitologię.

Czaruje nieco surrealistycznie i przewrotnie „smugą czarnych perfum”, „kwiatów ścinanych pełnią, aż niewielki skrzep oderwie się i utknie w najczulszym miejscu”, aby zmienić, po raz kolejny – jak rysik w szkicującym piórku – podmiot liryczny na inny, a jednak opowiadający wciąż tę samą, powtarzającą się jak lustrzane grafiki Eschera, magiczną historię zwyczajnego bytowania: zachwyty, ciekawości, przemiany i „udręczenia bez miary”. Przemienić w misterną, czującą konstrukcję obrazów, przerzutni w „czerwień cięć”, w inną, tę samą osobę, w jej – nasz lęk...?

KATARZYNA MICHALEWSKA

Małgorzata Południak, *Pierwszy milion nocy*, FONT/SPP O.Wlkp., Poznań 2024



Małgorzata Kulisiewicz

W LABIRYNCIE WIERSZA. O POEZJI ANNY LUBERDY-KOWAL

Poetka i tłumaczka, nagradzana w ogólnopolskich konkursach opublikowała niedawno w Wydawnictwie ANAGRAM swój drugi tomik pod tytułem „gra w algi”. Autorka zaskakuje nas już od samego początku. Zaprasza czytelnika do gry „w labirynting”. Oznacza kolejno cyframi wszystkie wiersze. Potem manewruje wszystkimi liczbami, od jednego do pięćdziesięciu. Dokładnie tyle jest wierszy. Na koniec mamy zawrócić i zacząć znów od jedynki. Poetka zaprasza do gry i wędrówki. Nie będzie to droga łatwa, ani wiersze proste. Język tej poezji pełen jest neologizmów, przypomina chwilami strumień świadomości. Charakterystyczne jest rozluźnienie frazy, o którym sama wspomina w wierszu „odmówina”, i bardzo nieoczywiste metafory. Wiersze są często oniryczne, wyłowione z krainy snu, z podświadomości. Dużo bardziej osobiste niż te w książce „perpendykel”, pierwszym tomiku Anny Luburdy-Kowal, gdzie pojawiają się kojarzące się z reportażową wizją świata obserwacje z krakowskiego Kazimierza, z Jerolimy, Doliny Cedronu, warszawskiego Grochowa.

W „grze w algi” jest to przede wszystkim obserwacja sfery wewnętrznej, życia uczuciowego, myśli i refleksji autorki, jej rozmowa ze sobą. Poezja jest tu jak „odlew oddechu”, podobnie jak u Wojciecha Kassa, którego poeta cytuje. To jak najbardziej osobista wymiana ze światem, podtrzymująca życie jak oddech. Interesująca jest też ciągła zmiana perspektywy narracyjnej, opowieść o sobie z różnych punktów widzenia: ja, ty, on, ona. Pojawia się obserwacja siebie i swoich uczuć z dystansu, z innej perspektywy. Partner gry-rozmowy okazuje się kimś, kto pięknie mówi do/o autorce wyobrażonej gry. Tytuł wiersza „ani ani” jest aluzją do imienia poetki, ale odnosi się również do zwrotu językowego „ani tak, ani tak”, „ani w lewo, ani w prawo”, czyli żadna z faktycznych możliwości, jesteśmy ponad nią, co sugeruje, że jest to świat wyobrażony. Ta relacja uczuciowa to „kilka słów do obrazu / którego nie będzie” (z wiersza „patrzę na nią”). Wyobrażony partner porównywany jest z wierszem: „a jednak rymujesz mi się ze wszystkim” („miniatura z paragonem”). Wspomnienie związku niemożliwego to „uniesienia żary pokątne nazwy ciał”. Dlatego pojawia się uczuciowy ból i wątplenie: „sucha trawa prędzej spłonie niż się podniesie” („spektrum belki”). Epifania, objawienie, nagłe olśnienie, ukazanie się bóstwa okazuje się złudą. Pojawia się więc rozczarowanie, a na nie lekarstwem jest „czysta poezja od bólu” („Karuzelnik Walentego”). Wiersze są jak środek na ból. Nasze lęki, strach i cierpienie, dużo tu tego, o wiele więcej niż w „perpendyku”. „Nasze lęki są takie jak powody zaistnienia” („przekrętko”), przerażenie złem, śmiercią, zaniepokojenie przemijaniem, zawsze i dla każdego związane z życiem. Rezultatem jest zagubienie poetki, wynikające nie tylko z niemożliwej miłości: „labirynt jakby mój lecz ściany znów inne” („nie wiem gdzie mam siebie”). Każdy korytarz w labiryncie kończy lustro. Poszukiwanie siebie jest głównym motywem tego tomiku, bardzo uniwersalnym. Szukamy dobra i raju: „raj musi być obok czekaj znieruchomiej” („ćmoliście”). A może życie jest tylko snem – sugeruje autorka. Wtedy łatwiej wszystko znośmy: „a jeśli wszystko co się wydarza / to moment najgęstszy przed wybudzeniem” („nie czytaj”).

Pojawiają się też inne ciekawe refleksje, tym razem na temat codzienności. Na przykład, że zabawy przy trzepaku były przed

laty więcej warte niż dzisiaj wszystkie media społecznościowe („podróż za jeden banan”). Jednak dzieciństwo nie było sielanką. W brązowej walcie babci „nigdy / nie było cukierków / pakowała chłód / zanim zdążył odtajać / kiedykolwiek”. W tym trudnym świecie trzeba czuć odpowiedzialność za słowa, szczególnie dotyczy to poetów. W wierszu „dąktylos” Anna Luberda-Kowal ostrzega, że nie można „zarażliwie zabić człowieka w naszych ustach”. W takim to nietatnym uniwersum często oddalamy się od drugiej osoby, która też często porusza się w labiryncie. Można jednak wyjść z błędnego koła i gmatwaniny, trzymając się mitycznej nici Ariadny. Jest nadzieja: „będziesz tu wracać / po szpulce / do nitki” („leżąca ósemka”). Można też wyfrunąć górą, jeśli poskleja się nitki u ramion, które będą jak skrzydła. Nie trzeba czekać na przebudzenie.

Duża wartość tomiku Anny Luburdy-Kowal polega też na unikalnym zderzeniu tradycji i nowoczesności. Autorka nawiązuje do greckiej i egipskiej mitologii, do motywów biblijnych, wspomina Zeusa, Feniksa, Ikarę i żonę Łota. Czerpie z wątków kultury śródziemnomorskiej w sposób jak najbardziej współczesny. Pisz o Michale A. (Michał Anioł) i jego rzeźbie Dawida. Wspomina o Dantem. Ale Dante „jest na haju” („Karuzelnik Walentego”). Jak widać, to język nowoczesny i współczesne spojrzenie poetyckie. Nowatorskie są też neologizmy stworzone przez poetkę. „Epiphanka”,

„epifun”, „labirynting”, „ćmoliście”, „wpułkanie” to tylko niektóre z nich. Metafory też są pomysłowe. „Leżąca ósemka” może kojarzyć się z nieskończonością, poetka jak książka, a życie może być „jak zaschnięte krople atramentu w miseczce” („przekazu nie będzie”).

Pomimo wielu smutnych wątków tomik kończy się optymistycznie. W przedostatnim wierszu pojawia się bajka, której nie chciała opowiedzieć babcia. Szukamy optymizmu, „żeby na poduszce zapachniał tatarak...” („niedomknięta”). I gdy tatarak jeszcze fałuje, słyszymy „skrzyp furtki zwodzącej pomostem”. Pomost do drugiego człowieka jest możliwy. I w ostatnim wierszu: „jeszcze rozmydli się rozwidli / i roznieboskłoni / jeszcze trzymać się będziemy swoich snów / jak masztów świata” („labirynting”). I końcowe słowo „zawróć” i znów cyfry od pierwszego do pięćdziesiątego. Wracamy do wiersza z początku. A ten zaciekawiający tytuł książki? Mogłoby kojarzyć się ze słowami Wojciecha Młynarskiego „Jeszcze w zielone gramy” do piosenki, też optymistycznej. „Gra w algi”, w zielone wodorosty. Alga to artystyczny pseudonim Anny Luburdy-Kowal. Czyli „gramy” w poezję? Wychwytujemy ukryte sensy i znaczenia? Schowani pod artystycznym parasolem, ukryci pod pseudonimami?

MAŁGORZATA KULISIEWICZ

Anna Luberda-Kowal, gra w algi, Wydawnictwo ANAGRAM, Warszawa 2025, s. 68



Vojislav Karanović

BEZLUDNA WYSPA

Przekład: Olga Lalić-Krowicka

Be not afraid; the isle is full of noises,
Sounds, and sweet airs, that give delight,
and hurt not.

W. Shakespeare, *The Tempest*, III, 2

Gdybym przypadkiem musiał udać się na jakieś odludne miejsce, jak to się zwykło mawiać: bezludną wyspę, książkę, którą chciałbym mieć przy sobie, byłby słownik. Najlepiej, gdyby był to słownik mojego języka serbskiego, ale pocieszyłbym się też słownikiem niektórych języków, których próbowałem słuchać w życiu.

Obserwowałbym, jak sądzę, dzikie i nie-
tknięte ludzką ręką krajobrazy wokół mnie, słuchał fal rozbijających się o brzeg, spacerował po piasku. Spoglądałbym w błękitne niebo, obserwowałbym mewy lecące tuż nad lśniącą powierzchnią wody, podążałbym za chmurami, które nie wiadomo dokąd zmierzają. Zdałbym sobie sprawę, że nie jestem duchem powietrza i czułbym boleśnie wyraźnie swoją cielesność.

Oczywiście, że starałbym się przeżyć. Jak Robinson Crusoe, bohater niezliczonych chłopięcych fantazji, starałbym się tak

zorganizować swoje życie, by chronić się przed wrogimi atakami natury. Być może, jak literacki bohater Defoe, sam nabrałbym cech tej pięknej niereczywistości: stawałbym się coraz bardziej wymyślony lub tylko wyobrażony; stawałbym się owocem czyjejs, a nawet mojej własnej, wyobraźni.

Zbudowałbym schronienie, rodzaj chaty i w niej zamieszkałbym. Mógłbym nawet tam spać. Zrobiłbym schronienie z potamanych gałęzi i gałązek. Przykryłbym dach liśćmi. Próbowałbym, z pomocą hubki lub dwóch kawałków drewna, rozpalić ogień. Ale nie spędzałbym czasu tylko w tym schronieniu. Próbowałbym też osiedlić się w rzeczownikach: wyspa, schronienie, gałąź, dach, brzeg, morze, ogień...; w czasownikach: budować, patrzeć, próbować...; w przymiotnikach: lśniący, błękitny, opuszczony...

Gdybym zdołał schronić się przed zimnym i bezkształtnym światem w tym wewnętrznym schronieniu, w chacie języka – pozwoliłbym sobie czasem na luksus opuszczenia tego domu. Wyszedłbym na zewnątrz i spojrział na krajobrazy poza schronieniem. Wsluchiwałbym się w szum fal wznoszących się na bezkresnym morzu ciszy i rozbryzgujących moją świadomość. Potem może napisałbym

wiersz. Zapisałbym go na kartce papieru, gdyby papier i ołówek przybyły ze mną na wyspę. Jeśli nie, wryłbym wiersz na kawałku kory odłamanej od drzewa albo napisałbym jego słowa na piasku czubkiem patyka. Albo po prostu stworzyłbym go w myślach. On być może, jak Ariel, zatęskniłby za powrotem „do żywiołów, do wolności”. Ale ja próbowałbym to zachować gdzieś w sobie. Potraktowałbym sam wiersz, tę „powietrzną nicłość” – jak Szekspir nazywa tego typu twory językowe – niezwykle poważnie. Nie jestem pewien, jaki byłby ten wiersz i o czym by mówił. Tak samo jak nie jestem pewien, czy w pewnym sensie nie żyję już na bezludnej wyspie.

VOJISLAV KARANOVIĆ

Vojislav Karanović - ur. 1 stycznia 1961 roku w Suboticy, Serbia. Ukończył literaturę jugosłowiańską i powszechną na Wydziale Filozoficznym w Nowym Sadzie. Pisze wiersze, eseje i słuchowiska radiowe. Pracuje jako redaktor w Radiu i Telewizji Serbii (RTS). Mieszka w Belgradzie.

Opublikował 15 tomów wierszy



Jerzy Lengauer

Mieszkając w powiatowym mieście o ograniczonej ofercie kulturalnej nie mogliśmy przepuścić okazji i wybraliśmy się do olsztyńskiego Teatru Jaracza na „Krzyżaków” Jana Klaty, który w zasadzie w przeddzień premiery został dyrektorem Teatru Narodowego w Warszawie. Oczywiście nazwisko reżysera elektryzowało, ale także to, że w Jaraczu niedługo po „Weselu” i „Balladynie” mogliśmy zobaczyć kolejny spektakl oparty na polskim kanonie literackim. A ponadto przecież na scenę przeniesiona powieść, której fabuła tak blisko terytorialna, bo jakże niedaleko z Olsztyna do Malborka, Szczytna i poniekąd Spychowa, nawet, jeśli to nie to Spychowo.

Najpierw uderza biel i srebrzystość. Na tym skupia się wzrok. Liczne postacie na scenie wyglądają jak pokraczne szturmowcy Imperium z uniwersum „Gwiezdnych wojen”. Albo jak Teletubisie, tyle że w jednym neutralnym kolorze i bez damskich torebek. Gdy biorą się pod ręce w jakimś ni to marszu, ni to tańcu, jestem przekonany, że na ich srebrnych puchowych plecach dostrzegę jedynie czarne krzyże. Zaskakuje mnie, że gdy się odwracają, widzę i krzyże, i orły. To wspólne podrygiwanie, niczym nienaturalne acz zabawne ruchy aktorów Monthy Pythona, rycerzy Zakonu Krzyżackiego i Polaków zmienia optykę. Nie jestem przekonany, czy dobrze interpretuję, ale to chyba Jan Kłata przekornie łączy Henryka Sienkiewicza i polityczno-społeczną współczesność, w której dominującą rolę odgrywa

Miło nam poinformować, że laureatem Pomorskiej Nagrody Literackiej „Wiatr od morza”, za całokształt twórczości literackiej, w roku 2025 został Zbigniew Joachimiak.

WIATR
OD MORZA
POMORSKA
NAGRODA
LITERACKA
2025

„SPRAWA NIEMIECKA A GODNOŚĆ KOBIECA” („KRZYŻACY”, TEATR JARACZA)

TEATR

antyniemieckość. Wyobrażam sobie z jednej strony jak „obrońcy granic” wspólnie z niemieckimi pogranicznikami rozmawiają, częstują się, przenikają kulturowo i socjalnie, by co jakiś czas spojrzeć groźnie lub wypowiedzieć szorstkie słowa, zaś z drugiej widzę mieszkańców z obu stron granic, którzy razem pracują, kupują, uczą się, przejeżdżają i przechodzą w tę i w tę, przenikają się.

Niebawem postacie zaczynają się indywidualizować. Ogromne puchowe czapy nie przesłaniają aktorom twarzy a dialogi pozwalają mi na zapamiętanie poszczególnych ról. Mimo że rozmawiają starsi, doświadczeni, pełni godności i zarazem rozwagi polscy rycerze, czyli Marian Czarkowski jako Kasztelan i Maciej Mydlak jako Jurand, to zapamiętuję sugestywną grę Macieja Cymorka jako Zbyszka, który rwie się i do bitwy, i do miłości, żeniaczki. Jest w tym miłygowany, bo przecież Tatarzy na wschodzie najeżdżają Królestwo, więc z Zakonem rozmawiajmy, przyjmijmy postać i go wysłuchajmy. W tym momencie w uszach brzmia echa wypowiedzi medialnych o groźbie wojny z innej strony niż ta, w którą co rusz kierowana jest nienawiść, a co najmniej chłodna rezerwa dyplomatyczna. A tymczasem Zbyszek cieszy się na myśl o wojnie z Krzyżakami i obiecuje ukochanej czuby z ich hełmów. Jego nadpobudliwość ruchowa przypomina agresywne zachowania kibiców szykujących się do bitwy o barwy klubowe bądź stadionowe prowokacje. Ba! nawet taniec zwierzęcego napastnika zapraszającego rywala do walki.

Wydaje mi się, że fabuła powieści jest w spektaklu zachowana. Oczywiście skrócona, ale przecież bez niespodzianek. Cała rzecz w dygresjach do współczesności, poczynając od „sprawy niemieckiej”, przez kibolskie ustawki po nowo wybranego prezydenta a może i ogólnie polityków. Sugestie i skojarzenia z polską teraźniejszością są na scenie materializowane jako napastliwość, buńczuczność, agresywne nastawienie, za czym idzie brak rozwagi, jakieś nierozumne szaleństwo. Oczywiście i po stronie krzyżackiej znajdujemy nadpobudliwość. Doskonały jest w tym Radostaw Hebal jako Wielki Mistrz, który nie tylko skacze, podryguje, jest podniecony, niecierpliwy, nerwowy, ale jego zachowanie odwzorowuje charakterystyczny tembr głosu, w którym przeważa piskliwość. Nie dość jednak tego, bo posługuje się językiem polskim jakby sprawiało mu to trudność, ni to sepleni, ni to go łamie. Wszak żeby zrównoważyć von Jungingena, w podobny sposób zachowuje się Władysław Jagiełło (Krzysztof Plewako-Szczerbiński), którego porywczoność podkreśla bujna i rozwierzona ciemna fryzura.

Postacie kobiece spowalniają dynamikę na scenie, ale rzecz jasna nie usuwają niepokoju. Potęgują go. Zagrożenie pętza, przeszywa w sposób ciemny, ponury, mgłą gęstą zapada i owija. Każda z kobiet coś zapowiada. Jest w tym jakaś mistyczność. Mężczyźni tłuką się na scenie bez opamiętania, podskakują, biegają, okładają miecza-

mi albo są zrezygnowani, bo ich roztropność i rozsądek ginie w nadchodzącej burzy wojny. Kobiety są wręcz oniryczne, gotowe do złożenia ofiary. Ich godność nie znika. Ich głowy uniesione są do góry do końca, nawet wówczas, gdy spadają głowy mężczyzn. Dziwna rzecz, bo w jakimś sensie komponuje się to z wyświetlanymi za sceną obrazami. Powaga kobiet i II wojny światowej, obozów koncentracyjnych, Zagłady. Przypominają mi się tytuły książek Swiattłany Aleksijewicz „Wojna nie ma w sobie nic z kobiecy” i Moniki Fibic „Wojna jest kobietą”.

Reżyser traktując kpiarsko męskie wojny nie przekroczył wszakże granicy powagi dramatu i tragedii ludzkiej. Jeżeli był bliski twórcom Monthy Pythona, którzy przecież nie powstydziliby się pojedynku na dmuchawy do liści, przypominające w rękach młodych szaleńców Rotgiera i Zbyszka świetne miecze rycerzy Jedi, to przecież z całym smutkiem oddał gwałt na Danusi i potworne okaleczenie Juranda, jakby podkreślając, że najtragiczniejszymi ofiarami wojny są kobiety, dzieci i starcy. Czyż dmuchana naga lalka nie przywodzi na myśl skojarzeń z seksem bez miłości, pornografią i niestety gwałtem jako jednym z wojennych trofeów, straszliwym upokorzeniem. A tortury? Jak i gwałt to fizyczna i psychiczna trauma do końca życia!

Wracam myślą do początku spektaklu, gdy na scenie odbywa się bitwa. Muzyka jest tętniąca, dudniąca, marszowa w obu scenach. Kłata zastosował pewien zabieg i przedstawienie zamknął w nawiasach. Ten otwierający jest prologiem, który zdaje się być satyrą na filmy propagandowe Leni Riefenstahl. Jest radosną, rytmiczną zapowiedzią wojny. Jakby przygotowaniem jej aktorów, uczestników. Na razie bez agresji. Wspólnie defilują, pokazują mundury-zbroje, straszą piórką. Nie ma widocznego podziału. I takiego również nie dostrzegamy w bitwie pod Grunwaldem, czyli nawiasie zamykającym. Znikają w zamęcie czarne krzyże i białe orły w ledwie widocznej czerwonej lamówce. To wielka kotłowniana, bałagan. Postacie się przewracają w uścisku, odpychają, odskakują, przemierzają ze sobą. Nie sposób pozbyć się wrażenia, że to tylko bijatyka, jakich wiele. Podobnie jak wojen. Rozpętanych przez mężczyzn i prowadzonych przez nich bez względu na cierpienie cywilów, kobiet, dzieci i starych ludzi. Kobietom można jedynie obiecać trofea, na przykład czuby z hełmów.

Ironia, kpina, z pewnością i cynizm, tudzież satyra wzbudzają uśmiech w „Krzyżakach” Klaty. Każą nam rozejrzeć się dokoła, inaczej potraktować teraźniejszość. Jednakże za nimi czai się tragedia, której często nie dostrzegamy, bądź nie chcemy tego zrobić. Jan Kłata poprzez przeciwstawności sugestywnie przykuwa nasz wzrok ku ciemnej stronie jakichkolwiek konfliktów zbrojnych. Także bitew kibolskich, już przenoszących się na ulice miast.

Jerzy Lengauer

ADAM OCHWANOWSKI

Cykl „Wiersze dla Lidki”

X X X

Piszemy, Lidko, razem życiowy testament
 Patrząc w oczy pamięci jak w studnię głęboką
 I chociaż myśli jeszcze śmigają wysoko
 A po młodzieńczych listach nie wysechł atrament

Trzymamy się za ręce, bo niepewna droga
 Na której chybotliwie krzyżują się światy
 Mój - skaleczony kacem, twój - bardziej bogaty
 Bliższy znakom anielskim i kaprysom Boga

Przytul się do mnie mocno i nie bój się cieni
 Dopóki strach na wróble pilnuje przestrzeni

X X X

Jest we mnie, Lidko, bojaźń, trwoga i zatrata
 Gdy sam ze sobą piję, wadzę się ze sobą
 Kiedy wygrażam pięścią szatanom i bogom
 A wszystkie pory roku chcą wyrzec się lata

Wiem, jestem słaby, Lidko, choć gram bohatera
 Jak błazen w cyrku - dźwigam najważniejszą rolę
 Pachnie mi chleb, co miejsca nie znalazł na stole
 Prawda, która jest naga, ale nie jest szczerą

Jest we mnie, Lidko, przodków zapomniana nuta
 Talia kart krwią znaczone i strzała zatruta

XXX

Szukaj mnie, dumna Lidko, w obcowaniu świętych
 W Jurka Fronczyka dłoni, w przytykach Miernika
 W Nosalu, co nam słabość i zdrady wytykał
 W moich krzykliwych wierszach jak śmierć niepojętych

Szukaj mnie dumna Lidko w sygnaturki dźwięku
 W syrenie, co strażaków zwołuje na trwogę
 W marzeniach, co odchodzą, dając krzyż na drogę
 W piętnie grzechu, którego udźwignąć nie mogę

Zanim nas, Lidko, ciemność ostatnia ogarnie
 Zapalmy zapomnianej miłości latarnie

XXX

Bóg oszalał. Człowieku - ponoć jesteś wolny
 A ja szukam cię, Lidko, w odwłoku ogórka
 Nie dbając, co ważniejsze - wyprawa czy skórka
 Gdy niebiańskie chorały śpiewa konik polny

Chodź, Lidko, ze mną - górą, chodź ze mną - doliną
 Na granice bezkresne i bezdroża świata
 Gdzie myśl chce poszybować, lecz tylko ulata
 A łaski pełny skutek wadzi się z przyczyną

Ja piję wódkę, Lidko, a ty wino pijesz
 Ale kochaj mnie szczerze, zanim mnie zabijesz

XXX

Nie zamykaj drzwi Lidio, gdy na progu stoję
 Oślepiiony słowami, zabity wyrazem
 Gdy zbierają się chmury nad światą obrazem
 I nie wiem czy miłości czy siebie się boję

Deszcz, deszcz, wróble bezsenne, oniemiałe okno
 Cherlawy śpiew łabędzi i syn mój niechciany
 Jak wiersz wierny pamięci - bo nie napisany
 Zroszone łzami winy co na sznurach mokną

Gdy kurezę się pijany w twoich dłoniach Lidio
 Trzymam w złamanej ręce Albatrosa skrzydło



San

San



02/03/04/06 12-17-19-25-1

Roberto Bolaño

AMBERES (CZĘŚĆ 2)

Przełożył z j. hiszpańskiego Grzegorz Bazylak

„Kiedy zważam krótkie trwanie mego życia, wchłonięte w wieczność będącą przed nim i po nim, kiedy zważam małą przestrzeń, którą zajmuję, a nawet którą widzę, utopioną w nieskończonym ogromie przestrzeni, których nie znam i które mnie nie znają, przerażam się i dziwię, iż znajduję się raczej tu niż tam, nie ma bowiem jakieś racji, dlaczego raczej tu niż tam, dlaczego raczej teraz niż wtedy. Kto mnie tu postawił? Na czyj rozkaz i zarządzenie przeznaczono mi to miejsce i ten czas?”

BLAISE PASCAL (1623-1662), „MYŚLI”, PRZEL.
TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI (1874-1941), s. 48.

PRZEDMOWA AUTORA. Totalna anarchia: dwadzieścia dwa lata później

Napisałem tę książkę w 1980 roku dla samego siebie, choć nawet tego nie jestem pewien. Przez długi czas były to po prostu luźne strony, które przy jakiejś okazji ponownie czytałem i może przy nich trochę pomajstrowałem, chociaż byłem przekonany, że i tak szkoda marnować na to czasu. Ale marnować czasu właściwie na co? Nie mogłem odpowiedzieć dokładnie. Napisałem tę książkę dla duchów, które, ponieważ znajdują się poza czasem, jako jedyne zawsze mają czas. Po ostatnim, ponownym przeczytaniu tej książki (właśnie teraz w 2002 roku) zdaję sobie sprawę, że nie tylko czas jej napisania się liczy, bo czas nie jest jedynym źródłem przemocy i terroru. Przyjemność może być również przerażająca, podobnie jak odwaga. W tamtych czasach, czyli w roku 1980, jeśli pamięć mnie nie myli, żyłem wystawiony na działanie rozmaitych namietności, nie miałem dokumentów, żyłem, jak wykłety człówek w opuszczonym pałacu. Oczywiście nigdy nie zaniósłem tej powieści do żadnego wydawnictwa. Zatrzasnęliby mi drzwi przed nosem i zgubiłbym jej jedyny egzemplarz. Nie zrobiłem nawet czegoś, co technicznie nazywa się ostateczną wersją lub czystą kopią. Oryginalny rękopis tej powieści ma o wiele więcej stron, bo tekst miał tendencję do mnożenia się i rozszerzania jak zaraźliwa choroba. A moją prawdziwą chorobą była wówczas duma, wściekłość i przemoc. Te rzeczy (wściekłość, przemoc) są bardzo wyczerpujące, więc spędzałem bezużytecznie całe dnie, kompletnie wykończony. Pracowałem w nocy, a w dzień pisałem i czytałem. Nigdy nie spałem. Aby nie zasnąć, ciągle piłem kawę i paliłem. Naturalnie poznałem wtedy wielu ciekawych ludzi, niektórzy z nich byli tylko wytworem moich własnych halucynacji. Myślałem, że to był mój ostatni rok w Barcelonie. Pogarda, jaką żywiłem wtedy do tak zwanej literatury oficjalnej, była naprawdę wielka, choć tylko trochę większa niż moja pogarda dla literatury popularnej i drugiego obiegu. Ale ja wierzyłem w literaturę, a raczej nie wierzyłem w arywizm, czyli chęć dojścia za wszelką cenę do stanowiska, władzy lub pieniędzy, ani w oportunizm i szeptu po chleboców. Wierzyłem w puste gesty, wierzyłem w przeznaczenie. Wtedy nie miałem jeszcze dzieci. Nadal czytałem więcej po-

ezi niż prozy. W tych końcowych latach 70. (lub ostatnich miesiącach 1980 roku) interesowali mnie wybrani pisarze fantastyki naukowej i niektórzy pornografowie, czasem byli to autorzy krótko przeciwstawni, jak gdyby jaskinia i światło elektryczne wzajemnie się wykluczały. Czytałem wówczas amerykańskich pisarzy science fiction Normana Spinrada (ur. 1940) i Jamesa Tiptree Jr. (którego prawdziwe nazwisko brzmiało Alice Sheldon (1915-1987) oraz francuskich libertynów, pisarzy epoki ancien régime'u, Restifa de la Bretonne (1734-1806) i Markiza de Sade (1740-1814). Czytałem także Cervantesa (1547-1616) i starożytnych poetów greckich (epigramatyków i retoryków). Kiedy zachorowałem, ponownie przeczytałem Jorge Manrique (1440-1479), autora „Strof na śmierć ojca” („Coplas por la muerte de su padre”), jednego z klasycznych tekstów literatury hiszpańskiej wszech czasów. Którego wieczoru wpadłem na pomysł zarobienia pieniędzy tamiąc prawo. Takie małe, nielegalne przedsięwzięcie. Podstawową ideą było to, żeby nie wzbogacić się zbyt szybko. Mój pierwszy wspólnik, a raczej moja próba zrobienia z kogoś współnika, to był mój rozpaczliwie pesymistyczny przyjaciel z Argentyny, który odpowiedział na mój plan mniej więcej tak: jeśli musisz koniecznie znaleźć się w więzieniu lub w szpitalu, to najlepszym miejscem takiego pobytu jest twój własny kraj, ale chyba domyślasz się dla jakich gości. Jego odpowiedź nie zrobiła na mnie najmniejszego wrażenia, bo czułem się jednakowo daleki od wszystkich krajów świata. Później zrezygnowałem z tego biznes planu, gdy odkryłem, że to będzie gorsze niż praca w cegielni. Nad moim łóżkiem wisiła czysta kartka papieru, więc poprosiłem znajomego z Polski, aby napisał na niej po polsku słowa: Totalna Anarchia. Nie sądziłem w tamtym momencie, że dożyję trzydziestego piątego roku życia, czyli do 1988 roku, ale byłem w jakiś sposób wtedy szczęśliwy. Potem przyszedł rok 1981 i zanim się zorientowałem, wszystko się zmieniło. Roberto Bolaño (1953-2003), BLANES, Costa Brava, 2002 rok

[24.] KROKI NA SCHODACH. Skradając się, szliśmy do przodu. Do miejsca w jego pamięci, które oznaczało bliską przeszłość bez dostępu światła i wypełnioną materacami. Szare materace w czerwone i niebieskie pasy, które leżały w czymś, co wyglądało na korytarz lub na zbyt długą poczekalnię. W tym przypadku, jego pamięć pochylała się nad przeszłością, jak mężczyzna bez twarzy nad rozdziawionymi ustami pacjenta w fotelu dentystycznym. Gdzieś tam są domy i ulice schodzące do morza, brudne okna i cienie błądzące na schodach. Styszymy, jak ktoś mówi „dawno temu w południe”, jakieś światło odbijało się od centrum przeszłości, coś, co nie jest ani pustym ekranem, ani próbą pokazania obrazu. Pamięć powoli dyktuje bezgłośnie zdania. Wyobraźmy sobie, że to wszystko wydarzyło się tylko po to, aby uniknąć wpadki, jak pokrywająca terakotę na podłodze plama białej farby. Już dawno wspólna ucieczka zmieniła się w życie razem, co spowodowało, że zatart

się pierwotny sens tamtego czynu. Zniknął blask niedawnej przeszłości. Czy naprawdę to były tylko cienie na podestach? Czy naprawdę był tam garbus, ten humbak, wieloryb, który pisał świetne wiersze? (Ktoś bije brawo, ktoś głośno klaszcze.) „Wiedziałem, że tak będzie, gdy usłyszałem ich kroki na schodach”... „Zamknęłam oczy, widok broni nie pasował do rzeczywistości”... „Nie zadał sobie trudu, aby otworzyć im drzwi”... „Była druga w nocy i weszła blondynka, która wyglądała jak mężczyzna”... „Spoglądała na księżyc za firanką”... „Głupi uśmiech rozlał się powoli na jej twarzy, rozmazanej w białym świetle”... „Pistolet był tylko słowem”... „Zamknij drzwi, powiedziałam”... „To nie jest prawdziwy napad, to szantaż”...

[25.] MA TERAZ 27 LAT. Prawdopodobnie pierwsza scena: mężczyzna biegnie ścieżką przez las. Ktoś mignął w niebieskiej sypialni. On właśnie dzisiaj kończy dwadzieścia siedem lat i wsiada do autobusu. Pali papierosa, ma krótkie włosy, ubrany jest w dżinsy, ciemną koszulę, kurtkę z kapturem, dobre buty, nosi ciemne okulary, jak tajniak. Usiadł przy oknie; obok niego jakiś robotnik w drodze powrotnej z Andaluzji. Rozgląda się, jak kiedyś na dworcu w Saragossie, gdy wsiadając do pociągu, widział kłęby pary wokół kolan kolejarza na torach. Pali papierosa, kaszle, opiera czoło o szybę okna. Wydaje mu się, że chodzi po jakimś dziwnym mieście, z niebieską torbą w rękę, w naciągniętym na głowę kapturze, jest zimno, każdy jego oddech zamienia się w obłok pary. Robotnik zasypia z głową podpartą ramieniem. On znów zapala papierosa, rozgląda się, przymyka oczy. Następna scena jest pełna słońca i zimna, na ścieżce dźwiękowej słychać, jak ptaki uderzają skrzydłami. (On mówi: ja też jestem w klatce – to taki żart – gdy kupuje papierosy i oddala się od kamery). O zmierzchu siedzi na dworcu kolejowym, rozwiązuje krzyżówkę, czyta wiadomości ze świata, przegląda rozkłady lotów, zwilża usta językiem. Ktoś inny kaszle, jak on, w ciemnościach. Zimny, pogodny poranek za oknem hotelu. Znowu kaszle. Wychodzi na ulicę, zatrzymuje się, naciąga na głowę kaptur swojej niebieskiej kurtki, zapina w niej wszystkie guziki, oprócz tego ostatniego pod szyją. Kupuje paczkę papierosów, wyciąga jednego, zatrzymuje się na chodniku przed witryną sklepu jubilerskiego, zapala papierosa. Ma krótkie włosy. Chodzi z rękami w kieszeniach kurtki, papieros zwisa mu z ust. Kolejna scena to zbliżenie twarzy mężczyzny z czołem opartym na szybie okna. Reszta znika w tle, jak korytarze, które prowadzą donikąd. Szyba jest zamglona. Teraz ma dwadzieścia siedem lat i wsiadł z autobusu. Skierował się w dół opustoszałej ulicy.

[26.] WYJĄTKOWA CISZA. Niewyraźne sylwetki garbusa i policjanta zaczynają się rozchodzić w przeciwnych kierunkach. Scena jest przyciemniona i nieostra. W przestrzeni, której pamięć nie ogarnia, pojawia się świeżo ogolony mężczyzna z krótkimi włosami. Wszystkim znana jest jego bladeść i powolność ruchów. Jakiś głos mówi, że

Latynos nie zginął. (Przyjęto założenie, że obie postaci, tajemniczy garbus i zagadkowy policjant, muszą być Latynosami). Ma na sobie marynarską niebieską kurtkę, która kojarzy się z ostatnimi dniami jesieni. Najwyraźniej jest chory, na co wskazuje blada i wynędzniała twarz. Kadr dzieli się pionowo, dokładnie na środku. Latynos spaceruje po opustoszałej ulicy. Rozpoznaje autora, ale idzie dalej. Kadr nagle zmienia się tak, jakby przestało padać. W godzinach popołudniowych widać nakrapiane słońcem szare budynki. Asfalt ulic jest czysty i szary. Wiatr śmiga między szpalarami czerwonych drzew. Białe obłoki odbijają się w oknach biurowców, w których nikt nie pracuje. Ktoś drzemie potęgując ciszę. Szczyt góry widać na końcu ulicy. Niskie domy z czerwonymi dachówkami rozrzucone są wzdłuż zbocza; cienkie spirale dymu unoszą się z niektórych kominów. Powyżej jakiś zbiornik, mnóstwo ciężarówek, prowizoryczne latryny. W oddali, pracujący rolnik pochyla się nad czarną ziemią. Mężczyzna niesie paczkę owiniętą w poślótkę gazety. Niewyraźne głowy garbusa i policjanta znikają. „Latynos otworzył drzwi”... „W porządku, zabierz go stąd”... „Nie wiem czy dam radę wejść”...

[27.] PRZYPADKOWY SZOK. Anonimowa dziwka leżała pod prześcieradłem rozkładając nogi. Policjant obserwował ją obojętnie, już od dawna nie obawiał się ryzykownych sytuacji. Przypuszczał, że w majątkach ukrywała coś strasznego, fotografie ludzi, którzy nigdy się nie odnajdą, tak samo jak ich dokumenty. Więc zgasił światło i rozpiął rozpięty. Dziwka przymknęła oczy, gdy odsuwał od siebie jej twarz. Na poślądkach poczuła jego spodnie i chłód metalowej sprzączki od paska. „Padło jedno słowo”... Zakasłała... „Słowo na to wszystko”... „W tej chwili jedyne, co mogę powiedzieć, to nie bój się”. Obrazy wymuszone przemocą. Grzebał palcami w jej ustach, nic nie mówiąc, nie mogła nawet westchnąć. Był blisko, tuż za nią, omoł jej głowę prześcieradłem. Sondował jej tyłek palcem wskazującym i środkowym, masował zwieracz, a ona bezdźwięcznie otwierała usta. (Myślę o korytarzu pełnym ludzi pozbawionych warg, powiedział, myślę o starcu, który twierdził, że wszystko będzie dobrze.) Wepchnął palce, aż do końca, dziwka jęknęła i uniosła zadek, poczuł, że czubki jego palców muskają coś, co natychmiast skojarzył ze słowem stalagmit. Potem pomyślał, że to może być stolec, ale kolory tego czegoś, czego dotykał, migotały zielono i biało, jak w głębi andyjskiej jaskini w Puerto Rio Tranquilo, potwierdzając pierwsze wrażenie. Dziwka jęknęła ochryple. Przyszedł mu na myśl komunikat „Anonimowa dziwka zginęła w metrze” i wyjął palce z tyłka, ale tylko na centymetr. Potem wsunął je tam ponownie, a wolną ręką chwycił kark dziwki. Rytmicznie wsuwał i wysuwał palce. Gdy je wciskał do tej kobiecej świątyni, pomyślał, że wchodzą tam i wychodzą zupełnie beznamietnie, w sposób pozbawiony całej tej literackiej otoczki, która od zawsze uparcie wmawia, że jest w tej czynności coś więcej niż dwa grube palce zanurzone w dupie zwykłej dziwki. Myślał o słowach ze stacji metra. Nikogo tam nie było. Policjant zmruczył oczy. Pomyślał, już nie pierwszy raz, że przecież niczym nie ryzykuje. Dziwka pocita się obficie i delikatnie poruszała udami. Jej poślądky były mokre i czasem drżały. Nagle policjant wstał, podszedł do okna, patrząc przez szybę, przygryzając zębami koniuszek języka. Słowo zęby zaczyna pojawiać się coraz częściej. Starzec także zakaszał po tym, gdy stwierdził, że wszystko będzie dobrze. Włosy dziwki rozsypany się na poduszce. Policjant wrócił i dosiadł ją, ale zanim się w niej

zanurzył, chyba coś szeptał do jej ucha. Był pewny, że dziwka zacznie wtedy krzyżeć. Obrazy przemieszczają się w zwolnionym tempie. Policjant próbuje zagotować wodę. Zamyka drzwi do łazienki. Światło w łazience tagodnie przygasa. Dziwka siedzi w kuchni, łokcie oparta na kolanach, odpoczywa. Pali papierosa. Policjant, fałszywy policjant, pojawia się w zielonej piżamie. Woła ją z przedpokojem, prosi, żeby podeszła do niego. Dziwka odwraca głowę w stronę drzwi. Widzi, że nikogo tam nie ma. W kuchennym bufecie otwiera szufladę. Coś w niej błyska. Wtedy dziwka zamyka drzwi.

[28.] PUSTE MIEJSCE OBOK. „Miał białe włosy, a może były siwe”... „Myślałem o mojej sytuacji, znowu byłem sam i próbowałem zrozumieć dlaczego”... „Ten chudy mężczyzna jest teraz obok cię, robi zdjęcia”... „Wiem, że w pobliżu jest coś do wynajęcia, ale ja nie wiem gdzie”...

[29.] COŚ ŻŁOTEGO. Anglik dostrzegł go poprzez krzaki. Ten FACET właśnie odchodził stąpając po sosnowych igłach. Była chyba godzina ósma, bo słońce zachodziło na wzgórzach. Anglik odwrócił się i zawołał coś do niego, ale mężczyzna niczego nie słyszał. To wydarzyło się w kilka dni po tym, jak po raz pierwszy odezwały się cykające świerszcze. Anglikowi drżały usta, docierało do niego tylko odgłos kołysanych wiatrem gałęzi. FACET przystanął, może bolała go noga, szukał papierosów w kieszeni kurtki. To była dżinsowa kurtka, stara i wyblakła. Spodnie miał szerokie i ciemnozielone. Usta Anglika wciąż drżały. Zauważył, że oczy tego FACETA były zamknięte. Lecz nagle spojrzał na swoje paznokcie: były brudne. Anglik miał na sobie białą koszulę i spodnie, które wyglądały na jeszcze starsze od niego. Pnie sosen pokrywały brązowe łuski, które stawały się żółte, kiedy padał na nie promień światła. W oddali, tam gdzie kończyły się szeregi sosen, stał wrak samochodu i kilka rozpadających się cementowych ścian. FACET miał duże i mocno postrzępione paznokcie, prawdopodobnie wskutek ciągłego obgryzania. Wyjął zapałki i zapalił papierosa. Anglik był zaskoczony, tym co widział. FACET potknął się wyginając nogę, a potem uśmiechnął się. Nagle pojawiło się coś złotego. Żółty błysk. W raporcie policji ten FACET został opisany jako garbaty włóczęga. Od kilku dni przebywał w lesie. W pobliżu było pole namiotowe, ale FACET nie miał na to pieniędzy, więc przychodził tylko od czasu do czasu na kawę do restauracji. Jego namiot znajdował się w pobliżu kortu tenisowego i boiska do piłki ręcznej. Czasami podchodził i przyglądał się grającym tam ludziom. Wchodził od tyłu, ścieżką, którą dzieci wydeptały w wysokiej trawie. Nie ma żadnych informacji o Angliku. Możliwe, że FACET sam go wymyślił.

[30.] SANITARIUSZ. Szalony chłopak. Właściwie chciałem tylko powiedzieć, że jeśli go już poznałeś, to nie mogłeś przestać o nim myśleć. Sierżant podszedł do zwłok porzuconych w parku. Zauważył ludzi wyglądających przez okna. Razem z nim, wolnym krokiem, nadszedł sanitariusz. Zapalili papierosa. Medyk zmruczył oczy i zapytał, czy w końcu mogą zabrać to cholerne ciało. Ziewnął, wyrzucił zapałkę. „Nie mam pojęcia w jaki mieście się znajduję”... „Zawsze widzę na ekranie obraz tego idioty”... „Zawsze błaznuje na skraju piekła”... „Zawsze stuka chudymi palcami w moje ramię, żeby zapytać czy może wejść”... Medyk splunął. Miał ochotę pierdnąć. Zamiast tego ukląkł przy zwłokach. Ludzie siedzieli w ciemnych oknach, rozebrani, wsparci na łokciach. Mi-

nęto już trochę czasu, więc nie odczuwali jakiegokolwiek realnego zagrożenia. Pisarz, myślę, że chyba był Anglikiem, przyznawał się garbusowi, temu wielorybowi, jak mu ciężko coś napisać. Wszystko, co mogę wymyślić, to chaotyczne zdania, powiedział, może dlatego, że rzeczywistość wydaje mi się jak rój zabłąkanych zdań. Bezdonna samotność musi być czymś takim, powiedział garbus, ten wieloryb. „Dobrze, zabierzmy go”...

[31.] BIAŁA CHUSTECZKA. Spaceruję po parku, jest jesień. Wygląda na to, że ktoś tutaj zginął. Do wczoraj myślałem, że byłem zakochany i moje życie może być inne. Zatrzymuję się przy fontannie, jest ciemno, powierzchnia wody błyszczyci, ale kiedy przeciągam po niej dłonią, czuję, jak bardzo jest szorstka. Stąd obserwuję, jak stary gliniarz idzie alejką chwiejnym krokiem. Wieje zimna bryza, wywołując gęsią skórę. Policjant klęka przy ciele ofiary, znudzonym gestem zakrywa jej oczy lewą ręką. Stado szpaków krąży nad głową policjanta, po czym znika. Policjant przeszukuje kieszenie ofiary i układa to, co znalazł, na białej chusteczce, którą rozłożył na trawie. Wydaje mi się, że ciemnozielona trawa chciałaby jak najszybciej wchłonąć ten biały kwadrat. A może to ciemne, stare papiery, które policjant układa na chusteczce sprawiają, że myślę w ten sposób. I postanawiam usiąść na chwilę. Ławki parkowe też są białe, mają nogi z czarnego kutego żelaza. Ulicą przejeżdża radiowóz. Zatrzymuje się. Wsiada z niego dwóch policjantów. Jeden z nich kieruje się do miejsca, gdzie przykucał stary gliniarz, drugi czeka przy samochodzie i zapala papierosa. Chwilę później bezszelestnie pojawia się karetka i parkuje za radiowozem. „Nic nie widziałem, nic”... „Martwy człowiek w parku”... „Stary glina”...

[32.] ZADZWON PO WŁADZE. Robił obchód starego miasta w Barcelonie. Miał na sobie długi, wytarty płaszcz, pachniał spalonym tytoniem fajkowym i prawie zawsze zdarzało się, że widział najbardziej niezwykle sceny z kilkuminutowym wyprzedzeniem. Mówiąc inaczej, zanim na ekranie błysnęło słowo tak niezwykle, żeby mogło się pojawić. „Chciałbym zamienić z tobą słowo na osobności” – mówił. Ulica równoległa do Paseo Marítimo w Castelldefels. Robotnik idzie chodnikiem, ręce ma w kieszeniach, rytmicznie zaciąga się papierosem. Puste domy, zamknięte drewniane okiennice. „Powoli zdejmij swoje ciuchy, nie będę patrzeć”... Ekran telewizora otwiera się jak mata. Pamiętam, że kiedyś czytałem wypowiedź pewnego Anglika, pisarza, który przekonywał, jak trudno mu było podczas pisania zachować spójność czasów. Używał przy tym słowa „cierpieć”, aby nadać sens swoim pisarskim zmaganiom. Pod płaszczem nie miał nic, może słaby powiew zgubionego VW garbasa, kontemplację żydowskiej dziewczyny, wyrzuconej z mieszkania na Calle Tallers (chudy Alan Monardes potykał się w ciemnym korytarzu), jak innych bohaterów zimy, którzy stopniowo znikają w przeszłości. „Ale napisz, Montserrat, a będziesz mógł przez to przejść”... Zdjął wreszcie płaszcz, wzięł ją w ramiona, a następnie uderzył. Jej sukienka opadła w zwolnionym tempie na jej futro i jego płaszcz. Tak po prostu podeszła do niego na czworakach i zaoferowała mu swój tyłek. Widziałem to wszystko z sąsiedniego pokoju przez dziurę w ścianie, którą ktoś wywiercił w tym celu. Oparł swojego zwiotczałego penisa na jej poślądkach. Beztrosko zerknął w bok. Z jednej strony widział, jak deszcz ścieka po oknach. Na ekranie miga słowo „nerw”. ➔

Potem „gaj”. Potem „opuszczona”. A później drzwi się zamykają.

[33.] RUDZIELEC. Miała osiemnaście lat i była zamieszana w handel narkotykami. Wtedy widywałem ją wiele razy, ale gdybym miał teraz dla policji naszkicować jej portret, nie sądzę, żebym mógł to zrobić. Tak, znam ją, miała orli nos i przez kilka miesięcy była ruda. Słyszałem jej śmiech, raz czy dwa, z okna restauracji, gdy czekałem tam na taksówkę lub po prostu przechodziłem obok w deszczu. Miała osiemnaście lat i raz na dwa tygodnie kładła się do łóżka z policjantem z Wydziału Narkotykowego. W moim śnie widziałem, że nosi dżinsy i czarny sweter, i kilka razy odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, śmieje się wtedy głupim śmiechem. Policjant położył ją na czworakach i sam uklęknął przy wylocie. Wibrator był wyłączony, ale i tak go potem podłączył do elektrycznego gniazda. Światło lampy przefiltrowane przez zieleń zastan, ona śpi z rajstopami wokół kostek, twarzą w dół, włosy zakrywały jej twarz. W następnej scenie widzę ją w łazience, przegląda się w lustrze, potem mówi dzień dobry i uśmiecha się. Była słodką dziewczyną i nie była w stanie uniknąć pewnych zobowiązań. Mam na myśli to, że czasami próbowała się rozweselić lub pożyczycie pieniądze. Przynajmniej gliniarz miał ogromnego kutasa: był kilka centymetrów dłuższy niż dildo, a on prawie nigdy jej tym kutasem nie pieprzył. Chyba tak mu się podobało. Patrzyła ze łzami w oczach na jego wyprostowanego kutasa. Obserwowała go z łóżka... Paliła papierosa Camel Lights i może w pewnym momencie wyobraziła sobie, że meble w pokoju, a nawet jej kochanek, to były tylko puste rzeczy, którym musiała nadać znaczenie... Scena zabarwiona na fioletowo: zanim się skrupuje rajstopami, opowiada mu o swoim dniu... „Wszystko jest obrzydliwie nieruchome, zamrożone gdzieś w powietrzu.” Lampa w pokoju hotelowym. Ma wzorzysty wzór, ciemnozielony. Występiony dywan. Dziewczyna na czworakach, która jęczy, gdy wibrator wchodzi w jej kuciapkę. Miała długie nogi, osiemnaście lat, w tamtych czasach była zamieszana w handel narkotykami i dobrze sobie radziła, nawet otworzyła rachunek bieżący i kupiła motocykl. Może się to wydawać dziwne, ale ja nigdy nie chciałem się z nią przespać. Ktoś nadawał owacyjne oklaski z ciemnego kąta. Policjant przytulił się do niej i wziął ją w ramiona. Potem wprowadzała go w swoje kroczki i mogła spędzić godzinę lub dwie na zdejmowaniu go z siebie. Tej zimy nosiła czerwony wełniany płaszcz, długi aż do kolan. Mój głos zanika, jakby spadały drzazgi. Była po prostu smutną dziewczyną, jak sądzę, zagubioną teraz wśród tłumów. Spojrzała w lustro i zapytała: „Czy zrobiłeś dzisiaj coś miłego?” Policjant z Wydziału Narkotyków odchodzi wzdłuż modrzewiowej alei. Jego oczy były martwe, czasami widywałem go w snach, siedzącego w poczekalni dworca autobusowego. Samotność jest naturalnym aspektem życia człowieka, tak jak egoizm. Pewnego dnia osoba, którą kochasz robi to i powie, że cię nie kocha, a ty nie będziesz mógł tego zrozumieć. To mi się właśnie przydarzyło. Ja lubiłem, kiedy mówiła mi, jak ją znosić, kiedy mi jej brak. Nic nie powiedziała. Tylko ludzie pełni nowych pomysłów przeżywają. W moim śnie chudy staruszek Bum podchodzi do policjanta, aby poprosić o ogień. Kiedy policjant sięga do swojej kieszeni po zapalniczkę, wtedy włóczęga wbija mu nóż pod żebra. Policjant upada nie wydając dźwięku. (Siedzę nieruchomo w moim pokoju w Distrito V, dookoła wszystko porusza się, ale nie moje

ramię, którym nie mogę podnieść papierosa, nie moje usta.) Teraz kolej na nią, aby się zgubić. W lusterku wstecznym samochodu przepływają twarze nastolatków. Nerwowo tik. Szczelina, połówka, pół kawy, ślina na dolnej wardze. Ruda odjeżdża motocyklem w dół ulicy wysadzonej drzewami... „Obrzydliwie cicho”... „Mówi we mgle: już dobrze, zostaję z Tobą”...

[34.] RAMPY STARTOWE. To scena złożona z kwadratów, nic więcej. Na ekranie oni siedzą przez cały dzień, jak na nieruchomej fotografii. Robi się ciemno. W oddali widać skupisko domów wśród dymów, które zaczynają się sączyć z kominów. Domy stoją w dolinie otoczonej brązowymi wzgórzami. Kwadraty dachów stoją się wilgotne. Z ich krawędzi spływa rodzaj śluzowatego potu. Teraz jest już środek nocy; u podnóża jednego ze wzgórz robotnik zakopuje paczkę zawiniętą w gazetę, a w niej widać tytuł: na przedmieściach Barcelony znajduje się niebezpieczny plac zabaw, jak pole minowe. Na jednej z fotografii, ilustrującej ten artykuł, widać zjeżdżalnię, która stoi kilka metrów od przepaści oraz dwoje dzieci szujących się do zjazdu. Powrót do kwadratów. Ich powierzchnia zmieniła się w coś, co niejasno przypomina atramentowe plamy z projekcyjnego testu, wynalazku szwajcarskiego psychiatry Hermanna Rorschacha, który przeprowadzano w komisariacie. Śliniacy się mężczyzna, oddychający z trudem, patrzy na te plamy, próbując rozpoznać domy, wzgórza, ślady stóp, robotnika zanikającego w brzoje i sepia ciemności. Teraz kwadraty migoczą. A policjant w cywilu idzie wąskimi, opustoszałymi korytarzami. Otwiera drzwi. Za nim widać krajobraz ramp startowych w ujeżdżalni koni. Kroki policjanta odbijają się echem w ciszy dziedzińca. Drzwi się zamykają.

[35.] SZPITAL. Dziewczyna waży teraz 27 kilogramów. Jest w szpitalu i wygląda na to, że traci grunt pod nogami. „Zniszcz te swoje bezpieczne frazy”... Nie mogłem zrozumieć, co miała na myśli, pojąłem to dopiero znacznie później. Moja uczciwość i pilność została poddana w wątpliwość: powiedziałem, że spałem, kiedy pełniłem służbę wartowniczą. Prawdę mówiąc, kogoś tam jeszcze szukali i tak się złożyło, że pojawiłem się w niewłaściwym miejscu i czasie. Dziewczyna waży teraz 27 kilogramów i prawdopodobnie nie wyjdzie żywa ze szpitala. (Ktoś owacyjnie klaszcze. Korytarz jest pełen ludzi, którzy otwierają usta bez dźwięku.) Dziewczyna, którą znam, a której nie pamiętam, każda może mieć taką twarz, powiedziałem. Na ekranie widać ulicę, przez którą zaraz przejadzie pijany dzieciak, nagle pojawia się autobus. Sufler powiedział: „Sara Bendeman?” Nadal nie mogłem zrozumieć cokolwiek z tego, co się stało w tym czasie. Jedyne, co pamiętam, to chudą dziewczynę z długimi piegówymi nogami, gdy rozbięła się na brzegu łóżka. Scena trwa w słabo oświetlonej alei: czterdziestoletnia kobieta pali papierosa na czwartym piętrze, opierając się o parapet. Po schodach wchodzi dyszący policjant w cywilnym ubraniu, jego rysy twarzy były takie same jak moje, gdy przedawkowałem kortyzon. (Jedyna osoba, która jest oklaskiwana, zamyka teraz oczy. W jego mimice coś nabiera kształtu, tamto coś może być szpitalem, jeśli cierpienie jest sensem życia. W jednym z pokoiów znajduje się dziewczyna w łóżku. Zastany w oknie są odsłonięte, a światło wpada do środka.) „Zniszcz te swoje obłąkane frazy”... „Policjant wchodzi po schodach”... „W twoim śnie spójrz, nie ma garbusa, nie ma Żydówki, żadnego zdrajcy. Ale wciąż możemy nalegać”...

[36.] LUDZIE KTÓRZY ODCHODZĄ. Nic nie trwa wiecznie, a pełne miłości gesty dzieci wpadają w próżnię. Napisalem: „grupa kelnerów wracających do pracy”, „smagany wiatrem piasek”, „brudne szyby okien we wrześnie”. Teraz mogę odwrócić się do nich plecami. To garbus, wieloryb, jest Twoim przewodnikiem, a nie światło. Białe domy rozsiane po całej okolicy, aż do zbocza góry. Opustoszałe autostrady, piski ptaków na drzewach. Czy zrobiłem dla niej wszystko? Czy pocałowałem ją, kiedy ona tego chciała? A może przestałeś oczekiwać pocałunków? (Kilka kilometrów stąd ludzie wiwatują i dlatego czuję taką rozpacz.) Wczoraj śniło mi się, że żyłem w wydrążonym drzewie – wkrótce drzewo zaczęło się kręcić jak karuzela i czułem się tak, jakby ściany zamykały się wokół mnie. Wtedy obudziłem się, a drzwi bungalowu były uchylone. Twarz garbusa lśniła w świetle księżycy... „Samotne słowa, jak ludzie, odchodzą w odosobnieniu, a ich dzieci są jak dziuple w drzewach”... „Nie ważne gdzie pójdziesz”... Zatrzymałem się przy tych pieprzonych „samotnych słowach”. Niezyscyplinowane, chaotyczne to moje pisanie. Za głodową pensję pracowało tutaj mniej więcej czterdziestu ludzi. Andaluzjczyk śmiał się głośno, czytając gazetę każdego ranka. W sierpniu powiększy się tarcza księżycy. We wrześniu będę sam. W październiku i w listopadzie zbiorę ananasy.

[37.] TRZY LATA. Jedyna i niezmienna prawda jest jak ta rudowłosa dziewczyna, która obserwuje nas zza końca płotu. Bruno rozumiał to tak samo jak ja, więc po prostu zajmował się różnymi sprawami. Policjanci są zmęczeni, brakuje benzyny i tysiące bezrobotnych młodych ludzi wędruje ulicami Barcelony. (Bruno jest w Paryżu i gra na saksofonie gdzieś pod Centrum Pompidou, jak mówi, i nie ma teraz dziewczyny.) Powłócząc nogami, czterech lub pięciu kelnerów zbliża się do chaty, w której śpią. Jeden z nich pisnął wiersze, ale to było dawno temu. Kiedyś powiedział: „Ja nie mogę być pesymistą ani optymistą, wszystko jest wyznaczone przez puls nadziei, który manifestuje się w tym, co nazywamy rzeczywistością.” Nie mogę być pisarzem science fiction, ponieważ z mojej niewinności prawie nic nie zostało, a jeszcze całkiem nie zwariowałem... Słowa, których nikt nie wypowiedział, których nikt już nie oczekuje, aby zostały wymówione... Są jak ręce w trakcie precyzyjnej fragmentacji: to jest pisanie kradzione tak samo jak miłość, jak przyjaźń, jak powtarzające się sceny koszmarów, w których kradnę na odległość... Czasem mam wrażenie, że to wszystko jest tak „wewnętrzne”... Może dlatego mieszkam sam i niczego się nie dorobiłem przez trzy lata... (Mężczyzna prawie nigdy się nie mył, nie potrzebował maszyny do pisania, wystarczyło, że siedział w obскурnym hotelu, z którego mógł wstać i uciec, gdy tylko chciał...) Czy to był zaskakujący wieczór dla garbusa? Czy to twarze policjantów były o centymetr od jego nosa? Czy to deszcz naprawdę zmył i oczyścił szyby?

[38.] PISTOLET W USTA. Ekran pełen blond włosów. Za nim garbus rysuje baseny, podmiejskie miasta, pustą ulicę. Takt lub uprzejmość wynika z właściwego zachowania się w każdej sytuacji. Garbus rysuje osobę o życzliwej twarzy. „Leżałem na plecach w łóżku i słyszałem jak świerszcze ćwierkają, a ktoś cytował Cesara Manrique”. Piszę pod uschniętymi drzewami sierpnia, aby zrozumieć ciszę, a nie po to, aby kogoś zadowolić. Co za miła osoba! Niezależnie od tego, czy jest to sztuka, czy pięć mi-

nuć przygody chłopca wbiegającego po schodach. „Moje odejście umknęło oku autora”. Jakież ach, i och, i pocztówki ze lśniącego miasta. Garbus schodzi w dół pustego basenu, siada w najgłębszym miejscu i zapala papierosa. Cień chmury przechodzi nad nim, pająk zatrzymuje się przy jego paznokciu, a on wypuszcza dym. „Rzeczywistość jest przeszkodą”. Przypuszczam, że wszystkie filmy, które widziałem, pozostaną takie same, ale nie będą nic warte dla mnie, gdy umrę. Pomyłka. Będą coś warte, uwierz mi. Nie przestawaj chodzić do kina. Sceneria opustoszałego przedmieścia, stare gazety gnane wiatrem, zaschnięty kurz na ławkach i oknach restauracji. Już od dawna prowadzę tę wojnę we mnie i dlatego wewnętrznie ona mnie już nie dotyczy – napisał Paul Klee. Czy to było w Meksyku, gdy pierwszy raz zobaczyłem garbusa? Czy to Gaspar opowiadał historie o gliniarzach i rabusiach? Przyłożył mi pistolet do warg i zacisnęli mu nos... Musiał otworzyć usta, żeby oddychać, a potem wepchnęli łufę w gardło... Na środku czarnej koszuli zrobiła się czerwona plama... Myślę, że w tym momencie powiedział: o, cholera, albo mama, sam nie wiem...

[39.] WIELKIE SREBRNE FALE. Cudzoziemiec tutaj został. Ten namiot, który tam widzisz, to był jego namiot. Wejdźmy do środka. Spędził dużo czasu pod tym drzewem, rozmyślając, chociaż to wyglądało, jakby był martwy. Stąd gdzie teraz stoimy, widać było jego spoconą twarz. Na jego brodzie tworzyły się duże krople, aż kapotało na trawę. A tutaj, wyobraź sobie, spał godzinami w chwastach, jak trup. Facet wszedł do baru i wypił piwo. Zapłacił francuskimi pieniędzmi, frankami, schował drobne do kieszeni, nie licząc ich. Mówił doskonale po hiszpańsku. Miał ze sobą ten aparat fotograficzny, policja uznała to za dowód. Poszedł dalej plażą wieczorem. W tej scenie plaża wygląda blado, blado-żółto, jak wyblakłe złote plamy. Upadł na piasek, jak martwy człowiek. Jedynie na ścieżce dźwiękowej był suchy, obsesyjny kaszel kogoś, kogo nigdy nie widziałem. Duże srebrne fale, bosy facet stojący na plaży i kaszel. Dawno temu też byłeś szczęśliwy w takim namiocie? W jakimś zakątku jego pamięci jest scena, w której leży na brązowym ciele dziewczyny. Jest noc nad opuszczonym terenem kempingu, gdzieś w Portugalii. Dziewczyna leży na brzuchu, a on wchodzi i wychodzi z niej, gryząc ją w szyję. Potem ją przewraca. Ona podnosi nogi i kładzie na jego ramionach, jedną, a potem drugą. Godzinę później znowu jest już na niej (lub, jak mówi Alfons Conde del Asalto: „Łam, bam, bum, bam, ileś razy wtałem i tak w nieskończoność.”) Nie wiem, czy mówię o tej samej osobie. Jego aparat fotograficzny jest jednym z dowodów, który teraz leży schowany w szafce i może nikt o tym nie pomyślał, aby wywołać film. Niekończące się korytarze, koszmar nocy, po których kroczy gruby technik Wydziału Zabójstw. Czerwone światło jest już włączone, możesz wejść. Twarz policjanta relaksuje się w uśmiechu. Na końcu korytarza pojawia się sylwetka kolejnego policjanta. Przemierzając przestrzeń, która oddziela go od kolegi z tyłu, obaj znikają. Zrobiło się pusto, szaro, korytarz drży, a może puchnie. Następnie pojawia się znowu sylwetka policjanta. Ale z drugiego końca korytarza. Zbliży się powoli, aż znajdzie się na pierwszym planie, pauza. W tle pojawia się inny policjant. Jakiś cień porusza się w kierunku tamtego policjanta. Obydwaj znikają. Uśmiecha się, bo technik z Wydziału Zabójstw ma już swoją opinię o tych scenach. Grube policzki spo-

ciły się. Na zdjęciach nie ma nic. (Stłumiona próba oklasków.) Nic nie można zobaczyć. „Zadzwonić do kogoś, zrobić coś”... „O kurwa, kaszel odbija się echem po plaży”... „Namiot pełen pajęczyn”... „Wszystko jest rozbite”... „Jakieś twarze, beładne sceny, to koniec, kapu!”...

[40.] HARLEYOWCY. Wyobraź sobie taką sytuację: bezimienna dziewczyna ukrywa się na podeście zabytkowego, słabo oświetlonego budynku z windą otwieraną rozsunięciem składanej kraty. W drzwiach wejściowych mężczyzna około czterdziestki szepcze konfesyjnym tonem, że on też jest ścigany przez Colan Yara. Na filmie brązowo-czarny kadr startowy znika prawie natychmiast, ustępując miejsca rozległej panoramie sklepów z wielokolorowymi dachami. Dalej stoją ciemnozielone drzewa. Nad nimi widać zachmurzone czerwone niebo. Czy było tam dziecko, które spało wtedy w namiocie? Urojony Colan Yar, radiowozu zaparkowane przed wciąż tłoczonymi się zgłuszczeniami budynku, dwudziestoletni przestępca? Słychać słowa: „Oto całe gówno świata” lub: „Na tym kempingu spędzili ostatnie chwile w drodze do Czyścica”. Suchymi, drżącymi rękami odsunął zasłony. Pod oknem harleyowcy zwiększali obroty silników w swoich cruiserach, a potem nagle je gasili. Szepnął „tak bardzo daleko” i zacisnął zęby. Obfite blondynki – młode kobiety z Andaluzji, pewne swego seksapilu – była wśród nich ta bezimienna dziewczyna, z ustami wąskimi, jak gilotynowe ostrza, przechodząca z przeszłości w przyszłość, jak zbliżenie twarzy z niemego filmu. Wyobraziłem sobie moje ciało wyrzucone

na pobocze drogi, zaledwie kilka metrów od pierwszych domów miasta. Obozowicz, który spacerował bez celu, znalazł mnie i był tym, który wezwał policję. Dlatego teraz, stojąc pod zachmurzonym niebem, jestem otoczony przez mężczyzn w niebiesko-białych mundurach. Przez zgrają przypadkowych towarzyszy sensacji i tabloidowych fotoreporterów. To żołnierze Guardia, lub może po prostu turyści, dla których fotografowanie zwłok stało się kolekcjonerskim hobby. Gapię i dzieci. To nie jest raj, ale całkiem do niego blisko. Dziewczyna schodzi powoli po schodach. Otworzyłem drzwi do biura i zbiegłem na dół. Na ścianach widziałem wściekłe wieloryby, coś jakby niezrozumiały alfabet. Oprzytomniałem, słysząc hałas z ulicy. Po przeciwnej stronie chodnika jakiś mężczyzna krzyczał i płakał, dopóki nie przyjechała policja. „Po prostu jakieś ciało pod miastem”... „Harleyowcy zniknęli na autostradzie”... „Już nikt nigdy nie zamknie tego okna”...

KONIEC CZĘŚCI 2

ROBERTO BOLAÑO

Przełożył z j. hiszpańskiego Grzegorz BAZYŁAK

Pierwsza część powieści „AMBERES” Roberto Bolaño została opublikowana na łamach pisma „Migotania”, 3(84) 2024, s. 61-65.

Podstawa przekładu:

Roberto Bolaño, „AMBERES” (tercera edición), Penguin Random House Grupo Editorial, Debosillo, Barcelona, 2023, s. 9-11, 47-78, ISBN 978-84-663-3791-5



Jan Stanisław
Smalewski

Migotania

Co mam myśleć o tym wszystkim czego nie ma
a było wokół mnie
co wnikało przez pory skóry do środka
docierało do zmysłów do serca
wraz z powietrzem razem z kolorami lata
z zapachami wszystkich traw
miękkością tymotki i ostrymi żdźbłami turzyc
z łżejszymi od wiatru piórkami dmuchawców

i z tyloma niezliczonymi migotaniami barw istnienia

Co mam teraz po latach trwania w tym cudownym świecie
wypełnionym radością z życia istot mi przyjaznych
powiedzieć synowi który oczekuje na wskazówki
córkom ciekawym jak omijać niebezpieczne rewiry
wnukom które by chciały dowiedzieć się ode mnie
czy jeszcze jest gdzie eksploatować dobro i miłość

co im powiedzieć
jakich rad udzielić zabłąkanemu wędrowcowi

Każda droga niewiadoma każde losy niepewne
wszystko w tej podróży na rachunek jednej życiowej przygody
każda rada wszystkie wskazówki bez znaczenia
jeśli nie połączysz ich trwale z życiem innych
masz tylko jedną łódź
jednego konia jedno wiosło i lejce
i tylko szacunek dla słów: kocham życie
pozwoli ci szczęśliwie dotrzeć
gdzie linia ziemi przenika niebo

a niebo staje się kolejną niewiadomą

Już jesień

To już jesień i nic na to nie poradzisz
Dojrzałość liści przesycają brązy
Owoce ciężą
niedługo oblecą
lub ptaków głodnych staną się pokarmem

Już jesień Kończy się horyzont
w pobliżu ulicy mokrego ogrodu
i niebo coraz to bardziej się zniża
ku chłodnym dłoniom
stopom co za słońcem nie chcą
już gonić

Wypisują ją nici babiego lata
wykreślają barwy znikającej tęczy
wyznaczają daty ptasich odlotów
wydzwanianą drogową trakty
kołami toczących się złotych snu obręczy

Chłód wilgoć i stłumione echa
i nagle ściana i nic poza nią
jak śluza na rzece zastawiony szlaban
Zamknięte słowem słoneczne przestrzenie
i cisza
tylko cisza nad życia przystanią

Portret kobiety o poranku

Kwiat wiosnę utrwała, a poranek słońce
Szybko jednak z gałęzi obsypują się płatki
Rodzi się owoc zaczyna się życie
kobiety o poranku – matki

Zbudziło ją słońce i płacz dziecka
Nikt nie przyniósł jej szkarłatnej róży
i kawy do łóżka
Jeśli biega po rosie boso i słucha słowika
to tylko w marzeniach
Może śni o tym oglądając dorywczo
o miłości ulubiony serial

Poeta próbuje wiersz dla niej napisać
lub może piosenkę zaśpiewać
jak ona dla dziecka śpiewa kołysankę
jak nuci by łez nie pokazać
gdy nadchodzi smutek
- Próbuje ofiarować jej uśmiech
na zmęczonej twarzy

Kobieta o poranku śpieszy się do pracy
karmi swoje latorośle odprowadza je do przedszkola
posyła do szkoły Czeką aż los się odwróci
a dzieci się wykształcą na porządnym ludzi
Może wtedy zjawi się rycerz na białym koniu
przywiezie jej miłość
zabierze ją na zagraniczną wycieczkę

Może ten portret w drewnianej ramie poranka
wreszcie przestanie ją więzić

Portret mojej matki porą wieczorową

Co wtedy robi, gdy zmrok nadciąga, widać
nad lasem pasma krwawej zorzy. Kot u jej kolan
przeciąga się leniwie, a pusta szklanka
o herbatę prosi. Nie ma już męża i najstarszej
córkę, z którą by codzienny odmówiła pacierz.
Jest on - dzień, co się chyli ku wieczorowi,
ku wszechobecnej, ku odwiecznej ciszy.

Nie ma wiewiórek, co biegały w parku,
ani skowronka, co śpiewał nad miedzą. Nie ma
pachnącej letnim kwiatem łąki, ani łanów
pszenicznych, co pachniały chlebem.
Jest tylko ławka, gdzie nikt nie siada, nad którą
tylko czasem ptak przeleci. Ciepły pled,
podnózek i wysłużona laska.
Jest tylko tęsknota za tym co odeszłe.

Przemijanie

Dokąd prowadzi ten trakt wyboisty? Dokąd
podąża ten zapomniany szlak? Pędziliśmy na oślep,
mijaliśmy wszystkich. Olimp nam się zdawał
celem ponad każdy inny. Cośmy osiągnęli,

gdy skończył się nasz czas? Czym nas udekorowano,
kto zapłacił za wszystko? Warto było zwyciężać,
pokonywać innych? A może lepiej by było tak
jak inni oglądać to wszystko i brawo bić tylko,

z trybun obserwować, z balkonów, z ulicy?
W głównym nurcie płynąć, odbijać się od dna,
by prądy nie zniosły nas na mielizny. Uważać
i cieszyć się wszystkim, co życie nam da.

Porażki też dane były naszym bliskim. Ile teraz
znaczą te wszystkie odpryski? Ile ważą te troski
gubione co dnia? Dopłynęliśmy do kresu drogi,
dobiliśmy. Czeką tam na nas kto? Czy to tylko mgła?

W samotności

Wychłodło moje mieszkanie, serce wychłodziło,
pamięć zawodzi, jak to zwykle jesienią.
Wiatry z północy ciągną stada chmur. Gdzieś
pod nimi słońce – pamiętam, że było.

Sezon na słoneczną pogodę kończy się zbyt szybko.
Sezon na utraty trwa jak zwykle dłużej.
Utraciłem miłość, pogodę i wiarę.
W rozproszeniu trwają gdzieś jeszcze przez chwilę.

Miłość oblepiła wszystko słodyczą jak miodem,
by potem z scukrzenia zamienić się w wino,
upajać nostalgią, dręczyć co by było?
Pogoda na miłość, pogoda na pamięć i trwałość.

Kiedy już zwietrzały dni moje i lata,
skruszały żale, zatraciły się smutki, kiedy się wiara
wypaliła we mnie, jaki wiersz mogę dać wam
ja zapomniany, ja stary – malutki?

Pytanie do Boga

Wierzyłem w Człowieka. Z wiarą trwałem długo.
Niosłem ją przez życie jak ciepły dar Boga.
Ogrzewała moje myśli, czyny i me dzieła.
Czy coś z niej zostało, gdy skończyła się pogoda?

Pogoda na wiarę - wszyscy ją niesiemy.
Podążamy w przyszłość, jakby w jedną stronę,
ale wiara pęka, ucięta nożem jak pajda chleba,
czerstwieje, wysycha, karmi dzikie zwierzęta.

Człowiek - co z nim się stało, że gubi się w sensie,
że traci się w bycie i ginie w przyszłości?
Ziemia – już jej nie kocha. Nie szanuje życia?
Skazany na małość, stacza się w przepaść.

Zaduszki

Ciężka ta ziemia, trudno po niej chodzić,
gdy ciężar ciszy przygniata boleśnie.
Gdy ciężkie łzy rosy poją jednocześnie,
chłodząc nasze serca i topiąc w wilgoci.

Ciężkie listopady pod stopy więc ścięte
i liść opadły, i gorzkie wspomnień chwile
o przemijaniu, o braku osób ukochanych,
które przecież były z nami i znaczyły wiele.

Ciężka ta ziemia, znicze chłodno płoną,
w cierpiącą lunę zmieniając całun ciszy,
w żałobny rapsod cmentarnego domu
- może Bóg zobaczy, może to usłyszy?

Nadzieja wiąże, splata nas w modlitwie
za tych co odeszli, z nami ich już nie ma
i za nas żyjących w gęstwie mrocznych myśli.
Czy to wystarczy, doceni to niebo? A ziemia?

Ziemia ciężarem kładzie się na serca,
przygniata bagażem przeżyć nieskończonych.
Jest coś w tym wszystkim i są znaczenia
symboli odwiecznych i dążeń przeczystych.

Jesteśmy jedną spójną masą ludzką,
którą łączą dwie rzeczy: bo Bóg tak każe.
Łączy nas życie - miłość i cierpienia:
wspólny dom Ziemi i wspólne cmentarze.

Jan Misiek

urodził się w roku 1949 w Słupsku. W 1975 roku uzyskał dyplom z malarstwa w pracowni prof. Władysława Jackiewicza. W latach 1979-1990 był redaktorem graficznym Wydawnictwa Morskiego a w latach 1995-1999 miesięcznika „Pomerania”. Uprawia kolaż, malarstwo, grafikę książkową i prasową. Tworzy także książki artystyczne. Jest członkiem międzynarodowej grupy artystycznej Groupe Chanteloube. Brał udział w wielu wystawach zbiorowych w kraju i zagranicą. Swoje prace prezentował na ponad 100 wystawach indywidualnych.

Wybrane wystawy:

1976 Galeria El, Elbląg *; 1991 W. Galerie, Heidelberg, Niemcy **; 1992 Kuratorium der Willibald-Kramm-Preis-Stiftung, Heidelberg, Niemcy *; 1994 Galerie Neuropa, Heidelberg, Niemcy *; 1995 E. Vrugink Gallery, Zutphen, Holandia*; 1996 Fünf Künstler aus Danzig, Galerie Melnikow, Heidelberg, Niemcy **; Galerie Melnikow, Heidelberg, Niemcy *; 1997 Rathaus Norderstedt, Dni Polskie w Kilonii, Niemcy **; Inter-Art Galerie, Stuttgart, Niemcy *; Muzeum Historii Miasta Gdańska, Gdańsk *; 1998 Galeria Pałacowa, Muzeum Narodowe, Gdańsk *; 1999 Villa Cicogna, Bisuschio-Varese, Włochy *; 2000 Muzeum Diecezjalne, Pelplin **; Galeria Szalom, Kraków *; 2001 Centrum Sztuki Galeria El, Trwanie, Elbląg **; 2002 Muzeum Pomorza Środkowego, Słupsk *; 2003 Galeria Arkada, Sopot *; 2004 Le Hang'Art, Grenoble, Francja **; Atelier Chanteloube, Montaud, Francja **; 2005 Muzeum Narodowe w Gdańsku **; 2006 El Casino, Ripoll, Hiszpania **; Palau de l'Abadia, Sant Joan de les Abadesses, Girona, Hiszpania **; Muzeum Regionalne w Toruniu *; Muzeum w Grudziądzu *; 2007 Maire de Montaud, Couleur Charbon, Montaud, Francja **; National Print Museum, Dublin, Irlandia **; Druskininkų miesto muziejus, Druskienniki, Litwa *; 2008 Muzeum Historii Miasta Gdańska *; Maison du Patrimoine, Villard-de-Lans, Francja **; 2009 Instytut Polski w Pradze, Czechy *; Galeria Wozownia, Toruń *; Alytaus Kraštytyros muziejus, Litwa *; 2010 Galeria Test, Warszawa *; 2011 Musashino Art University Museum, Tokio, Japonia **; 2014 Galeria Ex Nihilo, Grenoble, Francja *; 2015 Muzeum Zachodniokaszubskie w Bytowie *; 2017 Centrum Sztuki Moulines de Villancourt, Grenoble, Francja **; 2018 Muzeum Ziemi Złotowskiej, Złotów*; 2019 Heidelberger Kunstverein, Heidelberg, Niemcy **. 2020 Ratusz Sztuki, Gdańsk-Oliwa*; 2021 Muzeum Historii Miasta Gdańska (z Andrzejem Tarankiem)*.



W numerze prezentuje prace Jan Misiek



gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 4 (89) 2025

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**

Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska**
(Warszawa),

Zbigniew Kresowaty (Łądek Zdrój)

Roman Warszawski (Gdynia),

Małgorzata Dorna (Wendrychowska),
(Piła - Sopot)

Zdzisław Drzewiecki (Biały Bór)

Stale współpracują:

Anna Frajlich (Nowy Jork),

Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),

Dariusz Pawlicki (Bydgoszcz)

Grzegorz Bazylak (Gdańsk)

Olga Śmiechowicz (Łódź),

Marek Wawrzekiewicz (Warszawa),

Krystyna Śmiechowicz (Łódź),

Urszula M. Benka,

Andrzej Walter,

Mateusz Wabik,

Jerzy Lengauer,

Marian Lech Bednarek

Andrzej Wołoszewicz

Dział fotografii: **Sybilka Storie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:

Agata Foltyn

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy
autorów.

Opracowanie graficzne:

Baltex Artur Rakowski

Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk

tel. 601-840-302

joa@migotania.pl,

joalike@gmail.com

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

Migotania.

Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów
nie zamówionych. Staramy się odpowiadać
na propozycje tekstowe, ale nie zawsze mo-
żemy to zagwarantować. W korespondencji
z Redakcją prosimy używać przede wszystkim
adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy
o kontakt mailowy na adres:

joa@migotania.pl



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej „Migotania”:

- Przekazując materiały do redakcji Pisma:
- autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
- autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
- autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie praw spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
- autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety

Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
"Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przestanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Katarzyna Korczak

(...) Jest temat dla powieści – nie nowej, nie starej,
jak siły tych wspinaczy wysiłkiem omdlałej.
I głuchej jak ta góra – jak ta bryła ślepej,
z narodowej głupoty posklejanej klepek.

Zygmunt Jan Rumel, Szklanna Góra, czerwiec 1943

(...) WYSTARCZY MI ŚWERSZCZ W KONICZYNIE KONCERTUJĄCY POD LIŚCIEM (...)

ZYGMUNT JAN RUMEL – GDAŃSKIE REMINISCENCJE

Motto:

(...) Taki mój dom –
duch prosty mieszkać będzie,
co gościom świata rad – jednego
krom,
który przychodzi wszędzie.

Mój dom, Zygmunt Rumel,
marzec 1942

Ucieleśnienie piękna, dobra, miłości, humanizmu, odwagi, talentu. I t r a g i z m u. Człowiek – kryształ. Zygmunt Jan Rumel. Poeta i żołnierz. Jako delegat Okręgowej Delegatury Rządu RP na Wołyniu, wraz z Krzysztofem Markiewiczem i woźnicą Witoldem Dąbrowskim, 8 lub 9 lipca 1943 roku, w drodze na rozmowy pokojowe z reprezentantami OUN - UPA, aresztowany i zamordowany przez rozierwanie kołmi. (...) „Znamienne jest w tej zbrodni wyszukane okrucieństwo w stosunku do znanego pro-ukraińskiego działacza, jakim był Rumel, co można odczytywać jako diaboliczną drwinę z całego dobra, którym obdarzył Ukraińców na Wołyniu chociażby w działalności w Wołyńskim Związku Młodzieży Wiejskiej” - napisała Ewa Siemaszko. Jego talentem zachwycali się Leopold Staff i Jarosław Iwasz-

kiewicz. Anna Kamieńska widziała w nim (...) „jeszcze jednego, najmłodszego może, poetę romantycznej >>szkoły ukraińskiej<< w poezji polskiej.” (...) * W wierszu *Na śmierć poety* z 1941 roku wyraził wolę, by na wołyńskim stępie usypano mu kurhan. Wtedy ptaki i dźwięki teorbanu nieść będą wieści o tym, że: (...) o wolę on waszą i naszą śpiewał – zanim odpoczął w mogile... (...) (...) aby nocą wieczyste już czarną / patrzył w wszechświat ponad nim ogromny!

Jego idea przetrwała. I spełnia się jego testament.

Nieliczne wiersze Zygmunta Rumla ocaliły z wojennej pożogi żona, matka i teściowa. Ukazało się kilka wydań drukiem. Teraz te śpiewne, mądre, rytmiczne strofy, czekają na artystów XXI wieku: czułego kompozytora, takiego jak Zygmunt Konieczny i wokalistę na miarę Ewy Demarczyk. Może podjęta by się projektu Olga Pasiecznik, ukraińska śpiewaczka od lat mieszkająca w Polsce? Któż lepiej, niż ona, zrozumiałaby i zaśpiewał wiersze *Dwie Matki*, czy *Sawitri*?

Czy poetyckie pieśni do słów Zygmunta Rumla, z uniwersalnym przesłaniem, przenikną w świat? Czy sprawią, że ludzie staną się dla siebie choć o trochę lepsi? Jego duch błąka się wśród nas i patrzy. Poeta nie ma grobu. Poszukiwania miejsca jego spoczynku trwają do dziś.

KSIĘŻYC WPŁYNIE PRZEZ OKNA, MOŻE UKRAIŃSKI

Choć urodziłam się w pierwszej połowie lat 50. w Sopocie, a stamtąd przewieziono mnie na statku do Wrzeszcza, spotkałam Zygmunta Rumla i jego żonę Annę. Oczywiście nie bezpośrednio. Aura obu postaci przeniknęła do mojego serca w czasie, kiedy nie umiałam jeszcze czytać ani pisać. Wszystko to dzięki babci Irenie Korczak z domu Nossek i ojcu Stanisławowi. Wypędzeni z rodzinnego, wielonarodowego ówczesnie, Wołynia wiedzieli i czuli dużo. Rozmawiali o tym, co i jak było za Bugiem. Wielokrotnie słyszałam: „Rumel!”. Byłam za matką, by przyjąć treść opowieści. Wyczuwałam wzruszenie, zachwyt, podziw, szacunek, grozę, tęsknotę. I tajemnicę. Tata kupował dla swojej mamy bilety do Teatru Wybrzeże, w których grała Anna Rumłowa.

Teraz jestem prawie pewna, że babcia i dziadek Feliks Korczak (nie znałam go, umarł rok przed moim urodzeniem), nauczyciele, w okresie międzywojennym



W lesie w okolicach Porycka na Wołyniu Irena i Feliks Korczakowie z synem Stachem, moim ojcem. Lata 30. XX wieku

Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

czytali artykuły i wiersze Zygmunta Rumla publikowane w kresowych czasopismach, takich jak „Wołyń” i „Życie Krzemienieckie”. Być może uczestniczyli w którymś z jego wieczorów poetyckich w Liceum Krzemienieckim. Urzekały ich, tak, jak i mnie teraz, rzewne opisy wołyńskich krajobrazów, w których żyli. Mogli być na przedstawieniach z udziałem Anny Rumłowej podczas objazdowych występów na Wołyniu Reduty Warszawskiej.

Dwie Matki, lipiec 1941

*Dwie mi Matki-Ojczyzny hołubiły głowę.
Jedna grzebień bursztynu czesala we włos,
Druga rąf porohów piorąc koralowe,
zawodziła na lirach dolę ślepią – los...*

(...) Dwie mnie Matki - Ojczyzny
wyuczyły mowy

w warkocz krwi plecionej jagodami ros,
był się sercem przełamal



Zygmunt Rumel, domena publiczna

*bólem w dwie połowy,
by serce rozdwojone płakało – jak głos...*

Maskarada, 1940

*Zatańczą kolumnady w muzeach ojczystych –
szambelanowie strojni, księżne przeźroczyste...
Księżyc wpłynie przez okna
– może ukraiński?...
I wrócą emigranci ze Stasiem
Leszczyńskim. (...)
I z papachą wyskoczy watażka Chmielnicki
I porwie z sali księżyc – księżyc ukraiński.*

Sawitri, 1941, żonie

*Może to tylko bogini biegła przetowłosa,
A może się zachwiała koliste niebios?*

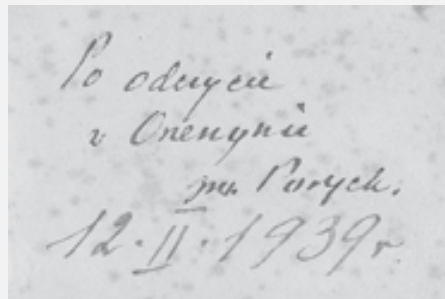


Wakacje w Krzemieńcu. Od lewej Feliks, Irena, Staś Korczakowie na tle Góry Królowej Bony. Lato. Koniec lat 30. XX wieku

Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków



Książeczka do nabożeństwa mojego taty z wpisem: „Pamiętka pierwszej komunii św. przyjętej w Kościele Krzemienieckim przez Stasia Korczaka”. Lato, 1935 rok
Fot. Tomasz Korczak
Ze zbiorów rodzinnych Katarzyny i Tomasza Korczaków



Mieszkańcy Orzeszyna narodowości polskiej i ukraińskiej w świetlicy po odczycie. W ciemnym garniturze z krawatem wykladowca Feliks Korczak. 11 lipca 1943 roku oddział Ukraińskiej Powstańczej Armii - na ogólną liczbę 340 mieszkańców tej wsi - wymordował co najmniej 306 Polaków (według książki: Władysław Siemaszko, Ewa Siemaszko, „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945”, Warszawa, s.893).

Fot. Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

*Może tylko Sawitri – Sawitri promienna –
stopą dotyka ziemi jak fala tajemna?*

*Nie - to drżenie kosmiczne
za globem, nad nami,
Nie – to czas wirujący wszystkimi czasami!*

*To spirala zagłady – plejada płomieni,
Szybuje gorejąca ponad kołem ziemi!*

*I na jądra galaktyk nawleka się włócznią!
Nie! To bogini tylko – Sawitri przed jutrznią.*

MÓWIĄ M I „SŁAWA BOHU”

Pole, listopad 1934

*(...) Wystarczy mi świerszcz w koniczyźnie
koncertujący pod liściem
i te badyłe niczyje
w niebo sterczące kiścią.*

*(...) A potem – potem gdzieś w rowie
wargi przytulę do ziemi...*

...wszystkie swe bóle wypowiem...

... wrosnę zielonym kamieniem.

Wołyń

*Kocham długie pagóry złotej pszenicy i żyta,
gryki miodem pachnące
i pszczelny zapach pasieki,
południe gorącym zwiśle
w płachtach siniego błękitu,
daleki, senny widnokrąg, zasnuty
chmurami jak mlekiem.
Kocham tęskniące śpiewy,
kraśne zapaski robotnic
I starców, co z czapką w dłoni*



W upalny dzień nad rzeką Ługą albo Mierń w Porycku. Irena z jamniczką, Staś i Feliks Korczakowie. Lata 30. XX wieku

Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

mówią mi „sława Bohu”,

I sad za chatą, co się wiśniami stokrotni...

*Kocham śpiewny, szeroki,
czarnoziemny Wołyń. (...)*

„MŁODA WIEŚ. MOŁODE SEŁO”

Śtep, czerwiec 1941

*Dwukonna, pleciona
kolebka tatarka,
półksiężyc w strzemionach
i baszłyk, i czarka!*

W sajdaku chrzest strzały,





Uczniowie Publicznej Szkoły Powszechnej w Porycku narodowości polskiej i ukraińskiej z nauczycielami w ogrodzie na tle gmachu szkoły. W drugim rzędzie od dołu - czwarta od prawej Irena z domu Nossek Korczak, w okularach kierownik szkoły Nitefor, siódmy Feliks Korczak. Lata 30. XX wieku
Fot. Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

*a w jukach daktyle
i sery dwa białe,
i mleko kobyle! (...)*

(...) „W latach szkolnych Zygmunt Rumel mieszkał na stacji w dworku należącym niegdyś do rodziny Juliusza Słowackiego (...). Tutaj wieczorami czytywał kolegom z Liceum Krzemienieckiego nowo napisane wiersze.” (...) Grał w teatrze szkolnym, wyróżniał go (...) <<piękny, donośny głos i ujmująca powierzchowność>>. Już wtedy (...) był działaczem społecznym, organizował kontakty uczniów Liceum Krzemienieckiego z młodzieżą licznych szkół filialnych - w Krzemieńcu, w Białokrynicy, w Smydze, w Michałowie.” (...)

(...) „Studia polonistyczne rozpoczął w Warszawie. Koło Krzemieńczan trzymało się tu nadal razem. Były jakieś wspólne wyprawy, na przykład pamiętna do dziś dla uczestników wycieczka do Lasek, jakiś wieczór tam pod gwiazdami ze śpiewaniem pieśni, które intonowała Krystyna Krahelska.” (...) „Zrzeszenie Bytych Wychowanków Liceum Krzemienieckiego związane było ściśle z postępowym ruchem młodzieży wiejskiej. Współpracowało ono z Wołyńskim Związkiem Młodzieży Wiejskiej. W kołach tego Związku skupiała się młodzież zarówno polska jak i ukraińska, a głównym

założeniem ideowym było współzycie i równość rangi kultury obu narodów.” (...)

(...) „Cały swój wolny czas, ferie świąteczne i wakacje w okresie studiów aż do roku 1939 - spędzał na Wołyniu. Bywał częstym gościem Uniwersytetu Ludowego w Różynie. Brał udział w zebraniach kół wiejskich, w konkursach czytelniczych, w wykładach i dyskusjach Uniwersytetu Ludowego. Pomagał przy redagowaniu dwujęzycznego pisma <<Młoda Wieś. Молоде Сеґо>>. Wielu wychowanków Uniwersytetu Ludowego w Różynie, zarówno Polaków jak i Ukraińców, zaliczał do swoich serdecznych przyjaciół. Służbę wojskową odbył na dywizyjnym kursie podchorążych artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. W roku 1939 brał udział w kampanii wrześniowej jako podporucznik artylerii. W czasie okupacji już od początku 1940 roku Zygmunt Rumel rozpoczął pracę konspiracyjną w Warszawie.” (...)**

Utopia, czerwiec 1943

Jej spełnienie odległe – jak idea sama.(...)

*Wielka wizja człowieka w ludzkości gromadzie,
powiązanej i zgodnej w poczynaniu, w radzie,
wyniesionej, ogromnej w wszechdosiężne stany
rządzonej sobą przez się, przez senat obrany. (...)*



Warsztaty robót ręcznych dla dorosłych w Publicznej Szkole Powszechnej w Porycku. Uczestniczą Polacy i Ukraińcy, wśród nich kobieta w sukni haftowanej ludowym wzorem ukraińskim. Prowadzi Feliks Korczak – z prawej. Lata 30. XX wieku

Z archiwum rodzinnego Katarzyny i Tomasza Korczaków

W PRL Zygmunt Rumel był na czarnej liście, jego twórczości nie wydawano ani nie włączano do programów szkolnych. Z pierwszym zbiorem jego wierszy zapoznałam się dopiero po studiach. I przeniosły mnie te wiersze w atmosferę przedwojennego wielokulturowego Wołynia. Pomogły zrozumieć fenomen i piękno ziemi na zawsze utraconej dla Polaków, którzy tam się urodzili i mieszkali. Poczutałam, że bycie we Wrzeszczu jest tylko częścią mojej tożsamości. Że, aby zaakceptować siebie, trzeba wniknąć w życie kilku poprzednich pokoleń swojej rodziny. Zrozumiałam, że duchem jestem i **t u i t a m**. Gdy słyszę na ulicy, w tramwaju, sklepie, w Parku Oliwskim, na plaży mowę ukraińską, cieszę się. Chciałabym wtedy powiedzieć: „Babciu, wiesz, jest tak, jak było w Porycku!” Żyjemy razem, nawiązujemy kontakty, poznajemy kulturę i historię swoich narodów, podejmujemy wspólne działania, dowiadujemy się, jak wiele nas łączy. Okrutna wojna musi się skończyć. W odbudowie Ukrainy uczestniczyć



Janina z Tymieńskich i Władysław Rumlowie z synami (od lewej): Zygmunt Janem, Bronisławem i Stanisławem Domena publiczna

będą specjaliści – już to się zaczyna – z różnych krajów europejskich, w tym z Polski. Marzę, by z Polski do Ukrainy i z Ukrainy do Polski można było jeździć za okazaniem dowodu tożsamości, bez obaw. Żeby w programach szkolnych po obu stronach Bugu znalazły się dzieje naszych narodów bez białych plam. I żeby tak już zostało.

RODZINNE KOLIGACJE Z RUMLAMI

Po drugiej wojnie światowej do Wrzeszcza dotarli rodzice Zygmunta Rumla - Janina z Tymieńskich (pisała wiersze pod pseudonimem „Liliana”) i Władysław Rumlowie, z córką Zosią. Tutaj są pochowani. W Gdańsku żyją potomkowie rodziny Rumłów – **Ksenia Bagniewska i Krzysztof Tymieński**. Opiekują się grobami „cioci Jani i wuja Władysława”.

- Wanda z Tymieńskich Żelawska, mama mojej mamy, to siostra Janiny z Tymieńskich Rumlowej (matki Zygmunta Rumla) oraz Tadeusza Tymieńskiego, ojca Krzyśka – wyjaśnia Ksenia Bagniewska. - Ojciec Krzysztofa, Tadeusz Tymieński, był bratem Janiny (matki Zygmunta Rumla). Janina i Tadeusz to rodzeństwo mojej babci (Wandy z Tymieńskich Żelawskiej). Tadeusz był od Wandy o 13 lat młodszy, od Janiny aż o 17, stąd przeskok w pokoleniach. Krzyśiek i Zygmunt Rumel, to bracia ciocieczni mojej mamy.

- W 1944 roku Janina z Tymieńskich Rumlowa z córką Zofią znalazły się w Brwinowie

koło Warszawy, gdzie była rodzina, między innymi moja mama z 3 letnią wtedy córką Ewą – opowiada Ksenia Bagniewska. - Potem Janina i Zofia mieszkaly w Łowiczu u najmłodszego z braci Tymińskich, Tadeusza, ojca Krzysia. Zaraz po wojnie większość Tymińskich znalazła się w Gdańsku, bo ich domy spłonęły w czasie Powstania w Warszawie. Byli wśród nich: Janina z Tymińskich Rumlowa z Zofią, dotarł do nich z sowieckiego łagru Władysław Rumel. Przyjechała moja babcia Wanda z mężem i młodszą córką, dołączyła do nich moja mama z matką Ewą.

- Janinę, mówiłam o niej „ciocia Jania”, pamiętam z wczesnego dzieciństwa. Mieszkaliśmy przy Lilli Wenedy. Odwiedzałam ją z siostrą Ewą w mieszkanku na poddaszu przy ul. Lucyny Krzemienieckiej we Wrzeszczu. Nędzna klatka schodowa, dwa pokoiki nieduże, jeden połączony z kuchenką, na parapecie leżał stos pism. Okna wychodziły na dwie strony - na ulicę i na lotnisko. Ciozia Jania leżała schorowana, a my przynosiłyśmy jej w białej barce na mleko przygotowany przez babcię Wandę obiad - była to głównie bardzo gęsta zupa „ze wszystkim”. Cierpiała, chora na raka, wciąż czekała na swoich synów (wpatrywała się w płytę lotniska w nadziei, że któregoś z nich zobaczy). O śmierci Bronka wiedziała. W śmierć Zygmunta nie wierzyła. Staś był wtedy w Szwecji, dokąd trafił z obozu pracy w Niemczech, Niemcy wywieźli go tam z żoną z Warszawy w czasie Powstania. Odradzano im (zresztą słusznie, bo działał w Armii Krajowej) powrót do kraju, wyjechali potem do Argentyny; Staś pracował jako inżynier, adoptowali chłopca, tam zmarł.

- W naszym domu mówiło się o wcześniejszych losach Rumłów – kontynuuję. - Kiedy w 1939 wybuchła wojna, Władysław ukrywał się, a Janina z Zosią uciekły ze swojej osady Orłopol koło Wiśniowca do Krzemienia. Pomógł im w tym Ukrainiec. Zatrzymały się w Krzemieniu u rodziny Sułkowskich, spędzili razem Wigilię w 1939, a może w 1940 roku, widziałam zdjęcie, był z nimi Broniek. Potem Janina, Zosia i Władysław spotkali się na Wileńszczyźnie. Władysław pracował w magazynie i działał w podziemiu, Zosia została łączniczką. Gdy na Wileńszczyznę przyszedli Rosjanie, aresztowali Władysława i wywieźli do łagru (nazwy nie znam). Kiedy Niemcy zaatakowali ZSRR w czerwcu 1941, Rosjanie masowo likwidowali Polaków. NKWD aresztowało Bronka za działalność podziemną w ZWZ. Wziął na siebie całą „winę” za działania grupy młodzieży i został rozstrzelany w więzieniu w Dubnie.

- Synów Janina nie doczekała, wrócił tylko w 1950 z sowieckiego obozu mąż, Władysław Rumel. Zmarła w 1953 roku, gdy miałam pięć lat, Władysław - dwa lata później. - kontynuuję Ksenia Bagniewska. - Nie byłam na pogrzebie cioci Jany, uznano, że jestem za matką, a dzień bardzo zimny, poszła moja starsza o siedem lat siostra Ewa (od lat mieszka w Warszawie, po mężu nazywa się Kaniewska). Utkwił mi w pamięci poranek w dniu pogrzebu. Leżałam jeszcze w łóżku, babcia wyciągnęła z szafy czarną kurtkę karakułową, w której uciekła z Powstania (była przerobiona z futra sprzed pierwszej wojny, które mam na starym zdjęciu, nie do zardarcia, jeszcze ją tę kurtkę nosiłam), czarny kapelusz z woalką i czarną, też przedwojenną, torebkę (ją także miałam przez długie lata). Wujka Władka zapamiętałam jako szczupłego, prosto, po wojskowemu trzymającego się, tysego pana w wysokich butach. Wiem, że nie chciał wspominać łagru, co w tych czasach nie dziwiło. Przetwał, bo jako inżynier agromom znał się na hodowli roślin i się nimi tam zajmował. Urałowało go też to, że nie pił, jak inni więźniowie, w upał wody z kałuży, tylko pukał nią usta.

- Janina i Władysław Rumlowie mają swoje groby na Cmentarzu Srebrzysko we Wrzeszczu.

Nie leżą obok siebie, dzieli ich ze 200 metrów. Krzysiek je wczoraj porządkował, ja po operacji nie bardzo mam siłę do chodzenia. O tym, że rodzice Zygmunta są tu pochowani wie chyba tylko najbliższa rodzina, choć widywałam na Wszystkich Świętych ślady odwiedziny, pewnie przychodzą pozostali przy życiu wołyńcy, coraz ich mniej, choćby ci, którzy przeforsowali ulicę Zygmunta Rumla na Oruni Górnej, na przykład bardzo zasłużony w sprawie Wincenty Ronisz, a raczej jego potomkowie. Symboliczna mogiła Zygmunta jest na Powązkach w Warszawie, tabliczka znajduje się na grobie męża i teściów mojej siostry Ewy, tam też nieznaną nam osobę zapalają znicze.

- Zosia, dużo młodsza od swoich trzech braci, była przez rodziców bardzo rozpieszczana. Zygmunt pisał dla niej wiersze – mówi Ksenia Bagniewska. - Pamiętam, była rudawa, niebieskooka - ten mocny gen jej dziadka, a mojego pradziadka, Jana Tymińskiego, często powtarzał się w rodzinie. Ciężkie przeżycia wojenne i rodzinne spowodowały, że trudno jej było ułożyć sobie życie, późno wyszła za mąż. Chorowała, nie mogła się poruszać, leżyła się w szpitalu rehabilitacyjnym w Dzierżynie. Odwiedzała ją najczęściej mama Krzysia i mój ojciec, moja mama już wtedy od paru lat była leżąca, a ja z rodziną mieszkalam za granicą. W 1990 roku w Dzierżynie zmarła, nie wiem, gdzie; mama Krzysia i mój ojciec ją pochowali.

- Wdowa po Zygmuncie, Anna, zamieszkała w Sopocie ze swoją bratową i bratankiem (brat Anny zginął w czasie Powstania Warszawskiego). Drobna, bardzo energiczna, odwiedzała nas w mieszkaniu na Klonowej. Grała w Teatrze Wybrzeże. Jako aktorka uczyła moją siostrę i mnie dykcji za pomocą zabawnych zestawów słów i dźwięków. To był przełom lat 50. i 60. Do Warszawy pojechała później, tam jest pochowana.

- Nasz warszawski dom ocalał. Ojciec, Tadeusz Tymiński, jako inżynier meliorant, dostał nakaz pracy do Gdańska. Żuławy były ciągle zalewane. I tak potem zostało. - opowiada Krzysztof Tymiński. - Mieszkaliśmy przy ulicy Danusi we Wrzeszczu. Ciocień Janinę, siostrę ojca, pamiętam jak przez mgłę. Przyjechała zaraz po wojnie z córką Zofią, ich dom spłonął w czasie Powstania Warszawskiego. Ojciec Zygmunta, Władysław Rumel, dojechał do nich później. Wiem, że był uczestnikiem wojny polsko – bolszewickiej w 1920 roku, za co został uhonorowany krzyżem Virtuti Militari, otrzymał osadę wojskową na Wołyniu, gdzie państwo Rumlowie z dziećmi mieszkali. Czasami przychodziłem do matki Zygmunta z rodzicami, przynosiłyśmy dla niej obiady. To były inne czasy, o wielu sprawach się nie mówiło. Moja mama brała udział w Powstaniu Warszawskim, nie afiszowała się wtedy z tym. Rozumiem wstrzemięźliwość, wtedy, gdy składało się papiery do nowej pracy, trzeba było dotrzeć żywcem. I mama nie wpisywała tego epizodu. Jak zobaczyła film *Kanał*, miała nerwowe odruchy. Gdy rodzice uznali, że jesteśmy w stanie zrozumieć i właściwie ocenić tamte czasy, opowiedzieli nam o Zygmuncie – naszym wujku - wszystko, zachowując dla siebie potworność jego śmierci.

ODCHYL KOPERTĘ - TAK TĄ DŁONIA

„W połowie listopada 1939 roku zostałam zaprzysiężoną przez szefa łączności <<Berte>> Janinę Karasiównę w organizacji podziemnej, którą tworzył jeszcze przed kapitulacją Warszawy gen. Karaszewicz-Tokarzewski pod nazwą Służba Zwycięstwu Polski. Z początkiem roku 1941 organizacja została przekształcona rozkazem gen. Sikorskiego w Związek Walki Zbrojnej (ZWZ, później AK). W październiku 1941 roku przeszłam do konspiracyjnego Stronnictwa Ludowego (<<Roch>>) wraz z matką moją Marią Wójcikiewicz <<Genowefą>>. Dom nasz

przy ulicy Zajęczej 12 m. 4 w Warszawie stał się skrzynką <<Rocha>>, a potem punktem przerzutowym na Wołyń. (...) W końcu stycznia 1942 roku zostałam odkomenderowana na Wołyń jako łączniczka Zygmunta Rumla (<<Andrzeja>>, <<Krzysztofa Poręby>>), który organizował komórki konspiracyjne ruchu ludowego na Wołyniu. (...) Na dzień przed Wigilią przyjechał po mnie mąż. (...) **

List, 26 listopada 1941

*Odchyl kopertę – tak, tą dłonią,
co nosi ślad mój pocałunku.*

Słowa pieczętują się pokloni

I czar przyniosą w podarunku... (...)

Literki biegą – upojeniem,

jak małe mnichy w nieskończoność.

Jak księżycowe baze, cienie,

Składając twoje imię – żono...

(...) „Wojenne małżeństwo 26-letniego Zygmunta i nieco starszej Anny trwało krótko. Po ślubie w 1941 roku Zygmunt wprowadził się do rodziców żony na warszawskim Powiślu. Idealnie pasował do rodziny Wójcikiewiczów, z których wywodziła się Anna, rodziny inteligenckiej o zacięciu społecznikowskim z ogromnym ładunkiem patriotyzmu. (...)

(...) Częściej jednak byli rozdzieleni niż razem. (...) Ich dziecko zmarło przy narodzinach. Niedługo potem zginął Zygmunt. W Powstaniu Warszawskim, w którym i ona brała udział, poległ brat Anny. (...) Tragiczne przeżycia wywarły na niej piętno, nadwładziły zdrowiu. Mimo to po wojnie wróciła do zawodu - przez dziesięć lat była aktorką Teatru Wybrzeże w Gdańsku. Nie wyszła powtórnie za mąż, była strażniczką pamięci Zygmunta. W 1960 roku wróciła do Warszawy i rozpoczęła walkę o wydanie jego cudem ocalonych wierszy. Starania zostały uwieńczone sukcesem - w roku 1970 po raz pierwszy ukazał się tomik poezji Zygmunta Jana Rumla. (...) Zmarła 25 grudnia 1990 roku i spoczęła na Starych Powązkach.”****

SUBTELNA URODA, UJMUJĄCY SPOSÓB BYCIA

„Obdarzona drobną figurką i uroczą twarzą z rysach jakby z kamei, przy tym muzykalna i posiadająca ciepły, dźwięczny jak krysztal głos, Anna Rumlowa była najlepszą w liryczno-sentymentalnych partiach roli. Taką ją też zapamiętałam prywatnie: subtelna uroda, ujmujący sposób bycia, wrażliwa i delikatna. Pięknie wyglądała w rolach kostiumowych - w *Ślubach panieńskich*, *Fantazym*, *Weselu Figara*. Pamiętna była jej rola w *Domu kobiet*. Ja widziałam ją w *Maturzystach* Skowrońskiego oraz *Balladach i romansach* na scenie Teatru Wybrzeże.”*****

W prasie Wybrzeża szukałam recenzji spektakli z udziałem Anny Rumel. Nie znalazłam żadnego dłuższego opisu którejkolwiek z ról wspaniałej aktorki, wychowanki warszawskiej Reduty. Franciszek Fenikowski w „Dzienniku Bałtyckim”: z 1949 nr 191 w artykule „Chopin bez koturnów” oraz w tekście z 1952 nr 101 „Pociąg do Marsylii” wymienia tylko jej nazwisko. W recenzji R. Adriańskiego w „Głosie Wybrzeża” z września 1955 roku w tekście „Dyskutujemy o <<Maturzystach>>”. Nareszcie coś o młodzieży” pisze: (...) „Należy zwrócić uwagę na doskonałą grę zespołu, a w szczególności Jerzego Śliwy, Maurycego Janowskiego, Lecha Piertrasza, Zygmunta Hobota, Stanisława Michalskiego, Anny Rumlowej i Józefa Walewskiego.” W innych popremierowych wzmiankach jej nazwisko nawet się nie



pojawilo. Trudno się dziwić, ta postać w latach powojennych w prasie partyjnej nie mogła być hołubiona. Pozostały programy i afisze jako dokument jej dziesięcioletniej pracy aktorskiej w Teatrze Wybrzeże. Po wyjeździe do Warszawy nie kontynuowała kariery scenicz-

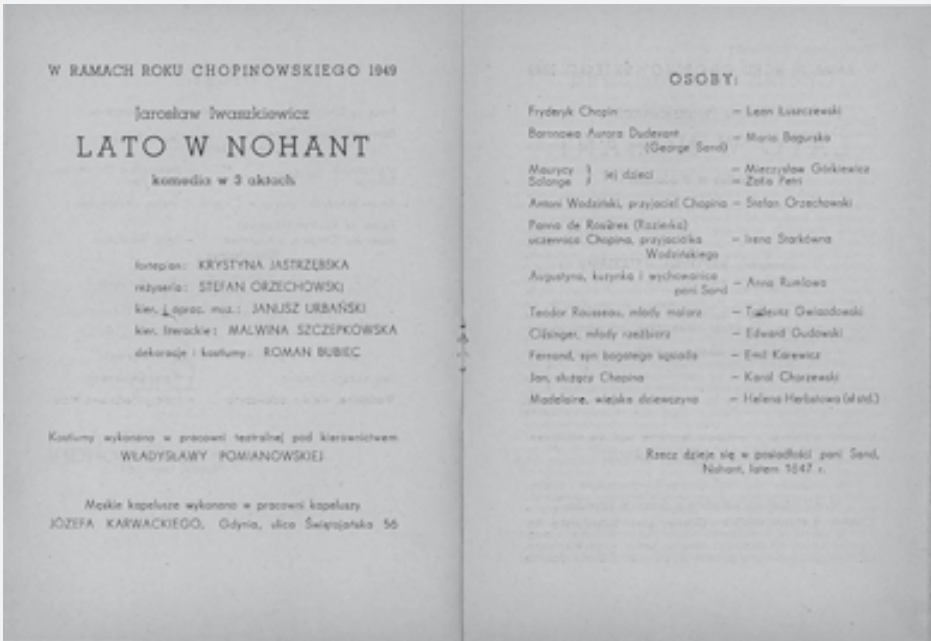


Anna Rumłowa w roli Ani w spektaklu *Wiśniowy sad* Antoniego Czechowa, reżyseria: Iwo Gall, Teatr Wybrzeże, Gdynia. Premiera odbyła się 30 października 1948 roku.
Fot. Edmund Zdanowski
Ze zbiorów Działu Teatralnego Muzeum Narodowego w Gdańsku.

nej. Wystąpiła natomiast dwukrotnie w Teatrze Polskiego Radia – w sztuce *Perła Aldaminy* Zachariasza Topeliusa (9 grudnia 1962) i w *Matce i córce* Anny Komornickiej (24 października 1967); oba spektakle wyreżyserowała Klementyna Krymkowa. Do końca życia Anna Rumłowa zajmowała się upamiętnieniem sylwetki i dorobku twórczego swojego męża. książki. To postać ze wszech miar ciekawa i warta upamiętnienia. Może podejmie się napisania o niej książki któryś ze studentów teatrologii Uniwersytetu Gdańskiego?

KATARZYNA KORCZAK

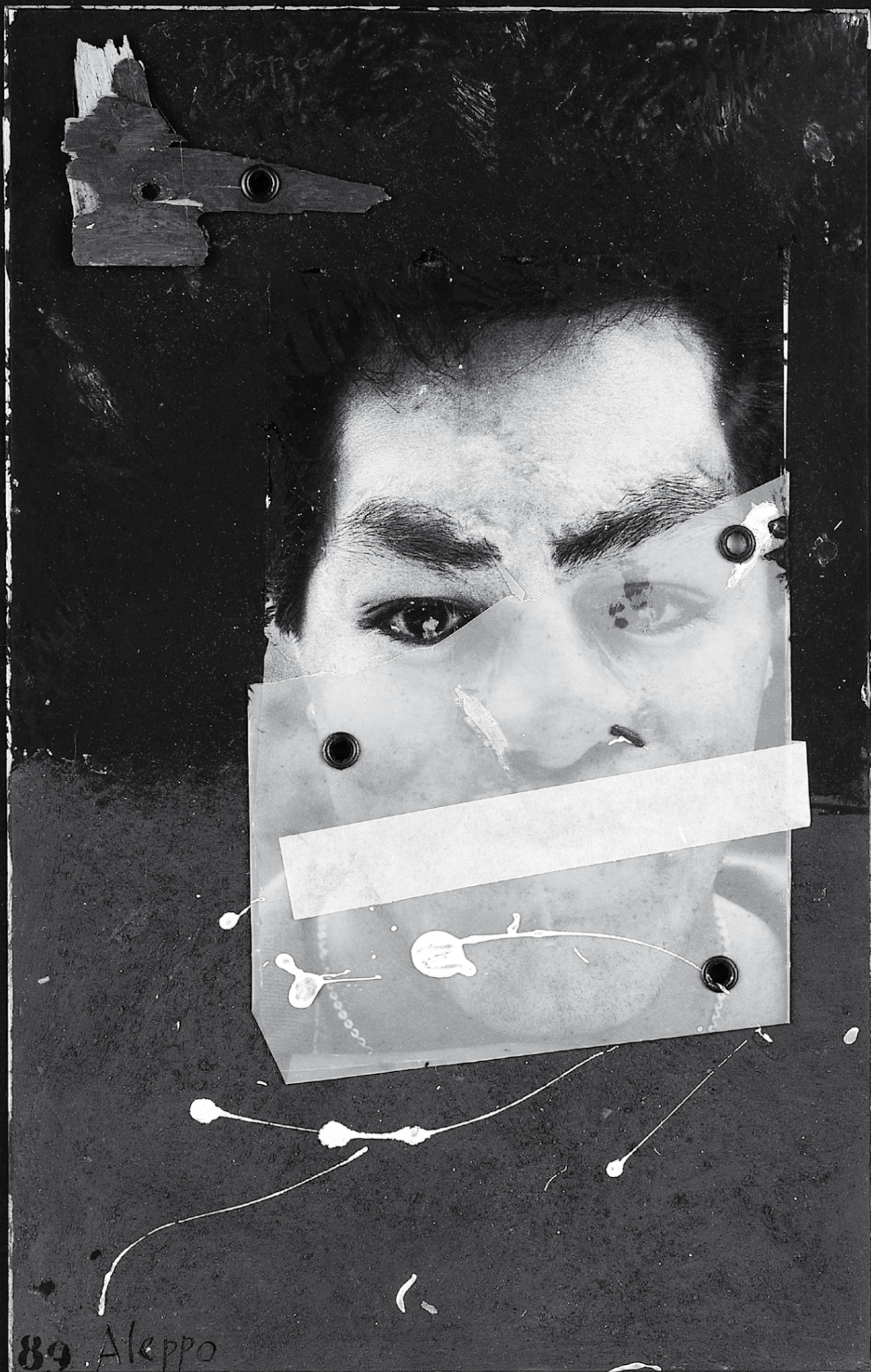
Wszystkie utwory pochodzą z tomu Zygmunta Jan Rumel „Wiersze zebrane”, PIW, Warszawa 2018
*Anna Kamińska - wstęp do książki Zygmunta Jan Rumel - *Poezje Wybrane*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1978
** Anna Rumłowa - „Wędrowki za Bug” w: *Twierdzą nam będzie każdy próg*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1987
*** Ewa Kaniewska - „Wspomnienie w 20. rocznicę śmierci”, „Gazeta Wyborcza – Stołeczna” nr 300, 24-12-2009
**** Malwina Szczepkowska - monografia poświęcona 20-leciu Teatru Wybrzeże



Role Anny Rumłowej w Teatrze Wybrzeże:

30 października 1948	<i>Wiśniowy sad</i> Antoni Czechow, postać: Ania, reżyseria: Iwo Gall, Teatr Wybrzeże, Gdynia
13 kwietnia 1949	<i>Srebrna szkatulka</i> , John Galsworthy, postać: Wheeler, reżyseria: Leon Łuszczewski, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
28 maja 1949	<i>Ja kocham cały naród...</i> Adam Mickiewicz, Krystyna Grzybowska, Roman Brandstaetter, reżyseria: Halina Gallowa, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
9 lipca 1949	<i>Lato w Nohant</i> Jarosław Iwaszkiewicz, postać: Augustyna, reżyseria: Stefan Orzechowski, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
16 lipca 1950	<i>Wesele Figara</i> Beaumarchais Pierre de, postać: Cherubin, reżyseria: Czesław Strzelecki, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
3 grudnia 1950	<i>Fantazy</i> Juliusz Słowacki, postać: Stella, reżyseria: Dobiesław Damięcki, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
1 marca 1951	<i>Pieją koguty</i> Józef Baltuszis, postać: Marytie, reżyseria: Irena Górka, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
4 maja 1951	<i>Fireyk w zalotach</i> Franciszek Zabłocki, postać: Klarysa, reżyseria: Malwina Szczepkowska, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
21 lipca 1951	<i>Śluby pańskie</i> , czyli <i>Magnetyzm serca</i> Aleksander Fredro, postać: Klara, reżyseria: Wiktor Biegański, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
9 kwietnia 1952	<i>Pociąg do Marsylii</i> Krzysztof Gruszczyński, postać: Katarzyna, reżyseria: Malwina Szczepkowska, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
9 sierpnia 1953	<i>Droga do Czarnolasu</i> Aleksander Matiszewski, postać: Dorota Podłodowska, reżyseria: Irena Górka, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
16 grudnia 1953	<i>Barbarzyńcy</i> Maksym Gorki postać: Stiopa, reżyseria: Lidia Zamkow, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
7 maja 1955	<i>Ballady i romanse</i> Aleksander Matiszewski postać: Karolina Kowalska, reżyseria: Irma Czajkowska, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
29 września 1955	<i>Maturzyści</i> Zdzisław Skowroński, postać: Prof. Woźniakówna, reżyseria: Stefan Drewicz, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
5 kwietnia 1956	<i>Mariama Pineda</i> Federico Garcia Lorca, postać: Nowicjuszek II reżyseria: Zygmunt Hübner, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
19 stycznia 1957	<i>Dom Bernardy Alba</i> Federico Garcia Lorca, postać: Maria Józefa, Amelia, reżyseria: Walerian Lachnitt, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
7 października 1957	<i>Strójcie mi, strójcie, narodową scenę</i> Stanisław Wyspiański, postać: Harliarka, Nike spod Termopil, Marysia, reżyseria: Malwina Szczepkowska, Gdańskie Studio Rapsodyczne, Gdańsk
5 stycznia 1958	<i>Revisor</i> Mikołaj Gogol, postać: Pani, reżyseria: Tadeusz Zuchniewski, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
24 sierpnia 1958	<i>Dom kobiet</i> Zofia Nałkowska, postać: Maria Lanowa, reżyseria: Maria Chodecka, Teatr Wybrzeże, Gdańsk
14 października 1958	<i>Nieporównany</i> Crichton Barrie James Matthew, postać: Miss Simmons, reżyseria: Stanisław Miłski, Teatr Wybrzeże, Gdańsk

Jan Misiek



Władysław Zawistowski

Dziewczyny do kochania

To wszystko kiedyś skończy się,
A skończy się na pewno.
Wszyscy będziemy démodé
I wszystko – będzie – jedno.

Ktoś inny będzie śpiewał wiersz,
Kto inny go nie czytał,
W trzydziestym pokoleniu świerszcz
O jesień się zapyta.

Nasze jesienie porwie wiatr,
Z definicji niewinny,
Lecz zawsze pozostaną wszak,
Odrodzą się dla innych:

*Dziewczyny do kochania
Wiersze do napisania
Piosenki do zaśpiewania
Lizaki do lizania
Węże do zaklinania
Winy do prześlągania
Góry do zdobywania
Drogi do uciekania
Ptaki do doganiania.
Życie do umierania*

A gdy już trudno będzie odróżnić
Alpuharę do Alzheimerera,
One jeszcze będzie nas łudzić
I błędną pamięć uwierać.

*Dziewczyny do kochania
Wiersze do napisania
Piosenki do zaśpiewania
Lizaki do lizania
Węże do zaklinania
Winy do prześlągania
Góry do zdobywania
Drogi do uciekania
Ptaki do doganiania.
Życie do umierania*
I nawet miłość kiedyś skończy się,
A skończy się niechybnie,
Wszyscy skończymy Bóg wie gdzie
Jak w naszym hymnie:

*Dziewczyny do kochania
Wiersze do napisania
Piosenki do zaśpiewania
Lizaki do lizania
Węże do zaklinania
Winy do prześlągania
Góry do zdobywania
Drogi do uciekania
Ptaki do doganiania.
Życie do umierania*

Ten wiersz za chwilę skończy się,
skończy nieodwołalnie,
ale w największej ciszy wszak,
ktoś jeszcze palnie:

*Dziewczyny do kochania
Wiersze do napisania
Piosenki do zaśpiewania
Lizaki do lizania
Węże do zaklinania
Winy do prześlągania
Góry do zdobywania
Drogi do uciekania
Ptaki do doganiania.
Życie do umierania*